

MISTRZOWIE SF

CLIFFORD D.

STIMAKS

**CZAS JEST
NAJPROSTSZĄ
RZECZĄ**



Spis treści

01. [Karta tytułowa](#)
 01. [.1.](#)
 02. [.2.](#)
 03. [.3.](#)
02. [Pozostało już nie więcej niż dwadzieścia minut!](#)
 01. [.4.](#)
 02. [.5.](#)
 03. [.6.](#)
03. [Jaką więc rolę gra Harriet w ostatnich wydarzeniach? Czemu jest tutaj, z nim?](#)
 01. [.7.](#)
 02. [.8.](#)
04. [No i dokąd w końcu uciekać? Do Południowej Dakoty, jak radziła Harriet?](#)
 01. [.9.](#)
 02. [.10.](#)
05. [Ale skąd w nim ta pewność? Kto to powiedział? Skąd o tym wie?](#)
 01. [.11.](#)
06. [Istniała jednak twarda rzeczywistość: nie ma pojęcia jak tego dokonać!](#)
 01. [.12.](#)
07. [To przechodziło wszelkie pojęcie! Była to rzecz, której nigdy dotychczas nie dokonał. Ani on, ani nikt!](#)
 01. [.13.](#)
 02. [.14.](#)
 03. [.15.](#)
 04. [.16.](#) [Nagiego umysłu nie można zobaczyć](#)

05. [.17.](#)
06. [.18.](#)
08. [I jednocześnie telepatyczny impuls sieknął jego umysł: -
SZYBKO, O CO CHODZI?](#)
 01. [.19.](#)
 02. [.20.](#)
 03. [.21.](#)
09. [Ryk syren niemal wypełniał pokój](#)
 01. [.22.](#)
 02. [.23.](#)
10. [Wypuścił wolno powietrze z płuc i ponownie odetchnął; ale tu
nie było nawet powietrza!](#)
11. [Tam, w ciemności zalegającej wewnątrz wozowni, czaił się jego
stary przyjaciel, Kirby Rand!](#)
 01. [.24.](#)
 02. [.25.](#)
 03. [.26.](#)
 04. [.27.](#)
 05. [.28.](#)
 06. [.29.](#)
 07. [.30.](#)
 08. [.31.](#)
12. [Canoe!](#)
13. [Poszukiwanie Różowej Istoty znaczyło tyle, co tropienie
samego siebie!](#)
 01. [.32.](#)
 02. [.33.](#)
 03. [.34.](#)
14. [BLURB](#)

Clifford D. Simak

CZAS JEST NAJPROSTSZĄ RZECZĄ

Przełożył

Michał Wroczyński



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

1993

. 1 .

I nadszedł ostatecznie czas, gdy Człowiek pojął, że gwiazd nie zdobędzie nigdy. Pierwsze wątpliwości zrodziły się w dniu, gdy Van Allen stwierdził istnienie pasów radiacyjnych wokół Ziemi, a naukowcom z Minnesoty udało się pochwycić protony słoneczne i zbadać ich naturę. Lecz pomimo tych tak oczywistych faktów Człowiek, który z dawien dawna śnił o przestrzeni międzygwiazdnej, nie chciał ustąpić.

Próbował więc. Nie ustawał w wysiłkach, choć całe generacje astronautów świadczyły własną śmiercią o tym, że kosmos jest dla Człowieka niedostępny, że Człowiek to istota zbyt krucha, by lecieć do gwiazd, że zbyt łatwo umiera, że zabija go nawet promieniowanie macierzystego słońca.

Od początku istnienia swego gatunku, Człowiek snuł marzenia i patrzył w niebo. Lecz teraz było bezbrzeżne rozczarowanie i gorycz w tym spoglądaniu ku odległym gwiazdom, które nagle okazały się niedostępne.

Po wielu więc latach, gdy przebrzmiał już huk startujących rakiet, po tysiącach niepowodzeń i zawodów, Człowiek na dobre wyrzekł się gwiazd.

To było wszystko, co mógł zrobić.

Istniał jednak lepszy sposób na gwiazdy.

. 2 .

Shepherd Blaine odniósł wrażenie, że znalazł się w czymś, co było rodzajem domu. Jeśli nie był to dom, to z całą pewnością miejsca zamieszkałe. Takich bowiem proporcji oraz ładu form, na jakie się natknął, nie spotyka się w naturze, nawet tak bardzo obcej jak natura tej odległej od Ziemi planety.

W pomieszczeniu panowała cisza maćona jedynie szuraniem automatycznych nóg maszyny Blaine'a i dobiegającym z zewnątrz delikatnym zawodzeniem wiatru. Dźwięki te wydawały się zaledwie szmerem w porównaniu z potępieńczym hukem burzy szalejącej pośród piaszczystych wydm, przez które człowiek z mozołem brnął kilkadziesiąt godzin.

Jasnobłękitna podłoga była twarda i gładka, a porozstawiane wokół - również niebieskiej barwy przedmioty, których kształt nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, że są one wytworem rozumu, nie kojarzyły się człowiekowi z niczym znanym. Równie dobrze mogła to być aparatura naukowa, jak obce i dziwaczne dzieła sztuki lub po prostu urządzenia codziennego użytku.

Pokój, bo tak w duchu nazwał Blaine to miejsce, nie miał ścian ani sufitu: gładka, olśniewająco błękitna płaszczyzna zastawiona nieznanymi sprzętami, wyrastała pośród bezmiaru piasków. Na ów pokój natknął się całkiem przypadkowo po wielogodzinnym błądzeniu w mroku zalegającym powierzchnie planety: jej niesłychanie odległe słońce dawało niewiele światła, wskutek czego Blaine przez cały czas pobytu mógł widzieć błyszczące nad głową gwiazdy.

Pełen emocji i podniecenia, Blaine sunął powoli z odkrytym i

nastawionym na pełną moc percepcji układem sensorycznym. Im dłużej przebywał w tym pomieszczeniu, tym silniejsze było jego przekonanie, iż jest to rzeczywiście dom, dom zamieszkały, gdzie na dodatek czuło się obecność gospodarzy.

Pełzł. Podeszwy szurały po błękitnej podłodze, czujniki badały każdy szczegół otoczenia a wirująca z lekkim poświstem taśma wszystko to zapisywała. Rejestrowała wszelkie obrazy, dźwięki, kształty i zapachy pozostające w zasięgu zmysłów Blaine'a. Zapisywała temperaturę, czas i magnetyzm, notowała wszystkie zjawiska zachodzące w otoczeniu.

Wreszcie w zasięgu wzroku przybysza pojawiło się owo przeczuwane od początku życie: wielka, rozlana istota spoczywała w absolutnym bezruchu na podłodze - jak ogromnie leniwy człowiek rozkoszujący się odpoczynkiem w trakcie poobiedniej sjesty.

Swym powolnie odmierzonym krokiem Blaine zaczął zbliżać się ku stworzeniu, podczas gdy urządzenia odbiorcze rejestrowały całą dostępną w tej chwili wiedzę o leżącej nieruchomo istocie. Była zachwycająco różowa. Różowa przepięknym kolorem porównywalnym jedynie do sukienki, którą siedmioletnia dziewczynka wkłada na swój pierwszy, urodzinowy bal.

Blaine przysunął się do mieszkańca pokoju i zatrzymał w odległości zaledwie sześciu stóp od niego. Wzniósł powoli oczy w górę: Zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, że stworzenie ma świadomość jego obecności, że spogląda na niego choć nie posiada oczu. I że się wcale przybysza nie boi.

Było wielkie: wysokie na dwanaście stóp, swym rozlazłym cielskiem zajmowało powierzchnie ponad dwudziestu. Kolos piętrzył się nad maszyną, która tutaj była Blainem. Stworzenie nie przejawiało żadnych uczuć: ani przyjaźni, ani wrogości, ani ciekawości. Po prostu ogromna, nieforemna i obojętna bryła.

Blaine również stał nieruchomo. Czekał. Już wcześniej cofnął swe sensory i tylko wirująca powoli taśma nie ustawała w pracy. Był w rozterce. Zdając sobie sprawę z tego, że sytuacja wymaga niesłychanie rozważnego i

ostrożnego działania, wiedział, że musi się spieszyć. jego czas się kończył. Pozostało go naprawdę niewiele. Tymczasem dla istoty spoczywającej przed nim czas zdawał się nie istnieć.

Równocześnie Blaine poczuł drgania przekazane mu przez elektroniczne obwody maszyny, która pełniła funkcje jego ciała. Drżenie pochodzące bez wątpienia od istoty rozlewającej się różowo na podłodze drżenie transmitujące w połowie tylko sformułowaną myśl, stanowiło zapowiedź porozumienia, zbliżającego się kontaktu.

Szok spowodowany przechwyceniem tych impulsów minął prawie natychmiast, gdy tylko człowiek swym chłodnym, analitycznym umysłem pojął że nic nie wskazuje na telepatyczne zdolności owego różowe o stworzenia, bo chociaż drgania niedwuznacznie wskazywały na ich istnienie, to wieloletnia praktyka Blaine'a...

Trzymaj się ! - szepnął do siebie. - Trzymaj się ! Musisz zmieścić się w wyznaczonym czasie ! Pozostało już tylko trzydzieści sekund!

Znów drżenie tym razem silniejsze, bardziej wyraźne jakby stwór chrząknął, szykując swe psychiczne ośrodki komunikowania do rozpoczęcia rozmowy.

Blaine był zdumiony. Niesłychanie rzadko zdarzało się, by człowiek potrafił nawiązać kontakt telepatyczny z innym gatunkiem istot rozumnych. Zbyt potężne bowiem były bariery biologiczne i umysłowe dzielące poszczególne rasy kosmiczne, aby telepatia mogła je przełamać i okazać się przydatna w takim stopniu, jak sądzili zwolennicy starodawnej - jasnej i klarownej - sztuki telepatycznej.

I wówczas stworzenie odezwało się:

- WITAJ PRZYJACIELU, WYMIENIAM Z TOBĄ ŚWIADOMOŚĆ.

Mózg człowieka zaskowyczał w bezgłośnym, pełnym paniki zdumieniu Bo oto nagle, bez żadnego ostrzeżenia, stał się Blaine podwójną osobowością sobą samym i tym różowym stworem. W samym momencie widział jak on, czuł tak samo, jak on, posiadał jego wiedzę i był jednocześnie sobą,

Shepherdem Blaine'em, badaczem Fishhooka, umysłem poza Ziemią, daleko od domu.

W tej samej chwili zatrzasnął się jego czas.

Doznał uczucia szaleńczego pędu, jak gdyby przestrzeń w ułamku sekundy stała się eksplodującą hukiem gromu przeszłością, ku której gnał w niewyobrażalnym pędzie. Shepherd Blaine, wbrew własnej woli, został raptownie przeniesiony przez pięć tysięcy lat świetlnych do wybranego punktu w północnym Meksyku.

. 3 .

Ze ślepym, wręcz instynktownym uporem wydobywał się ze studni ciemności. Wiedział gdzie jest, Z wiedział kim jest, jakkolwiek w żaden świadomy sposób nie potrafił tej wiedzy sobie przyswoić. Tak zresztą było zawsze, gdy wracał stamtąd. Tym razem jednak odczuwał to nieco inaczej. Tkwiła w nim dziwaczna obcość jakiej nigdy dotychczas nie doświadczył. Odnosił wrażenie jakby w połowie tylko był sobą, drugą zaś jego część stanowiła nieznana, przerażona istota. Czuł dreszcz skamlącego leku pochodzącego od intruza, który nie potrafił opanować swego strachu.

Wydobywał się w górę korytarzem mroku, usiłując jednocześnie wypchnąć ze swego umysłu dręczącą go swym lekiem osobowość. Był to jednak daremny wysiłek. Obcość bowiem wniknęła w jego mózg po to by tam żyć, by pozostać jego częścią już na zawsze.

Odpoczął chwilę, próbując uporządkować rozbiegane myśli. Istniał jednak w zbyt wielu miejscach, był zbyt wieloma rzeczami i osobami, by tego dokonać. Z każdą podejmowaną próbą jego mózg pogrążał się coraz bardziej w szaleństwie skłębionego zgiełku i chaosu. W tym samym momencie Blaine wiedział, że jest istotą ludzką, ale też maszyną błądzącą pośród gwiazd oraz różowością rozlaną na jasnoblękitnej podłodze i wreszcie jest także świadomą nicością spadającą przez nieskończone eony czasu, sprowadzone - wedle określenia matematyków - do najdrobniejszych ułamków sekundy.

Wracał do siebie. Wydobył się już z mrocznego szybu i ciemność pozostała za nim. Jej miejsce zajęło łagodne światło. Gdy tak leżał płasko na plecach, rozsadzało go uczucie dumy, a zarazem ulgi; był w domu.

I wreszcie wiedział.

Wiedział, że jest Shepherdem Blaine'em, badaczem Fishhooka, że bywa

daleko w przestrzeni kosmicznej, gdzie przemierza setki i tysiące lat świetlnych badając odległe gwiazdy. Raz napotyka na swym szlaku rzeczy wielkie i niezwykle innym razem nie znajduje nic. Lecz teraz natknął się na coś, czego część przybyła razem z nim, tu, na Ziemi.

Opanowując lek odszukał to w głębiach swego umysłu. Tak, było tam. Czuł to, czuł w swojej czaszce obecność skulonej, drżącej ze strachu istoty.

To okropne - pomyślał, wiedziony nagłym współczuciem dla tego nieszczęsnego stwora wypełniającego mu czaszkę - to straszne być tak pochwyconym we wnętrzu obcego mózgu. I natychmiast błysnęła mu myśl przeciwna, że jeszcze straszniejszą jest rzeczą, gdy intruz taki zagnieździł się w jego własnym mózgu.

- TO CIĘŻKIE DLA NAS OBU - szepnął, zarówno pod swoim adresem jak i pod adresem obcego.

Leżał spokojnie zbierając i porządkując ulotne, gorączkowe myśli. Opuścił Ziemię trzydzieści godzin temu. Oczywiście nie on sam, gdyż ciało pozostało tutaj. Wyruszył tylko jego umysł zamknięty w niewielkiej maszynie. Wyruszył na obcą planetę wirującą wokół odległej, nie nazwanej jeszcze gwiazdy.

Planeta nie różniła się zasadniczo niczym od innych, martwych planet, na których ongiś bywał. Jedne porastały tropikalne dżungle, inne skuwał lód lub piętrzyły się na nich nagie, nieprzystępne skały. Powierzchnie tej pokrywały piaszczyste pustynie.

Blisko trzydzieści godzin włączył się pośród bezkresnych, kołtunionych burzą piaskową wydm nie znajdując nic interesującego. I dopiero pod sam koniec swego pobytu gdy nabrał już przekonania, że planeta jest całkowicie jałowa, natknął się na ów wielki, błękitny pokój i rozciągniętą w nim Różową Istotę. A gdy powrócił do domu, owa Różowa Istota - lub jej cień - przybyła razem z nim.

Obcy znów wypełził z najgłębszego zakątka jaźni Blaine'a w którym znalazł kryjówkę. Człowiek czuł te lepka, wstrętną obecność, czuł dotknięcia

obcego, znał jego myśli, jego uczucia, posiadał jego wiedzę. Pod wpływem tych obrzydliwych dotknięć zeszywniał. cały, jakby krążąca mu w żyłach krew przemieniła się nagle w bulgoczące, lodowate błoto. Narastać zaczęła w nim potrzeba krzyku, okropnego wrzasku, którą zdołał jednak poskromić. Znow leżał nieruchomo i Różowa Istota odpełzła w końcu do wybranych przez siebie zakamarków jego mózgu.

Blaine rozchylił powieki. Kłapa urządzenia, w którym spoczywało jego ciało była uchylona i oczy poraził mu ostry blask zawieszanej nisko żarówki w kryształowym kloszu.

Poruszył lekko rękami, potem nogami. Pokręcił głową, jakby chciał sprawdzić, czy z ciałem jest wszystko w porządku. Nie było jednak żadnego powodu do obaw gdyż ciało spoczywało tutaj wygodnie przez ostatnie trzydzieści godzin. Rozejrzał się wokół i dostrzegł pochylone nad sobą ludzkie twarze spoglądające z wyczekiwaniem.

- Ciężką miał pan podróż, Sir? - dobiegło go pytanie.

- Wszystkie są ciężkie odparł.

Usiadł, a następnie wygramolił się niezdarnie z maszyny, przypominającej kształtem trumnę. Zadrżał lekko; w sali panował dotkliwy chłód.

- Pańska marynarka, Sir - dziewczyna w białym czepku wyciągnęła rękę z ubraniem.

Gdy nałożył kurtkę, ta sama dziewczyna podała mu szklankę. Siorbnął mleko. Spodziewał się tego. Znał to przecież na pamięć. Wracających z podróży zawsze witano tu szklanką mleka. Być może zresztą było ono z czymś tam jeszcze zmieszane, lecz Blaine'owi nigdy nie przyszło do głowy o to spytać. Szklanka mleka po powrocie stanowiła jeden z obowiązujących rytuałów, którym on - i jemu podobni - musieli się podporządkować. Istniało zresztą u Fishhooka o wiele więcej tego typu uświęconych tradycją zwyczajów; przez ponad sto lat funkcjonowania koncernu narosły w nim setki nudnych i głupich ceremonii - nie wolno było od nich odstąpić na krok. Szklanka mleka była właśnie jedną z nich.

Kolejny szczęśliwy powrót - myślał siorbiąc mleko i rozglądając się po gigantycznej sali zastawionej szeregami lśniących, błyskających kolorowymi światłami maszyn gwiazdnych: jedne z nich były zamknięte, inne miały - jak ta jego - uniesione wieka. W zamkniętych spoczywały ciała tych, których umysły krążyły jeszcze pośród odległych, kosmicznych szlaków.

- Która godzina? - spytał Blaine.

- Dziewiąta wieczór - odparł mężczyzna trzymający w dłoni notatnik.

Obcość ponownie dała o sobie znać. Poczował w umyśle lekkie muśnicie obcej myśli i ponownie dobiegł go wewnętrzny głos:

- WITAJ PRZYJACIELU. WYMIENIAM Z TOBĄ ŚWIADOMOŚĆ.

Ale tym razem, w tej sali, pośród innych ludzi było to stokroć bardziej absurdalne, niż gdyby własnymi oczami ujrzał piekło, zwykłe piekło wyjęte ze średniowiecznej ryciny. Piekło pełne rogatych diabłów smrodu płonącej siarki i udręczonych, skazanych na wieczne potępienie dusz. A jednocześnie było to jak pozdrowienie płynące od obcego, jak potrząśnięcie umysłu, jak zwykłe ludzkie potrząśnięcie ręki w geście przywitania. Złowieszczonego przywitania.

- Proszę już skończyć to mleko - dobiegły go słowa dziewczyny. Poczował jednocześnie na ramieniu dotyk jej palców.

Potrząśnięcie świadomości oznaczało, że istota ma zamiar pozostać w jego mózgu na trwałe. Znow czuł jej wszechobecność, czuł ten brudny, obcy osad oblepiający mu czaszkę od wewnątrz.

- Nie było żadnych kłopotów? Maszyna wróciła w porządku? - zapytał.

- Najmniejszych - mężczyzna z notatnikiem w ręku potrząsnął głową. - A taśmy są już odesłane.

Pół godziny! Mam jeszcze pół godziny! - pomyślał spokojnie Blaine, sam zaskoczony swoim spokojem.

Pół godziny! - tyle bowiem zajmie odczytanie taśm. Na nich będzie wszystko, wszystko to, co mu się przytrafiło na planecie. Cała historia kontaktu. Co do tego Blaine nie żywił żadnych wątpliwości: Pół godziny!

Tyle ma czasu, by zniknąć. Zniknąć na zawsze.

Rozejrzał się pełen dumy, jak przed laty, gdy po raz pierwszy przekroczył próg tej sali. Tu znajdowało się bowiem centrum układu nerwowego Fishhooka. Tu biło jego serce. Tu był jego mózg. Stąd rozpoczynały się niezwykle podróże, stąd wyruszano do odległych i niedostępnych miejsc.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężko będzie rozstać się z tym miejscem, odwrócić się plecami i po prostu odejść. Zbyt dużo bowiem włożył tu siebie, zbyt wiele tu przeżył.

Ale musi to zrobić. Po prostu musi odejść.

Dopił mleko i oddał czekającej cierpliwie dziewczynie pustą szklankę. Odwrócił się w stronę drzwi.

- Proszę chwile poczekać! - krzyknął za nim mężczyzna, wręczając notatnik. - Zapomniał się pan wypisać, Sir.

Blaine mrużąc z niezadowolenia, wyjął przypięte do notatnika pióro i złożył podpis. To było idiotyczne. Wpisywać się przy wejściu, wypisywać przy wyjściu. Blaine podchodził jednak do tego wszystkiego filozoficznie. Wpisywał się, wypisywał, pił mleko, wykonywał tysiące drobnych i głupich czynności. Bo i po co się buntować? Skoro Fishhook przykłada do tych spraw aż taką wagę, skoro tak mu na tym zależy, cóż to mogło szkodzić Blaine'owi.

Oddał notatnik.

- Przepraszam bardzo, panie Blaine - ponownie odezwał się mężczyzna kartkując notes. - Kiedy pan stawi się na przegląd i analizę taśm?

Jutro o dziewiątej rano.

Mogą zapisywać sobie, co tylko chcą - pomyślał. - Jego już i tak tutaj nie będzie. Lecz na razie pozostało mu tylko trzydzieści minut. Pół godziny, które musi w pełni wykorzystać.

Bardzo potrzebował tego czasu, bo pamiętał noc sprzed lat. Z każdą umykającą obecnie bezpłodnie sekundą, tamte chwile pojawiały się mu w pamięci coraz wyraźniej. Owej nocy zatelefonował do niego Godfrey Stone.

Oddychał ciężko, jak po wyczerpującym biegu, a w głosie brzmiały nutki paniki i hysterii.

- Dobranoc wszystkim - pozornie beztroskim głosem wykrzyknął Blaine.

Zamknął za sobą drzwi i wyszedł na pusty pogrążony w ciszy i martwocie korytarz. Otaksował szybkim spojrzeniem długi hall. Wszystkie drzwi wtopione w ściany korytarza były pozamykane na głucho, jakkolwiek na wielu z nich płonęły jaskrawe światła, znak, że wewnątrz pracują ludzie. Pomimo tej panującej wszędzie ciszy, bez względu na porę dnia i nocy wrzała tu gorączkowa praca: w laboratoriach i salach wykładowych w stacjach doświadczalnych i zakładach przemysłowych Fishhooka, w dyspozytorniach komputerów, w rozległych bibliotekach i magazynach Fishhook czuwał zawsze, dyżurował okrągłą dobę, nigdy nie zamykał swych oczu, nigdy nie zapadał w sen.

Blaine stał chwile, trzymając dłoń na klamce i zastanawiał się, co ma dalej zrobić. Pozornie wydawało się to proste. Może wszak wyjść przez nikogo nie zauważony, przez nikogo nie nagabywany, może wsiąść do samochodu zaparkowanego parę bloków dalej i skierować się na północ, ku granicy. Lecz to byłoby zbyt proste. Tego właśnie spodziewać się będzie Fishhook.

Ponadto istniał jeden jeszcze problem: natrętna myśl, obsesyjna wątpliwość: czy naprawdę musi uciekać?

Pięć osób w ciągu ostatnich trzech lat, od chwili ucieczki Godfrey'a Stone'a; czyż może to stanowić jakikolwiek dowód?

Idąc spieszonym krokiem w stronę wind, roztrząsał kwestie raz jeszcze. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie czas na wątpliwości, że słusznie czyni podejmując decyzje natychmiastowej ucieczki. Lecz racja mieściła się w kategoriach rozumu a wątpliwości w sferze uczuć.

Jednego był pewien. Nie chce uciekać od Fishhooka, chce być tutaj, chce robić to co robił dotąd, nie pragnie porzucić swego zajęcia.

Lecz ta kwestia była już rozstrzygnięta, rozwiązana wiele, wiele miesięcy wcześniej wtedy, gdy podjął decyzje, że gdy nadejdzie czas, zniknie. Bez

względu na to, jak bardzo chciałby pozostać, porzuci wszystko i odejdzie.

A to z powodu Godfrey'a Stone'a i jego ostatniego, desperackiego telefonu. Rozmowy telefonicznej, w której Godfrey nie prosił wcale o pomoc, a ostrzegał:

- Shep - Stone oddychał ciężko jak po wyczerpującym biegu - Shep, posłuchaj mnie i nie przerywaj. Jeżeli kiedykolwiek staniesz się obcym, zwiewaj. Nie czekaj ani minuty. Po prostu natychmiast pryskaj. I to jak najdalej i najszybciej jak potrafisz.

Trzask odkładanej słuchawki po drugiej stronie zakończył te rozmowę. Blaine pamięta, że długo jeszcze trzymał głuchy aparat w zaciśniętej dłoni.

- Dobrze, Godfrey - odparł w końcu w cisze mikrofonu. - Dobrze, będę pamiętał.

Ani słowa więcej.

Blaine nigdy już nie usłyszał o Godfreyu Stone.

„Gdybyś stał się obcy” rzekł wówczas Godfrey Stone. I tak się rzeczywiście stało. Zmienił się w obcego, czuł skuloną pod czaszką obcość, która czaiła się w drugiej części jego mózgu. Wiedział jak do tego doszło, jak to się stało i za czyją sprawą. Ale ci inni? Z całą pewnością nie wszyscy natknęli się na Różową Istotę odległą stąd przecież o pięć tysięcy lat świetlnych. Na ile jeszcze sposobów człowiek może stać się obcym?

Fishhook zrozumie natychmiast, że on - Blaine - ma odmienioną świadomość. Pojmie to natychmiast po odczytaniu taśm. I nie istnieje sposób, by temu zapobiec. Pochwycą Blaine'a i przyślą szperacza, bo jakkolwiek taśmy powiedzą im, że jest obcy, to tylko na ich podstawie nie będzie można stwierdzić jak to się stało ani w jakim stopniu został odmieniony. Szperacz okaże się - jak zawsze uprzedzająco grzeczny, wręcz współczujący, ale zrobi wszystko by wyciągnąć intruza na światło dzienne i poznać, kim naprawdę jest.

I bez względu na to, jak szczerze Blaine zamknąłby swój umysł, szperacz z łatwością dotrze wszędzie tam, gdzie tylko zechce.

Blaine podszedł do windy i nacisnął taster wzywający kabine. Ale wtedy właśnie otworzyły się jedne drzwi w korytarzu.

- Oh, to ty, Shep! - wykrzyknął mężczyzna, który pojawił się w progu. - Słyszałem, że ktoś nadchodzi. Byłem strasznie ciekaw, kto to taki.

- Właśnie wychodzę - odparł Blaine, rozglądając się wokół gorączkowo.

- Wpadnij do mnie na chwilę - Kirby Rand wykonał zapraszający ruch ręką. - Miałem właśnie zamiar otworzyć butelkę.

Blaine zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na wahanie. Albo wyrazi zgodę na drinka, albo musi zdecydowanie odmówić. Odmowa może jednak wzbudzić podejrzenia Randa. A podejrzenia to jego specjalność. Rand jest szefem ochrony Fishhooka.

- Doskonale - Blaine starał się nadać swemu głosowi najbardziej beztroski ton, na jaki go było stać. - Ale tylko na jednego szybkiego. Rozumiesz, dziewczyna... nie chce, by czekała.

Miał nadzieje, że ta wymówka pozwoli mu uniknąć zaproszenia na wspólną kolację lub wypad do kabaretu.

Podjechała przywołana winda, lecz Blaine udał, że jej nie dostrzega. Bo i cóż miał zrobić innego? Ale była to jednak cholerna zwłoka...

W pokoju Rand ujął go przyjacielskim gestem za ramiona.

- Jak podróż?

- Normalnie.

- Byłeś gdzieś daleko?

- Około pięciu tysięcy.

- Głupie pytanie - Rand potrząsnął głową. - Teraz latacie tylko daleko. Skończyliśmy z krótkimi wypadami. A za sto lat... za sto lat będziemy latać na dziesięć tysięcy. Albo dwadzieścia.

- To już nie robi żadnej różnicy. Skoro tylko znajdziesz się w przestrzeni, odległość przestaje być problemem. Chyba, że się zejdziesz z kursu. Można wtedy złapać niezłe opóźnienie: pół galaktyki... Ale wątpię osobiście czy taka przygoda mogłaby się przytrafić.

- Chłopcy od teorii sądzą przeciwnie - roześmiał się Rand i pozegłował w stronę biurka, na którym stała nie napoczęta butelka. Zdjął kapsel.

- Wiesz, Shep - odezwał się podnosząc głowę znad butelki. - To jest fantastyczna robota. Może czasami podchodzimy do tych podróży zbyt sztampowo, przez co to wszystko staje się nieco monotonne. Niemniej tkwi w tym wszystkim masa fantazji.

- I tak zaczęliśmy podróżować zbyt późno - odparł Blaine oglądając paznokcie - za długo nie braliśmy w rachubę wszystkich własności człowieka. Bo było to zbyt fantastyczne. Bo nie byliśmy w stanie uwierzyć w nasze możliwości. A one tkwiły w nas zawsze. Już starożytni znali je, ocierali się o nie. Lecz nie rozumieli tego i traktowali je jak czary lub magię.

- Większość ludzi uważa tak do dzisiaj - odparł szybko Rand, a po twarzy przeleciała mu chmura. Postawił na biurku dwie szklanki. Wyjął z lodówki kostki lodu. Nalał hojnie porcje.

- No, to wypijmy - wręczył Blaine'owi szklankę. Sam usiadł za biurkiem. Obrzucił Blaine'a karcącym wzrokiem.

- Na co czekasz? Siadaj! Nie musisz się tak okropnie spieszyć. A picie na stojąco traci cały urok. Blaine usiadł, a Rand wyciągnął się w fotelu kładąc nogi na biurku.

Pozostało już nie więcej niż dwadzieścia minut!

Blaine, lekko zgarbiony nad szklanką, w sekundzie milczenia, które zapadło nim Rand zaczął ponownie mówić odniósł wrażenie, że słyszy puls tego gigantycznego organizmu jakim był Fishhook. Zupełnie jakby to była żywa istota spoczywająca w bezruchu na łonie matki-Ziemi w spowitym mrokiem nocy północnym Meksyku; istota posiadająca serce, płuca i tętniące krwią aorty.

- Wy, chłopaki, macie fajną zabawę - odezwał się Rand zabawnie marszcząc nos. - Czasami aż wam zazdroszczę.

- Wykonujemy swoją pracę - ostrożnie odparł Blaine.

- Byłeś dziś pięć tysięcy lat świetlnych stąd. A to już mówi samo za siebie.

- Z pewnością masz racje - zgodził się Blaine. - Możemy przynajmniej zobaczyć na własne oczy, jak tam jest. Ale tym razem było jeszcze lepiej... Wiesz, wydaje mi się, że spotkałem życie...

- Opowiedz... - żywo zainteresował się Rand.

- Niewiele jest do opowiadania - wzruszył ramionami Blaine. - Rzecz odkryłem w chwili, gdy mój czas się kończył. Nic nie zdążyłem zrobić. Musiałem wracać do domu. A swoją drogą, moglibyście coś dla nas zrobić...

- Uhum - Rand skrzywił się lekko.

- Powinniście zostawić nam więcej inicjatywy a przede wszystkim limit czasu nie może być tak sztywno ustalany. Trzydzieści godzin! Raz trzymacie tam człowieka, choć mógłby z powodzeniem wracać już po godzinie, kiedy indziej znów - jak mnie dzisiaj - wyrywacie z powrotem w chwili, gdy potrzebuje tego czasu więcej.

Rand wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tylko nie mów, że nie możecie tego zrobić z przyczyn technicznych - napierał Blaine. - Nie udawaj, że to niemożliwe. Fishhook ma specjalistów na

pęczki, posiada stopy ultranowoczesnej aparatury .

- Oh, z pewnością - odrzekł niedbale Rand. - Ale my lubimy mieć wszystko pod ścisłą kontrolą.

- Boicie się, by ktoś nie nawiał? - wykrzyknął ironicznie Blaine. - Chociażby.

- Po co? Tam przecież nie jest się człowiekiem. Jest się tylko nagim umysłem uwięzionym w niezwykle skomplikowanej maszynie.

- Wolimy tak, jak jest - uciął Rand. - No, a poza tym wy, chłopaki, jesteście cenni. To również musimy brać pod uwagę. Bo co na przykład zrobisz, jeśli tam, pięć tysięcy lat świetlnych od domu, przydarzy ci się wypadek? Co będzie, jeśli stracisz kontrolę nad maszyną? Jesteś dla nas stracony. A tak to wszystko idzie automatycznie. Wysyłamy was, a po pewnym, z góry określonym czasie, automaty ściągają was z powrotem. Mamy przynajmniej pewność, że wrócicie.

- Zbyt wysoko nas cenisz - sucho odparł Blaine.

- To niezupełnie tak - dodał szybko Rand. - Czy wiesz, ile w was zostało zainwestowane? Czy zdajesz sobie sprawę, ilu musimy przesiać, by wybrać jednego? Kogoś, kto jest zarówno telepatą i teleporterem szczególnego rodzaju, kogoś o tak zrównoważonym umyśle, że podoła psychicznie presji tego wszystkiego, na co się może natknąć. I w końcu rzecz niebagatelna: kogoś, kto jest gotów dochować wiary Fishhookowi.

- Kupujecie naszą lojalność. Nie spotkasz wśród nas nikogo, kto uskarżałby się na brak pieniędzy.

- To akurat nie jest żadna wada - roześmiał się Rand. - Poza tym wiesz doskonale, że nie o tym mówię.

A ty - rzucił w myśli Blaine pod adresem Randa - a ty, jakie masz kwalifikacje na ochroniarza. Tu potrzebny jest sprawny szperacz. Gdybyś sam posiadał naturalne predyspozycje na szperacza, nie zatrudniałbyś innych.
- A na głos powiedział: - Ale ja w dalszym ciągu nie widzę powodów, dla których nie chcecie dać nam czasu wedle własnego uznania. Moglibyśmy

przecież...

- A ja nie widzę powodu, byś tak się tym gryzł - odparł pogodnie Rand. - Wróciłeś dopiero co na swoją drogocenną planetę, ale zawsze możesz powrócić tam, skąd przybyłeś.

- Oczywiście, że wrócę - odrzekł Blaine i dopił do końca whisky. Odstawił pustą szklankę na biurko. - Okay, muszę już zmykać. Wielkie dzięki za drinka.

- Okay, skoro musisz, nie zatrzymuje. Wpadniesz jutro?

- O dziewiątej rano. Na analizę.

. 4 .

Blaine przekroczył ogromny, zdobiony wymyślnym zwieńczeniem łuk bramy wyjściowej, wyprowadzającej na rozległy plac. Zawsze, ilekroć wychodził tędy o tej porze roku, przystawał dłużej, sycąc się urokiem miejsca. Uliczne latarnie lśniły tęczowymi kulami blasku, a liście na okalających plac drzewach drżały lekko w podmuchach morskiej bryzy pełnej zapachu soli, ryb i wodorostów. Po chodnikach sunęły postacie przechodniów, niczym ulotne niematerialne zjawy. Samochody z cichym świstem atomowych silników mknęły jezdnią, pozostawiając za sobą barwne smugi światła. Lekka mgiełka spowijała cały plac, tworząc jedyny w swoim rodzaju, czarodziejski klimat pogodnego, jesiennego wieczoru.

Dzisiaj jednak Blaine nie przystanął swoim zwyczajem, choć wieczór był wyjątkowo piękny i sprzyjający zadumie. Nie miał po prostu czasu, pozostało mu zaledwie osiem minut; osiem wszawych minut.

Gdy dotarł do zaparkowanego nie opodał auta i ta rezerwa czasu się skończyła. Nie mógł już skorzystać z pojazdu. Postanowił go zostawić. Stojąc przy bezużytecznym już samochodzie, zastanawiał się chwilę nad dziwnym spotkaniem z Kirby Randem. Czemu właśnie dziś, czemu właśnie tego wieczoru Rand otworzył te cholerne drzwi proponując drinka?

Blaine czuł trudny do sprecyzowania niepokój. Ta rozmowa, ta dziwna, nieoczekiwana rozmowa z Randem. Zupełnie jakby tamten coś podejrzewał, ostrzegał, jakby zdawał sobie sprawę z pośpiechu Blaine'a i bawił się z nim, jak kot z myszą, kradnąc świadomie tak cenne dla Blaine'a minuty.

No, było i minęło - pocieszył się szybko Blaine. Po prostu przypadek, czysty przypadek, który, na szczęście, nie okazał się zgubny w skutkach. Wręcz przeciwnie: gdyby Blaine dysponował większą rezerwą czasową, uciekałby samochodem, ułatwiając tym samym Fishhookowi pościg. A tak zmuszony do pozostania w mieście, wybierze inny, znacznie lepszy wariant

zmylenia pogoni. Potrzebuje tylko dziesięciu minut. Odwrócił się na pięcie i pomaszerował różnym krokiem w dół ulicy, zostawiając za sobą zaparkowany samochód.

Dajcie mi jeszcze dziesięć minut, jedynie dziesięć minut - powtarzał jak w żarliwej modlitwie. Potrzebował tego czasu. Jeśli mu go los podaruje, istnieje tuzin miejsc, gdzie może się ukryć. Tam odetchnie, spokojnie przemyśli sytuację, ustali plan działania. Bo na razie, pozbawiony samochodu, oszołomiony lawiną niespodziewanych zdarzeń, nie miał żadnego planu. Był świeżo przekonany, że jeśli nie spotka kogoś, kto go rozpozna, będzie miał owe dziesięć minut.

Szedł szybkim krokiem, czując jednocześnie, jak narasta w nim napięcie przerażające się powoli w strach, w obłądny lęk zalepiający gęstą pianą czaszkę. W ułamku sekundy skonstatował, że to nie jest jego strach. To nie było w ogóle ludzkie uczucie. Było to czarne jak otchłań, obce, skowyczące przerażenie, które legło się w umyśle wepchniętym w czaszkę Blaine'a. W umyśle, który nie potrafił już dłużej bronić się przed grozą tej nowej, obcej planety i nie chciał być dłużej wciśnięty w mózg człowieka. W umyśle, który nie był w stanie stawić czoła obcemu światu, zupełnie dlań niepojętemu.

Pierwszym odruchem Blaine'a była próba psychicznego zapanowania nad intruzem, uspokojenia go, uciszenia. Ale już nie był w stanie rozdzielić tej pary umysłów - swego i obcego - zlanych jakby w jedno, złączonych ze sobą w jakiś przedziwny sposób, skazanych na dzielenie wspólnego losu.

Wtedy, pod wpływem dzikiego impulsu płynącego z obcej świadomości, opanowany bezrozumną trwogą, Blaine pognał przed siebie. Był już o krok od szaleństwa, lecz ostatkiem sił zdołał się opanować. Przystanął. Oddychał ciężko, a przed oczyma wirowały mu barwne kręgi. Zawrót głowy. Zachwiał się i wyciągając na oślep ręce, trafił dłońmi na rosnące na skraju chodnika drzewo. Objął ramionami gruby pień, przytulił do niego rozpalony policzek, jakby samo zetknięcie twarzy z czymś ziemskim mogło przynieść ulgę, wzmocnić nadwątlone siły człowieka.

Długo obejmował ramionami drzewo. Nie wolno pozwolić sobie na panikę. Nie wolno zwracać na siebie uwagi. Nie wolno dać się tak bez reszty opanować oszalałemu ze strachu obcemu umysłowi.

Przerażenie stopniowo malało, a intruz, jak zbity pies, odpełzał do swojej dziury w najgłębszych zakątkach czaszki człowieka, by tam lizać swe rany. Był po prostu żałosny.

- W PORZĄDKU. ZOSTAŃ TAM GDZIE JESTEŚ - odezwał się do niego Blaine. - Nie denerwuj się. Zostaw wszystko mnie. Ja się wszystkim zajmę.

Blaine powiedział to, gdyż zrozumiał, że obcy starał się zbiec, próbował wyrwać się na wolność. Ale gdy to mu nie wyszło cofnął się w bezpieczne zakamarki swego więzienia - azylu.

Dość tego - skarcił siebie Blaine, potrząsając w zamyśleniu głową. Nie mogę sobie pozwolić na jeszcze jeden, podobny wyskok. Jeśli on mnie znowu opęta, nie wytrzymam. Zacznę gnać na oślep i wyć. I to będzie naprawdę mój koniec.

Dopiero teraz puścił zbawczy pień drzewa. Jeszcze długą chwilę stał chwiejnie na miękkich, niczym z waty nogach. Nawilgła potem koszula lepiała się do ciała, nieprzyjemnie ziębiła skórę, wywołując dreszcze. Oddychał ciężko, jak po długim, wyczerpującym wyścigu, jakby płuca wypełniał mu płynny ołów.

Jak mogę uciec, jak mogę znaleźć kryjówkę? - zapytywał samego siebie. Jak mogę uciekać mając cały czas w sobie tego małpizona? Sytuacja jest wystarczająco paskudna dla mnie samego, a tu jeszcze muszę wlec za sobą to przerażone, skamlące stworzenie.

Nie było jednak sposobu, by się pozbyć balastu, wytrząsnąć z mózgu obcą świadomość. Obaj byli skazani na siebie i Blaine, we własnym już interesie, musiał działać tak, jakby ów upiorny bagaż nie istniał.

Ruszył przed siebie, pozostawiając drzewo daleko w tyle. Szedł teraz o wiele wolniej, jakby pod stopami miał nie wygładzone płyty trotuaru, lecz

miałki i grząski piach. Był zmęczony i głodny. Wszak poza tą szklanką mleka po powrocie, od ponad trzydziestu godzin nie miał nic w ustach. A chociaż jego ciało przez cały ten czas spoczywało w najgłębszym, niczym nie zakłóconym śnie, to jednak trwało to trzydzieści godzin.

Wlókł się z głową opuszczoną nisko na piersi, pełną ponurych myśli. Szedł bez celu, bez żadnego konstruktywnego planu. Mijały go w szaleńczym pędzie limuzyny znaczące drogę barwnymi pasmami. Docierał do jego uszu szum poduszek powietrznych i niski pomruk nuklearnych silników. Zatopiony w posępnych myślach Blaine nie zwracał na to uwagi. Podniósł twarz dopiero wtedy, gdy jedno z aut wyskoczyło naraz z pędzącego sznura pojazdów i zatrzymało się przy krawężniku, tuż przed nim.

- Shep! Shep, co za szczęście! - z auta wychyliła się roześmiana twarz mężczyzny. - Shep, właśnie cię szukałem i miałem nadzieję, że w końcu cię dopadnę.

Blaine'a ogarnęła nagła panika, gdyż poczuł, że przerażony stwór znów zaczyna brać w nim górę. Z najwyższym wysiłkiem zapanował nad intruzem, wpychając go w najgłębsze zakamarki czaszki.

- Freddy, kopę lat! - siląc się na spokój zawołał prawie normalnym głosem.

Był to Freddy Bates, osobnik bez określonego zawodu i statusu społecznego. Blaine jednak był najgłębiej przekonany, iż Bates reprezentuje nieoficjalnie jakąś osobistość lub firmę; zresztą prawie każdy w tym mieście okazywał się być w końcu czyimś agentem lub reprezentantem. Freddy otworzył drzwiczki samochodu.

- Wsiadaj - wykrzyknął. - Jedziemy na przyjęcie!

To będzie właśnie to - błysnęło w głowie Blaine'owi. - To właśnie jest najlepszy sposób na zmylenie tropu i wymkniecie się z sieci zastawionej przez Fishhooka. Poszukującym go agentom nawet za milion lat nie wpadnie do głowy szukać go właśnie na głośnym w całym mieście party. Poza tym była to wyśmienita okazja do dyskretnego wsiąknięcia w tłum i ulotnienia

się. Będzie tam z pewnością masa osób i nikt nawet nie zauważy kiedy i gdzie Blaine zniknie. Na pewno znajdzie jakiś gotowy do jazdy samochód z kluczami w stacyjce. No i znajdzie tam jedzenie, dużo jedzenia.

- Pospiesz się - przynaglał Freddy. - Pospiesz się, Charline czeka na nas.

Blaine wśliznął się już bez wahania do wnętrza pojazdu. Trzasnęły zamykane drzwiczki i po chwili samochód włączył się w nurt pędzących środkiem jezdnii aut.

- Mówiłem Charline - paplał Freddy - że przyjęcie nie może odbyć się bez jakiejś duszy od Fishhooka. Dobrowolnie zaoferowałem się dostarczyć jakąś szychę...

- Ależ ja nikim takim nie jestem - roześmiał się Blaine.

- Jesteś, jesteś. Jesteś jeszcze ciekawszy - żarliwie zapewniał Freddy. - Jesteś badaczem, masz masę do opowiadania...

- Wiesz, że nigdy nie opowiadamy.

- Wiem, wiem, tajemnica - Freddy klepnął go w kolano.

- Takie mamy przepisy - bąknął Blaine.

- I słusznie. Nasze miasto jest tak rozplotkowane... Ale to głównie wasza wina. Sami stwarzacie wokół siebie aurę tajemniczości i sekretów. Ludzie tego nie lubią, ludzi to denerwuje, podnieca ich ciekawość, powoduje tyle szumu i komentarzy. Tyle plotek...

- W dodatku nieprawdziwych lub monstrualnie przesadzonych.

- Raczej to drugie - pokiwał głową Freddy.

Blaine nic nie odrzekł. Siedział wtulony w siedzenie i wyglądał przez okno. Patrząc na mijane ulice pełne światła, zgiełku i ruchu, co chwile wznosił odruchowo oczy wyżej, ku górującemu nad miastem posepnemu kompleksowi Fishhooka: Ponownie - któryż to już raz - zdumiał się, że po tylu latach tam spędzonych wciąż jeszcze nie potrafił opanować wzruszenia na myśl o znaczeniu i baśniowej wręcz potędze tego miejsca.

Bo tutaj, właśnie tutaj, znajduje się rzeczywista stolica Ziemi - myślał Blaine. Tu bowiem - u Fishhooka - leży cała nadzieja i przyszłość świata, tu

bierze początek nić łącząca Ziemię z Kosmosem. A on, Blaine, opuszcza to miejsce. Absurdalne i przerażające, że właśnie on, z całą swą miłością i bałwochwalczym wprost uwielbieniem dla tego miejsca, z całą wiarą i czcią, którymi je otaczał, musi uciekać stąd jak wypłoszony zając.

- Co wy z tym wszystkim robicie? - dobiegł go z półmroku głos Freddy'ego.

- Z czym?

- Z tą całą wiedzą, pomysłami, koncepcjami, które przywozicie stamtąd? - Nie wiem - odparł krótko Blaine.

- Całe zastępy naukowców głowią się z pewnością nad tym Technologicznie usiłują opracować rozwiązania i wdrożyć je do produkcji. Jak daleko - ty i tobie podobni - wyprzedzacie nas wszystkich? Milion lat?

- Kierujesz się pod niewłaściwy adres - burknął Blaine. - Nie znam się na tym. Po prostu wykonuje swoją pracę. Jeśli mówiąc to chcesz mnie dotknąć...

- Nie gniewaj się, Shep. Ale właśnie ten problem mnie nurtuje.

- Ciebie i miliony innych - kwaśno odparł Blaine.

- Postaraj się jednak spojrzeć na to z mojego punktu widzenia - odezwał się poważnie Freddy. Jestem całkowicie poza Fishhookiem. Nawet tam nie zaglądam, choć już tyle lat żyje w jego cieniu. Ale widzę przecież tego kolosa, ten wzór ludzkiej doskonałości, niedościgłych i niewyobrażalnych zamierzeń. I po prostu wam zazdroszczę; zazdroszczę tego, że to wy tam jesteście, a nie ja. Czuje się upośledzony, odsunięty na boczny tor, jestem obywatelem drugiej kategorii. To tyle ja. A inni? Czy dziwisz się, że tak was nienawidzą?

- Nienawidzą?

- Naprawdę?

- Shep! - żarliwie wykrzyknął Freddy. - W jakim ty świecie żyjesz? Rozejrzyj się tylko wokół...

- Nie muszę. Wiem wystarczająco dużo. Pytam tylko: czy naprawdę Fishhook jest tak znienawidzony?

- Sądzę, że tak - odparł w zamyśleniu Freddy kiwając głową. - Tutaj, w mieście, może nie. Tu panuje moda na Fishhooka, wszystko się tutaj kreci wokół niego. Ale dalej, na prowincji... Ludzie naprawdę boją się Fishhooka. Nienawidzą go, i wszystkiego, co ma z nim jakikolwiek związek.

Blaine nie odrzekł nic. Zapatrzył się w okno. Ulice pustoszały powoli, gasły światła, zmniejszał się ruch. Jeszcze tylko centrum usługowe i handlowe kipiało życiem.

- Kto będzie u Charline?

- Jak zwykle masa ludzi - wzruszył ramionami Freddy. - Ogród zoologiczny... ona jest zwariowana. Można tam spotkać właściwie każdego. Straszna zbieranina.

- Rozumiem - mruknął Blaine i zamilkł, gdyż obcy znów drgnął w jego umyśle; senny, niemrawy ruch.

- WSZYSTKO OKAY - mruknął do niego Blaine. - SIEDŹ SPOKOJNIE I ŚPIJ. WSZYSTKO IDZIE JAK TRZEBA.

Freddy skręcił z głównej autostrady w boczną, zacienioną aleję. Jechali teraz głębokim kanionem. Wyraźnie pochłodziło. Szumiały drzewa. Roznosił się zapach sosnowej żywicy.

Auto skręciło gwałtownie biorąc ostry wiraż i na wysokiej, skalistej skarpie ukazał się przed nimi rześkie oświetlony dom; nowoczesne pueblo przylepione do urwiska niczym jaskółcze gniazdo.

- No, dobiliśmy do portu - sapnął z zadowoleniem Freddy wyłączając silniki.

. 5 .

Pomimo stosunkowo wczesnej pory przyjęcie było już niezwykle ożywione. Cały dom wypełniał trudny do zniesienia hałas: dźwięki muzyki, szum rozmów, szuranie dziesiątków stóp, głośne wybuchy śmiechu. Jak wszystkie tego typu imprezy w mieście, bankiet bardzo szybko przekształcił się w jarmark jałowych spekulacji, plotek i błahego paplania. Mimo otwartych na oścież okien, przez które napływało z kanionu chłodne, żywiczne powietrze, panował tu ciężki zaduch dymu papierosowego wymieszanego z zapachem kanapek, perfum, alkoholu i ludzkiego potu.

Herman Dalton, rozparty niedbale w fotelu, wyciągnął nogi na całą ich długość. W kąciaku ust tkwiło mu ogromne cygaro, włosy miał lekko zwichrzone, a wąsy sterczały mu czupurnie jak twarde włosie nowej szczoteczki do zębów.

- Mówię panu, Blaine - dudnił. - To musi się skończyć. Już nadszedł czas. Fishhook musi zacząć się liczyć z prawami obowiązującymi w świecie biznesu. To musi się skończyć, powtarzam, albo wszystko diabli wezmą. Już teraz my, biznesmeni, jesteśmy przez Fishhooka przyparci do muru.

- Panie Dalton - odezwał się znużonym głosem Blaine. - Jeśli już chce pan koniecznie o tym mówić, to proszę o jakieś konkretne przykłady. Mimo że pracuje u Fishhooka, nie znam się na interesach.

- Fishhook wchłania nas - odparł ze złością Dalton. - Pozbawia dochodów, burzy doskonały system umów społecznych, budowany z takim mozołem przez stulecia. Łamie całą, tak pieczołowicie tworzoną strukturę handlową. Rujnuje nas powoli i systematycznie. Nie wszystkich od razu, lecz powoli, kolejno, jednego po drugim. Weź pan, na przykład, plantacje mięsne. Toż to korsarstwo. Każdy sobie sieje i czeka aż mu wyrośnie. Potem tylko wykopuje, jakby to były kartofle, a nie najwyższej klasy proteiny...

- ...dzięki czemu miliony ludzi po raz pierwszy w swoim życiu mogą bez

ograniczeń jeść mięso wpadł mu w słowa Blaine. - Przedtem, dzięki waszemu doskonałemu systemowi umów społecznych i zasad etycznych, ludzi nie stać było na to, by codziennie jeść mięso.

- Ale co w takim razie z farmerami? - wykrzyknął czerwieniejąc Dalton. - Co z organizatorami rynku mięsnego, nie mówiąc już o producentach opakowań?

- Podejrzewam, że bardziej by wam pasowało, panie Dalton, aby ziarno otrzymywały wyłącznie supermarkety lub potężni farmerzy. Aby to oni właśnie sprzedawali je po dolarze lub półtora za sztukę, a nie Fishhook, który bierze za całą paczkę dziesięć centów. To zachowałoby naturalną konkurencję handlową i zapewniłoby wam pokaźny zysk ekonomiczny. Tylko, że w takim przypadku miliony ludzi...

- Pan mnie nie rozumie. Biznes jest najżywotniejszym komponentem naszego społeczeństwa. Zniszcz pan biznes, a zniszczysz samego Człowieka.

- Bardzo w to wątpię.

- Ależ cała historia naszej cywilizacji i naszego gatunku udowadnia niepodważalną rolę handlu. To on stworzył świat takim, jaki jest dzisiaj. To dzięki niemu odkryto nowe lądy, to on spłodził odkrywców, wzniósł fabryki...

- Tak, tak, tak. Znam to wszystko. Pan, panie Dalton, jest bardzo czytany w historii! - wykrzyknął ironicznie Blaine.

- Prawda? - rozpromienił się biznesmen. - W historii jestem wprost rozkochany.

- W takim razie wie pan z pewnością, iż wszystkie koncepcje, instytucje czy wierzenia przeżywają się. Na tym właśnie polega ewolucja i na tym zasadza się historia. Świat, panie Dalton, rozwija się, idzie naprzód, a ludzie - wraz ze stosowanymi przez siebie metodami działania - ulegają stałym przemianom. Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że biznes, jakim go pan pojmuje, przeżył się? Biznes spełnił swe historyczne zadanie, a świat poszedł naprzód. Biznes jest już martwy, jak ptak dodo...

Dalton podskoczył jak oparzony, cygaro zafalowało mu gwałtownie w ustach. Twarz nabrzmiała, na skroniach wystąpiły żyły, a szczoteczka wąsów zjeżyła się.

- Na Boga, Blaine! - wykrzyknął. - Pan oszalał albo stroi ze mnie żarty. Czy tak sądzi Fishhook?

- Nie, to moje prywatne zdanie - odparł sucho Blaine. - Nie mam najmniejszego pojęcia co w tej materii sądzi Fishhook. Nie należę do Zarządu.

I tak jest zawsze - pomyślał z goryczą Blaine. - Nieistotne gdzie i z kim rozmawiasz. Tak jest zawsze. Zawsze znajdzie się obok ktoś, kto zacznie to cholerne podpytywanie o sekrety Fishhooka, jego plany, opinie, zamierzenia i ostatnie osiągnięcia. Jak stado sępów, jak stado ścierwojadów, jak banda hien, jak cały tłum podglądaczy. Wszędzie ta małpia ciekawość, niezdrowa sensacja, podejrzliwość i plotki.

To miasto było siedliskiem intryg, szeptów, plotek, pomówień, ścierających się ze sobą interesów. Pełne tajnych agentów i szpicli najróżniejszych związków, firm, koncernów, korporacji, partii politycznych i grup przemysłowców. A ten tutaj, siedzący naprzeciw Dalton - Blaine mógłby się założyć - przybył z całą pewnością na czele delegacji reprezentującej wielki biznes, w celu zaprotestowania przeciw jakimś pociągnięciom Fishhooka.

Dalton milczał, zaciągając się mocno cygarem. Nagle pochylił się do przodu i zajrzał Blaine'owi prosto w oczy.

- Mówił pan, że nie jest w Zarządzie - odezwał się z lekkim uśmiechem. - Zgoda. O ile pamiętam, przedstawiono mi pana jako badacza, czy tak?

Blaine potakująco skinął głową.

- To znaczy, że wychodzi pan w przestrzeń i leci do gwiazd?

- Może byśmy jednak zmienili temat, panie Dalton?

- Zatem jest pan dewiatem.

- Wiem, że stać pana, by tak mnie nazwać. Chciałbym jednak zaznaczyć,

iż w kulturalnym towarzystwie nie używa się raczej tego określenia.

Uczucie wstydu było jednak Daltonowi obce.

- Jak tam jest?

- Już mówiłem, że nie chce o tym rozmawiać.

- Latacie tam samotnie, czy grupami?

- No dobrze. Nie jestem sam. Mam ze sobą taśmy.

- Taśmy? - brwi Daltona uniosły się.

- Komplet zminiaturyzowanych urządzeń badawczo-pomiarowych, które wykonują badania i rejestrują wszelkie dane.

- Ale w tym urządzeniu jest pan?

- Nie, do cholery. Mówię przecież, że biorę to ze sobą. Tak, jak pan jakąś niewielką torbę.

- Aha, pański umysł i to urządzenie.

- Tak, zgadza się. Mój umysł i to urządzenie - odparł kaśliwie Blaine.

- Rozumiem - odrzekł poważnym głosem Dalton. - Dzięki za informacje.

Blaine nie zadał sobie trudu, by cokolwiek odpowiedzieć.

Dalton wyjął z ust cygaro i pomrukując z cicha, kontemplował je dłuższą chwilę. Cześć cygara, którą trzymał w wargach, była obrzydliwie przeżuta i zwisały z niej groteskowo pasma zaślinionego tytoniu. Po chwili włożył cygaro ponownie do ust i zaczął intensywnie ssać jego końcówkę.

- Wracając do poprzedniego tematu - odezwał się po chwili głosem wyroczni - Fishhook jest w posiadaniu wielu rzeczy pochodzenia pozaziemskiego. I bardzo dobrze. Są one z pewnością bacznie strzeżone i wnikliwie badane nim trafiają na rynek. W tej kwestii nie żywilibyśmy najmniejszych wątpliwości. Ale tylko w przypadku, gdyby towary te trafiały na rynek oficjalnymi kanałami. Ale tak niestety nie jest. Fishhook uzurpuje sobie wyłączne prawo do dysponowania towarami, które wy, badacze, dostarczacie mu z innych planet. Towary te są następnie rozprowadzane za pośrednictwem stworzonej przez Fishhooka sieci specjalistycznych agend, nazwanych, o ironio, Punktami Handlowymi. Zupełnie, jakby handlował z

bandą dzikusów w dawnych, kolonialnych czasach.

- Widocznie ktoś u Fishhooka, dawno, dawno temu, miał poczucie humoru - zachichotał Blaine.

- I tak drobiazg za drobiazgiem - wściekał się Dalton - stopniowo, krok za krokiem, rujnujecie nas. Z każdym rokiem Fishhook staje się coraz poważniejszą konkurencją w handlu chodliwymi towarami. Niszczy nas swoją działalnością. A to są metody po prostu gangsterskie. Słyszałem ostatnio, że chce udostępnić do powszechnego użytku nowy system transportu. Czy pan sobie wyobraża skutki, jakie to pociągnie za sobą?

- Podejrzewam, że wyeliminuje przestarzałe metody tradycyjnego przewozu, jak również większość istniejących obecnie linii lotniczych - odparł niedbale Blaine.

- No właśnie. Żadna tradycyjna forma transportu nie ma szans równać się z systemem teleportacyjnym.

- Cóż mogę panu radzić w tej sytuacji? Rozwiń pan własny system teleportacji. Mógł pan dokonać zresztą tego dużo wcześniej. Istnieje wiele osób poza Fishhookiem, znających się na tym i potrafiących pokazać panu Jak to się robi.

- Wariaci! - prychnął Dalton.

- Nie ma pan racji, Dalton. To nie wariaci. To tylko ludzie o paranormalnych możliwościach. Tacy właśnie wariaci stworzyli dzisiejszą potęgę Fishhooka, na którą tak pan narzeka. Fishhook po prostu w stosownym czasie potrafił wykorzystać ich zdolności. Te same, którymi pan, i ludzie pańskiego pokroju, gardzili.

- Po prostu liczyliśmy się z opinią publiczną.

- Opinia publiczna! - Blaine parsknął szyderczo. - Znam to doskonale, panie Dalton. Co ma do tego opinia publiczna? Dawno już chyba minęły czasy, kiedy ludzi krzyżowano za zdolności paranormalne.

- Hmm, ogólny klimat potępienia moralnego wstrzymywał nas...

- Aha, trele-morele - Blaine lekceważąco machnął dłonią przed nosem

Daltona.

Przemysłowiec ponownie wyjął z ust cygaro i oglądał je z wyrazem niesmaku na twarzy. Po chwili powolnym, odmierzoną ruchem zgniótł niedopałek w wielkiej donicy z kwiatem. Przeżuty koniuszek cygara sterczał groteskowo z ziemi. Dalton poprawił się w fotelu, zaplótł dłonie na brzuchu i wlepił wzrok w sufit.

- Panie Blaine - odezwał się po chwili.

- Tak, słucham.

- Pan jesteś człowiekiem niezwykle byстрыm, by nie rzec inteligentnym. Przekonał mnie pan w niektórych aspektach spraw, o których mówiliśmy.

- Zawsze do usług - schylając ironicznie głowę, odparł Blaine.

- Ile pan zarabia u Fishhooka?

- Wystarczająco.

- Dobra, dobra, pieniędzy nigdy dość. Nie spotkałem nikogo, kto miałby ich za wiele.

- Jeśli chce mnie pan kupić, toś trafił pan kulą w płot.

- Nie chcę wcale kupować. Chce pana wynająć. Żebyś był pan i u mnie, i Fishhooka. Zna pan wielu ludzi, a biorąc pod uwagę pańskie doświadczenie i zdolności byłby pan dla nas wręcz bezcenny. A jeśli idzie o wynaj...

- Pan wybacz - przerwał mu bezceremonialnie Blaine. - Sądzę, że absolutnie nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Zresztą w obecnym układzie nie przydałbym się panu na nic. Proszę mi wierzyć.

Był już na tym przyjęciu godzinę. Zjadł, wypił, pogawędził z Daltonem; zbyt dużo czasu zresztą mu poświęcił. Musi zniknąć. Musi stąd wyjść, zanim wieść o jego pobycie u Charline dotrze do Fishhooka.

Usłyszał za plecami szelest materiału i czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Dobiegł go głos Charline Whittier:

- Cześć, Shep. Okropnie się cieszę, że przyszedłeś.

Blaine odwrócił głowę i spoglądając w górę zajrzał dziewczynie w oczy:

- To mnie jest miło, że nie zapomniałaś o mojej skromnej osobie. Charline

zmrużyła filuternie oczy:

- Nie zapomniałam..? - zawiesiła głos.

- No nie, musze uczciwie przyznać, ze to Freddy ściągnął mnie do ciebie. Ale mam nadzieje, że nie masz nic przeciwko temu.

- Och, Shep. Wiesz przecież, że jesteś zawsze u mnie najmilej widzianym gościem - jej palce zacisnęły się znacząco na jego ramieniu. - Tam jest ktoś, kto koniecznie chce cię poznać. Czy wybaczy nam pan, panie Dalton? - zwróciła się z olśniewającym uśmiechem do finansisty.

- Ależ oczywiście - odparł przedstawiciel biznesu unosząc się lekko z fotela, a dziewczyna odciągnęła Blaine'a w przeciwny kąt pokoju.

- Postąpiłaś dość brutalnie w stosunku do tego Daltona - roześmiał się cicho Blaine.

- Spozrzegłam, co się świeci i przybyłam z odsieczą - odparła z lekkim uśmiechem. - To przerażająco nudny i ponury facet. Zupełnie nie mam pojęcia, jak tu trafił. Jestem przekonana, że wcale go nie zapraszałam.

- Kim on właściwie jest?

- Przewodniczy jakiejś delegacji handlowców - wzruszyła ramionami. - Przybyli tu po to, by wypłakać swe smutki na szerokiej piersi Fishhooka.

- Właśnie miałem okazje przekonać się, jak bardzo jego serce jest złamane.

- Piłeś już coś? - zmieniła temat Charline.

- Właśnie skończyłem drinka.

- Jadłeś? - A gdy Blaine skinął potakująco głową, dodała: - Dobrze się bawisz? Mam najnowszy model dimensino. Gdybyś miał ochotę...

- Na razie dzięki. Może potem...

-No to idź i wypij jeszcze za moje zdrowie. Musze lecieć do nowych gości. Zostaniesz dzisiaj? Już tyle czasu minęło...

- Wybacz, Charline, naprawdę. Przykro mi, ale...

- No dobrze. Nie tłumacz się - odparła cicho, bez urazy w głosie. Odwróciła się by odejść, ale Blaine zatrzymał ją.

- Charline, czy ktoś ci mówił, że jesteś najlepszą dziewczyną pod słońcem?

- Nikt. Absolutnie nikt - roześmiała się i wspinając na czubki palców musnęła go lekko ustami w policzek. - No uciekam, baw się dobrze.

Zamyślonym wzrokiem spoglądał za nią jak nikt w pstrym tłumie gości. I znów poczuł w mózgu znajome drgniecie. Różowość dawała znać o sobie. W drgnięciu tym Blaine wyczuł nieme pytanie.

- JESZCZE CHWILĘ - odparł, spoglądając wciąż w tłum. -TO MUSI CHWILĘ POTRWAĆ. NA RAZIE NIC NIE GADAJ I NIE WTRĄCAJ SIĘ.

Obce zwinęło się i odpełzło w głąb mózgu, pozostawiając całą inicjatywę człowiekowi.

- WIESZ DOBRZE, ŻE JESTEŚMY NA SIEBIE SKAZANI. JESTEŚMY SKLEJENI - dodał po chwili. Obce było wystraszone i w każdej chwili Blaine mógł spodziewać się ponownego ataku paniki. Na razie jednak wydawało się, że intruz, jakby ufając człowiekowi, akceptuje wszystkie posunięcia Blaine'a. Ale sytuacja z całą pewnością musiała trwożyć istotę wyrwaną nagle ze swej rodzinnej planety, przeniesioną z błękitnego pokoju tak daleko od domu, wtłoczoną w mózg obcego tworu, jakim bez wątpienia był dla niego Blaine.

Rozmyślając tak lawirował między gośćmi wypełniającymi pokój. Obszedł dwukrotnie bar, zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zainstalowane było dimensino a następnie skierował się do foyer. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: jak najszybciej wydostać się z przyjęcia. Nim nastanie nowy dzień, musi już być daleko stąd albo - jeśli zostanie w mieście - tutaj wynaleźć dobrą kryjówkę.

Wyminął kilka grup plotkujących gości pokiwał z daleka ręką znajomym. Zdawał sobie sprawę, że znalezienie odpowiedniego samochodu zajmie trochę czasu. Samochód oczywiście musi być otwarty i z kluczykami w stacyjce. Wiedział też, że może wcale takiego pojazdu nie znaleźć. I co wtedy? Uciekać w pobliskie góry i tam szukać schronienia? Zwrócić się o

pomoc do Charline? Tak, Charline z pewnością pomogłaby mu. Ale dziewczyna była gadatliwa; zbyt gadatliwa, zanadto uwielbiała sensacje i tajemnice... Nie, lepiej nie mieszać do tego Charline. Nikt więcej nie przychodził mu do głowy. Miasto oplątane było bowiem siecią matactw i intryg, a Blaine zdawał sobie sprawę, że wśród jego rozlicznych przyjaciół i znajomych jest wielu, którzy zgodziliby się na popełnienie najgorszej podłości już nawet nie za przywileje u Fishhooka, lecz za najbardziej mglistą obietnicę poparcia.

Wszedł do foyer. Było to jak wyjście z głębokiego lasu na niezmierny przestwór łąki pełnej wiatru i przestrzeni. Z oddali, jak szum drzew, dobiegał go stłumiony gwar głosów, a zapach jodeł płynący przez otwarte okna, przesycał powietrze.

Nagle drzwi zewnętrzne otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęła kobieta.

- Harriet!- wykrzyknął Blaine. - To ty? Ach prawda, powinienem się być domyśleć wcześniej, że tu przyjdiesz. Ty, która jesteś żywą kroniką tego miasta, nigdy nie zrezygnowałabyś z przyjęcia u... Nie dokończył, gdyż w jego mózg wgryzł się ostry, telepatyczny szept dziewczyny:

- SHEP, TY OŚLE. TY ZUPELNY KRETYNIE I CO TY TU JESZCZE ROBISZ? (OBRAZ PRZEDSTAWIAJĄCY MALPĘ W BŁAZEŃSKIEJ CZAPCE Z DZWONECZKAMI, NAJBARDZIEJ TYLNĄ CZĘŚĆ KOBYŁY ORAZ ZARTOBLIWY RYSUNEK PENISA).

- Ależ Harriet...

- OCZYWIŚCIE... DLACZEGO NIE? (SZEREG PULSLJĄCYCH ZNAKÓW ZAPYTANIA). SĄDZISZ, ŻE TYLKO TY WIFSZ, CO W TRAWIE PISZCZY? TAJEMNICA? ZGODA, ALE JA RÓWNIEŻ MAM DO NICH DOSTĘP. W JAKIŻ INNY SPOSÓB DOBRY DZIENNIKARZ MÓGŁBY UTRZYMAĆ SIĘ W BRANŻY? (STERTY POROZWIEWANYCH WIATREM ŚMIECI, NIE KOŃCZĄCE SIĘ KOLUMNY JAKICHŚ TABEL STATYSTYCZNYCH, OGROMNE UCHO

Z PARĄ PORUSZAJĄCYCH SIĘ BEZGŁOŚNIE UST). Och, przenigdy nie opuściłabym przyjęcia u Charline - mówiła Harriet swoim słodkim, lekko śpiewnym głosem. - Gdzież indziej mogłabym spotkać tak interesujących ludzi?

- ALE TY MASZ MANIERY! - wykrzyknął telepatycznie Blaine, gdyż tylko w wyjątkowych przypadkach wolno było posługiwać się telepatią. A już nigdy w życiu codziennym.

- DO DIABŁA Z TYM - odpowiedziała Harriet. - ODSŁANIAM SWĄ DUSZĘ PRZED TOBĄ (JEGO CHARAKTERYSTYCZNA TWARZ I SPOCZYWAJĄCA NA NIEJ DROBNA, OZDOBIONA PIERŚCIONKAMI KOBIECA DŁOŃ). PRZEWRÓCILI JUŻ MIASTO DO GÓRY NOGAMI I WIEDZĄ, ŻE TUTAJ JESTEŚ. ZJAWIĄ SIĘ WKRÓTCE; JEŚLI JESZCZE ICH NIE MA. PRZYBYŁAM, GDY SIĘ TYLKO DOWIEDZIAŁAM... MÓW COŚ, DURNIU! KTOŚ MOŻE NAS PODGLĄDAĆ.

- Marnujesz czas - odparł natychmiast lekko schrypniętym głosem Blaine.
- Nikogo ciekawego tu dzisiaj nie spotkasz. To najgorsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek zorganizowała Charline. SZPERACZE!!!

- BARDZO MOŻLIWE. ALE MAMY JESZCZE SZANSE. MUSISZ PRYSKAĆ STĄD JAK NAJSZYBCIEJ. JAK STONE. JAK WSZYSCY INNI. JA CI W TYM POMOGĘ.

- Rozmawiałem z takim jednym finansistą. Był koszmarnie, ale to koszmarnie nudny. Urwałem się, by zaczerpnąć haust świeżego powietrza. STONE! CO O NIM WIESZ!

- NIE CZAS TERAZ O NIM MÓWIĆ. Uciekam w takim razie, skoro twierdzisz, że nic ciekawego się nie dzieje. Szkoda mojego czasu. MÓJ SAMOCHÓD STOI PRZED DOMEM, ALE NIE MOŻEMY WYJŚĆ RAZEM. WYJDĘ PIERWSZA I ZABIORĘ AUTO SPRZED FRONTU. TY POSZWENDAJ SIĘ JESZCZE TROCHĘ PO POKOJACH, A POTEM IDŹ DO KUCHNI (PLAN DOMU Z DROGĄ DO KUCHNI OZNACZONĄ CZERWONĄ LINIĄ).

- WIEM GDZIE JEST KUCHNIA.

- TYLKO NICZEGO NIE SPARTACZ. MASZ BYĆ NATURALNY; OT, ZWYKŁY, ŚMIERTELNIE ZNUDZONY PRZYJĘCIEM GOŚĆ (RYSUNEK MĘŻCZYZNY Z ZACZERWIENIONYMI SENNYMI OCZYMA, Z PRZYLEPIONYM DO WARG PÓŁUŚMIESZKIEM. SYLWETKA OKLAPŁA, LEKKO ZATAACZAJĄCY SIĘ OD NADMIARU WYPITEGO ALKOHOLU, SZKLANKA W DŁONI). GDY JUŻ BĘDZIESZ W KUCHNI, WYJDŹ TYLNYMI DRZWIAMI NA ULICĘ. BĘDĘ TAM CZEKAŁA,

- Ale czemu tak od razu uciekasz? Mogę się mylić. Wiesz, że nie umiem oceniać właściwie tego typu przyjęć. ALE DLACZEGO TO ROBISZ? JAKI MASZ W TYM CEL? (ZMIESZANA, ROZEŻŁONA OSOBA Z PUSTYM WORKIEM W RĘKACH)

- KOCHAM CIĘ (PŁOT Z DESEK Z WYRYT'YMI NA NIM DWOMA SPLECIONYMI SERCAMI).

- NIE WIERZĘ CI (KOSTKA MYDŁA ZMYWAJĄCA ENERGETYCZNIE USTA).

- Nie mów nikomu, że tu byłam. Charline nie wybaczyłaby mi tego. JESTEM DZIENNIKARKĄ I PRACUJĘ NAD KOLEJNYM TEMATEM. TY JESTEŚ CZĘŚCIĄ TEGO TEMATU.

- ZAPOMNIALAŚ, ŻE FISHHOOK MOŻE NAS OCZEKIWAĆ U WYLOTU KANIONU?

- SHEP, NIE PRZEJMUI SIĘ WSZYSTKO OBMYŚLIŁAM. ZROBIMY Z NICH DURNIÓW.

- Okay, nie powiem ani słowa. Trzymaj się. I DZIĘKI.

Otworzyła drzwi i wyszła. Słyszał odgłos jej kroków, gdy przemierzała patio, a następnie stukot pantofli na schodach.

Wolnym krokiem skierował się do pokoju pełnego gości. Z chwilą przekroczenia progu poraził go jazgot i hałas, o istnieniu których zdążył już zapomnieć. Zgiełkliwy szum wielu rozmawiających jednocześnie osób. Gwar

nic nie znaczącej pogawędki, nie posiadającej ani treści, ani sensu. Po prostu trajkotania dla samego trajkotania. Jedno wielkie, przepastne morze bełkotliwego dźwięku.

Czuł coś w rodzaju podziwu dla Harriet, dla jej zimnej krwi i opanowania. Czuł również wdzięczność za przyjazną pomocną dłoń wyciągniętą w chwili, gdy tak jej potrzebował. Jednocześnie uświadamiał sobie, że Harriet, jeszcze bardziej niż kobietą, jest dziennikarką. Jednym z najlepszych pismaków, jakich znał.

Zatrzymał się przy barze. Wziął czystą szklankę, nalał sobie dużą porcję szkockiej, wsypał lód. Stał chwile beczynn timer, pociągając drobnymi łykami alkohol. Nie wolno mu okazywać pośpiechu, nie może pokazać, że zmierza w jakimś określonym kierunku. Jednocześnie nie mógł sobie pozwolić na przyłączenie się do którejś z rozgadanych grup ludzi. Na to nie miał czasu.

Stał chwile przy drzwiach prowadzących do pokoju, gdzie mieściło się *dimensino*, którym po chwiliła się Charline. W pierwszej chwili chciał wejść do środka. Było to jednak ryzykowne, gdyż człowiek zbyt łatwo mógł tam stracić poczucie czasu i rzeczywistości. Poza tym Blaine zawsze odczuwał niechęć do tego typu rozrywki.

Nie, to stanowczo głupi pomysł - mruknął do siebie, odwracając się plecami do sali z *dimensino*. Skierował się w głąb kipiącego gośćmi pokoju. Wymienił kilka zdawkowych uwag ze znajomym małżeństwem, poklepał przyjacielsko po plecach zawianego dżentelmena, którego poznał na jednym z poprzednich przyjęć, wysłuchał dwóch zupełnie nie śmiesznych dowcipów, poflirtował chwile z efektowną wdową, zdradzającą wobec niego wyraźnie uwodzicielskie zamiary. Ale cały czas konsekwentnie przemierzał się w stronę drzwi wiodących na dół, do kuchni. Gdy dotarł do nich był kompletnie mokry od potu. Rozejrzał się dyskretnie i przekonany, że nikt nie zwraca na niego uwagi wymknął się za drzwi i ostrożnie zaczął schodzić po schodach.

W kuchni było pusto i chłodno. W jaskrawym świetle wypełniającym pomieszczenie lśniły metalicznie chromowane okucia urządzeń kuchennych.

Na ścianie naprzeciw drzwi wisiał duży zegar z sekundnikiem, wypełniając dźwięcznym chrobotem mechanizmu panującą w kuchni ciszę.

Postawił nie dopitą szklankę whisky na stole i rozejrzał się: od drzwi wyjściowych dzieliło go sześć metrów lśniącej, czystej posadzki. Bez zastanowienia ruszył w ich stronę, gdy bezgłośny, ostrzegawczy krzyk poraził jego mózg. Zamarł, a następnie błyskawicznie obejrzał się za siebie.

Obok olbrzymiej lodówki stał Freddy Bates. Prawą rękę trzymał głęboko w kieszeni kurtki.

- Shep - odezwał się cicho Freddy Bates. - Nie masz szans. Nie próbuj uciekać. Dom jest obstawiony. Powtarzam, nie masz najmniejszych szans.

. 6 .

Blaine stał osłupiały a zdumienie brało w nim górę nad gniewem i strachem. Pośród wielu ludzi wobec których żywił jakieś podejrzenia i uprzedzenia, Freddy Bates był tym którego w ogóle nie brał pod uwagę. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy że właśnie Freddy, najbardziej zblazowany playboy w mieście może być tajnym agentem Fishhooka i podwładnym Randa.

I jeszcze sam Kirby Rand; kiedy zapraszał Blaine'a do pokoju, znał już całą prawdę. Mimo to pozwolił mu odejść. Natychmiast jednak po wyjściu Blaine'a sięgnął po telefon i włączył do akcji Freddy'ego Batesa. Ścigany musiał sam przyznać, że było to bardzo chytre posunięcie. Chytre i inteligentne. Mądrzejsze od wszystkiego, czego dotychczas dokonał on sam. Niczego nie podejrzewał, ciesząc się w duchu, że zmylił czujność Randa, przechytrzył Fishhooka, oszukał Freddy'ego. No i teraz ma za swoje.

Stopniowo jednak osłupienie mijało, przemieniając się w gniew. W dziki gniew, że dał się tak głupio podejść wystrychnąć na dudka temu frajerowi Freddy'emu.

- Wychodzimy - syknął Freddy Bates - Wracamy do Randa. Tam sobie wszystko wyjaśnimy. Ale pamiętaj, żadnych gwałtownych ruchów. Bez awantur. Nikt z nas nie pragnie chyba robić tutaj zamieszania. To mogłoby narazić Charline na nieprzyjemności.

- Masz racje - mruknął przez zęby Blaine. - Nikt z nas nie chce ściągać na nią kłopotów.

Myślał gorączkowo jak wyrwać się z matni, wyplątać z pułapki tak sprytnie zastawionej przez Randa i Freddy'ego. Wiedział jedno: nie może wrócić do pokoju Randa i cokolwiek by się miało stać on, Blaine - nie wróci tam.

I poczuł w mózgu ruch, jak gdyby Różowa Istota. próbowała ponownie

wydostać się na zewnątrz.

- Nie!!! - wrzasnął. - Nie!!!

Było jednak za późno. Różowość wypełzła już bowiem ze swej kryjówki, wypełniając sobą świadomość człowieka, który ponownie stał się podwójną osobowością: sobą i kimś jeszcze. A ponadto zaczął się coś niesłychanie dziwnego.

Przestrzeń wokół zamarła w bezruchu, jakby całe pomieszczenie zostało zatopione w kryształach. Cisze mącił jedynie chrobot ściennego zegara; ale też inny niż poprzednio: przeciągły zgrzyt zamiast szybkiego cykania mechanizmu.

Blaine instynktownie postąpił krok do przodu. Freddy nie zareagował. Stał nieporuszenie, stale trzymając rękę głęboko w kieszeni.

Kolejny krok i znów żadne, reakcji z jego strony. Twarz Freddy'ego była nieruchoma, a rozwarte oczy lśniły nienaturalnie odbijając w źrenicach jaskrawe światło lampy rozjaśniającej swym blaskiem kuchnię. Dopiero po dłuższej chwili Blaine dostrzegł lekki ruch jego głowy i dłoni, która zaciśnięta na czymś kurczowo drgnęła nieznacznie w kieszeni. Sprawiało to wrażenie, jakby Freddy budził się powoli z głębokiego, stuletniego snu.

Kilka szybkich kroków i Blaine stanął twarzą w twarz z nieruchomym przeciwnikiem. Wziął szeroki zamach. Zaciśnięta pięść zatoczyła szeroki łuk. Usta Freddy'ego leciutko zwały się, a powieki wolnym karykaturalnym ruchem nakryły gałki oczne. Pięść jak tłok hydrauliczny, grzmotnęła w podbródek stojącego nieruchomo mężczyzny. Uderzenie, w które Blaine włożył całą swą siłę, było tak potężne, że ostry ból, biegnący od knykciów po nadgarstek, poraził rękę bijącego. Freddy nie wykonał żadnego obronnego gestu. Upadł, lecz nie tak zwyczajnie jak wali się bezwładne ciało po mocarnym ciosie. Upadał powoli, płynnie, niby ścięte drzewo. W trakcie tego powolnego chylenia się ku ziemi, wysuwała mu się z kieszeni dłoń zaciśnięta na kolbie rewolweru. Nim jeszcze ciało dotknęło podłogi broń wypadła z bezwładnych palców uderzając z przeciągłym brzękiem w posadzkę.

Blaine błyskawicznie schylił się i podniósł pistolet. Stanął zaciskając w spotniałej dłoni chłodny metal i spoglądał zdumionym wzrokiem na wciąż jeszcze padającego Freddy'ego. Pod długich niczym wieczność sekundach bezwładne ciało uderzyło wreszcie o ziemię. A właściwie nie uderzyło, lecz łagodnie upadło, miękko, nieledwie z wdziękiem rozciągając się na podłodze.

Powyżej na ścianie chrobotał zegar. Blaine spojrzął kątem oka w jego stronę. Wskazówka sekundnika zamiast pędzić po cyferblacie, wlokła się w żółtym tempie, a z wnętrza zegara, zamiast szybkiego cykania wydobywał się tylko ów przeciągły drażniący chrobot. Zegar też oszalał - szepnął do siebie zbielejącymi wargami Blaine.

Coś stało się z czasem. Wskazywał na to kompletny brak reakcji Freddy'go na atak Blaine'a, powolne upadanie ciała, wreszcie ta wlokąca się wskazówka sekundnika.

Upływ czasu został spowolniony. A to przecież niemożliwe.

Czas nie może zwolnić biegu. Czas jest zawsze i wszędzie taki sam. A jeśli z jakichś powodów rzeczywiście przystanął, to czemu to nie dotyczy Blaine'a?

Chyba, że...

Zakładając, że to nie czas stanął w miejscu, lecz on, Blaine, został przyśpieszony, to oczywiste, że poruszał się tak szybko, iż Freddy nie był w stanie zareagować w porę, obronić się, wyjąć z kieszeni rewolwer.

Blaine stał bez ruchu z wyciągniętą przed siebie, uzbrojoną w pistolet ręką. Rozszerzonymi ze zdumienia oczyma wpatrywał się w ów pękaty, metalowy przedmiot.

Tym razem Fishhook i Freddy nie żartowali. Nie bierze się ze sobą broni, gdy gra idzie o niską stawkę. Nie bierze się rewolweru, kiedy nie istnieje potrzeba jego użycia, Ale tym razem - Blaine miał dowód przed sobą - broń została szczególnie uważnie przygotowana do użycia.

Nie spuszczać oczu z bezwładnie leżącej postaci Freddego wykonał kilka kroków do tyłu. Zdawał sobie sprawę, że upłynie jeszcze dużo czasu,

nim Fredey podniesie się z podłogi Schował rewolwer do kieszeni i ruszył w stronę drzwi. Jeszcze raz rzucił okiem na zegar Wskazówka sekundnika przesunęła się nieznacznie do przodu. Zamykając za sobą drzwi obrzucił pomieszczenie ostatnim, uważnym spojrzeniem. Kuchnia wciąż była taka sama: jasna, pełna chromowego połysku sterylne czystych urządzeń. I tylko spoczywające na posadzce ciało mąciło ów jasny obraz.

Wyszedł na patio wyłożone wielkimi, kamiennymi płytami i ruszył w kierunku schodów prowadzących skośnie w dół wykutą w skale galeryjką. Na dole czekał jakiś mężczyzna. Na widok zbiegającego w szaleńczym pędzie Blaine'a podniósł się niesłychanie wolno ze stopnia, na którym siedział. Promień światła padający z otwartego okna oświetlił jego twarz i pędzący niczym wichura Blaine dojrzał na niej wyraz najwyższego osłupienia.

- Przykro mi, stary - szepnął Blaine i zacisnąwszy pięść, wyrznął w sam środek tej zdumionej, nieruchomej twarzy.

Człowiek zatoczył się do tyłu i wolno, robiąc krok za krokiem, coraz bardziej przechylał się. W końcu upadł na plecy.

Blaine nie czekał jednak aż to się stanie Gnał wielkimi susami w stronę zaparkowanych przy krawężniku aut za którymi, w pewnym oddaleniu, czekał samochód z zapalonymi światłami i pomrukującym na jałowym biegu silnikiem.

To samochód Harriet - pomyślał Blaine. Ale przecież zaparkowała go w złym kierunku: w górę kanionu, nie w dół. Przecież tam, w górze, droga niebawem się kończy.

Biegł klucząc pomiędzy stojącymi autami Harriet czekała przy kierownicy. Okrążył samochód, wśliznął się do środka i ciężko opadł na Fotel. Był wykończony. Czuł przeraźliwy ból w kościach i znużenie w mięśniach, zupełnie laby przebiegł nie kilkadziesiąt metrów, lecz dystans maratoński. Dyszał ciężko, a złożone na kolanach dłonie mocno drżały.

- Nie zabrało ci to zbyt wiele czasu - Harriet odwróciła głowę w jego

kierunku.

- Spieszyłem się - szepnął urywanym głosem.

Dziewczyna wyprowadziła samochód na środek drogi. Włączyła odrzutowe silniki i pojazd uniósł się na poduszce powietrznej, której szum poniósł się echem pośród urwistych ścian wąwozu.

- Mam nadzieję, że wiesz co robisz - odezwał się cicho Blaine, pochylając się do przodu. - Ta droga nigdzie nie prowadzi. Kończy się za mile lub dwie.

- Nie przejmuj się, Shep. Wiem, co robię.

Opadł na fotel bez słowa. Był zbyt zmęczony i rozbity by podejmować dyskusje.

Cóż, mam prawo do zmęczenia - pomyślał - Poruszał się dziesięć (a może sto?) razy szybciej niż normalny człowiek. Wydatkował straszłą ilość energii, serce biło mu o wiele szybciej, płuca pracował ciężiej, mięśnie, ścięgna...

Siedział bez ruchu i zastanawiał się nad przyczyną tego niezwykłego zjawiska, którego doświadczył. Była to tylko czcza formalność, bo doskonale znał jego przyczynę. Tkwiła w nim. Była nią Różowość. Odszukał ją w umyśle.

- DZIĘKI - szepnął z gorzkim uśmiechem.

Śmiesznie zabrzmiało to podziękowanie. Wszak obcy stał się jego częścią, osiedlił się w jego czaszce, gnieździł w jego mózgu i Blaine, dziękując intruzowi, dziękował samemu sobie... Nie! Nie, obcy nie był jeszcze jego częścią. Nie był! Ale już nie ukrywał się dłużej, nie taił swoich możliwości, nie miał już zamiaru uciekać z mózgu Shepherd'a Blaine'a.

Auto zagłębiało się coraz bardziej w mroczny kanion. Powietrze ochłodziło się, a przesycający je zapach sosen przypominał woń wytwornych i delikatnych perfum.

Być może obcy nie miał wcale zamiaru mi pomagać wydobywać z opresji - zastanawiał się Blaine. - Może ta obca istota czająca się w jego mózgu postąpiła tak, jak zwykle w takich wypadkach postępuje. A może był to tylko

jej odruch samoobrony.

Lecz to już nie miało znaczenia, skoro obcy, ratując siebie, uratował również jego. Są bowiem nierozłączni. Są jednym. Żaden z nich nie może już działać niezależnie. Byli sklejeni za sprawą jakiejś kuglarskiej sztuczki owej rozlazłej Różowej Istoty z odległej planety. Tej dwoistej osobowości, która weszła w niego, a stanowiła cień swej drugiej części, odległej stąd o pięć tysięcy lat świetlnych.

- Były jakieś kłopoty? - spytała Harriet.

- Natknąłem się na Freddy'ego.

- Freddy'ego Batesa?

- Jest tylko jeden Freddy w tym mieście.

- Żałosny pajac.

- Ten twój żalosny pajac miał broń i chciał mnie zabić - odrzekł cierpko Blaine.

- Chyba żartujesz?

- Nie, nie żartuje. Posłuchaj, Harriet. To naprawdę poważna i śmierdząca sprawa. Daj sobie spokój. Wsiądę i...

- Za nic na świecie. Jeszcze nigdy nie bawiłam się tak znakomicie.

- W takim razie spytam raz jeszcze: czy dobrze jedziemy? Przed nami pozostało już niewiele drogi.

- Shep - głos dziewczyny zabrzmiał nagle bardzo poważnie. - Nie sądz mnie po pozorach. W sumie nie jestem tak zupełnie głupia. Naprawdę dużo czytam. A najbardziej pasjonuje mnie historia. Szczególnie historia wielkich, krwawych bitew. A już najbardziej lubię, gdy do lektury dołączone są szczegółowe mapy i szkice sytuacyjne...

- No i co z tego? - niecierpliwie wzruszył ramionami Blaine.

- A to, że jedną z najistotniejszych rzeczy w bitwie jest dokładne rozeznanie ewentualnych dróg odwrotu...

- Ale przecież nie w górę tego wąwozu - odparł kwaśno Blaine.

- A właśnie, że w górę.

Milczeli. Dziewczyna skupiła całą swą uwagę na prowadzeniu samochodu, a Blaine ukradkiem obserwował jej profil. Nie, Harriet z pewnością nie reprezentowała typu zidiociałej świergotki, nie była jedną z tych gazetowych dziewcząt goniących wyłącznie za tanią sensacją, żadną egzaltowaną babą ani łzawą pisarką jakich wiele można spotkać we wszystkich redakcjach prasowych świata. Była jedną z najlepszych dziennikarek w kraju, wysłaną do Fishhooka w charakterze korespondenta jednej z największych redakcji w Ameryce Północnej.

Blaine miał pewność, że nie ma u Fishhooka tajemnicy, której nie znałaby zarazem Harriet. Pisała o wszystkim z przerażającym obiektywizmem, zakrawającym wręcz na cynizm i obojętność. Ale nawet w tak specyficznym rodzaju prozy, jakim jest twórczość gazetowa, potrafiła w swoje artykuły tchnąć bardzo dużo zwykłego, ludzkiego ciepła.

Jaką więc rolę gra Harriet w ostatnich wydarzeniach? Czemu jest tutaj, z nim?

Była jego przyjaciółką, to fakt. Znają się od paru dobrych lat, od dnia - krótko po jej przybyciu do Fishhooka - gdy wybrali się razem na obiad do niewielkiej knajpki. Od niewidomej kwiaciarki kupił wówczas Harriet róże. Pamięta doskonale, jak dziewczyna, ogarnięta nagłą, dojmującą tęsknotą za odległym domem, tuląc róże do twarzy, uroniła w purpurowe płatki kwiatu kilka łez: Od tego czasu jednak Blaine nie widział ani razu by płakała.

Dziwne to wszystko - myślał. - Bardzo dziwne. Na przykład Fishhook, ten kolos i legenda nowoczesnego świata, którego ten właśnie świat nigdy nie chciał w pełni zaakceptować...

Zawsze intrygowało Blaine'a jak to było, kiedy uczeni - sto lat temu z górą - przyznali otwarcie, że Człowiek nigdy nie zdobędzie przestrzeni kosmicznej, że gwiazdy nie są mu pisane. Jakie było uczucie Człowieka, gdy musiał długie, długie lata żyć w przeświadczeniu, że wszechświat jest dla niego niedostępny? Gdy Człowiek miał pustkę w sobie, bo wszystkie jego sny i marzenia legły w gruzach, a całe istnienie miało zamknąć się w maleńkiej, planetarnej śmierci?

Upadły marzenia, sny się rozwiały, a pułapka zatrzasnęła na głucho. Pragnienie gwiazd było jednak o wiele silniejsze. Istnieli ludzie wystarczająco uparci, by nie rezygnować. Oni to odkryli całkiem inną metodę otwarcia wrót wszechświata. A był to sposób zarzucony przez Człowieka, pominięty, wyszydzony, chociaż pozostawał cały czas pod ręką. I dziś nawet, mimo całej potęgi i wspaniałości Fishhooka, wielu jeszcze wykpiwało ową metodę, przylepiając jej etykietkę czarów.

Czary. Czary wymyślono dla dzieci. Stanowiły domenę babci

opowiadającej bajki. Pomijano je w książkach naukowych i rozprawach medycznych. W racjonalnym świecie zbudowanym przez Człowieka takich rzeczy nie tolerowano. Czary! Tylko ktoś niespełna rozumu mógł w nie wierzyć.

Lecz owi uparci ludzie właśnie wierzyli w czary; a ściślej w to, co świat opatrzył etykietką czarów i bredni, a co z czarami miało tylko tyle wspólnego, że tak zostało ochrzczone. Bo to nie była wcale magia ani wymysły fantastów. Miało równie racjonalne podstawy jak każda gałąź nauki, jak fizyka, jak chemia. Sprowadzało się w sumie do jednego: do używania utajonych w umyśle ludzkim sił wszędzie tam, gdzie zawodziły ręce.

I z tego uporu właśnie, z wiary i religii owych upartych ludzi narodził się Fishhook. „Fishhook”, gdyż sięgał tam, gdzie Człowiek rękami nie mógł sięgnąć. Gdyż łowił w przestrzeni kosmicznej, wysyłając umysł człowieka tam, gdzie ciało w żaden sposób nie mogło dotrzeć.

Ostry wstrząs samochodu wyrwał Blaine’a z rozmyślań. Zwolnili. Dalej droga skręcała raptownie w prawo i tworzyła pętle. Tu był koniec szosy.

Skrecili z drogi i wjechali w kamieniste koryto wyschłego potoku. Poduszka powietrzna utrzymująca pojazd nad nierównym, pełnym wybojów gruntem zawyła na zwiększonych obrotach i auto z hukiem przyspieszyło. Silniki ryczały przeraźliwie. Gałęzie drzew i krzewów tłukły o szyby i dach pojazdu, który kilkakrotnie przechylił się niebezpiecznie.

- Nie jest źle - odezwała się znad kierownicy Harriet, gdy samochód wyrównał nieco swój bieg. Dalej może być gorzej.

- To jest ta droga odwrotu - ni to spytał, ni stwierdził Blaine.

Zajęta wyborem najdogodniejszej drogi dziewczyna tylko skinęła w milczeniu głową.

Skąd Harriet zna ten szlak? - zastanawiał się w duchu Blaine. - Po co jej w ogóle znajomość tej drogi? Chciał o to zapytać, po namyśle jednak powstrzymał język na wodzy.

Harriet prowadziła samochód uważnie. Coraz bardziej zagłębiali się w pozornie niedostępne góry, trzymając się suchego koryta rzeczulki. Nocne ptaki zawodziły w mroku, gałęzie, jak oszalałe, obijały dach wozu, łamiąc się z suchym trzaskiem.

Gdy w świetle przednich reflektorów pojawił się ogromny głaz wielkości stodoły, który tarasował dalszą drogę, Harriet bez wahania skierowała samochód w wąziutki prześwit pomiędzy nim a skalną ścianą. Auto z trudem, zaledwie o grubość lakieru, wyminęło skalę. Gdy przeszkoda była już za nimi, dziewczyna wyłączyła silniki i samochód osiadł łagodnie na kamienistym gruncie. Zapadła przejmująca cisza.

- Dalej idziemy piechotą? - spytał Blaine.

- Nie, ale musimy tutaj poczekać. Polują na nas i odgłos motorów mógłby nas zdradzić.

- Zamierzasz się dostać na samą górę? - Blaine wykonał ruch głową, wskazując piętrzący się nad nimi, niewidoczny w mroku, ostry szczyt góry.

- Tak, na samą górę.

- Jeździłaś już wtedy?

- Wiele razy. Zdawałam sobie sprawę, że gdy nadejdzie chwila próby, nie będzie czasu na wyszukiwanie dogodnych przejść. Musiałam dokładnie poznać cały szlak.

- Ale, na Boga, do czego ci to było potrzebne?

- Słuchaj, Shep; wpadłeś w tarapaty, a ja pomagam ci się z nich wydostać. Czy to mało?

- Skoro zdecydowałaś się mi pomóc, to niech ci Bóg wynagrodzi. Ale zrozum, że nadstawiasz karku. Nie ma sensu, byś razem ze mną szła na dno.

- Już kiedyś nadstawiałam karku. Zresztą dobry dziennikarz zawsze jest przygotowany na ryzyko, jeśli wymagają tego okoliczności.

Może i ma racje - pomyślał Blaine wzruszając lekko ramionami. Lecz nie był wcale przekonany. Wielu dziennikarzy akredytowano u Fishhooka. Blaine znał prawie każdego z nich. Z wieloma pił wódkę. Kilku z nich

mógłby nazwać swymi przyjaciółmi. Ale żaden z nich, z wyjątkiem Harriet, nie poważałby się na to, co ona.

Samo dziennikarstwo nie może tu być wystarczającym powodem. Nawet ich kilkuletnia przyjaźń. Powód musiał być dużo, dużo poważniejszy. To z kolei mogło znaczyć, że Harriet jest nie tylko dziennikarzem, lecz jeszcze kimś ponadto. Z pewnością prowadzi jakąś grę. Tak, musi działać na dwa fronty. Musi bowiem istnieć - poza samym dziennikarstwem i ich przyjaźnią - inna jeszcze przyczyna, dla której dziewczyna zaangażowała się w te nieprawdopodobną hece.

- Powiedziałaś, że już kiedyś nadstawiałaś karku? - odezwał się. - Czy to miało związek ze Stone'em?

- Nie, o nim tylko słyszałam.

Z dołu kanionu dobiegł ich warkot silników samochodowych. Zamilkli, wsłuchując się w coraz wyraźniejszy dźwięk. Blaine na podstawie natężenia hałasu starał się obliczyć ilość pojazdów. Wydało mu się, że trzy. Ale ości nie miał.

Nagle warkot ucichł: auta odjechały do pętli kończącej szosę i tam przystanęły. Słyszał było trzask otwieranych drzwiczek, a potem krzyki nawołujących się w ciemnościach ludzi, którzy brali udział w obławie.

Harriet zacisnęła palce na ramieniu Blaine'a.

- SHEP, COŚ TY ZROBIŁ FREDDYEMU? (WYSZCZERZONE ZĘBY TRUPA). - ZNOKAUTOWAŁEM GO.

- MÓWIŁEŚ, ŻE MIAŁ PRZY SOBIE BROŃ. - MIAŁ. ZABRAŁEM JĄ ZE SOBĄ.

- (FREDDY W TRUMNIE, Z ZAKRZEPEŁYM NA TWARZY PÓŁUŚMIESZKIEM, Z GIGANTYCZNYCH ROZMIARÓW LILIĄ MIĘDZY ZŁOŻONYMI RĘKAMI).

- NIE, NIE TAK (FREDDY Z WYTRZESZCZONYMI ZE ZDUMIENIA OCZAMI, ZAKRWAWIONYM NOSEM I KROSTOWATĄ TWARZĄ W PŁASTRACH).

Siedzieli w milczeniu i słuchali. Krzyki pogoni ucichły, rozległ się trzask zamykanych drzwiczek, a następnie szum oddalających się pojazdów.

- TERAZ?

- POCZEKAJMY JESZCZE - odparła Harriet. - PRZYJECHAŁY TRZY SAMOCHODY, A ODJECHAŁY TYLKO DWA. JEDEN CIĄGLE TAM JEST (RZĄD OGROMNYCH, PODSŁUCHUJĄCYCH USZU). SĄ PRZEKONANI, ŻE POJECHALIŚMY W GÓRĘ WĄWOZU I NIE WIEDZĄ TERAZ, CO SĄDZIĆ O NASZYM ZNIKNIĘCIU. JEST TO (OTWARTE SIDŁA Z NAJEŻONYMI ZFBAMI). LICZĄ, ŻE DAMY SIĘ NABRAĆ NA TEN TRICK Z SAMOCHODAMI.

Czekali. Gdzieś z ostępów leśnych dobiegł ich przenikliwy krzyk szopa, potem kwilenie ptaków, rozbudzonych przez jakiegoś nocnego intruza.

- ISTNIEJE TYLKO JEDNO MIEJSCE, GDZIE BYŁBYŚ BEZPIECZNY - stwierdziła Harriet. - JEŻELI CHCESZ, MOŻEMY TAM POJECHAĆ.

- GDZIEKOLWIEK. NIE MAM ŻADNEGO WYBORU.

- COŚ NIECOŚ SŁYSZAŁEMZ TEGO, JAK JEST TAM, NA ZEWNĄTRZ?

- W NIEKTÓRYCH MIASTACH USTAWIANE SĄ SPECJALNE ZNAKI (TABLICA OGŁOSZENIOWA ZE SŁOWAMI: DLA DEWIATÓW KLIMAT TU NIE ZDROWY) . MAJĄ WIELE UPRZEDZEŃ. SĄ NIETOLERANCYJNI. SPOTKASZ TAM (BRODACI, STARODAWNI KAZNODZIEJE WALĄCY PIĘŚCIĄ W PULPIT AMBONY, MĘŻCZYŹNI UBRANI W KOSZULE POKUTNE, Z TWARZAMI UKRYTYMI ZA MASKAMI, ZE SZNUREM I PLETNIĄ W RĘKACH, WYSTRASZENI LUDZIE KLĘCZĄCY PRZED SYMBOLICZNĄ KORONĄ CIERNIOWĄ). To wstyd i hańba naszych czasów - dodała śpiewnym szeptem Harriet.

Wreszcie i ten trzeci, pozostawiony przez ludzi Fishhooka; samochód odjechał. Słuchali oddalającego się warkotu silnika.

- Dali za wygraną - z ulgą w głosie odezwała się Harriet. - Możliwe zresztą, że zostawili tam kogoś na czatach. Ale nie mamy wyboru. Ruszamy.

Włączyła silniki i dysze odrzutowe. Samochód ruszył z zapalonymi reflektorami, wciąż wzdłuż wyschłego potoku. Teren coraz bardziej nabierał charakteru wysokogórskiego. W pewnej chwili koryto strumienia zniknęło gdzieś w ciemności. Zdani już byli wyłącznie na orientację dziewczyny.

Nagle w stromym skalistym zboczu pojawiła się wąska, piarżysta rynna pnąca się ostro w górę. Dalsza droga prowadziła tym właśnie żlebem.

Rynna kończyła się raptownie wąską półeczką. Nad nimi piętrzył się już tylko chaos urwistych, czarnych skał. Poniżej, prawie pionowe zbocze opadało zawrotnie w dół, tworząc czarną, groźną otchłań. Blaine'owi zdawało się, że pokonanie tej ostatniej przeszkody trwa całe wieki.

W pewnej chwili przez uchylone okienko wtargnął do wnętrza samochodu zimny powiew o lekko gorzkawym zapachu. I oto wyłonił się przed nimi rozległy płaskowyż skąpany w strumieniach księżycowego światła.

Harriet zatrzymała wóz i ciężko opadła na oparcie fotela. Blaine długo grzebał w kieszeni, zanim wy dobył z niej barwne, płaskie pudełko. Zajrzał do środka. Pozostał w nim już tylko jeden niemiłosiernie wygnieciony papieros. Ostrożnie rozprostował go i wygładził, po czym zapalił. Wysiadł z auta. Odetchnął kilkakrotnie pełną piersią i obchodząc pojazd podszedł do Harriet. Wsunął przez okienko dłoń z papierosem, wtykając go w usta dziewczyny. Zaciągnęła się bardzo głęboko.

- Granica jest tam, przed nami - powiedziała. - Teraz ty siadaj za kierownicą. Najbliższe pięćdziesiąt mil to płaski i łatwy teren. Po drodze jest małe miasteczko. Tam zatrzymamy się na śniadanie.

. 7 .

Wokół samochodu kłębił się gęsty tłum mieszkańców miasteczka. Ludzie szeptali coś gorączkowo między sobą, a w ich oczach malował się gniew zmieszany z odrazą i strachem.

Blaine i Harriet stali przyparci do muru budynku, w którym mieściła się restauracja i obserwowali z rosnącym niepokojem gęstniejącą wokół nich ciżbę. A przecież jeszcze przed chwilą, w czasie śniadania, wszystko było w porządku. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nikt ich nie zaczepiał, nie odzywał się do nich, nikt się nie gapił na dwoje przybyszów. Wszystko było normalnie.

- Czyżby się czegoś domyślali? - ściszone głosem zapytał Blaine.

- Skąd mogę wiedzieć - wzruszyła ramionami Harriet.

- Czyżby celowo zdjęli znak?

- Możliwe. Ale nie sądzę. Równie dobrze mógł sam spaść. Albo w ogóle nigdy go nie było. Nie wszędzie je wieszają. Ostatecznie jest to trochę wyzywające...

- Ale spójrz na te dwie dziewczyny. Spoglądają na nas wojowniczo i...

- Eeee, jesteś przewrażliwiony - próbowała się roześmiać.

- Może - odparł z lekkim wahaniem Blaine.

- POSŁUCHAJ MNIE TERAZ UWAŻNIE, BLAINE. GDYBYŚMY MUSIELI SIĘ ROZSTAĆ, JEDŹ DO POŁUDNIOWEJ DAKOTY, DO MIASTECZKA PIERRE (MAPA STANÓW ZJEDNOCZONYCH Z NANIESIONĄ NAZWĄ MIASTECZKA OZNACZONEGO CZERWONĄ GWIAZDKĄ I Z PURPUROWĄ WSTEGĄ DROGI ŁĄCZĄCEJ TĘ MALEŃKĄ, PRZYGRANICZNĄ OSADĘ, W KTÓREJ SIĘ ZNAJDOWALI, Z MIASTEM NAD SZEROKĄ MISSOURI).

- WIEM, GDZIE TO JEST - odparł Blaine.

- W PIERRE PYTAJ O MNIE. JEST TAM RESTAURACJA (FASADA

BUDYNKU WZNIESIONEGO Z SUROWYCH KAMIENI, Z SZEROKIMI OKNAMI; W JEDNYM Z NICH UMOCOWANO INKRUSTOWANE SREBREM SIODLO, A NAD DRZWIAMI WEJŚCIOWYMI ROZŁOŻYSTE ROGI ŁOSIA). W TEJ KNAJPIE ZNA MNIE PRAWIE KAŻDY. TAM O MNIE PYTAJ. TAM CI POWIEDZĄ, GDZIE MNIE ZNALEŹĆ.

- ALE CZY MUSIMY SIĘ ROZDZIELAĆ?

- MOŻEMY BYĆ PO PROSTU DO TEGO ZMUSZENI.

- ZGODA. TAM WLAŚNIE BĘDĘ CIE SZUKAŁ. POTRAFIŁAŚ TAK ZGRABNIE WYRWAĆ MNIE Z ŁAP FISHHOOKA, WIĘC BĘDĘ CI POSŁUSZNY DO KOŃCA.

Wymianę ich myśli przerwał nagły tumult, który powstał w otaczającym tłumie. W zbiegowisku narastał ponury, złowrogi pomruk. Ciżba zafalowała lekko jak gęstwina trzciny pod wpływem podmuchu wiatru, a ze środka parła do przodu, rozpychając się łokciami, obrzydliwa starucha. Wyczłapała na czoło tłumy.

Była nieprawdopodobnie stara. Niechlujna i odrażająca wiedźma. Jej skóra była jedną wielką zmarszczką, poczynając od małpiej twarzy, przez ręce, a na gołych i zabłoconych stopach kończąc. Siwe i tłuste, zlepione brudem, skołtunione włosy porastały jej czaszkę gęstymi kępkami. Gdy starucha wystąpiła przed tłum, ludzie ucichli, zamarli w bezruchu. Wiedźma uporczywie wpatrywała się w Blaine'a. Po długiej jak wieczność chwili wzniosła chudą rękę, której zwiotczałe i obwisłe mięśnie pokrywała sinawa skóra. Pokrzywiony, kościsty paluch wycelowała w stronę Blaine'a.

- To on - zaskrzeczała. - Ten, którego wskazuje. Jest w nim coś dziwnego. Nie potrafię dostać się do jego umysłu. Jego mózg jest jak lśniące, odbijające zwierciadło. On jest...

Reszta jej słów zginęła w nagłym zgiełku, a tłum - niczym na umówione hasło - zaczął posuwać się powoli, krok za krokiem, coraz ściślej pierścieniem otaczając Blaine'a i Harriet opartych o ścianę budynku. W tym

parciu naprzód dawało się wyczuć skrzątnie skrywane wahanie, jakby ludzi powstrzymywał irracjonalny lek, a zarazem jakiś wewnętrzny przymus kazał im przewycięzać ów strach iść do przodu.

Blaine wsunął ukradkiem dłoń do kieszeni i zacisnął palce na chłodnej kolbie zdobycznego rewolweru. Natychmiast jednak cofnął rękę i spuścił ją luźno wzdłuż tułowia. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to nie jest żadne wyjście z sytuacji. Użycie broni, czy choćby tylko grożenie nią, pogorszyłoby tylko ich położenie.

Jednocześnie doznał wstrząsu, gdyż uświadomił sobie, że był od dłuższego czasu sam, był tylko człowiekiem. Różowa Istota zniknęła, nie czuł delikatnego drżenia obcej świadomości w mózgu, drżenia świadczącego o obecności intruza pod jego czaszką. A przecież w chwilach zagrożenia, jak wskazywały ostatnie doświadczenia Blaine'a, w krytycznych momentach obcość uaktywniła się. Teraz więc, nie czując w sobie intruza, Blaine zastanawiał się, czy należy się cieszyć czy też martwić tym faktem. I nagle - jakby w odpowiedzi na wołanie człowieka - obce dało znać o sobie, wypęczając ze swej nory umiejscowionej w którymś z zakątków mózgu. Blaine, mimo woli, odetchnął, odprężył się i czekał na dalszy bieg wypadków. Nic godnego uwagi się jednak nie wydarzyło. Obca istota przypomniawszy mu tylko, że jest, że czuwa, że czeka na wezwanie człowieka. I ponownie odpełzła do swojej kryjówki.

Zajęty dziwacznymi myślami Blaine stracił na chwilę poczucie rzeczywistości, zapomniał o otaczającym go tłumie i podżegającej ludzi wiedźmie. Dopiero gwałtowne nasilenie się wrzawy wyrwało go z zamyślenia i zmusiło do skupienia uwagi na motłochu, kłębiącym się zaledwie kilkanaście metrów przed nim i przed Harriet. Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem wzburzonych spoconych ludzi o twarzach wykrzywionych grymasem nienawiści i trwogi, poczuł zimny dreszcz biegnący po krzyżu. Przez tych kilka chwil jego duchowej nieobecności w nastrojach tłumu zaszła zasadnicza zmiana. W oczach ludzi malował się teraz

wyraz nieprzytomnej furii i determinacji. Nie było to już zbiegowisko rozniewanych, zdenerwowanych gapiów, lecz wyjąca ochryple horda wilków osaczających ofiarę. Przewodziła im stara wiedźma oskarżycielsko wskazując paluchem Blaine'a.

- Stój spokojnie - szepnął do Harriet. - Spokój to nasza jedyna i ostatnia szansa.

Zdawał sobie sprawę, że tajone, trzymane wciąż jeszcze na wodzy uczucia namiętności tłumu mogą w każdej chwili znaleźć ujście w bezprzytomnym, niemożliwym do opanowania ataku agresji. Najlżejszy ruch Blaine'a lub Harriet jakaś niekontrolowana reakcja, wypowiedziane słowo lub niebaczny ruch mogą skrzesać iskrę, która podpali te beczkę prochu. Blaine wiedział, że w ostateczności wyszarpnie z kieszeni pistolet i zacznie strzelać. Nie dlatego, by tego pragnął, by uważał, że to przyniesie im ratunek. Po prostu otworzy do tłumu ogień w geście rozpaczki kogoś komu nie pozostawiono innego wyboru.

Z tyłu, wciąż jeszcze na poły ostrożnego, na poły bojaźliwego tłumu rozległ się nagle tupot szybkich, energicznych kroków. Blaine kątem oka spostrzegł, że przez tłum przepycha się wysoki mężczyzna o kanciastej sylwetce i niezwykle bladej twarzy Człowiek ów, przedostawszy się na czoło zgromadzenia, stanął obok Blaine'a. Zwrócił swą nieruchomą twarz w kierunku napierających. Nie odzywał się ani słowem, lecz ludzie - jakby pod wpływem jego wzroku - zatrzymali się. Tylko ze środka ciżby dobiegł męski głos:

- Witaj szeryfie!

Ten jakby nie dosłyszał powitania. Stał nieporuszony niczym posąg, świdrując ludzi twardym wzrokiem.

- To dewiaci ! - wykrzyknął ten sam męski głos z tłumu.

Kto wam to powiedział?

- Tak mówi stara Sara.

- Ty, Saro? O co chodzi? - szeryf zwrócił twarz w stronę staruchy.

- Tom mówi prawdę - zaskrzeczała w odpowiedzi. - Ten tam... - wskazała znów palcem na Blaine'a. - Ten tam posiada zabawny umysł: odbija cudze myśli.

- A kobieta?

- Są przecież razem, no nie?

- Wstyd mi za was - odezwał się szeryf tonem nauczyciela strofującego nieposłuszne dzieci. Macie się natychmiast rozejść. Natychmiast. Co do jednego.

- Ależ to dewiaci, szeryfie! - dobiegł z tłumu czyjś urażony głos. - My nie chcemy ich w naszym mieście.

- Wracajcie do swoich zajęć - powtórzył szeryf. - Już ja się tym zajmę.

- Obojgiem?

- Nie widzę powodu, by zajmować się tą panią - odparował szeryf. - Jej umysł jest w porządku. Ona nie jest dewiatem, Więc po prostu opuści nasze miasteczko. To powinno wam wystarczyć.

I zatrzymując wzrok na Harriet, spytał:

- Jesteście razem, prawda?

- Tak. I nie mamy wcale zamiaru się rozłączać.

- NIE! - przekazał do dziewczyny Blaine. - (ZNAK MILCZENIA: PALEC NA USTACH).

Zrobił to bardzo szybko, aby nikt z tłumu nie przechwycił myśli. Najwidoczniej w tym mieście telepata mógł sobie napytać biedy. Ale musiał to przekazać Harriet.

- Czy to jest pani samochód? - ignorując odpowiedź dziewczyny zapytał szeryf wskazując na auto.

Harriet spojrzała pytająco na Blaine'a.

- Tak, nasz - odparł za nią.

- To świetnie. Proszę mnie posłuchać. Wsiądzie teraz pani grzecznie do tego samochodu i natychmiast opuści miasto. Oni panią przepuszczą - przy ostatnich słowach szeryf wskazał głową przysłuchujących się z uwagą

mieszkańców miasta.

- Ależ my wcale nie mamy zamiaru...

- Zrobisz, jak ci radzi szeryf - przerwał dziewczynie Blaine. Harriet zawahała się. - Tak będzie lepiej. Odjedź, proszę powtórzył z naciskiem.

Harriet trochę zbyt gwałtownym ruchem oderwała się od ściany i szybkim krokiem przebyła odległość dzielącą ich od samochodu. Tam odwróciła się i spojrzała na Blaine'a.

- Będę czekała na ciebie. Do zobaczenia.

I kierując pełen pogardy wzrok w stronę szeryfa, parsknęła:

- Kozak.

Na twarzy przywódcy miasteczka nie drgnął żaden muskuł; pierwszy raz w życiu słyszał to słowo. Spojrzał na dziewczynę niemal przyjaźnie.

- No, niech pani już zmyka.

Tłum, mrużąc gniewnie, drgnął i opornie zaczął się rozstępować przed ruszającym autem. Harriet pomachała jeszcze w stronę Blaine'a wystawioną za okno ręką i włączyła silniki. Samochód uniósł się na poduszce powietrznej, po czym gwałtownie ruszył do przodu. Tłum, oślepiiony tumanami piasku wzbitymi przez odrzutowe silniki pojazdu, rzucił się w popłochu na boki, wydając okrzyki przest్రachu.

Szeryf obserwował całe zajście z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdy auto skryło się już za zakrętem, odwrócił się w stronę tłumu.

- Widziałeś szeryfie sam - dobiegł go ze środka gniewny głos. - Czemu pozwolił jej odjechać?

- Dobrze wam tak. Samiście zaczęli całą drakę - pogodnym głosem odrzekł szeryf. - Myślałem, że będę miał spokojny dzień, a tymczasem...

Lecz nie sprawiał wrażenia osoby specjalnie czymś zmartwionej. Tłum zaczął głośno i gwałtownie protestować, ale szeryf machnięciem ręki uciszył gwar.

- No, zabierać mi się stąd. Już po zabawie. Każdy z was ma swoją robotę. Ja również. I zwracając się do Blaine'a dodał:

- Proszę iść za mną.

Ruszyli zgodnie obok siebie w dół ulicy w stronę biura szeryfa. Mieściło się ono w budynku sądowym.

- Powinniście być bardziej rozważni - odezwał się cierpko szeryf. - To bardzo złe miejsce dla dewiatów. Piekło!

- A skąd miałem to wiedzieć? - wzruszył ramionami Blaine. - Nigdzie nie było znaku ostrzegawczego.

Był. Ale obsunął się jakiś rok czy dwa temu. Nikomu nie chciało się go poprawić. Fakt, że ktoś to jednak powinien zrobić. Niemniej, gdybyście się baczniej i dokładniej rozglądali, dostrzeglibyście te tablice. Mimo że jest ona zwichrowana, a litery zatarte przez lotne piaski, można jeszcze coś odczytać.

- Co zamierzasz ze mną zrobić, szeryfie? - zmienił temat Blaine.

- Mam nadzieję, że nic nie będę musiał robić. Przeczekamy aż w mieście opadnie gorączka i wypuszczę pana.

Zamilkł, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś co było dla niego przykre. Po chwili dodał:

- Nic innego nie mogę zrobić. Oni są bardzo czujni i będą mi patrzeć na ręce.

Dotarli do celu. Wspięli się po stromych, wydeptanych schodach i szeryf otworzył drzwi.

- Proszę prosto tym korytarzem - ruchem ręki wskazał Blaine'owi dalszą drogę.

Weszli do biura. Szeryf dokładnie zamknął drzwi i odwrócił się w stronę kłopotliwego gościa.

- Nie sądzę, by istniały podstawy do przetrzymywania mnie w areszcie - odezwał się natychmiast Blaine. - Co by było, na przykład, gdybym teraz, ot tak, po prostu, wziął i wyszedł sobie na zewnątrz?

- Nic nie mógłbym zrobić - wzruszył ramionami szeryf. - Nie mogę pana formalnie zatrzymać. Lecz proszę mi wierzyć, nie uszedłby pan daleko.

- A samochodem?

- Synu - szeryf potrząsnął głową i rozłożył ręce w szerokim geście. - Synu, znam tych ludzi. Wychowałem się z nimi. Jestem jednym z nich i wiem; jak daleko mogę się posunąć. Tę kobietę byłem w stanie uwolnić, ale was obojga - nigdy. Czy widział już pan kiedyś tłum w akcji?

Blaine potrząsnął przecząco głową.

- Więc niech mi pan wierzy, że nie jest to przyjemny widok.

- No dobrze, a co w takim razie z Sarą? Przecież ona również jest dewiatem.

- Powiem ci, mój przyjacielu, że ona, wbrew pozorom, pochodzi z bardzo dobrej rodziny, która podupadła w złych czasach. Przodkowie starej Sary osiedlili się tutaj już ponad sto lat temu i miasto Sarę toleruje.

- Jest niewątpliwie użyteczna - odrzekł z ironią Blaine. - Użyteczna jako lokalizator.

Szeryf zachichotał cicho i pokiwał głową.

- Nie ma nikogo, kto umknąłby uwadze naszej starej Sary - rzekł z dumą mieszkańca miasteczka. - Ona cały swój czas poświęca na śledzenie przybywających do nas obcych ludzi.

- Wielu dewiatów odkryliście w ten sposób?

- Tak sobie, w miarę - szeryf, nie wiadomo czemu skrzywił się, po czym wskazał ręką na biurko:

- Proszę opróżnić kieszenie... przepraszam, ale takie są przepisy. Zaraz wystawie panu pokwitowanie.

Blaine bez słowa zaczął wyjmować zawartość kieszeni: portfel z wizytówkami, chusteczkę do nosa, kółko z kluczami, zapalniczki i na końcu rewolwer. Broń położył delikatnie obok innych przedmiotów i kątem oka spojrzał na szeryfa. Ten na widok pistoletu zatrzymał na Blainie zdezorientowany wzrok.

- Miał to pan cały czas przy sobie? - zapytał trochę bez sensu.

Blaine pokiwał głową.

- Że też potrafił pan nie sięgnąć po ten pistolet - z mimowolnym uznaniem

w głosie odezwał się szeryf.

- Zapomniałem... - bąknął pod nosem Baline.

- Czy posiada pan zezwolenie?

- To nie moja broń.

Szeryf gwizdnął lekko przez zęby. Podniósł pistolet do oczu i złamał go. Błysnął miedzią pełny magazynek. Ponownie złożył broń, otworzył szufladę i wsunął przedmiot do środka.

- W porządku - szepnął. - Zapalki może pan legalnie zabrać ze sobą do celi. - Podniósł z biurka kartonik i podał go Blaine'owi. - Jeśli nie ma pan papierosów, mogę dać paczkę.

- Nie, dzięki. Prawie w ogóle nie pale. Czasami tylko. Szeryf zdjął z gwoźdźca plik kluczy:

- No, to chodźmy.

Szli korytarzem, w którym rząd drzwi wyznaczał poszczególne cele. Przy jednym szeryf zatrzymał się i zaczął manipulować kluczem w zamku

- Będzie pan sam - rzekł - Ostatniego wypuściłem wczoraj wieczorem. Młodziak przeszedł granice i popił sobie zdrowo. W pijackim zwidzie zaczęło mu się wydawać, że jest równy białym chłopakom.

Blaine nie odparł nic. Wkroczył do celi, a drzwi zatrzasnęły się za nim. Po chwili rozległ się metaliczny szczerk i w judaszu pokazała się twarz szeryfa.

- Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę tylko zawołać. Będę u siebie w biurze.

. 8 .

W historii miało to wiele nazw.

Raz określano to mianem postrzegania pozazmysłowego, kiedy indziej psioniki - krócej: „ psi” - czy też kinetyki paranormalnej zdolności parapsychicznych lub zjawisk paranormalnych. Lecz na samym początku była to najczystsza magia.

Praktykował te wiedze szaman z grzechotkami magicznymi i sakwami pełnymi wstrętnych talizmanów i fetyszów. Czarownik z Konga i kapłan w Egipcie potrafili wykorzystać ów dar natury, którym zostali obdarzeni. Mędrzec tybetański w zaciszu himalajskiego klasztoru usiłował zgłębić tajemnice postrzegania pozazmysłowego. Nigdy jednak nie poznali istoty tego zjawiska, nigdy nie potrafili go w pełni wykorzysta w taki sposób , na jaki zasługiwało.

A potem, gdy nastąpiła era rozumu i naukowej interpretacji świata, zjawiska paranormalne zostały ostatecznie zdyskwalifikowane, uznane za czary i nikt już prawie nie wierzył w ich istnienie. W świecie stworzonym przez oficjalną naukę nie było miejsca na czary. Nie dawały się bowiem włączyć w żaden istniejący system; wymyka się wszelkim definicjom i równaniom naukowym, trudno było ustalić metody ich badania. W każde ze zjawisk parapsychicznych wiązało się ze swoistym poznaniem dokonywanym bez udziału zmysłów, a więc przebiegało w sposób nie dający się wyjaśnić i uzasadnić naukowo. W taki sposób, tkwiące w człowieku zdolności paranormalne, wraz z całym istniejącym dotychczas arsenałem przesądów, wierzeń i zabobonów pojęć i zjawisk magicznych, potraktowano jako stek horrendalnych bzdur i nikt już, kto posiadał choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie poświęcał im chwili uwagi.

Ów los zjawisk paranormalnych podzieliły również osoby obdarzone tymi zdolnościami. Na osoby takie - określane otocznie mianem dewiatów -

skierowano cały lęk i nienawiść. Ludzi tych mordowano bezlitośnie lub - w najlepszym przypadku - wsadzano do więzień.

Lecz, o ironio losu - myślał Blaine - przecież właśnie nauce, oficjalnej nauce, która była sprawcą cierpień tysięcy niewinnych dewiatów, kinetyka paranormalna zawdzięcza swoje ostateczne, oszałamiające zwycięstwo.

Gdyż to właśnie rozwój nauki stanowił konieczny warunek, by Człowiek mógł uwolnić swój umysł z krępujących go wieki kajdanów, by przełamać wszelkie uprzedzenia, bariery i przetrząsnąć most nad otchłanią, która dzieliła naukę oficjalną od zjawisk paranormalnych. Dzięki nauce można było dopiero dotrzeć do sedna owej potężnej energii drzemącej w ludzkim mózgu. Studia nad tym zagadnieniem wymagały specjalnych metod, które tylko nauka mogła wypracować.

Mówiło się, że w zamierzchłej przeszłości droga rozwoju ludzkości rozwidliła się, tworząc dwie ścieżki prowadzące w przeciwnych kierunkach: „Magię” i „Naukę”. Człowiek wybrał te ostatnią. twierdzono również, że popełnił wówczas wielki błąd, czyniąc ten wybór, bo było to zejściem na manowce. Spójrzcie tylko, jak daleko moglibyśmy zajść - argumentowano - gdyby ludzkość na samym początku wybrała „Magię”.

Nikt z nich nie miał racji - myślał Blaine. Cały szkopuł tkwi bowiem w tym, że Człowiek nie miał żadnego wyboru. Zawsze istniała tylko jedna droga: „Nauka”. Gdyż aby stać się władcą „Magia”, najpierw trzeba było poradzić sobie z „Nauką”.

I rzeczywiście, niewiele brakowało, by nauka wywarła całkowicie magię, odzierając tym samym Człowieka z tego, co było w nim najcenniejsze. Istniała jednak na szczęście grupka upartych ludzi gotowych na wszystko, by tylko ziścić odwieczny sen o gwiazdach.

Blaine z najwyższym trudem potrafił sobie wyobrazić czasy, gdy Fishhook był zaledwie nieśmiałą, pełną uroku nadzieją, ekscytującą fantazją, przedmiotem gorącej i żarliwej wiary nielicznej garstki owych upartych ludzi, których prośby o wsparcie świat zbywał śmiechem, szyderstwem i

znaczącym pukaniem się w czoło.

Byli jednak wystarczająco uparci. Pewnego dnia zjawili się w Waszyngtonie z apelem o poparcie finansowe. Pomocy tej naturalnie im odmówiono; rząd absolutnie nie był zainteresowany ich awanturniczymi - jak to określono - planami. Jakże ta grupa entuzjastów i szaleńców zdoła sięgnąć do gwiazd, skoro wszechpotężna nauka nie była w stanie tego dokonać?

Pracowali więc dalej w osamotnieniu i izolacji, wspierani niewielkimi zasiłkami płynącymi z Indii, Filipin i Kolumbii, drobnymi datkami towarzystw metafizycznych oraz darami swych sympatyków.

Aż nadszedł ów pamiętny dzień w którym fortuna uśmiechnęła się wreszcie do owych upartych, nie do pokonania ludzi. Oto Meksyk - wielki kraj z jeszcze większym sercem - zaprosił ich do siebie, zaopatrzył niezwykle sownie w środki finansowe, zbudował i oddał im do dyspozycji gigantyczne centrum badawcze wyposażone w drogocenną, skomplikowaną aparaturę.

Od tej właśnie Fishhook stał się faktem dokonany i rozwinął się niebawem w potężną instytucję dysponującą nieograniczonymi kredytami nie tylko dla siebie, lecz również dla gościnnego kraju który okazał mu w trudnych chwilach tyle serca.

I ja, mimo że siedzę tu, w tej celi, stale jestem częścią Fishhooka - prowadził w duchu monolog Blaine. Jestem fragmentkiem tego potężnego, hermetycznego środowiska, którego izolacja od świata zewnętrznego została zawiniona przez ten właśnie świat: pełen zawiści, podejrzeń, nietolerancji, przesądów i zabobonów. Chociaż ucieka od Fishhooka, chociaż agenci koncernu tropią go jak dziką, niebezpieczną bestię, to stale jest częścią tej instytucji.

Stał na wąskiej pryczy przykrytej brudnym kocem i tuląc policzek do chłodnych krat wyglądał oknem. Przed jego oczyma rozciągała się beznadziejnie przygnębiająca panorama miasteczka. Spalona słońcem, wyprana ze wszelkich barw ulica wysadzona była rachitycznymi drzewkami. Pasowały do nich odrapane budynki na wpół zbankrutowanych

przedsiębiorstw i zaparkowane przy krawężnikach stare, rozklekotane samochody, z których większość miała jeszcze silniki spalinowe i koła. Mężczyźni siedzieli grupkami na schodkach pobliskich sklepików i żując monotonnie tytoń, popluwali co chwile na chodnik. Tworzyły się w tych miejscach małe, bursztynowe kałuże gęstej śliny, przywodzące na myśl krople krwi. Siedzieli apatyczni, odzywając się z rzadka do siebie, pochłonięci żuciem i spluwaniem. Obojętni, leniwi, zrezygnowani.

Lecz Blaine zdawał sobie sprawę, że ów bezruch to tylko pozory. Mężczyźni nie spuszczała z oka budynku sądowego z zamkniętym wewnątrz, znienawidzonym dewiatem. Pilnowali Blaine'a, bo o jego umyśle stara wiedźma Sara powiedziała, że odbija jak zwierciadło.

To samo musiał spostrzec Rand! To właśnie zdradziło Blaine'a. A więc Rand, który z całą pewnością nie był szperaczem, musiał być całkiem sprawnym lokalizatorem. Ale to nie miało już żadnego znaczenia: szperacz czy lokalizator. Nawet szperacz zaglądając do jego ekranowanego umysłu, niewiele by się dowiedział.

A to znaczy, że mam mózg, który jest jak rozbłyskujący czerwonym światłem dzwonek alarmowy, słyszalny i dostrzegalny nawet dla niezbyt sprawnego telepaty - uświadomił sobie Blaine. A stąd już prosty i przerażający wniosek że on Blaine nigdzie nie będzie bezpieczny. Nie ma na świecie takiego miejsca, gdzie mógłby się skryć. Jest dzwonkiem alarmowym nie tylko dla katalizatorów i szperaczy, lecz także dla wszystkich innych intuicjonistów, jasnowidzów i telepatów.

Pewien był jednego: cała ta nieprawdopodobna historia z jego lustrzanym umysłem była czymś absolutnie nowym. W przeciwnym bowiem razie, słyszałby z całą pewnością o takim przypadku.

- EJ, TY - mruknął do ukrytej w mózgu istoty - WYLEŻ NO NA CHWILĘ STAMTĄD!

Obcy poruszył się pod czaszką, przeciągnął rozkosznie jak zadowolony pies. Ale nie wyszedł na wezwanie człowieka.

Blaine zszedł z pryczy i usiadł na jej brzegu.

Harriet z pewnością mogłaby mi pomóc - pomyślał. Mogłaby przybyć skrycie do miasteczka, a szeryf dyskretnie wypuścić go na wolność. Z drugiej jednak strony, on sam podsunął szeryfowi doskonały pretekst do przytrzymania go w areszcie: jako posiadacza nielegalnej broni.

- KOLEŚ - zwrócił się do swego towarzysza - CHYBA ZNÓW POTRZEBNA MI BĘDZIE TWOJA POMOC. MUSIMY WYMYŚLEĆ JAKĄŚ NOWĄ SZTUCZKĘ.

Istota w jego czaszce pokazała już, na co ją stać: trick z czasem. A może z metabolizmem Blaine'a. Trudno dociec, jak naprawdę rzecz się miała: czy to on poruszał się szybciej, czy też czas został spowolniony.

No i dokąd w końcu uciekać? Do Południowej Dakoty, jak radziła Harriet?

Zdrowy rozsądek nakazywał Blaine'owi udać się właśnie tam. Nie miał przecież wyjścia alternatywnego. Nie miał dotychczas czasu, by ustalić jakikolwiek plan działania. Przed laty postanowił wprawdzie, że ucieknie. Planował nawet poczynić stosowne przygotowania na taką ewentualność. Zwlekał jednak, odsuwał wszystko na potem... Na nigdy. No i teraz ma za swoje: siedzi w celi więziennej w małym miasteczku, którego nawet nazwy nie zna, ma przy duszy piętnaście dolarów, a i te zamknięte w szufladzie szeryfa.

Zza okna dobiegał go od czasu do czasu warkot silników spalinowych samochodów - rupieci i świergot ptaków. Blaine nie musiał wyglądać oknem, by przekonać się, że mężczyźni stale tkwią w bezruchu na swych stanowiskach.

Ktoś właśnie wchodził do biura szeryfa. Blaine usłyszał trzask otwieranych drzwi, następnie odgłos kroków i szmer przyciszonej rozmowy, której nawet nie usiłował podsłuchiwać. Bo i po co? Co by mu to dało? Czy cokolwiek miało jeszcze sens?

Zaczynał ponownie pogrążyć się w rozmyślaniach, gdy dobiegł go z korytarza energiczny stukot butów szeryfa. Potem usłyszał zgrzyt klucza i w drzwiach celi ukazał się sam przedstawiciel prawa.

- Blaine - odezwał się szeryf. - Przyszedł do pana Ojciec.
- Ojciec? Czyj?
- Kapłan, poganinie. Proboszcz naszej parafii.
- Aha, proboszcz - mruknął Blaine. - I cóż go tak zainteresowało w mojej skromnej osobie? Ostatni sakrament?

- Jesteś pan istotą ludzką, nieprawdaż? Wiec posiada pan również dusze...

- Nie zaprzeczam...

- Czemu mi pan od razu nie powiedział, że jest od Fishhooka? - przerwał szeryf, obrzucając Blaine'a ciężkim, chmurnym spojrzeniem.

- Czy to by cokolwiek zmieniło?

- Wielki Boże, człowieku! - wykrzyknął szeryf wytrzeszczając na Blaine'a oczy. - Gdyby oni wiedzieli, gdyby tylko wiedzieli, że pan jest stamtąd! Mój Boże! Jak amen w pacierzu, już by pan wisiał. W zeszłym miesiącu minęły trzy lata od chwili, gdy spalili tutejszy Punkt Handlowy. Agent uciekł w ostatnim momencie.

- No i co pan na to, szeryfie? Pan oczywiście pozwoli by mnie powieszono?

- Znalazłem lepsze wyjście.

- Wielkie dzięki. Podejrzewam, że zawiadomił pan Fishhooka. - Zgadza się. Prosiłem ich, by pana jak najszybciej stąd zabrali.

- Niech to szlag trafi...

- Wiec po jaką cholere przybyliście do tego miasta? - wybuchnął szeryf, czerwieniejąc na twarzy. Przez was, dewiatów, zawsze jest tyle kłopotów.

- Byliśmy głodni. Musieliśmy w końcu gdzieś zjeść śniadanie - odwarknął Blaine.

- No i najadł się pan. Na całe życie - burknął ponurym głosem szeryf. - Mam jeszcze nadzieje, że uda mi się jakoś pana z tego wyciągnąć.

I odwracając się w stronę drzwi, rzucił jeszcze przez ramie:

- Zaraz przyśle tu Ojca.

. 9 .

W drzwiach celi ukazał się ksiądz. Przystanął na chwile u wejścia, by przyzwyczaić oczy do pół mroku.

- Miło mi widzieć księdza - Blaine'na widok gościa poderwał się z łóżka. - Niestety, obawiam się, że mogę służyć wyłącznie pryczą.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - machnął ręką ksiądz. - Jestem Ojciec Flanagart. Mam nadzieję, mój synu, że nie zakłóciłem ci spokoju i nie potraktujesz mnie jak natręta.

- Ależ skądże - potrząsnął głową Blaine. - Jestem wręcz rad, Widząc tu księdza.

Ojciec Flanagan był tęgim mężczyzną w średnim wieku. Miał białe dłonie i powykręcane artretyzmem palce. Podszedł do pryczy i postępując usiadł. Poklepał lekko dłonią koc.

- Siadaj obok mnie, synu. Chciałbym na wstępie zastrzec, że jestem człowiekiem niezwykle dociekliwym by nie rzec - ciekawskim. Bierze się to stąd, że jestem duszpasterzem tutejszej parafii, a ludzie, którym przewodzę, pomimo swego wieku, posiadają mentalność i umysły dzieci.

Kapłan zamyślił się na chwile, a potem gwałtownie unosząc głowę, spojrzał bystro na Blaine'a.

- A ty, czy może chciałbyś o czymś szczególnym ze mną pomówić? spytał.

- Nie sądzę, byśmy mogli rozmawiać ze sobą o czymś konkretnym - odparł z lekkim wahaniem Blaine. - Może tak w ogóle, o religii...

- Nie jesteś wierzący, mój synu?

- Prawdę mówiąc, niezbyt.

- Nastaly bezbożne czasy - starszy mężczyzna potrząsnął bezradnie głową.
- Czasy, w których trudno jest zachować wiarę, czasy nie sprzyjające głębszej refleksji, kontemplacji... Wielu jest takich jak ty, mój synu. Wielu. To

właśnie tak mnie zasmuca. Żyjemy i działamy w czasach, kiedy dusza ludzka bardziej koncentruje się na leku przed złem niż na kontemplacji dobra. Prowadzi się obecnie rozmowy o wilkołakach, inkubach i diable, mimo że pojęcia te - i strach przed nimi - zdawać by się mogło, zostały już dawno wymazane ze świadomości ludzkiej.

Odwrócił się niezgrabnie, by lepiej widzieć Blaine'a.

- Szeryf wspomniał, że jesteś od Fishhooka.

- Nie ma więc potrzeby, bym zaprzeczał.

- Nie rozmawiałem dotąd z nikim stamtąd - mrużąc pod nosem, jakby rozmawiał sam ze sobą, rzekł Ojciec Flanagan. - Słyszałem natomiast o Fishhooku wiele. Przeważnie niewiarygodne i przerażające opowieści. Był tutaj, co prawda, agent spalonego w swoim czasie Punktu Handlowego, lecz nie zdecydowałem się na pogawędkę z nim. Ludzie mogliby opacznie zrozumieć moje intencje.

- Po tym, co widziałem i czego doświadczyłem dzisiaj rano, też tak sądzę - wtrącił cierpko Blaine.

- Oni twierdzą, mój synu, że posiadasz paranormalny...

- Chciałeś powiedzieć, Ojczy, że jestem dewiatem, czy tak? Nie ma potrzeby ubierania tego w ładne słówka.

- I rzeczywiście nim jesteś?

- Ojczy, jaki masz cel w tym, że mnie o to pytasz? - była w tym pytaniu niezamierzona agresja. - Czysto akademicka ciekawość, mój synu. Czysto akademicka. Mogę cię o tym z czystym sumieniem zapewnić. Po prostu sam się tym problemem interesuje. Dla własnego użytku. I spieszę zapewnić, że cokolwiek powiesz, nie wyjdzie to poza obręb tej celi. Traktuj naszą rozmowę jako spowiedź.

- Powiem w takim razie księdzu jedną rzecz. Były czasy, mroczne i straszne, gdy naukę traktowano jako największego i najgroźniejszego wroga prawdy. Prawdy religijnej. A dziś te czasy ponownie wróciły.

- Bo ludzie się boją - odparował natychmiast Ojciec Flanagan. - Zamykają

okna i tarasują drzwi swych domostw. Nie opuszczają nocą mieszkań. Noszą amulety magiczne. Amulety-wyobraź sobie mój synu - zamiast poświęconego krzyżyka. Zawieszają je na bramach i drzwiach swych siedzib. Szepczą między sobą rzeczy, które - zdawałoby się - dawno, wraz ze średniowieczem, bezpowrotnie przeminęły. Przesiąknięci są strachem do szpiku kości. Stracili wiele ze swej starodawnej, żarliwej wiary. Oczywiście, nie odprawiają już tych wszystkich barbarzyńskich i okrutnych rytuałów, ale one tkwią w nich głęboko. Widzę je w ich oczach. Słyszę w rozmowach. Wyczuwam w duszach. Stracili całą prostotę wiary.

- Nie, Ojczy. To nie utrata wiary. To zagubienie...

- Cały świat jest zagubiony - odparł sentencjonalnie kapłan, wzruszając lekko ramionami.

Ma racje - pomyślał Blaine. Ma cholerną racje ten stary kapłan. Cały świat jest zagubiony, gdyż stracił swego przewodnika, swego nowoczesnego bohatera. Kulturowy Ideał. Ludzie odrzucili go, a na nowy już ich nie stać. Stracili kotwice, która chroniła ich statek przed naporem nielogiczności i absurdu; żeglują teraz bez map i kompasu po wzburzonym, obcym oceanie.

Do niedawna nauka właśnie była owym bóstwem nowoczesnej kultury. Reprezentowała sobą rozum i logikę, precyzję, która, drążyła atom, wyrывała Człowieka do gwiazd, wnikała w przepastne głębie wszechświata. To ona, nauka, fundament i bohater całej kultury podarowała swym wyznawcom wygodę, komfort i bezpieczeństwo. Pośród mnogości rzeczy, właśnie nauka stanowiła dobro cenione najwyżej. Była czymś, w co można wierzyć ślepo i bez zastrzeżeń.

O jej wartości decydowała namacalność jej wytworów: maszyny i technologia. Bo nauka jako taka jest abstraktem, lecz maszynę można zobaczyć na własne oczy, można dotknąć dłońmi, usłyszeć jej warkot na własne uszy.

Ale nadszedł tragiczny dzień, w którym okazało się, że mimo tych maszyn, mimo tej cudownej technologii, wszechświat jest przed

Człowiekiem zamknięty. Zamknięty na zawsze. Owego właśnie fatalnego dnia Człowiek, niczym zbuntowany anioł strącony został z niebiańskich wyżyn w mroczną otchłań Nory-Ziemi. I tego samego dnia Bóstwo Nauka przestało lśnić dotychczasowym blaskiem, a w duszach i umysłach ludzkich zakiełkowały pierwsze ziarna zwątpienia.

Potem nastąpił ów drugi dzień, gdy Człowiek wyrwał się jednak ku gwiazdom; ale już bez rakiet grzmiących echem gromu bez stosów atomowych i strumieni antymaterii. Tego dnia załamała się wiara w technikę. Nauka jednak egzystowała w dalszym ciągu - stale użyteczna, stale ważna, stale potrzebna. Przestała jednak być ideałem, przedmiotem powszechnego kultu.

Bo choć Fishhook używał maszyn nie były to narzędzia, które by Człowiek mógł ustawić na ołtarzu. Nie posiadały guzików i indykatorów, kół, tłoków, wałów i dźwigni. Nie miały nic wspólnego z obiegowym wyobrażeniem potężnej, wszechmocnej maszyny. Były dziwne i obce, niepojęte i straszne. Nastąpił rozbrat między Człowiekiem a Techniką.

W ten sposób świat utracił swe Kulturowe Bóstwo. Ale natura ludzka jest tak ukształtowana, że nie znosi próżni. Musi mieć jakiś autorytet, ideał, coś, czemu można zaufać i wierzyć; pustka jest przestrzenią, która domaga się wypełnienia.

Siły parapsychiczne, tkwiące w Człowieku, były wystarczająco dziwaczne i obce, by zająć miejsce zdetronizowanej nauki. Ale z chwilą, gdy coś tak konkretnego, jak nauka, zostało zastąpione czymś tak enigmatycznym niepojętym i zatrważającym jak parapsychika ludzkiego mózgu, najbardziej zwariowane kulty stawały się całkiem usprawiedliwione. W siłach paranormalnych tkwiła jednak obietnica spełnienia wszelkich życzeń i tęsknot Człowieka, najbardziej nawet nierealnych, najbardziej fantastycznych.

Bo to była Magia.

Świat cofnął się w rozwoju i stanął ponownie w obliczu Magii. Wahadło

wychyliło się zbyt daleko i wracając - już siłą inercji - cofnęło się również za daleko. Człowiek, pozbawiony swego Kulturowego Ideału, pozyskał na jego miejsce upiorny świat neozabobonu, wkraczając tym samym w posępną epokę nowego Średniowiecza.

- Stoję bezradny wobec tej sytuacji - przerwał Blaine'owi rozmyślenia Ojciec Flanagan. - A to jest przecież coś, co ze swej natury musi obchodzić sługę Kościoła. Wszystko bowiem, co dotyczy ludzkich umysłów i dusz żywo interesuje Kościół i Ojca Świętego. Na tym zresztą polega historyczna rola i znaczenie Rzymu.

Blaine poczuł coś w rodzaju sympatii dla księdza, podziwu dla jego szczerości. Nie zdołał jednak opanować w swym głosie goryczy i ironii.

- Więc przybyłeś tu, by mnie podpytywać, Ojcze?

Ksiądz żałośnie pokiwał schyloną głową, a w głosie zabrzmiał nieskrywany smutek:

- Pragnąłem, byś nie traktował mojej wizyty w ten właśnie sposób. No cóż, stało się. Przyszedłem do ciebie jako do człowieka, który jest w stanie mi pomóc. Mnie, a więc i Kościołowi, gdyż jemu służe. Bo Kościół, mój synu, też czasem rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Nie jest to wyznanie proste, wiem. Ale przez tysiąclecia trwania Kościoła nagromadziło się w nim wiele rzeczy, z którymi nie potrafi sobie poradzić. Zebrało się przez nadmierną dumę i pychę Kościoła. A ty jesteś częścią tego właśnie, co tak zatrwaza Kościół, czegoś, przed czym my, jego słudzy, stoimy z bezradnie opuszczonymi rękoma. I sądzę, że w was, w dewiatach, tkwi sedno problemu. A ty - jako jeden z nich - byłbyś może w stanie mi pomóc.

Nie mam osobiście nic przeciwko temu, choć bardzo wątpię, czy cokolwiek to zmieni. A ostatecznie ty też, Ojcze, jesteś częścią tego, co się wyprawia w tym mieście.

Tu się bardzo mylisz, mój synu - żywo zaoponował Ojciec Flanagan. - Kościół, a więc i ja, niczego nie sankcjonuje ani nie potępia. Po prostu w tej chwili my, słudzy boży, posiadamy jeszcze zbyt mało danych.

Opowiem więc o sobie - zgodził się nieoczekiwanie Blaine. - Jestem badaczem u Fishhooka. Moja praca polega na tym, że opuszczam Ziemię i lecę do gwiazd. Wchodzę do maszyny - może zupełnie maszyny, raczej skomplikowanego urządzenia - które pozwala uwolnić się memu umysłowi i umożliwia mi przeskok we właściwym kierunku. No i oczywiście upraszcza nawigację...

Blaine urwał, uśmiechnął się lekko, jakby z zażenowaniem:

- No, widzi Ojciec sam, jak trudno to wyrazić potocznymi słowami. Brzmi to bełkotliwie i...

Ależ skąd - zaprzeczył szybko kapłan. - Jak dotąd wszystko rozumiem.

To doskonale. Bo weźmy na przykład kwestie nawigacji. To kolejna zabawna rzecz... Występują tutaj współczynniki niemożliwe do wyrażenia słowami, jak w matematyce. Ale to nie jest matematyka. To. To po prostu sposób dotarcia do wyznaczonego celu, świadomość tego, dokąd się zmierza.

- Magia?

Do diabła, nie!... przepraszam Ojca... Nie, to nie czary.. To jest tak, że nagle się czuje, nagle rozumie, nagle wie. Jest to proste i jasne. Staje się twoją częścią. Jest łatwe jak kopnięcie kamyka, naturalne, jak oddychanie. Wyobraziłbym to...

Nie sądzę, byśmy musieli poruszać techniczną stronę zagadnienia. Proszę raczej powiedzieć, się tam człowiek czuje, tam, na tych obcych planetach.

- Tak samo jak tutaj. To znaczy początkowo czułem się tylko nieprzyzwoicie nagi: goły umysł ; pozbawiony ciała.

- I twój umysł wędruje sobie po planecie?

-Noo , niezupełnie tak wędruje. Teoretycznie mógłbym tak wędrować, ale raczej unikamy tego. Zazwyczaj siedzę wewnątrz maszyny, którą biorę ze sobą...

- Maszyny?

- Skomplikowane urządzenie odbiorcze, które rejestruje wszystkie dane na specjalnej taśmie. Za jego pośrednictwem zdobywamy wszelkie parametry

obcego świata; nie tylko to, co widzę czy czuję osobiście. Maszyna zbiera je i notuje, a ja jestem tam jedynie w celu interpretacji tych danych.

- No i co tam widziałeś?

- Ojcie! - roześmiał się Blaine. - Opowiedzenie tego wszystkiego zabrałoby więcej czasu niż go obaj mamy.

- A czy spotykasz tam planety takie jak Ziemia?

- Bardzo rzadko. Nie ma wiele takich planet. To znaczy - proporcjonalnie, gdyż światów ziemiopodobnych istnieje w kosmosie bardzo dużo. Lecz my nie ograniczamy się do penetracji wyłącznie takich planet. Docieramy wszędzie tam, gdzie to możliwe dla maszyny, dla jej konstrukcji i funkcjonowania. To znaczy prawie wszędzie...

- Nawet do samego jądra obcego słońca? - z niedowierzaniem spytał Ojciec Flanagan.

- Maszyna nie. To by ją zniszczyło. Ale umysł chyba tak. O ile się orientuje, nie było jeszcze takich prób. Sądzę jednak, że umysł ludzki jest w stanie bez szwanku dotrzeć nawet do atomowego jądra gwiazdy.

- No i co się tam czuje, co myśli?

- Po prostu obserwuje. Po to tam jestem.

- A czy przypadkiem nie czujesz się tam, synu, panem wszelkiego stworzenia? Nie odnosisz wrażenia, że Człowiek trzyma wszechświat w swoich dłoniach?

- To, co Ojciec mówi, jest grzechem pychy i próżności. Nie, nigdy nie doznaje podobnych uczuć. Czasem czuje dreszcz emocji, często jestem olśniony i zachwycony, najczęściej jednak natykam się na zagadki, których nie potrafię rozwiązać. Uświadamiam sobie - wciąż i wciąż - jaki jestem mały, jaki niepozorny, jak niewiele znaczę, ot, kropelka życia w oceanie istnienia. Jednocześnie poczuwam się do braterstwa ze wszystkim, co istniało, istnieje i co będzie istnieć.

- A czy myślisz tam czasem o Bogu?

- Nie, nigdy.

- To straszne. To straszne i przerażające być tam tak samotnie - wzdrygnął się kapłan.

- Ojcie, na początku naszej rozmowy przyznałem się, że jestem człowiekiem niewierzącym. Cały czas jestem wobec Ojca uczciwy i konsekwentny...

- Zgadza się, ale... ..

- Więc jeśli następne pytania Ojca brzmieć będą: czy lecąc go gwiazd można zachować swą wiarę? Czy wierzący, jeśli już tam trafi, powróci również jako wierzący? Czy podróż taka nie odbierze mu choćby części wiary, jaką posiada? - w takim przypadku będę domagał się wyjaśnienia terminów Ojca.

- Moich terminów?

- Tak. Na przykład: wiara. Co Ojciec rozumie przez pojęcie wiary? Czy wiara bez reszty wystarcza Człowiekowi? Czy nie istnieją inne sposoby dotarcia do Prawdy? Czy wiara w coś, na co nie ma dowodu - oprócz filozoficznych spekulacji - może być rzeczywiście znakiem chrześcijanina? Albo: czy Kościół powinien tak długo...

Ojciec Flanagan wznosił ręce w górę:

- Mój synu! - wykrzyknął. - Mój synu!

- Zapomnij o tym, Ojcie - wykrzyknął z kolei Blaine, zdając sobie sprawę, jak swym wybuchem dotknął kapłana. - Zapomnij, nie powinienem był tego mówić.

Siedzieli pogrążeni w milczeniu, spoglądając na siebie ukradkiem. Jak obcy - błysnęło w głowie Blaine'owi. Jak dwie obce sobie istoty z różnych planet, choć obaj jesteśmy ludźmi.

- Bardzo mi przykro, Ojcie. Naprawdę.

- Mówiłeś szczerze. A to się liczy najbardziej. Wielu ludzi, którzy myślą podobnie, którzy wierzą świecie w to, co myślą, nie przyznaje się do tego. Ty jesteś ostatecznie tylko szczerzy i uczciwy, pozbawiony hipokryzji...

Wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Blaine'a. - Jesteś telepatą?

- I teleporterem. Ale w ograniczonym zakresie. W bardzo ograniczonym.

- I to wszystko?

- Nie wiem - Blaine wzruszył ramionami. - Nie zgłębiałem tego problemu specjalnie.

- Ale podejrzewasz w sobie istnienie innych jeszcze zdolności?

- Posłuchaj, Ojczy. Do kinetyki paranormalnej zalicza się bardzo wiele różnego typu możliwości psychiki ludzkiej. Na początku jest się wszystkim po trochu choć w ograniczonym i nieskomplikowanym stopniu: telepatą, teleporterem, telekinetykiem, kryptoskopą, jasnowidzem czy intuicjonistą. W miarę biologicznego rozwoju człowieka jedne z tych zdolności pozostają bierne, inne rozwijają się wraz z całym organizmem. Nie są jednak zintegrowane, lecz pozostają od siebie niezależne. I dopiero ich suma rzutuje na to, jaki jest umysł danej jednostki. Wszystkie razem sprawiają, że mózg pracuje w taki sposób, w jaki pracuje, jeśli oczywiście człowiek rozwijał w sobie owe parapsychiczne uzdolnienia.

- Ale czy one nie są właśnie tym złem, które tkwi w człowieku?

- Tak, są z całą pewnością. Ale pod warunkiem, że są wykorzystywane niewłaściwie. Tak się zresztą częstokroć dzieje. Wykorzystują je ludzie, którzy nie zadali sobie trudu zastanowienia się nad swoją potęgą, zrozumienia jej, przeanalizowania konsekwencji tych możliwości. Ale człowiek również źle wykorzystuje swoje ręce: kradnie, zabija.

- A więc nie jesteś, synu, czarownikiem?

Blaine chciał w pierwszej chwili wybuchnąć głośnym śmiechem. Szybko jednak owa niewczesna wesołość ustąpiła miejsca narastającej zgrozie.

- Nie, Ojczy: Przysięgam na wszelkie świętości. Nie jestem czarownikiem, nie jestem wilkołakiem ani...

- Przestań, proszę. Mnie również zdarza się powiedzieć czasami coś, czego nie powinienem mówić.

Podniósł się z pryczy, wyciągnął rękę o powykręcanych stawach. - Dziękuję - rzekł. - Niech ci Bóg dopomoże, mój synu.

- Czy Ojciec przybędzie tu wieczorem?

- Wieczorem?

- Tak, gdy będą mnie wieszać - na twarzy Blaine'a wykwitł krzywy, zły uśmiezek.

- Nie wolno ci tak myśleć! - wykrzyknął gwałtownie Ojciec Flanagan. - To naprawdę nie jest...

- Spalili przecież Punkt Handlowy. Niewiele brakowało, by razem z agentem.

- Wiem - szepnął kapłan spuszczać oczy. - Mówiłem o tym swoim parafianom prosto w oczy. I nie tłumaczy ich wcale fakt, iż większość stanowili wówczas przybysze z okolicy, nie należący do mojej parafii. Moi powinni wiedzieć lepiej. Całe życie poświęciłem, by nie dochodziło do takich rzec ..

Blaine objął dłońmi rękę Ojca Flanagana, zamknął w mocnym uścisku kalekie palce kapłana.

- Szeryf jest bardzo dobrym człowiekiem - rzekł ksiądz. - Zrobi wszystko, co będzie mógł. Poza tym porozmawiam z ludźmi w mieście.

- Dziękuję, Ojczy.

- Czy boisz się śmierci, synu?

- Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że nie. Ale tak naprawdę, to nie wiem... - uśmiechnął się z niezamierzonym szyderstwem:

- Poczekamy, zobaczymy...

- Powinieneś jednak więcej ufać. Niech Bóg czuwa nad tobą. Dziś będę się za ciebie modlił.

. 10 .

Przez kraty wpadały do izby ostatnie promienie zachodzącego słońca, barwiąc krwawymi refleksami białe ściany pomieszczenia. Blaine'od dłuższego czasu tkwił nieruchomo w oknie celi i obserwował gęstniejący z każdym kwadransiem tłum po przeciwnej stronie ulicy. Tłum bynajmniej nie rozgorączkowany ani hałaśliwy jak zwykle w takich razach, ale spokojny, wręcz nonszalancki. Ludzie, którzy schodzili się nieśpiesznie przed budynek sądu, sprawiali wrażenie dobrodusznym wieśniaków, przybywających do miasta na zebranie spółdzielcze lub zgoła w celach czysto towarzyskich.

Jednocześnie docierał do uszu Blaine'a powolny, jakby mierzony, krok szeryfa, który przechadzał się po swoim biurze. Błysnęła Blaine'owi w głowie myśl, że szeryf chyba sobie nie zdaje sprawy z tego, co się święci na zewnątrz, przed budynkiem sądowym. Z pewnością jednak się domyślał. Żyje wszak w tym miasteczku wystarczająco długo, by poznać jego mieszkańców i wiedzieć, na co ich stać.

Blaine stał z policzkiem przytulonym do zimnej kraty, wsłuchując się w ostatnie trele ptaków dobiegające z gęstej kępy drzew zasadzonych na dziedzińcu. Za chwile świergot ucichnie, a ptaki skulą się na gałązkach, by zapaść natychmiast w sen.

Gdy tkwił tak zamyślony, pod jego czaszką wszczął się znajomy ruch i Różowa Istota wypełzła z ukrycia rozciągnęła się na całą swą długość, aż wypełniła sobą cały mózg człowieka.

- PRZYBYŁAM, ABY POZOSTAĆ Z TOBĄ - zdawało się mówić stworzenie. - PO TO ZRESZTĄ UKRYŁAM SIF W TWOJEJ CZASZCE. ZNAM JUŻ CIEBIE, SPENETROWAŁAM KAŻDY ZAKĄTEK, KAŻDĄ SZCZELINĘ TWOJEGO MÓZGU I ŚWIADOMOŚCI. WIEM JUŻ, JAKĄ JESTEŚ ISTOTĄ. A ZA TWOIM POŚREDNICTWEM ZOBACZYŁAM RÓWNIEŻ TWÓJ ŚWIAT. TWÓJ - A WIĘC I MÓJ, PONIEWAŻ OD

TERAZ I JA W NIM ŻYJĘ.

- TO JUŻ WSZYSTKIE GLUPOTY, KTÓRE CHCIAŁAŚ MI ZAKOMUNIKOWAĆ? - spytała ta część dwoistej istoty która należała do Blaine'a.

- TO JUŻ WSZYSTKIE GŁUPOTY, KTÓRE CHCIAŁAM CI ZAKOMUNIKOWAĆ - jak echo odparła ta druga część. - KONIEC ZE STRACHEM. KONIEC Z PRÓBAMI UCIECZKI, KONIEC Z USIŁOWANIEM WYDOSTANIA SIĘ Z CIEBIE.

- A POZA WSZYSTKIM INNYM, ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE. W OGÓLE NIE ISTNIEJE NIC TAKIEGO JAK ŚMIERĆ. BO POJECIE KOŃCA ŻYCIA JEST CALKIEM NIEZROZUMIAŁE. CZEGOŚ TAKIEGO WCALE NIE MA. CHOCIAŻ ZARAZ, ZARAZ... NA SAMYM DNIE TWEJ PAMIĘCI TKWI WSPOMNIENIE ISTOT, KTÓRYM RZECZ, TAKA JAK ŚMIERĆ, ZDARZYŁA SIĘ.

Blaine potrząsnął głową i zszedł z pryczy. Usiadł ciężko na jej brzegu i opierając łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach. Opadły go nagle jakieś dziwne wspomnienia, których obecności w sobie nawet nie podejrzewał. Były mętne, jakby otoczone gęstą kurtyną utkaną z buroszarej mgły. Pływały z oddali, z bardzo daleka, z przeszłości. I już po chwili nie był w stanie rozróżnić, co z tego wydarzyło się naprawdę, a co było tylko wytworem jego wyobraźni.

W mgnieniu oka, niczym huczący, wzburzony ocean, zalały mózg Blaine'a miliardy bitów informacji pochodzących z najodleglejszych zakątków kosmosu. Posiadał w tej chwili pełną znajomość nieprzeliczonej ilości planet we wszechświecie, milionów ras i istot, które zamieszkiwały odległe w czasie i przestrzeni galaktyki, krocie obcych, niepojętych i nieprawdopodobnych pojęć oraz zjawisk.

- Jak samopoczucie? - pytanie wdarło się w jego rozmyślania przykrym dysonansem.

Drgnął zaskoczony, uniósł w górę twarz i napotkał błyszczące w judaszu

oczy szeryfa, którego nadejścia nie usłyszał.

- Dziękuję, wyśmienite - odrzekł jadowicie Blaine. - Poza tym - dodał z kpina w głosie - obserwowałem właśnie przez okno pańskich przyjaciół, szeryfie. Gromadzą się na ulicy. Nie ma więc najmniejszych odstaw do obaw?

- Nie ma - uśmiechnął się w odpowiedzi szeryf. - Oni nie odważą się przejść na te strony ulicy. Nawet gdyby to zrobili, wyjdę i przemówię do nich osobiście.

- Nawet jeśli wiedzą, że jestem od Fishhooka? - Blaine'spojrzał mu uważnie w oczy.

- To jedyna rzecz, której nie wiedzą i której nie wolno im wiedzieć.

- Ale pan poinformował o tym Ojca Flanagana. - Nie mogłem tego zataić przed Ojcem.

- A czy on tego nie rozgłosi?

- Czemu miałyby to zrobić? - odrzekł pytaniem szeryf.

Blaine'nie znalazł odpowiedzi. Było to bowiem jedno z pytań, na które się nigdy nie znajduje odpowiedzi.

- Pan, szeryfie, wysłał już o mnie wiadomość?

- Nie bezpośrednio do Fishhooka. Powiedziałem mojemu przyjacielowi, który miał dopiero zawiadomić Fishhooka.

- To było zbyteczne. Fishhook i bez tego dobrze wie, gdzie teraz jestem - chłodno odparł Blaine.

Jasnowidze Fishhooka już wiele godzin temu wytropili go i mogą być w tym przygranicznym miasteczku lada chwila. Na te myśl ogarnia go fala nadziei. Fishhook - był o tym przekonany wysłał jego śladem cały oddział agentów, którzy poradzą sobie niewątpliwie z tłumem zdiczałych mieszkańców tej osady.

Wstał i podszedł do okna.

- Lepiej wyjdź do nich, szeryfie - odezwał się, wyjrzawszy na zewnątrz. - Oni właśnie przechodzą ulicę.

Blaine pojmował, że mieszkańcy miasteczka muszą się spieszyć. Pozostało im niewiele czasu. Niedługo zapadnie noc. A gdy ciemność spowije świat, muszą się znaleźć w bezpiecznym zaciszu własnych mieszkań. Muszą zaryglować drzwi, pozamykać okiennice i zaciągnąć story. Na zewnątrz pozostaną jedynie magiczne amulety porozwieszane na bramach i drzwiach domostw. Wtedy dopiero będą bezpieczni, będą poza zasięgiem ukrytych, złowrogich sił, czających się w ciemnościach nocy. Będą zabezpieczeni przed banshee i wilkołakiem, przed wampirem, gnomem i chochlikiem.

Szeryf wyszedł. Blaine wsłuchiwał się dłuższy czas w jego szybki, nerwowy teraz krok. Potem dobiegł go zgrzyt metalu zdejmowanej ze stojaka strzelby, szczek łamanej broni i dźwięk wsuwanych do magazynku naboji.

A tłum, w ciszy męczonej tylko szuraniem dziesiątków stóp, posuwał się jak ciemna, falująca płaszczka.

Blaine, jak urzeczony przyglądał się temu złowieszczemu pochodowi. A jednocześnie spoglądał na to całe widowisko z dziwnym dystansem, jak na coś odległego, co nie miało związku z jego osobą. U,. stoicki spokój w obliczu śmierci zaskoczył go; uświadomił sobie bowiem naraz, że ci ludzie kłębiący się tam, w dole, idą przecież po niego.

Lecz to nie miało w tej chwili dla Blaine'a żadnego znaczenia. Wszak śmierć nie istnieje. Słowo „śmierć” jest tylko pustym dźwiękiem, który nie ma realnego odpowiednika.

Ale skąd w nim ta pewność? Kto to powiedział? Skąd o tym wie?

Bo zdawał sobie sprawę, że śmierć istnieje. Śmierć jest warunkiem ewolucji, jest jednym z podstawowych mechanizmów wyznaczających postęp biologiczny i awans poszczególnych gatunków.

- TY - mruknął do istoty gnieźdzącej się pod ego czaszką, istoty która przestała już być samodzielny bytem, a stała się jego częścią - TO TWJ WYMYSŁ. ALE TO TYLKO WYMYSŁ. BO ŚMIERĆ JEST CZYMŚ NAD WYRAZ KONKRETNYM, CZYMŚ, CZEGO TYLKO TY ŻADNĄ MIARĄ NIE JESTEŚ W STANIE ZAAKCEPTOWAĆ.

Śmierć trzeba uznać, trzeba się z nią pogodzić. Jest ona chwilą teraźniejszą, jest wszechobecnością, jest czymś, co pojawia się zawsze i wszędzie tam, gdzie trwa jakiegokolwiek życie.

Bo śmierć istnieje i jest już blisko; zbyt blisko, by Blaine mógł się jej zaprzec. Dawała o sobie znać pomrukiem tłumu. Ciżby, która zniknęła teraz z oczu Blaine'a, bo tłoczyła się już u wejścia do budynku sądowego, spierając się z szeryfem którego dudniący głos docierał do celi.

- Rozejdźcie się do domów. Rozejdźcie, dobrze wam radzę - grzmiał przedstawiciel prawa. Tłum odpowiadał krzykiem na ponawiane wciąż wezwania szeryfa. Gdy tak wrzeszczeli do siebie: szeryf i tłum, Blaine stał bez ruchu w swoim więzieniu i czekał. W miarę upływu czasu narastał w nim strach, napływał coraz silniejszymi, gorącymi falami do gardła, zalewał je jak gęsta, zamulona woda.

Blaine usłyszał w końcu ciężki krok kilku osób przemierzających korytarz. Szczek judasza. W otworze ukazała się pobladła, obleczona obłudnym uśmiechem, twarz szeryfa.

- Wybacz, Blaine. Nie potrafiłbym do nich strzelać. Zrozum, to są wszystko moi przyjaciele. Wyrosłem z tymi ludźmi. Jeszcze jako brzdąc bawiłem się z nimi w Indian. Nie umiem do nich strzelać. - Oczywiście, że nie, ty śmierdzący skunksie - odparł Blaine z jakimś przerażającym spokojem w głosie.

- Dawaj klucze - warknął do szeryfa jeden z trzech towarzyszących mu mężczyzn. - Już my go stąd wyprowadzimy.

- Wiszą na gwoździu w moim biurze - odparł potulnie szeryf. Ponownie spojrzał w kierunku Blaine'a.

- Uwierz mi, nie byłem w stanie niczemu zaradzić...

- Spierdalaj i zastrzel się. Tyle tylko ci mogę doradzić, gnojku.

Wrócił mężczyzna z kluczami i szeryf - bez słowa - cofnął się, robiąc miejsce przy drzwiach. Klucz zachrobotał w zamku.

- Słuchaj, wyjdę sam - warknął Blaine pod adresem otwierającego cele. - Nie dotykajcie mnie swymi brudnymi łapami.

- Wyjdiesz tak, jak my chcemy.

- Pozwólcie mu - wtrącił się szeryf. - To w końcu nic takiego.

- No dobrze. Niech idzie sam - odparł mężczyzna robiąc Blaine'owi przejście.

Ten wyszedł na korytarz sztywnym krokiem. Tam natychmiast został otoczony eskortą złożoną z przedstawicieli mieszkańców miasteczka: dwaj z nich stanęli po jego bokach, a jeden z tyłu. Na samym końcu włókł się szeryf. Mężczyzna, który otworzył celę, cisnął pękiem kluczy o podłogę. Upadły z donośnym, przenikliwym dźwiękiem. Blaine'om ścierpły zęby.

- A więc stało się - pomyślał. - Niewiarygodne, a jednak prawdziwe.

Prędej, prędzej. Ruszaj się ty ohydny dewiacie! - krzyknął mężczyzna z tyłu i uderzył Blaine'a boleśnie w plecy

- Chciałeś leżeć sam, to leż - dodał drugi. - Tylko się pośpiesz.

Blaine szedł równym mocnym krokiem wyprostowany, z uniesioną głową: byle się nie potknąć, nie zachwiać, nie okazać strachu i słabości, do końca

zachować godność.

- Jeszcze żyje - myślał. A więc jeszcze ciągle istnieje szansa. Może na zewnątrz czekają już ludzie Fishhooka. A może Harriet przybyła z pomocą.

Maszerował równym krokiem. Korytarz się skończył i weszli do biura szeryfa, a z niego do dolnego hallu prowadzącego już prosto na dziedziniec. Szedł, a towarzyszący mu mężczyźni, jak cienie, postępowali za nim.

Drzwi wejściowe były otwarte; najwidoczniej ktoś je trzymał od zewnątrz.

Zawahał się. Krew gorącą falą odpłynęła mu z głowy ku nogom. Gdy przekroczy te drzwi i wyjdzie na szczyt schodów, gdy stanie twarzą w twarz z tłumem, gdy zajrzy w jego rozszerzone nienawiścią źrenice, straci wszelką nadzieję.

- No, zasuwasz kurewski dewiacie - wychrypiął mężczyzna za nim. - Tam już wszyscy na ciebie czekają.

Ciężka dłoń spadła na plecy Blaine'a i bardzo silne pchniecie cisnęło nim do przodu. Zachwiał się. Natychmiast jednak odzyskał równowagę. Wprostował się i uniósł wysoko głowę.

Przeszedł przez próg, zostawiając za sobą ostatnie w swym życiu drzwi. Stanął twarzą w twarz z tłumem oprawców.

Przeciągły ryk dziesiątków gardzieli rozdarł wieczorną ciszę. Wrzask rozszalałej nienawiści i czającego się za nią strachu był jak skowyt wilczego stada pędzącego krwawym tropem, jak warczenie tygrysa podrażnionego zbyt długim oczekiwaniem. Ale w krzyku tym Blaine wyczuł inny jeszcze ton: skargę, żałosny skowyt zaszczutego, skazanego na śmierć zwierzęcia.

Bo to oni, właśnie oni są tymi zaszczutymi, śmiertelnie wystraszonymi zwierzętami - pomyślał, spoglądając obojętnie na kłębiący się u jego stóp, w dole schodów tłum.

Przepełnieni nienawiścią, zdają sobie sprawę, że pozostał im już tylko ten krwawy i okrutny czyn. Wiedzą, że są poza głównym nurtem wydarzeń, że nie potrafili go w porę pojąć i włączyć się weń, a więc ich gatunek wymiera. Stary ład, w którym wciąż jeszcze żyją, wali się w proch, a grunt usuwa się

im spod nóg. Giną pod naporem nowego wdeptywani w błoto i kurz butami innych, nowych, lepszych ludzi przychodzących tu z przyszłości.

Mogą go oczywiście zabić. I zabijają. Tak, jak zabijali innych. Tak, jak zrobią to jeszcze nieraz. Ale ich los jest już przesądzony. Przegrali wojnę. Są martwi.

Ktoś uderzył go nieoczekiwanie w plecy. Cios zachwiał nim i Blaine'dał szybki krok do przodu. Noga nie trafiła na stopień. Upadł. Zaczął staczać się po wygładzonych setkami ludzkich stóp schodach. Stoczył się na sam dół, prosto w objęcia czekającego tam, rozjuszonego tłumu, który zamknął się natychmiast nad nim. Gąszcz rąk, niczym macki gigantycznej ośmiornicy, wyciągnął się w jego stronę. Ludzie zaczęli go szarpać, kopać, poszturchiwać, a potem bić. Owiał go wstrętny, cuchnący odór ich oddechów.

Czyjeś ręce uniosły go w górę postawiły na nogi i miały między sobą jego na wpół bezwładnym ciałem. Posypał się grad dotkliwych, bolesnych uderzeń. Czyjaś pięść wylądowała na żołądku Blaine'a, inna na żebrach. Silny cios w twarz rozkrwawił mu usta.

- Pokaż nam, śmierdzący dewiacie sztukę teleportacji! - jak zza muru dobiegi go jakiś głos. - No, teleportuj się! Teleportuj ! Pokaż, co potrafisz!

Słowa te zabrzmiały w uszach Blaine'a szczególnie szyderczo. Niewielu bowiem ludzi osiadało dar autoteleportacji. Istniały osoby mogące lewitować, unosić się swobodnie w powietrzu jak ptaki inni - jak Blaine - potrafili teleportować różne drobne przedmioty inni jeszcze - te umiejętność Blaine również posiadał - potrafił teleportować swój umysł na odległość wielu lat świetlnych. Ale natychmiastowa autoteleportacja była zjawiskiem niezwykle rzadko spotykanym.

- Teleportuj się! Teleportuj się! Teleportuj się, ty cholerny , cuchnący dewiacie! - skandował tłum, niczym upiorną litanie. I śmiejąc się histerycznym, niepohamowanym śmiechem, bił i kopał swą ofiarę. Ludzie pluli na Blaine'a, szarpali...

Pokiereszowana twarz paliła nieznośnie. Zmiażdżona warga napuchła i zwisała bolesnym workiem, a w ustach rozchodził się smak krwi wymieszanej z gęstą, jak guma arabska, gorzką śliną. Całe ciało Blaine'a przeszywał ostry ból, który brał początek w brzuchu i żebrach. Bez przerwy spadały nowe ciosy, stale potęgujące cierpienie.

I nagle ponad zgiełk wybił się ostry, Przenikliwy głos:

- Przestańcie! Zostawcie go!

Tłum posłusznie cofnął się nieco, robiąc miejsce wokół Blaine'a. Zmaltretowany człowiek, słaniając się na nogach, uniósł twarz. Jak za jakimś strasznym całunem utkanym z pulsującej purpurą mgły, dojrzał twarze prześladowców: szczurze, błyszczące oczka, płaty śliny na ustach. Prawie fizycznie czuł emanujący od nich strumień głębokiej, bezgranicznej nienawiści.

Krąg ludzi rozstał się i naprzód wystąpiło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był małym niepozornym człowieczkiem o wyglądzie typowego urzędnika. Drugi - chłopem na schwał z wyrazem twarzy przypominającym minę kury szukającej w trawie dżdżownic. Trzymał on na ramieniu zwój grubej liny, której koniec związany był w zgrabny, szubieniczny węzeł.

Dwójka ta zbliżyła się majestatycznie do Blaine'a. Mały człowieczek wyjął pętlę z dłoni towarzysza i wzniosłszy sznur wysoko nad głowę, odezwał się głosem zawodowego przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Drodzy państwo. Chciałbym prosić jednak o spokój i zachowanie rozsądku. Musimy bowiem postępować przyzwoicie i godnie, jak wymaga tego powaga chwili. Wszak nie żyjemy najmniejszych uprzedzeń czy urazów do tego dżentelmena. Po prostu karząc go, piętnujemy ohydę, którą sobą reprezentuje i której jest nieodłączną częścią.

- Mów, mów Buster! - wyrwał się z brzegu Tłumu czyjś rozentuzjarmowany okrzyk. Człowieczek uciszył go ruchem ręki. I ciągnął dalej, wykrzywając szyderczo twarz.

- To smutny, ale i poważny obowiązek. Powiem więcej : to nasz

najświętszy obowiązek. Pozwólcie więc państwo, że my dwaj, w waszym i swoim imieniu, zajmiemy się tym człowiekiem. Zajmiemy się w sposób nader przyzwoity i skuteczny.

- Yeah! - zawył tłum. - Powiesić skurwysyna!

Wyższy mężczyzna odebrał pętlę z ręki Bustera i przełożył ją delikatnym, wręcz pieszczotliwym ruchem przez głowę Blaine'a, któremu sznur zatrzymał się na ramionach. Olbrzym zaczął powoli zaciskać pętlę, aż węzeł dotknął szyi ofiary.

Lina była nowa i szorstka. Paliła skórę skazańca niczym rozpalone do czerwoności żelazo. Zetknięcie z szorstkim sznurem wyzwoliło w Blaine'u energię, odeгнаło całe odrętwienie i apatie. W pełni świadom swego losu, stał zimny i pusty wewnątrz na progu zbliżającej się wieczności. Oto teraz, wraz z dotykiem tego szorstkiego sznura, uświadomił sobie z przerażającą jasnością, że śmierć nadchodzi wielkimi krokami, że narzędzia kaźni są gotowe, że ma na szyi pętla. A ludzie, których nie zna, których nigdy nie widział na oczy, mają mu odebrać życie.

Chciał unieść dłonie, uchwycić linę i zedrzeć ją z szyi. Ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa: jak sparaliżowane zwisały nieruchomo wzdłuż tułowia. Przełknął z wysiłkiem ślinę, by usunąć dręczące, okropne uczucie duszności, które dręczyło go, pomimo że lina nie była jeszcze napinana przez oprawców. Zrobiło mu się zimno. Chłód ogarniał coraz rozleglejsze partie ciała.

To był strach, który ścisnął go lodowymi kleszczami, mroził krew w żyłach i rozsadzał zimnem czaszkę. Blaine nie krzyczał tylko dlatego, że język miał zbyt sztywny zbyt zdrętwiały a gardło zbyt ściśnięte na to, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Krzyk rozsadzał go jednak od środka. Narastał w nim ów okropny głos, który - nie znajdując ujścia - dusił.

Był pewien że zbliża się krytyczny moment, gdy on cały jego czaszka i zamknięty w niej mózg, rozsądzone tym potwornym ciśnieniem, rozbryzną się na tysiące kawałków

I w tej chwili nastąpiła sekunda straszliwego rozszczepienia - chwila wypełniona nie ciemnością, nie oślepiającym blaskiem, lecz dziwną bezświadomością. I oto on, Shepherd Blaine, stał samotnie w tym samym miejscu, lecz nie czuł już ani zimna, ani strachu.

Stał na wysypanej rozdrobnioną cegłą ścieżce, która prowadziła do budynku sądowego i biura szeryfa. Z szyi wciąż jeszcze zwisał mu sznur. Lecz na dziedzińcu nie było nikogo.

Był sam w pustym mieście.

. 11 .

Było jaśniej, a wokoło panował nieopisany spokój. Nie było trawy.

Nie było drzew.

Ludzie zniknęli.

Nie było nawet śladu człowieka.

Trawnik przed budynkiem sądowym był teraz pustą, gołą przestrzenią, sięgającą aż po asfaltową jezdnię. Trawa już nie rosła. Pozostał tylko piasek, ziemia i kamienie.

Zupełny brak trawy. Jak gdyby nigdy jej tu nie było. Jakby nigdy nie istniało nic takiego jak trawa.

Zapomniawszy o zwisającym mu ciągle z szyi sznurze, Blaine wodził osłupiałym wzrokiem. Wszędzie tak samo. Budynek sądu, jak wymarły, piętrzył się nieruchomą, posepną bryłą, ulica była pusta, przy krawężnikach stały zaparkowane auta, a witryny sklepowe i okna mieszkań tworzyły rzędy ciemnych prostokątów. Na rogu, obok zakładu fryzjerskiego, dostrzegł jedyne drzewo: martwe i uschnięte.

Toż to martwy świat - myślał zdumiony Blaine jestem w martwym świecie. Nie ma tu śladu życia; śladu człowieka, śladu ptaka, psa, kota. Nawet bakterii czy mikroba.

Ostrożnie, jakby bał się nieopatrzynym ruchem zdjąć czar, Blaine uniósł w górę ręce i rozluźnił pętlę, następnie zsunął ją zręcznie przez głowę i cisnął na ziemię. Zaczął lekko masować palącą szyję. W skórze pozostały drobniutkie kawałki włókna, które drażniły teraz zaczerwienione ciało, sprawiając dotkliwy ból.

Wysunął nogę do przodu i zrobił pierwszy, ostrożny krok. Mógł się w miarę swobodnie poruszać. Jakkolwiek w każdym calu swego ciała czuł ostatnie dramatyczne przejścia. Wyszedł na ulicę i przystanął na środku Jezdni. Baczenie rozejrzał się wokół. Wszędzie panowała głucha cisza, a ulica

w zasięgu wzroku Blaine'a była pusta.

Słońce już zaszło. Powoli nadchodził zmrok.

Zachód słońca! - pomyślał. A więc musiałem cofnąć się w czasie.

Stał bez ruchu na środku ulicy, zaskoczony właściwie tym swoim zdumieniem: powinien bowiem zdawać sobie sprawę z tego, co zrobił.

Bo doskonale przecież wiedział! Bezsprzecznie dobrze wiedział, czego dokonał. Jakkolwiek uczynił to bezwiednie, bez udziału świadomości, wręcz instynktownie - dokonał tego, by ująć przed niebezpieczeństwem.

Nie potrafił wyjaśnić, jak to zrobił. Wszak jeszcze przed minutą pomyśł taki nawet nie zaświtałby mu w głowie. Było to po prostu niemożliwe, sprzeczne z naturą człowieka. Tego nie uczyniła dotąd żadna ludzka istota. Nikomu z ludzi nawet nie śniło się próbować takiej sztuczki.

Przemieścił się w czasie, uciekł w przeszłość. Sądząc po położeniu słońca, cofnął się o jakieś pół godziny.

Stojąc wciąż na środku ulicy, próbował zrozumieć lepiej, co właściwie zaszło, w jaki sposób dokonał tego niesłychanego przeskoku w czasie. Ale jedyne, co pamiętał, to rosnące przerażenie, napływające coraz potężniejszymi, dławiącymi falami.

Istniało jedno tylko wytłumaczenie: dokonał czegoś, do czego w gruncie rzeczy zawsze był predysponowany, chociaż nigdy nie podejrzewał że stać go na taki wyczyn. Samo przemieszczenie się w czasie było już tylko kwestią instynktownego wysiłku, tak jakby odruchowym machnięciem ręki sparował cios przeciwnika.

Z drugiej strony jednak, dla niego jako istoty ludzkiej, taki przeskok był rzeczą absolutnie niewykonalną. Ale mógł być możliwy dla obcego umysłu. Musiał więc dokonać tego za pośrednictwem Różowej Istoty gnieźdzącej się w jego mózgu.

Lecz wydawało się, że obcy na dobre opuścił Blaine'a. Człowiek rozpoczął długi i systematyczny przegląd najtajniejszych zakamarków swego umysłu, ale nie trafił na intruza. Wzywał obcego, wołał. Bez skutku.

Odwrócił się na pięcie i trzymając się cały czas środka jezdni, ruszył do przodu przez widmowe miasto przeszłości.

Cmentarzysko pomyślał, wstrząsany mimowolnym dreszczem. Cmentarzysko przeszłości. Nic. Śladu życia. Tylko śmierć, goły kamień i cegła. Glina i drewno.

Ale gdzież podziało się życie?

Czemu przeszłość jest martwa?

I co stało się z obcym który na odległej planecie wymienił z nim świadomość?

Ponownie zaczął szczegółową penetrację swego umysłu. Bez rezultatu. Obcego nie znalazł. Natknął się jednak na ślad: drobny, krety trop wiodący w najgłębsze otchłanie świadomości. Znalazł to, co po obcej istocie pozostało: dziwaczne i chaotyczne wspomnienia urwane, nie związane z niczym, niewiele mówiące informacje: bezładne, unoszące się w przestrzeniach jego jaźni - jak bura piana wymieszana z odpadkami unosi się na falach morskiego przypływu.

Obcego nie znalazł, lecz wiedział z całą pewnością, że Różowa Istota wcale go nie porzuciła nie odeszła, lecz przeciwnie - pozostała w nim, zlewając się z Blaine'em z jedną nierozłączną całość. W skomplikowanej mieszaninie strachu, przerażenia i niebezpieczeństwa istniał widać współczynnik, który umożliwił to zjednoczenie się dwóch odrębnych umysłów.

Był ciągle istotą ludzką. Czuł to każdą komórką swego ciała, każdym neuronem mózgu. Czyżby więc świadomość zjednoczenia dwóch obcych sobie struktur umysłowych miała okazać się tylko złudzeniem? Nie, z pewnością nie. A to już był czysty absurd. Gdyby był zlepkiem dwóch świadomości, gdyby był w połowie tylko człowiekiem, a w połowie obcym czułby to. Czułby różnice.

Handlowa część miasta skończyła się i Blaine dotarł na przedmieścia. Zatrzymał się, by rzucić ostatnie spojrzenie na miasteczko, którego

mieszkańcy przed niespełna trzydziestoma minutami (a może za pół godziny?) zamierzali go zlinczować.

W gęstniejącym mroku dostrzegł zarys budynku sądowego. Widok ów przypomniawszy mu że w szufladzie biurka szeryfa pozostawił wszystkie swoje rzeczy Wahał się chwile, czy nie wrócić po nie. Szczególnie chodziło mu o pieniądze, bez których dalsza podróż mogłaby się okazać nader kłopotliwa.

Gdybym wrócił, mógłbym zabrać przy okazji jeden z tych samochodów, zaparkowanych w miasteczku - pomyślał. W razie braku kluczyków poradziłby sobie łatwo, powodując w zapłonie krótkie spięcie. O tym jednak powinien był pomyśleć wcześniej, tam, w miasteczku. Widział wszak beuzytecznie stojące auta, czekające tylko na zabranie jednego z nich.

Nie zwlekając zawrócił, kierując się ponownie w stronę miasta. Szybko jednak zmienił zamiar. Nie, za żadne pieniądze, za żaden samochód, za żadne skarby nie odważy się tam powrócić. Nie istniała na całym świecie rzecz, dla której wróciłby tam.

Zmierzch szybko zapadał i Blaine, już bez dalszej zwłoki, ruszył przed siebie, kierując się cały czas na północ. Szedł szybkim, długimi krokami, które odbijały się lekkim, dźwięcznym echem od zniszczonej nawierzchni drogi.

Opuścił już miasteczko i posuwał się pośród pól; ich pustka pogłębiała jeszcze poczucie opuszczenia i samotności. Widmowe rzędy słupów telegraficznych wzdłuż szosy i gęszcz całkowicie uschniętych krzewów bawełny rozprzestrzeniających się wzdłuż płynącego w dół doliny potoku wzmogły jeszcze to przygnębienie. A wokół była tylko odarta z trawy i porostów ziemia. I tylko wiatr zawodził cicho wśród tej pustyni.

Robiło się coraz ciemniej. Wszedł księżyc, jak srebrne, popstrzone ciemnymi lamami zwierciadło, które odbija w swym sinawym wnętrzu wyschniętą, obumarłą powierzchnię ziemi.

Przez potok był przerzucony wątki mostek zbudowany z nierównych, szorstkich desek. Blaine postanowił przy nim trochę odpocząć. Odwrócił się i

obserwował beznadziejny krajobraz wymarłej planety. Najlżejszego ruchu, błysku światła, śladu życia. Na wzgórzu ponad potokiem majaczyły tylko ruiny jakiejś zapomnianej farmy - obora, zabudowania gospodarskie i budynek mieszkalny.

Blaine stał w mroku, chciwie wciągając w płuca chłodne powietrze, które zdawało się być równie martwe jak świat. Nieruchome, bez zapachu, bez smaku.

Wyciągnął bezwiednie rękę, by oprzeć się o poręcz mostku. Lecz dłoń, nie natrafiając na żaden opór, przeszła przez drewno jak przez powietrze. Nie istniały żadne deski. Żaden most nie istniał naprawdę.

Jak oparzony cofnął dłoń. Przemógł się jednak i postanowił ponownie dotknąć poręczy. Przekonywał sam siebie, że poprzednio było to wyłącznie złudzenie spowodowane zwodniczym światłem księżyca, że po prostu nie trafił ręką w poręcz mostu.

Powolnym, starannie odmierzonym ruchem wyciągnął rękę.

Palce znów przeniknęły przez deski.

Odskoczył gwałtownie kilka kroków wstecz. Oddychał ciężko. Było to nieprawdopodobne. Nieprawdopodobna fatamorgana, ułuda, duch zagradzający dalszą drogę. Gdyby nie zmęczenie, które zmusiło go do odpoczynku w tym właśnie miejscu, próbowałby przejść po moście i w rezultacie, stoczył się do rzeki.

Czyżby wszystkie te wyschnięte drzewa, te słupy stojące rzędami wzdłuż drogi, ta farma na wzgórzu, wszystko, co go otacza, miało być również złudzeniem?

Stał jak wrośnięty w ziemię, a pod czaszką kołatała mu tylko jedna myśl: czy cały otaczający go świat jest tylko cieniem? Ogarnięty bezrozumną irracjonalną trwogą stał nieporuszenie, bojąc się nawet głębiej odetchnąć, jakby niebacznym ruchem mógł zburzyć stan jakiejś wątłej równowagi, w jakiej utrzymywał się jeszcze ten kruchy i nierealny świat. Równowagi, która raz ruszona runęłaby przemieniając czas i przestrzeń w pył i nicość.

Ale ziemia pod stopami była jak najbardziej materialna. Zdesperowany Blaine tupnął lekko nogą, potem jeszcze raz - mocniej. Twarda, zwykła ziemia. Ostrożnie schylił się ukląkł i rozpostarłszy ręce, zaczął macać wokół siebie. Rozgarniał ciekawą warstwę kurzu, naciskał opuszkami twarde, kamieniste podłoże, przesiewał między palcami piasek, jakby chciał zbadać gęstość ziemi, poznać, na ile jest ona rzeczą realną. To jakiś obłąd. Chyba oszalałem - dudniła mu pod czaszką natarczywa myśl. Szedł przecież drogą i ta wcale nie zniknęła pod ciężarem jego ciała, pod uderzeniami jego obcasów. Była twarda, jak najbardziej materialna i zwykła. Aż tu nagle ten piekielny most.

I przestał być pewien czegokolwiek. Świat, w którym już dość długo żył, okazał się raptem miejscem, gdzie nie obowiązywały już dłużej żadne niezmiennicze prawa. Zmuszał on do formułowania, cudacznych, najbardziej niedorzecznych sądów w rodzaju: drogi istnieją, a nie mosty nie.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Istniał inny istotny szczegół: w tym świecie nie istniało życie. Ów świat był martwy.

To wszystko, co go otaczało, było przeszłością, martwą przeszłością. Tu spotykało się wyłącznie zwłoki, a jeszcze ściślej - ich cienie. Wszystkie uschnięte drzewa, słupy telegraficzne, zabudowania na wzgórzu, mosty - to tylko cienie, niematerialne odbicia. Nigdzie tu nie istniało życie. Pulsowało daleko w przodzie, w przyszłości. Życie bowiem przejawiać się może wyłącznie w jednym, jedynym punkcie czasu i wraz z tym czasem posuwać się do przodu. Dlatego też Człowiek - myślał Blaine porzucił mrzonki o podróżach w przeszłość i aktywnym życiu pośród ludzi, którzy - w rzeczywistości - są już tylko cieniem i prochem. Dlatego też nie istnieje żywa i realna przeszłość. Przeszłość może funkcjonować wyłącznie w zapisach: na taśmach filmowych i dźwiękowych, na płytach. Egzystencja może trwać tylko w punkcie czasowym zwanym terażniejszością. Posuwa się do przodu, idąc krok w krok z czasem terażniejszym. Gdy terażniejszość mija, wszelkie ślady życia bledną, giną, umierają.

Prawdopodobnie istnieją rzeczy podstawowe, jak na przykład sama Ziemia, która istnieje konkretnie w każdym punkcie czasoprzestrzeni, stanowiąc zarazem pewien specyficzny, choć ograniczony, rodzaj wieczności. Ona jest dopiero podstawą wszystkiego innego. Wytwory ludzkie pozostają natomiast w przeszłości wyłącznie cieniami. I nimi są właśnie te słupy telegraficzne z rozpiętymi drutami, most, krzaki, drzewa, zrujnowana farma. Są widmowym reliktem teraźniejszości w przeszłości.

Z chwilą upływu czasu obecnego stają się martwe, zostaje im odebrana możliwość aktywnego istnienia. Gdyż każda rzecz, każdy przedmiot, każda istota ograniczona jest swoim czasem i przestrzenią i potem może istnieć już tylko jako długi, coraz dłuższy, rozciągający się w nieskończoność cień.

Blaine'owi przebiegł po plecach dreszcz, gdy uświadomił sobie, że jest jedyną żyjącą istotą w tym świecie. Tylko on. On i nikt ani nic więcej.

Podniósł się z kolan i otrzepał dłonie z kurzu. Stał długą chwilę spoglądając w zamyśleniu na most, obejmując spojrzeniem krajobraz martwego świata. I choć wszystko to sprawiało wrażenie realnego świata, Blaine doskonale zdawał sobie sprawę, że jest inaczej.

Wpadłem w pułapkę bez wyjścia - pomyślał. Nie miał bowiem najmniejszego pojęcia, jak wydostać się z tego świata przeszłości. I nie istniało nic - żadne ludzkie doświadczenie ani wiedza - co umożliwiłoby mu powrót do właściwego czasu. Tkwił w potrzasku.

Stał na drodze, zastanawiając się, ile jeszcze pozostało w nim człowieczeństwa, na ile jest jeszcze istotą ludzką. Bo jeśli nie jest już człowiekiem - lub jest nim tylko w połowie, a pozostałą jego część stanowi obca istota - to w takim przypadku ma szanse wydostania się z matni.

Osobiście czuł się człowiekiem. Lecz zapytywał siebie w duchu, czy istnieje jakikolwiek sposób, by się o tym przekonać, by pewności tej nie czerpać wyłącznie z subiektywnych odczuć. Bo przecież fakt, że czuje się samym sobą, nie przeczy wcale temu, że jest kimś zupełnie obcym. Mógł być człowiekiem, mógł być pół-człowiekiem, mógł być zgoła ową Różową

Istotą lub kimś całkiem innym jeszcze, a jednocześnie czuć się sobą. Nie, zdecydowanie nie istniał sposób, by się przekonać kim jest w rzeczywistości. Nie było żadnego obiektywnego punktu odniesienia, dzięki któremu można by rozstrzygnąć nurtujący go problem.

On (lub ktoś, kim naprawdę jest) zna sposób, by w chwili przerażenia i paniki przemieścić się w czasie. Z tego wynika logicznie, że powinien również znać sposób powrotu do punktu, w którym życie jest możliwe.

Istniała jednak twarda rzeczywistość: nie ma pojęcia jak tego dokonać!

Rozejrzał się rozpaczliwie po pustych polach zalanych zimnym, księżycowym blaskiem i poczuł ogarniające go dziwne drzenie. Próbował zapanować nad nim, bo wiedział już, że za chwile popadnie w ów, tak już sobie dobrze znany, stan niepoohamowanej trwogi. Nie potrafił jednak zawładnąć sobą i tym okropnym, przenikającym go dygotem.

Zacisnął zęby natężając wole do ostatecznych granic, ale obrzydliwy dygot narastał w nim, potężniał, targał jego ciałem, jego umysłem. Aż nagle, bez żadnego przejścia, pojął, że już wie jak wydostać się z przeszłości, powrócić do świata teraźniejszego. Drzenie ustało.

Wiatr szumiał pośród gęstego listowia krzaków bawełny, w trawie i zaroślach grały świerszcze, plamki zielonkawego światła znaczyły drogę robaczek świętojańskich, a z wykoślawionych drzwi na wpół zrujnowanej farmy na wzgórzu wymykał się wąski strumień światła. Blaine znów był sobą.

Szybko zbiegł z drogi, przekroczył potok brodząc po kostki w wodzie i wyszedł na drugi brzeg. Zasył się w gęstych zaroślach bawełny. Powrócił. Powrócił do swego czasu. Przemieścił się z przeszłości w teraźniejszość. I dokonał tego sam. Po prostu w pewnej chwili, na przeciąg najdrobniejszego ułamka sekundy, znał sposób i wiedział jak tego dokonać. Ale teraz nie potrafił już powiedzieć jak.

Lecz to nie było takie istotne. Powrócił bezpiecznie do domu.

. 12 .

Zbudził się w gąszczu krzewów bawełnianych. Był wczesny świt, niebo dopiero różowiało, a ptaki wszczynały swój pierwszy harmider. Zaraz, gdy tylko otrząsnął sen z powiek, Blaine podkraść się do ogrodu przylegającego do farmy na wzgórzu, skąd zabrał trzy kolby kukurydzy, wykopał kilkanaście kartofli, a z pobliskiej plantacji mięsnej cztery befsztyki.

Przez nikogo nie nagabywany powrócił do swej kryjówki. Złożył łup na ziemi i sięgnął po kartonik zapalek, które szeryf pozwolił mu zabrać do celi. Wewnątrz pozostały jeszcze trzy. Dłuższą chwilę spoglądał na trzymany w dłoni przedmiot, wspominając ów dzień sprzed lat, gdy jako skaut zdawał egzamin z zapalania ogniska za pomocą jednej tylko zapalniczki. Był ciekaw, czy i teraz potrafi jeszcze dokonać tej sztuki.

Nazbierał grubszych patyków czyniąc z nich trzon ogniska. Pod spód włożył parę garści wyschniętych na wiór liści. Wybrał kilkanaście suchych, cienkich gałązek i położył je obok miejsca gdzie miał płonąć ogień. Na samą górę wybrał duże; najbardziej wysuszone kawałki drewna. Ognisko musi być bezdymne...

Drogą przejechał z szumem silników pierwszy tego dnia samochód. Gdzieś w oddali ryczała krowa.

Zużył dwie zapalniczki. Ostatnią pieczołowicie schował do kieszeni. Pojawiły się pierwsze, wątle jeszcze języczki ognia. Dokładał cienkie, suche gałązki - jedną za drugą - potem większe patyki, a gdy ogień już rozrósł się, ułożył na wierzchu grube polana. Stos palił się równym, bezdymnym płomieniem. Teraz Blaineowi wypadało tylko cierpliwie czekać aż wytworzy się odpowiednia ilość żaru. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz na całej wschodniej stronie nieba płonęły już zorze. Na razie jednak panował jeszcze przenikliwy chłód. Poniżej, w kamienistym korycie, szumiał potok. Blaine wpatrzony w

błękit nieba oddychał głęboko, sycąc się wonnym, orzeźwiającym powietrzem poranka.

Żył, wymknął się prześladowcom i zgotowanej przez nich kaźni, miał co jeść, miał czym napełnić brzuch. Ale co dalej? Pieniądze oraz wszystkie drobiazgi, jakie posiadał, zostały u szeryfa i tak naprawdę nie miał nic z wyjątkiem jednej, jedynej zapałki i ubrania na sobie. Poza tym posiadał umysł, ale ten w każdej chwili mógł go zdradzić. Umysł, który ta stara jędrza nazwała lustrem odbijającym obce myśli. Wystarczy, by w pobliżu pojawił się byle szperacz czy lokalizator, a Blaine będzie zgubiony.

Istnieje, co prawda, wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Może podróżować nocą, w dzień natomiast spać w jakimś ukryciu. W takim przypadku, Blaine byłby stosunkowo bezpieczny, gdyż z chwilą zapadnięcia zmroku, ludzie barykadują się w domach. Jadłby to, co ukradnie w sadach i ogrodach. W ten sposób może ocalić życie, a jednocześnie posuwać się do przodu względnie bezpiecznie. Nie było to jednak rozwiązanie najszcześniejsze. Wędrówka bowiem trwałaby wiele dłużej, a bardzo mu zależy na czasie. Musi więc - postanowił - poszukać innego rozwiązania.

Ognisko płonęło wesoło jasnym i bezdymnym ogniem. Dołożył więcej drewna i ześlizgnął się stromą skarpą na brzeg strumienia. Tam położywszy się płasko na brzuchu, zaczął pić drobnymi łykami zimną, kryształowo czystą wodę.

Czy przypadkiem nie popełniłem błędu uciekając od Fishhooka? - kolejny raz z rzędu zapytywał samego siebie.

Bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sytuacja w jakiej się obecnie znalazł, jest o wiele trudniejsza niż los, jaki czekałby go tam, w Meksyku.

Leżał na brzuchu wpatrując się tępych wzrokiem w wodę i w kamyki zalegające dno strumienia, Wpadł mu w oko jeden z nich - śliczny, czerwony otoczek lśniący jak wypolerowany rubin. Blaine skupił na nim swoją uwagę i nagle ujrzał całą strukturę krystaliczną minerału, znał jego pochodzenie, był w stanie powiedzieć, co działo się z nim przez minione tysiąclecia.

Zaintrygowany przeniósł wzrok na inny odłamek skalny mieniący się srebrzyście drobinami kwarcu...

**To przechodziło
wszelkie pojecie!
Była to rzecz, której nigdy
dotychczas nie dokonał.
Ani on, ani nikt!**

A tutaj nagle okazuje się, że stać go i na to. Zupełnie, jakby to była naturalna zdolność człowieka! Jakby nie było w tym nic zdumiewającego!

Gwałtownym ruchem, jakby otrząsając się z niespokojnych myśli, uniósł się i kucnął nad potokiem. Nie był przestraszony, raczej zaintrygowany. Poza tym czuł się sobą i kwestia, kim naprawdę jest i jaki jest faktyczny zakres jego możliwości, przestała go zupełnie zajmować. Był po prostu sobą i stać go było na to, na co go stać.

Podjął kolejną próbę odnalezienia obcego pod czaszką. Pomimo że nie natrafił na jego bezpośredni ślad, zdawał sobie sprawę, że gdzieś tam, w najgłębszych zakamarkach jego jaźni, obcy był. Czuł go, czuł jego obecność wraz z całym tym dziwacznym bagażem bezsensownych wspomnień, fantastycznych i absurdalnych zdolności, ze zwariowaną logiką i cudaczną skalą wartości.

Oczyrna umysłu widział Blaine dziwne korowody purpurowych figur geometrycznych kołyszących się płynnym, monotonnym ruchem ponad szczerozłotą pustynią. Widział oślepiająco błękitne niebo z krwisto czerwoną Kulą jakiegoś obcego słońca. I tylko te chwiejne figury ciągnące się hen, po horyzont. I nic więcej poza nimi, poza pustynią, niebem i słońcem. Jednocześnie w jakiś niepojęty sposób znał koordynaty owego fantastycznego miejsca w kosmosie, wiedział, co ono oznacza, mógł w każdej chwili dostać się w ten rejon wszechświata. Trwało to ułamki

sekundy. Po chwili krótkiej jak mgnienie oka wszystko to wymazało się ze świadomości człowieka.

Blaine powstał wolno; wdrapał się z powrotem na skarpę i zniknął w zaroślach. Ognisko powoli wygasało, pozostawiając dużą ilość żaru. Rozgrzebał patykami amarantowe węgle i włożył w nie kukurydzę i kartofle. Nakrył je grubą warstwą rozpalonych głowni, na wierzch położył kilka polan, a następnie zerwał zieloną gałązkę. Oczyściwszy ją z liści zrobił rodzaj prymitywnego rożna, na które nadział befsztyk. Zaczął powoli smażyć mięso nad ogniem.

Skulony przy ognisku, w miłym cieple żaru, grzejącym twarz i dłonie poczuł nagły przyływ optymizmu i wiary w przyszłość. Były to odczucia zupełnie nie na miejscu w sytuacji, w jakiej się znajdował. Ale odnosił nieodparte wrażenie, że potrafi czytać przyszłość, a ta z kolei jawiła mu się w jasnych barwach. Nie, nie było to jasnowidzenie. Istnieli intuicjoniści, którzy potrafili rozszyfrowywać przyszłość, jasnowidze, którzy ją widzieli, ale on, Blaine, nigdy kimś takim nie był. On, w tej chwili, miał wyłącznie pewność, najgłębsze przekonanie, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu finałowi. Owe wizji Blaine a brakowało jednak charakterystycznych szczegółów rozpoznawanej przyszłości. Sama pewność, coś, co można przyrównać jedynie do starodawnych przewidywań, przecucie nadchodzących wydarzeń i nic ponadto.

Befszyk skwierczał na ogniu, wokół rozchodziła się woń pieczonych w popiele ziemniaków i Blaine czuł napływającą do ust ślinkę. Świat zdawał się mu piękny, a życie pełne uroku. A przecucie podpowiadało, że wszystko potoczy się pomyślnym torem.

Przypomniał sobie Daltona, z ogromnym zaślinionym cygarem w kąciku ust, wściekającego się na myśl o plantacjach mięsnych Jego zdaniem były one symbolem, wręcz synonimem, złej woli i bezczelności Fishhooka. Blaine starał się przypomnieć sobie planetę, z której sprowadzono na Ziemię plantacje mięsne. Nie pamiętał jednak jej nazwy ani nazwy jej słońca,

jakkolwiek miał je na końcu języka.

Plantacje mięsne! - pomyślał. I tyle innych rzeczy. Ileż Ziemia zawdzięcza Fishhookowi, ile wynosi jego rzeczywisty wkład, gdyby komuś chciało się to wszystko podliczyć?

Choćby medycyna! Nowy zestaw leków przyniesionych tu z najdalszych gwiazd radykalnie zmniejszył liczbę chorób nękających Człowieka, stając się rękojmią ich całkowitego wyłączenia.

Nowe technologie, nowe metale, nowe środki spożywcze. Nowe rozwiązania architektoniczne i materiałowe, rewelacyjne kosmetyki, nowe prądy w sztuce i literaturze. No i - rzecz jasna - dimensino: nowy szzał, nowa religia. Dimensino, które zastąpiło radio, telewizję, kino, książki.

W dimensino nie tylko oglądasz i słuchasz, ale przede wszystkim uczestniczysz, identyfikujesz się z jedną lub kilkoma wybranymi postaciami.

Prawie w każdym domu był pokój z dimensino podłączonym do aparatury przenoszącej te dziwne, obce impulsy, dzięki którym wchodziło się w daleki od codziennego życia świat. W świat dzikich przygód, egzotycznych miejsc i fantastycznych sytuacji.

A monopol na to wszystko - na fabryki, na żywność, na plantacje mięsne i dimensino - posiadał wyłącznie Fishhook.

I dlatego też świat i ludzie nienawidzą Fishhooka - myślał z goryczą Blaine. Nienawidzą go za własną ignorancję, głupotę i przesady, za to, że są na uboczu, nienawidzą za pomoc i dary, które im przyniósł.

Befsztyk był gotów. Blaine rozgarnąwszy ostrożnie żar, wyciągnął ze środka gorące kartofle i kolby. Gdy tak siedział z nogami po turecku i jadł śniadanie, weszło słońce. Odeгнаło przenikliwy chłód, wypełniło wszystko ruchliwym, połyskliwym blaskiem, jakby świat świeżym oddechem witał kolejny, budzący się dzień. Pierwsze promienie przedarły się przez liście, lśniąc na nich setkami barw jak na złocistych płatkach. Zewsząd napływały dźwięki zaczynającego się dnia: gwizd czajnika w kuchni na farmie, szum samochodów na drodze, odległy huk lecącego w chmurach samolotu.

Na szosie poniżej mostku pojawiła się sunąca od strony miasteczka ciężarówka z wielką blaszaną budą. Przed samym mostem silnik zakrzusił się, samochód szarpnął kilkakrotnie i pojazd stanął. Z szoferki wyskoczył mężczyzna i niepewnym krokiem podszedł do maski auta. Podniósł klapę i znikł pod nią, do połowy zanurzony we wnętrzu silnika. Po dłuższej chwili wyprostował się, zeskoczył z błotnika i wrócił do szoferki. Szukał czegoś pod siedzeniem. Gdy ponownie stanął na drodze, dźwigał dużą torbę z narzędziami. Postawił ją na błotniku, otworzył i zaczął wybierać ze środka odpowiednie klucze.

Ciężarówka była starym gratem o spalinowym silniku, ale dla zwiększenia mocy przy kołach zainstalowano dodatkowo niewielki motorek odrzutowy. Tego typu wehikułów spotykało się już bardzo niewiele. Przeważnie zalegały składnice złomu.

Prywatny kierowca - pomyślał Blaine. Był to jeden z tych prywaciarzy, którzy utrzymują się z najwyższym co prawda trudem - na powierzchni życia, tylko dzięki niskim cenom swych usług; wielokrotnie niższym od cen, jakich żądały wielkie, nowoczesne przedsiębiorstwa transportowe.

Na starej i wyblakłej, odpadającej wielkimi płatami farbie, którą była pociągnięta szoferka, zostały wymalowane świeżym, jaskrawym lakierem skomplikowane symbole magiczne, mające, bez wątpienia, na celu odegnanie złych mocy.

Blaine spostrzegł, iż ciężarówka miała rejestrację Illinois.

Kierowca skończył wybieranie narzędzi i ściskając w dłoni klucze znikł ponownie pod maską wozu, skąd zaczęły dobiegać dźwięki stukania i chrzest odkręcanych, zardzewiałych śrub. Ich przenikliwy, piskliwy zgrzyt niósł się daleko ponad doliną.

Blaine skończył śniadanie. Pozostały z niego trzy kartofle i dwa befsztyki. Uniósł się ociężale i zaczął ponownie rozgrzebywać patykiem węgle, które zdążyły już szernieć. Po chwili pojawiło się kilkanaście iskier i po główniach zaczęły skakać drobne ogniki. Wówczas Blaine dołożył nieco

chrustu i grubszych polan. Gdy ogień buchnął żywym płomieniem, nabił befsztyki na rozwidloną gałąź i zaczął je ostrożnie smażyć.

Spod maski ciężarówka stale dobiegały metaliczne dźwięki i chrobot śrub. Kierowca kilkakrotnie wychylał się na zewnątrz by odetchnąć i otrzeć z czoła krople potu. Po chwili ponownie wracał do swej pracy, znikając pod maską samochodu. /Gdy befsztyki były już gotowe, Blaine włożył do kieszeni kurtki ziemniaki podniósł się z miejsca i zamaszystym krokiem zaczął schodzić w dół, w stronę samochodu. W wyciągniętej ręce, niczym chorągiew podczas bitwy, trzymał patyk z nabitymi befsztykami. Na odgłos zbliżających się kroków mężczyzna wyjrzał spod maski i skierował wzrok na Blaine'a.

- Dzień dobry-rzekł Blaine podchodząc na odległość dwóch kroków. Starał się nadać głosowi radosne brzmienie. - Właśnie kończyłem śniadanie, kiedy ujrzałem pana.

Kierowca obrzucił go przeciągłym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Zostało mi trochę jedzenia - ciągnął niezrażony Blaine - więc je odgrzałem. Sądzę, że jeszcze nic pan dzisiaj nie jadł.

- Zgadza się, nie jadłem - skinął głową szofer z wyraźnym zainteresowaniem. - Miałem nadzieję przekąsić coś w miasteczku - wykonał ręką gest, wskazując za siebie - Ale tam jeszcze wszystko pozamykane na głucho.

- W takim razie proszę - Blaine podał mu gałąź z nabitymi befsztykami.

Kierowca wziął patyk, lecz trzymał go bez ruchu w wyciągniętej dłoni, jakby bał się, że zatknięte na niej befsztyki mogłyby go ugryźć. Blaine sięgnął do kieszeni i wyjął trzy kartofle.

- Miałem jeszcze trochę kukurydzy, ale już ją zjadłem. Zresztą tylko trzy kolby.

- Znaczy się; chcesz mnie pan poczęstować?

- Oczywiście. Niech pan je. Chyba, że zamierza mi pań cisnąć tym jedzeniem w twarz.

- O, jeszcze czego! - roześmiał się kierowca. - Zjem, pewnie, że zjem. I

wielkie dzięki. Następne miasteczko znajduje się dopiero trzydzieści pięć mil stąd, a nie wiem kiedy tam dotrę tym trupem - uderzył dłonią blachę szoferki.

- Niestety, nie miałem soli - rzekł Blaine. - Ale i bez niej jest wyśmienite.

- Nie ma sprawy. Jest pan i tak miły, że...

- Proszę siadać - przerwał mu bezceremonialnie Blaine. - Niech pan siada i je, dopóki ciepłe. Z silnikiem coś nie tak?

- Nie jestem pewien. Chyba coś w gaźniku.

Blaine bez słowa zdjął marynarkę, złożył ją i obszedłszy samochód położył ją na błotniku z drugiej strony ciężarówki. Następnie schylił się i podwinął nogawki spodni. W tym czasie kierowca rozsiadł się na dużym, przydrożnym kamieniu i zaczął jeść. Blaine stał już na błotniku, gdy dobiegło go pytanie szofera:

- Gdzie dają takie jedzenie?

- Tam na wzgórzu. Farmer ma tego bardzo dużo.

- Farmer, powiada pan? - kierowca szelmowsko zmrużył oczy.

- A coś pan myślał. Skąd mam niby brać forse? Nie mogę znaleźć pracy. Nie mam nawet pieniędzy, by dojechać do domu i wlokę się na piechotę.

- A skąd pan w ogóle pochodzi?

- Z Południowej Dakoty.

Mężczyzna nic nie odrzekł. Wziął do ust ogromny kawał befsztyka i nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Żuł powoli i systematycznie.

Blaine zniknął do połowy pod maską ciężarówki. Kierowca zdążył już odkręcić śruby trzymające gaźnik. Pozostała jeszcze jedna. Nałożył na nią klucz i próbował poruszyć zardzewiały gwint. Śruba stawiała opór. Klucz chrobotał tylko na jej główce.

- Są cholernie zardzewiałe - dobiegł go stłumiony głos szofera.

Po kilku próbach gwint puścił. Dalej już śruba odkręciła się bez kłopotów. Blaine wyjął gaźnik i wynurzył się z nim na światło dzienne. Zszedł ostrożnie z błotnika i usiadł obok kierowcy, ściskając w dłoniach ciężki gaźnik.

- Handryczę się całą drogę z tym cholernym gaźnikiem - mruknął szofer. -

Przez te postoje diabli wzięli cały rozkład jazdy.

Blaine mniejszym kluczem odkręcał śruby urządzenia.

- Próbowałem jechać nocą - ciągnął kierowca. - Ale to nie dla mnie. Raz spróbowałem i mam dosyć.

- Czemu? - zdziwił się Blaine.

- Panie! - wykrzyknął mężczyzna. - Gdyby nie te znaki com je wymalował na masce, dawno bym przepadł z kretesem. Wiozę co prawda gotowy do strzału karabin, ale to do niczego, taka robota. Spróbowałby pan jednocześnie prowadzić wóz i trzymać strzelbę.

- Karabin, też coś! - roześmiał się Blaine. - Po co on panu?

- To ja coś panu powiem - z dumą w głosie odezwał się kierowca. - Jestem gotów na najgorsze. Mam pełną kieszeń srebrnych kul.

- Srebrnych kul? - wytrzeszczył oczy Blaine. - Przecież to musi kosztować majątek!

- Oo, pewnie. Ale chce być przygotowany na wszystko.

- Ba, widzę, że jesteś pan rzeczywiście przygotowany na spotkanie z samym czartem.

- Z każdym rokiem jest gorzej - ponurym głosem stwierdził kierowca. - Tam, na północy jest jeden kaznodzieja...

- Słyszałem, że nie jeden. Jest ich całe mnóstwo.

- Tak, zgoda. Ale oni wszyscy tylko gadają. Ten rzeczywiście coś robi. Przygotował zakrojoną na wielką skalę akcje, by skończyć już z tym raz na zawsze...

- No, nareszcie - sapnął Blaine odkręciwszy ostatnią śrubkę. - Zaraz zobaczymy, co tam jest w środku.

Otworzył gaźnik i zajrzał do środka.

- Widzi pan, tutaj - zwrócił się do szofera.

Kierowca pochylił się zaglądając do środka.

- Cholera, takie gówno i tyle czasu...

- Spokojnie. Za kwadransik auto będzie gotowe do drogi - odparł Blaine. -

Niech pan przyniesie puszkę oleju. Przy okazji psikniemy trochę do silnika.

- Zaraz poszukam - kierowca dźwignął się z kamienia i ruszył w stronę szoferki. Zatrzymał się w połowie drogi. Zawrócił i stanął przy Blainie.

- Nazywam się Buck. Buck Riley - rzekł wyciągając ubrudzoną dłoń.

- Blaine. Możesz mówić po prostu Shep.

Uścisnęli sobie dłonie, lecz Riley stał jeszcze niezdecydowanie, przestępując z nogi na nogę.

- Mówiłeś, że wybierasz się do Dakoty? - spytał w końcu.

Blaine skinął głową.

- Wiesz, ja już wprost wychodzę z siebie. Już nie wyrabiam - skarżył się Riley. - Nie pociągnę tak dłużej. Potrzebuje czyjeś pomocy.

- Gdybym mógł w czymś pomóc...

- Czy prowadziłbyś nocą?

- A jak, czemu nie!

- Ty byś kierował a ja czuwał ze strzelbą.

- No dobrze, ale kiedyś musimy przecież spać.

- Jakoś to urządzimy-Riley machnął lekceważąco ręką. - Najważniejsze, żeby ta buda toczyła się cały czas przed siebie. Straciłem już zbyt wiele czasu...

- Ty również zmierzasz do Południowej Dakoty? - zdziwił się Blaine. Riley pokiwał twierdząco głową.

- Więc jak, jedziemy razem? - spytał niecierpliwie, z nadzieją w głosie.

- Bez namysłu! - wykrzyknął uszczęśliwiony Blaine. - Dobijała mnie świadomość, że całą drogę muszę przebyć na własnych giczołach.

- Ale to będzie kawałek ciężkiej roboty, ostrzegam. Oczywiście nie za darmo...

- Zapomnij o pieniądzach. Ja po prostu wściekle chce jechać.

. 13 .

Żeby przebyć kraj z południowego zachodu na północny wschód przemierzali ogromne, na wpół górzyste, na wpół pustynne przestrzenie. Podróżowali dzień i noc, lecz za kierownicą spędzali zaledwie połowę tego czasu. Ciężarówka była jedną wielką stertą złomu i mnóstwo czasu zajmowały im ciągle utarczki z oporną maszyną; to z silnikiem, to ze starymi, popękanymi oponami, to znów z wałem rozrzędu czy podwoziem. Tak więc, mimo iż przebyli już szmat drogi, cel wciąż był jeszcze daleki.

Ponadto szosa była fatalna. Jej nawierzchnia, jak zresztą wszystkich dróg na świecie, była nierówna, popękana, pełna dziur i kolein. Cały ruch opierał się bowiem na nowoczesnych, atomowych poduszkowcach, które wcale nie dotykały podczas ruchu powierzchni drogi. Gładkie, twarde autostrady przestały więc być potrzebne i nikt już nie troszczył się o jakość ich nawierzchni.

Podróż po zdewastowanych drogach stanowiła więc surowy egzamin dla zużytych - starych i dziurawych - opon ciężarówki Rileya. Nowych nie mogli nigdzie dostać z tego prostego względu, że opony również dawno już wyszły z użycia i trzeba było mieć naprawdę dużo szczęścia, by trafić na nie w jakimś magazynie.

Innym utrapieniem była benzyna. Od blisko pięćdziesięciu lat nie istniały również. stacje obsługi w których można było zaopatrzyć się w paliwo, którego samochody o napędzie nuklearnym nie potrzebowały. W poszukiwaniu więc gazołiny, Blaine i Riley tracili wiele cennego czasu, buszując w mijanych miasteczkach po sklepach i magazynach rolniczych. Tam tylko istniała bowiem szansa zakupu benzyny, wciąż jeszcze używanej jako napęd ogromnych maszyn rolniczych wyposażonych w tradycyjne silniki spalinowe.

Sypiali gdzie się nadarzyło. Jedli podczas jazdy; przeważnie sandwicze i smażone na tłuszczu pączki, kupowane w przydrożnych motelach. Kawę pili z blaszanego kociołka, który Riley wiozł ze sobą.

- Nigdy nie podjąłbym się tego kursu - mówił Riley - a jest on wyjątkowo korzystny finansowo, a ja powiem ci szczerze - okropnie potrzebuje pieniędzy.

- Z pewnością zarobisz tyle, ile chcesz - uspokajał go Blaine. - Złapiemy kilka dni opóźnienia, lecz nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie.

- Żeby mi tylko pozostało coś z tego gruchota - Riley klepnął w ściankę szoferki. - Musze czymś wrócić.

- Z tym może być gorzej - roześmiał się Blaine. - Nie wydaje mi się, aby po tej wycieczce był on zdalny do czegoś więcej poza wyrzuceniem na złom.

Riley wytarł twarz spłóviałą chusteczką, niegdyś w bajecznym kolorze tureckiej czerwieni.

- Już nie chodzi mi tylko o samochód i całą tą pieprzoną robotę. To ja sam jestem już kompletnie zużyty od środka.

Riley był śmiertelnie wystraszony, a strach - Blaine dostrzegł to natychmiast - przeniknął go do głębi, do szpiku kości.

Nie są to - mówił do siebie Blaine spoglądając na szofera - zwykłe emocje człowieka bojaźliwego, wylęknionego, czy zmęczonego całym pasmem niepowodzeń życiowych i złem, które go w życiu spotkało.

Dla Blaine a Riley był czymś nowym. Dziwacznym okazem człowieka wyjętego wprost ze średniowiecznego muzeum. Panicznie bał się ciemności i zamieszkujących je, wyimaginowanych dziwadęł i potworów, którymi sam zaludniał nocne mroki. Był człowiekiem, który pokładał całą swą ufność i nadzieje w magicznych malowidłach na masce samochodu i w strzelbie naładowanej srebrnymi kulami. Blaine wielokroć słyszał o ludziach tego typu, lecz nie wierzył w te opowieści. Dopiero teraz po raz pierwszy bezpośrednio zetknął się z kimś takim.

Lecz o ile Riley stanowił dla Blaine a curiosum, to Blaine dla Rileya był

jeszcze bardziej niewiarygodnym zjawiskiem.

- Ty się naprawdę nie boisz? - ze zdumieniem w głosie zapytywał Riley.

Blaine przecząco kręcił głową.

- I naprawdę nie wierzysz w te wszystkie rzeczy?

- Eh, któż by wierzył w te wszystkie bzdury i wymysły głupców? - krzywił się Blaine wzruszając ramionami.

- O nieee, przyjacielu. To nie głupoty - gorąco protestował Riley. - Mogę cię o tym zapewnić. Znałem zbyt wielu ludzi, zbyt wiele słyszałem opowieści, by traktować to jako bzdury. U nas, w Indianie, jeszcze gdy byłem chłopcem, żył pewien starzec. Znalaziono go pewnego dnia w szałasie pasterskim. Był martwy. Miał rozerwane gardło. A wokół pełno było diabelskich śladów i śmierdziało siarką.

A gdy ten przykład nie wystarczył, sypały się dalsze, kolejne historie, równie okropne, równie bezsensowne, równie prymitywne.

I cóż z tym robić? - zastanawiał się Blaine. Czy istnieje sposób, by takiemu człowiekowi cokolwiek wyjaśnić wytłumaczyć, nastawić go bardziej racjonalnie? Czy istnieje w ogóle jakiegokolwiek rozwiązanie tego problemu? Wiara - potężna wola wiary - jest najgłębiej zakorzenionym instynktem w strukturze ludzkiej, tkwi w genach Człowieka od czasów jaskiniowych. Ponadto dusze ludzką w najwyższy sposób fascynowała i fascynuje nadal niesamowitość i makabra. Ta właśnie, immanentna cecha Człowieka została wykorzystana przez ludzi, dla których świat stał się miejscem zbyt nudnym, zbyt jałowym, bo pozbawionym strachu; z wyjątkiem może leku przed nuklearnym samounicestwieniem i niepewnością co do rzeczywistej potęgi Człowieka.

A zaczęło się to wszystko całkiem niewinnie; w chwili, gdy mieszkańcy Ziemi zainteresowali się zdobyczami kinetyki paranormalnej w celach rozrywkowych, traktując je jako znakomitą zabawę. Dosłownie z dnia na dzień stały się one modną nowinką, która podbiła świat bez reszty. Nocne kluby i kabarety zmieniały swe nazwy, rodziły się nowe, zdumiewające

trendy mody, powstawały nieznane dotąd slangi i żargony młodzieżowe, z programów telewizyjnych zniknęły filmy horror ustępując miejsca tematyce mistycznej i nadprzyrodzonej. Jak grzyby po deszczu rodziły się najdziwniejsze kultury i religie, a stare wierzenia i związane z nimi rytuały przeżywały swój renesans. Po dwustu latach zapomnienia pojawiły się jeszcze raz tablice spirytystyczne i wirujące stoliki. Ale to nie była już wyłącznie zabawa w duchy, lecz rzeczywista, usilna próba obcowania z nieznanym. Nastał czas nietolerancji - czas, w którym nie było miejsca na złoty środek: albo ktoś wierzył; albo nie. Innej możliwości nie było.

Pojawili się szarlatani i ludzie interesu, którzy zbijali fortuny na nowej modzie, a przedsiębiorstwa i manufaktury robiły kokosowe interesy na produkcji artykułów związanych z nową modą, rozrywką, religią.

Całe to niespodziewane szaleństwo, które opanowało świat, zasadało się, rzecz jasna, na ogromnym nieporozumieniu. Kinetyka paranormalna nie miała nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, niesamowitością, makabrą, upiorem i diabłem; z tym wszystkim, w co wiara - zdawałoby się - przeminęła już dawno, wraz ze Średniowieczem. Tymczasem odkrycie nowych możliwości, tkwiących w mózgu i umyśle Człowieka, otworzyło nowe, całkiem nieoczekiwane perspektywy. Masy rozkochane w nowościach i zabawie przyswoiły sobie z radością owo nowe cacko, nowe świecidełko, nie bacząc wcale, że nie pojmują istoty zjawiska i dobrowolnie pchają świat w śmiertelne objęcia nowego Średniowiecza.

I stało się, co musiało się stać. To, co miało być rozrywką, zawładnęło rozbawionym, pogrążonym w weselu tłumem. Ludzie tak długo beztrąsko i bezkrytycznie igrali z nową zabawką, że pomimo wielu ostrzegawczych głosów sceptyków, zaczęli w końcu wierzyć w nadprzyrodzony charakter zjawisk paranormalnych. W pewnym momencie tam gdzie dotychczas była zabawa, pojawiła się pełna grozy wiara w odrażające fauny i wilkołaki, gdzie były tricki i gagi, dostrzegać zaczęto złowrogą ingerencje gnomów i upiorów. /Potem przyszła nieunikniona reakcja w postaci fanatycznych reformatorów,

którzy okryli świat całunem ponurego okrucieństwa, nietolerancji i ślepoty. Nastął czas, gdy bojaźliwi ludzie małego ducha zaczęli polować na swych bliźnich obdarzonych zdolnościami parapsychicznymi, traktując to jak boże posłannictwo i misje.

Wielu było takich, którzy w obawie o swoje życie musieli ukrywać się przed światem. W każdej epoce odmieńcy są prześladowani, ale nikt nie przypuszczał, że ścigać się będzie właśnie osoby obdarzone tak niezwykłymi cechami: siłą, dzięki której mogli podróżować nawet na najdalsze gwiazdy, przynosząc swym współbraciom tyle dobra, wyświadczać tyle dobrodziejstw. Zawsze różnili się nieco od swego otoczenia, lecz traktowano ich pobłaźliwie jak nieszkodliwych dziwaków, którzy nikomu, w końcu, nie wadzą. Część z nich mogłaby wykorzystywać swe zdolności, ale nawet oni wtedy jeszcze nie przeczuwali swej potęgi, a jeśli nawet, to nigdy nie czynili z niej użytku. Bali się bowiem owych drzemiących w nich sił, nie rozumieli ich istoty. A potem, po latach, gdy tajemnica zjawisk parapsychicznych została już częściowo zbadana i wyjaśniona przez badaczy, w dalszym ciągu wstydliwie ukrywali swe możliwości, gdyż ich Bóg-Nauka odnosił się pogardliwie do kinetyki paranormalnej, określając ją jako stek niedorzeczności.

Dopiero wiele, wiele lat później, garstka upartych ludzi w Meksyku udowodniła światu, jaka moc i potęga kryją się w owym wyszydzanym i pogardzanym zjawisku psychicznym. Wówczas dopiero ludzie owi odważyli się wyjść ze swymi możliwościami na światło dzienne. Nie chcieli się już dłużej kryć. Świadomi drzemiącej w nich potęgi, zaczęli wykorzystywać ją i rozwijać. Inni, którzy nie podejrzewali istnienia w sobie tych niezwykłych własności, naraz ze zdumieniem odkryli, że tkwią one w nich. I jak to zazwyczaj w takich przypadkach bywa, jedni zaczęli wykorzystywać swoje możliwości ku pożytkowi ludzkości, inni dla prywatnej korzyści lub zgoła dla zabawy; inni jeszcze - na szczęście nieliczni - dla czynienia zła.

Ale na tych ostatnich właśnie - tak przecież nielicznych - bazować zaczęli

siwowłosi moraliści i najprzeróżniejsi reformatorzy-szarlatani. Ze zmarszczonymi brwiami, odziani w czarne, żałobne szaty, waląc pięścią w pulpit katedry, wykrzykiwali na zło płynące z ludzi obdarzonych zdolnościami paranormalnymi. Grając na najniższych ludzkich instynktach, na podświadomej skłonności do zabobonnych praktyk; szybko wytworzyli w masach psychozę strachu. Udało im się wzbudzić w całym świecie uczucie leku, zagrożenia i nienawiści, stworzyć atmosferę niepewności, grozy i żądzy krwawego odwetu.

- Jesteś szczęśliwy - mówił Riley. - Nie boisz się tego wszystkiego i jesteś, być może, rzeczywiście bezpieczny. Pies gryzie zawsze wtedy, gdy wyczuje w człowieku strach, ale liże rękę tego, kto się go nie boi.

- Jest więc tylko jedna rada: nie bać się.

Ale tej racji Riley nie był w stanie sobie przyswoić. Każdej nocy siedział po prawej stronie Blaine'a, który prowadził samochód, i drżał ze strachu jak liść na wietrze. W spotniałych dłoniach ścisnął strzelbę nabitą srebrnymi kulami. Wszystko go przerażało. Wystarczyło cokolwiek: krzyk sowy, przebiegający lis, cienie czające się w przydrożnych rowach by zrywał się z siedzenia, zaciskając jeszcze mocniej karabin w dłoniach. Wszędzie bowiem czyhały wrogie siły, a ciemność była siedliskiem zła. Zwykły wrzask kojota brzmiał w uszach Riley'a jak zawodzenie banshee szukającej kolejnej ofiary.

Jednak było i coś więcej niż tylko wymaginowane strachy. Istniał cień, posiadający kształt człowieka, lecz nie będący już człowiekiem; cień, który na wysokiej gałęzi przydrożnego drzewa kręcił się i wirował w wisielczym tańcu. Istniały ruiny farmy z kominem górującym nad nią niczym oskarżycielski palec wskazujący niebo. Istniał dym z malutkiego obozowego ogniska, na które Blaine natknął się przypadkowo podczas przechadzki w górę potoku, w czasie gdy Riley zmagął się z niesprawnymi świecami w ciężarówce.

Blaine podszedł do obozu cicho i ludzie usłyszeli go zbyt późno, by skryć się w górskim lesie zanim zostali spostrzeżeni. Lecz w chwili potem zniknęli

jak cienie. Blaine podszedł wówczas do tego niewielkiego ogniska, na którym grupa wyrzutków przygotowywała sobie posiłek w okopconym kociołku; teraz leżącym na trawie, kopniętym widać przez kogoś w panicznej ucieczce. Obok kociołka poniewierały się cztery na wpół usmażone pstrągi. Nie opodal, pod daszkiem z liści i gałęzi chroniącym ją od deszczu, leżała duża płachta do siedzenia i spania.

Blaine ukląkł przy ognisku, odruchowo postawił przewrócony kociołek, a następnie włożył doń pstrągi, oczyściwszy je uprzednio z piasku i trawy. Wahał się przez chwilę czy nie krzyknąć na uciekinierów, których wzrok cały czas czuł na sobie, żeby wyszli, że jego nie muszą się obawiać... lecz to nie miało żadnego sensu; ci ludzie nie wierzyli już nikomu.

Byli jak tropiona zwierzyna - tu, w ogromnych Stanach Zjednoczonych, gdzie od stuleci tak ceniono wolność i swobodę, w kraju, który kiedyś był awangardą ludzkości w walce o prawa Człowieka. Blaine klęczał długo, motany na przemian gniewem i żalem. Zacisnął pięści i przetarł nimi oczy, zostawiając na twarzy wilgotne pasma brudu. Następnie podniósł się i ciężkim krokiem zawrócił w kierunku szopy.

Rileyowi o spotkaniu tym nawet nie wspomniał.

Mozolnie przedzierali się przez góry, potem przez pustynie, aby w końcu wjechać w Wielkie Równiny, po których hulał bezkarnie wiatr, nie napotykając na swej drodze żadnych naturalnych barier. Wielkie połacie płaskich terenów ciągnęły się w nieskończoność, hen, aż po kres horyzontu.

Prowadził Riley, a Blaine siedział obok. Przymknął oczy i odpoczywał, poddając się bez oporu wstrząsom pojazdu. W oślepiającym słońcu wiatr wznosił tumany suchego kurzu, tworząc gdzieś spore piaskowe wiry. Riley siedział wpatrzony przed siebie, z rękoma kurczowo zaciśniętymi na kierownicy. Twarz miał napiętą i nieruchomą. Czasami tylko przebiegał po niej nerwowy tik.

- Nawet w ciągu dnia jest-wystraszonej - pomyślał Blaine. - Nawet w oślepiającym blasku dnia prowadzi swą nieustanną walkę z siłami nocy.

Blaine był ciekaw, jaki towar wiozą w ciężarówce. Riley nie wyjaśnił tego. Nie sprawdzał również ładunku w trakcie podróży. Tył wozu był zamknięty na wielką, ciężką kłódkę, która klekotała w takt podskakiwania samochodu po wybojach. Raz czy dwa Blaine miał ochotę zahaczyć wprost Riley'a o zawartość ciężarówki, lecz jakiś wewnętrzny głos przestrzegął go przed ujawnieniem swej ciekawości.

W końcu nie jest to mój interes - mruzczał do siebie Blaine. Poza tym naprawdę niewiele go obchodziło, co wiozą. Interesował go tylko samochód; z każdym obrotem kół Blaine zbliżał się do celu, do miejsca, w które musiał się dostać za wszelką cenę.

- Jeśli się pospieszymy - przerwał cisze Riley - to jutro osiągniemy rzekę.
- Missouri?

Riley skinął twierdząco głową i dodał:

- Jeśli oczywiście nic się nie przytrafi z tym pieprzonym samochodem.
Lecz właśnie tej nocy spotkali wiedźmy.

. 14 .

Najpierw w świetle czołowych reflektorów spostrzegli tuż nad szosą niezwykle ruch. Po chwili, na tle rozjaśnionego blaskiem księżycy nieba, rozpoznali lecące postacie ludzkie. Właściwie nie leciały, bo nie miały skrzydeł, lecz unosiły się w powietrzu, poruszając z lekkością i gracją, jaką posiadać mogą tylko ptaki.

Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie stada ciem ciągnących do światła lub jakichś drapieżnych nocnych ptaków, które nagle spadają z nieba na ziemię. Po chwili jednak, gdy minęło osłupienie i górę wziął rozsądek, Blaine domyślił się kim są owe postacie. Byli to lewitujący ludzie. Wiedźmy zmierzające na sabat czarownic.

Blaine zdołał tylko spostrzec kątem oka, że Riley błyskawicznym ruchem wystawił karabin przez okno kabiny. Nie było już czasu chwycić go za ramię. Nacisnął tylko hamulec do oporu. Huk wystrzału zabrzmiał jak grom w ciasnej szoferce ciężarówki, która pod wpływem gwałtownego hamowania zawirowała nagle na szosie, a potem dopiero zatrzymała się w poprzek autostrady.

Blaine schwycił Rileya za ramię i przyciągnął do siebie. Wolną ręką wyrwał mu strzelbę. Skowyczący i szarpiący się Riley usta miał otwarte tak szeroko, że szczęki prawie wyskakiwały mu z zawiasów. Z kącika warg ciekła ślina. Twarz stężała mu w grymasie trwogi, która malowała się przede wszystkim w wytrzeszczonych i nabiegłych krwią oczach. To nie była już ludzka twarz, lecz groteskowa, upiorna maska.

- Opamiętaj się! - wrzasnął Blaine, tracąc nad sobą panowanie. - Oni tylko lewitują. To ludzie. Ale do porażonej strachem świadomości szofera nic nie docierało. Riley nie reagował.

Poprzez jego własny krzyk, dotarł do Blaine'a bezgłośny, telepatyczny

przekaz:

- PRZYJACIELU, JEDNA Z NAS JEST TRAFIONA (ZARYS RAMIENIA Z SĄCZĄCYM SIĘ PASMEM CZERWIENI). NIEZBYT CIĘŻKO - ALE TEN Z WAS, KTÓRY STRZELAŁ JEST (STOPIONY KONIEC LUFY KARABINOWEJ SPŁYWAJĄCY W DÓŁ CIEMNĄ MASĄ FORMUJĄCĄ SIĘ W KSZTAŁT PENISA). ALE MY TEŻ MAMY BROŃ (ZJEŻONY WARCZĄCY PIES WCIŚNIĘTY W KĄT, SKUNKS Z PODNIESIONYM OGONEM, SPREŻONY DO ATAKU GRZECHOTNIK).

- POCZEKAJCIE! - krzyknął rozpaczliwie Blaine. - WSTRZYMAJCIE SIĘ! WSZYSTKO W PORZĄDKU. NIE BĘDZIE DALSZEJ STRZELANINY.

Nacisnął łokciem klamkę i drzwiczki szoferki otworzyły się. Odepchnął od siebie Rileya i do połowy wychylony na zewnątrz złamał strzelbę, wysypując na dłoń naboje. Wyrzucił je, po czym mocnym zamachem cisnął strzelbę na środek autostrady. Ponownie siadł za kierownicą.

Zapadła cisza, przerywana tylko jękami i zawodzeniem Rileya.

- NO, JUŻ WSZYSTKO W PORZĄDKU - odezwał się Blaine. - NIE MA ŻADNEGO NIEBEZPIECZŃSTWA.

Zaczęli opadać na ziemię. Wyglądało to jakby skakali z jakiejś wysokiej, niewidocznej platformy i lądowali miękko na nogach.

- CO WY WYRABIACIE? - odezwał się do nich Blaine. - NIEWIELE BRAKOWAŁO BY JEDNA Z WAS OBERWAŁA PO GŁOWIE (BEZGŁOWY KORPUS LUDZKI, STĄPAJĄCY OSTROŻNIE Z KIKUTEM SZYI W KUPIĄCEJ, CZERWONEJ PIANIE).

Były młode; nastolatki; ubrane w coś, co przypominało stroje plażowe. Blaine wyczuwał w nich rozbawienie, chęć pałania figli.

- KIM JESTES? - spytała jedna z nich.

- SHEPHERD BLAINE OD FISHHOOKA.

- A DOKĄD JEDZIECIE?

- DO POŁUDNIOWEJ DAKOTY.

- TYM SAMOCHODEM?

- TAK. I Z TYM FACETEM - odparł Blaine - ALE DAJCIE MU SPOKÓJ.

- ON STRZELAŁ DO NAS. TRAFIŁ MARIE.

- OOO, NIC WIELKIEGO, LEKKIE DRAŚNIĘCIE - odezwała się Marie.

- ON JEST PRZERAŻONY - wyjaśnił Blaine. - STRZELAL SREBRNĄ KULĄ.

Wzmianka o srebrnej kuli wzbudziła w dziewczynach wesołość.

Blaine uświadomił sobie natomiast całą dziwaczność sytuacji: księżycowa noc pusta droga i wymarłe okolice, samochód stojący w poprzek szosy, gwizd wiatru na prerii i oni dwaj - Riley i on - otoczeni nie Komanczami, nie Siuksami czy wojownikami Czarnych Stóp, lecz pierścieniem rozbawionych, paranormalnych nastolatek.

I któż mógłby je za to zganić? - zapytywał siebie w duchu Blaine. Skoro w taki sposób buntują się przeciwko swemu nieszczęśliwemu życiu, przeciwko światu, w którym wszyscy na nie polują skoro w ten prosty sposób afirmują siebie, zyskują odrobin ludzkiej godności - nikt nie powinien, nikt nie ma prawa odbierać im tego.

Obserwował w milczeniu twarze dziewcząt oświetlone światłem reflektorów i księżycą. Malowała się na nich niepewność.

Z kabiny stale dobiegał jęk Riley'a.

- FISHHOOK (POTEŹNE, PIĘTRZĄCE SIĘ CORAZ WYŻEJ I WYŻEJ BUDYNKI NA WZGÓRZU, MAJESTATYCZNA BUDOWLA BUDZĄCA OTUCHĘ I NADZIEJĘ).

- ZGADZA SIĘ - odparł Blaine.

Od grupy stłoczonych dziewcząt zbliżyła się do Blaine a jedna z nich. Wyciągnęła rękę.

- NIE SPODZIEWAŁYŚMY SIĘ - rzekła. - NIE SPODZIEWAŁYŚMY SIĘ TUTAJ SPOTKAC KOGOŚ TAKIEGO JAK TY. PRZEPRASZAMY.

Blaine ujął dłoń dziewczyny. Poczł silne mlode palce zaciskajace sie na jego dloni.

- W OGOLE RZADKO SPOTYKA SIE KOGOŚ NA SZOSIE O TEJ PORZE - wtręła inna, stojąca w grupie.

- TRAKTUJEMY TO JAKO ZABAWĘ - dodała któraś. - MAMY TAK NIEWIELE OKAZJI DO ROZRYWEK. KIEDY WIĘC ZOBACZYŁYŚMY ŚWIATŁA WASZEGO SAMOCHODU...

- O, WIEM, JAK MAŁO MACIE OKAZJI SPOTKAĆ KOGOŚ W NOCY. PRZEKONAŁEM SIE O TYM SAM pogodnie odparł Blaine.

- ZBLIŻA SIE HALLOWEEN - odezwała się dziewczyna trzymająca go za rękę.

- HALLOWEEN? OCH, TAK, ROZUMIEM (PIĘŚĆ BĘBNIĄCA W ZAMKNIĘTĄ OKIENNICĘ, BRAMA OGRODOWA WYJĘTA Z ZAWIASÓW I ZAWIESZONA NA GAŁĘZI DRZEWA, POZRYWANE ZNAKI MAGICZNE).

- DOBRZE IM TAK. NIECH MAJĄ, CZEGO SAMI CHCĄ.

- ZGADZAM SIE Z WAMI - odparł Blaine - ALE TO NIEBEZPIECZNA ZABAWA.

- NIE BARDZO. ONI SĄ TAK WYSTRASZENL..

- ALE TO TYLKO POGARSZA I TAK STRASZNĄ SYTUACJĘ.

- MISTER, JEJ JUŻ NIC BARDZIEJ NIE MOŻE POGORSZYĆ. Blaine pokiwał tylko w milczeniu głową.

- JESTEŚ OD FISHHOOKA? CO TUTAJ WŁAŚCIWIE ROBISZ? - spytała dziewczyna stojąca obok niego.

Dłuższą chwilę studiował jej twarz. Była piękna - niebieskie oczy, burza jasnych włosów, połyskujących srebrzyście w świetle reflektorów. Miała niezwykle zgrabną figurę, która w poprzedniej epoce zapewniłaby jej zwycięstwo w konkursie na miss piękności (organizowanie takich barbarzyńskich imprez przeminęło na szczęście wraz z nastaniem mody na kinetykę paranormalną).

- TEGO NIE MOGĘ CI POWIEDZIEĆ - odrzekł Blaine. - WYBACZ, ALE NAPRAWDĘ NIE MOGĘ.

- JAKIEŚ KŁOPOTY? NIEBEZPIECZEŃSTWO?

- W TEJ CHWILI AKURAT NIE - odparł wymijająco.

- BO MOGŁYBYŚMY POMÓC.

- NIE, NIE MA TAKIEJ POTRZEBY - odparł siląc się na obojętność i bez troskę.

- MOŻEMY CIĘ ZABRAĆ, DOKĄD TYLKO ZECHCESZ.

- JA NIE POTRAFIĘ LEWITOWAĆ.

- NIE MUSISZ. WYSTARCZY, ŻE MY POTRAFIMY (BLAINE LEWITUJĄCY PONAD ZIEMIĄ, UNOSZONY PRZEZ DWIE DZIEWCZYNY TRZYMAJĄCE GO ZA RĘCE).

- NIE, DZIĘKI. RACZEJ JEDNAK NIE - odparł wzdrygając się lekko Blaine.

Podczas gdy rozmawiał, któraś z dziewcząt otworzyła drzwi szoferki po przeciwnej stronie, druga złapała Rileyę za ramię i wyciągnęła na zewnątrz. Mężczyzna potoczył się po ziemi. Kierowca, śmiertelnie wystraszony, zaczął czołgać się niezdarnie po szosie cały czas spazmatycznie szlochając.

- ZOSTAWCIE GO! - wrzasnął pod adresem nastolatek Blaine.

Dziewczyna, którą trzymał za rękę, odwróciła się gwałtownie. Jej myśli zafalowały.

- ZOSTAWCIE GO W SPOKOJU! ROZUMIECIE? NIECH ŻADNA NIE WAŻY SIF GO TKNĄCI - ALEŻ ANITO... ,

- NIC Z TYCH RZECZY, ROZUMIECIE?

- PRZECIEŻ TO IDIOTA, TO TEN OHYDNY, ŚMIERDZĄCY NORMAK! ON STRZELAŁ DO NAS SREBRNYMI KULAMI!

- POWIEDZIAŁAM, NIE!

Dziewczyny cofnęły się, dając Rileyowi spokój.

- MUSIMY JUŻ SPŁYWAĆ - odezwała się Anita do Blaine'a. - DASZ SOBIE RADE?

- MYŚLISZ O NIM?

Dziewczyna skinęła potakująco głową.

- OCZYWIŚCIE - odparł Blaine.

- NAZYWAM SIĘ ANITA ANDREWS. MIESZKAM W HAMILTON. TELEFON 276. ZAPAMIĘTASZ? POWTÓRZ!

- ZAPAMIĘTAM - Blaine powtórzył w myślach nazwisko, adres i numer telefonu.

- GDYBYŚ POTRZEBOWAŁ POMOCY...

- ZADZWONIĘ.

- OBIECUJESZ?

- OBIECUJĘ (KRZYŻ NA BIJĄCYM SERCU).

Riley, na którego przestano chwilowo zwracać uwagę, doczołgał się do leżącej na środku jezdni strzelby. Gwałtownym skokiem dopadł jej i dźwigając się na nogi, złamał karabin. Gorączkowym ruchem sięgnął do kieszeni po naboje. Blaine, bez namysłu, rzucił się szczupakiem na szofera, szczepiając się z nim w mocnym uścisku. Trzymając go jedną ręką, drugą wyszarpnął strzelbę. Jeszcze lecąc w powietrzu, krzyknął pod adresem dziewcząt:

- UCIEKAJCIE! WSZYSTKIE!

Sczepieni ze sobą toczyli się po jezdni. Blaine czuł ostry ból rąk odzieranych z naskórka na szorstkim asfalcie, słyszał, jak ubranie pęka na jakimś szwie. Nie puścił jednak przeciwnika, lecz ścisnął go coraz mocniej.

Naraz Riley ostrym, gwałtownym szarpnięciem wyrwał się Blaine'owi z objęć, poderwał na nogi i wziął szeroki zamach strzelbą, którą zdołał porwać ze sobą. Blaine na ślepo wyciągnął ręce w geście samoobrony. Poczł jak drewniana kolba karabinu uderza go boleśnie w żebra. Zatkło go na chwilę, którą kierowca wykorzystał, by zamachnąć się do kolejnego, tym razem ostatniego już ciosu. Blaine z desperacją trzasnął pięścią tam, gdzie spodziewał się natrafić na twarz przeciwnika. Poczł miękki opór, lecz właściciel broni zdołał już zatoczyć ramionami szeroki łuk i strzelba ze

świstem powietrza tylko o milimetry chybiła głowy Blaine'a. Zamach zachwiał Rileyem. Blaine wykorzystał to natychmiast. Gwałtownym skokiem przypadł do kierowcy i wyrwał mu z rąk karabin. Przyciskając do siebie broń, odskoczył kilka kroków, wchodząc jednocześnie w krąg światła, rzucanego przez reflektory ciężarówki.

Po chwili w blasku światła pojawił się również sunący już bez opamiętania to ataku Riley. Szedł do ataku jak zawodowy zapaśnik - z rozpostartymi ramionami, z głową wciśniętą w kark, z ustami zaciętymi w grymasie nieprzytomnej furii i nienawiści pogłębianych jeszcze bezprzytomnym strachem.

Gdy był już blisko, Blaine potężnym zamachem obu ramion odrzucił strzelbę daleko w ciemność. Starał się uniknąć starcia z Rileyem, lecz zrobił to zbyt wolno. Ogromna jak bochen chleba pieść kierowcy zacisnęła się na jego ubraniu. Ostрым skrętem tułowia Blaine wyswobodził się z uchwytu i cofnął kilka kroków. Riley nacierał z furją. Blaine zręcznie unikał ciosów, ale atakujący bił, kręcił się jak oszalały, by końcu potknąć się, stracić równowagę i całym impetem uderzyć w maskę samochodu. Jęknął głucho i powoli osunął się na ziemię jak zwiotczały worek.

Zapadła cisza. Blaine rozejrzał się wokół. Byli tu już tylko oni dwaj: nieprzytomny Riley i on. Dziewczęta zdążyły już dawno zniknąć w ciemnościach nocy. Tylko on i Riley przy załadowanej ciężarówce. Księżyc i gwiazdy. A nad prerią zawodził wiatr, potęgując jeszcze wrażenie zagubienia i samotności.

Spojrzał w stronę szofera. Odzyskał już przytomność i siedział na ziemi oparty o zderzak samochodu. Z rozciętej skroni kapała mu krew. Widocznie musiał trafić czołem w maskę ciężarówki. Dyszał ciężko, a w oczach paliły mu się pełne szaleństwa ogniki.

Blaine stanął metr przed nim. Chwilą patrzył w milczeniu.

- Ty kretynie - odezwał się w końcu cichym, ale pełnym pasji głosem. - Ty cholerny, skończony durniu. Gdybyś ponownie strzelił do nich byłoby po

nas, rozumiesz? Rozdarłyby nas na strzępy. Spoglądał twardo. Kierowca poruszał niemo ustami, jakby coś żuł, jakby dławił się własnymi słowami.

- Ty... ty... ty - zdołał w końcu wychrypieć.

Blaine podszedł bliżej, wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać. Riley jęcząc cicho odczołgiwał się w bok, wciskał całym ciałem w blachę szoferki.

- Ty jesteś jednym z nich - wykrzyknął w końcu. - Odgadłem to już wcześniej...

- Tyś chyba zupełnie oszalał...

- Nie, to ty jesteś nienormalny! - odwrzasnął Riley. - Boisz się, żeby cię ktoś nie zobaczył. Trzymasz się wciąż przy samochodzie. Po żywność wysyłasz mnie. Ty nigdy nie pójdziesz. Ja zawsze kupuję benzynę. Ty nigdy.

- Bo to jest twoja ciężarówka - odparł Blaine tonem perswazji, siląc się na spokój. - Ty masz pieniądze, nie ja. Ja nie mam przy duszy centa.

- A sposób, w jaki spotkaliśmy się? - obstawał przy swoim Riley jakby słowa Blaine a w ogóle do niego nie docierały. - Wyszedłeś po prostu z krzaków. Teraz wiem, że tam spędziłeś noc. Poza tym nie boisz się jak wszyscy normalni ludzie.

- Bo nie jestem głupcem - odrzekł już zniecierpliwiony Blaine. - To jedyny powód. Zapewniam cię, że jestem tak samo normalny jak ty. Gdybym był taki jak te dziewczyny, to sądził, że telepałbym się z tobą tą zakichaną kupą złomu?

Zdecydowanym ruchem schylił się i chwytając Rileya za klapy kurtki, jak dziecko, postawił na nogi. Potrząsnął nim kilkakrotnie z całych sił.

- Opamiętaj się! - ryknął mu w ucho. - Już jesteśmy bezpieczni. Jedźmy stąd, szkoda czasu. - Strzelba! Wyrzuciłeś moją strzelbę!

- A udław się strzelbą! Wsiadaj do auta pókim dobry!

- Ale ty z nimi rozmawiałeś. Słyszałem.

- Przecież nie powiedziałem ani słowa.

- Nie mówiłeś normalnie. Nie używałeś ani ust, ani języka. Ale słyszałem, jak z nimi mówisz. Nie wszystko. Nie. Fragmenty tylko. Ale słyszałem.

Blaine bez słowa pchnął go na maskę wozu i trzymając jedną ręką, drugą otworzył szoferkę.

- Zamknij mordę i wsiadaj - warknął ordynarnie wpychając Riley'a do samochodu. - Ty i twoja zasrana strzelba! Ty i twoje przeklęte srebrne kule! Ty i twoje omamy słuchowe!

Za późno - mówił sobie jednocześnie w duchu. To bezcelowe tłumaczyć mu cokolwiek, wyjaśniać. Gdyby odkrył prawdę, straciłby do reszty tę odrobinę zdrowego rozsądku, jaka mu jeszcze pozostała. Cholerny Riley.

Przez pół godziny jechali pogrążeni w milczeniu. Riley wciśnięty w kąt szoferki bez przerwy spod przymkniętych powiek obserwował Blaine'a. Ten czuł na sobie cały czas uporczywy wzrok.

- Przepraszam, Blaine - odezwał się nieoczekiwanie szofer. - Teraz już wiem, że miałeś racje.

- Oczywiście, że miałem - odparł Blaine rzucając na niego szybkie spojrzenie znad kierownicy. Gdybyś znów zaczął strzelać... „

- Mnie chodzi o coś innego. Gdybyś był taki jak one, zabrałbyś się z nimi. Doprowadziłyby cię wszędzie tam gdzie byś chciał o wiele szybciej, niż ja tą budą.

- Żeby cię jednak przekonać - odparł Blaine - następnym razem po żywność pójdę ja. I będę chodził zawsze... jeśli oczywiście zawierzysz mi pieniądze.

. 15 .

Blaine siedział na wysokim stołku w barze szybkiej obsługi oczekując aż właściciel przygotuje pół tuzina kanapek i napełni kociołek kawą. Prócz Blaine'a znajdowało się wewnątrz tylko dwóch klientów: pierwszy skończył właśnie posiłek i oczekiwał na rachunek, drugi natomiast, pochylony nisko nad talerzem, dłubał widelcem w gęstej, brunatnej bryi, którą karta określała jako jajka z frytkami - wyglądało to raczej na osobliwą mieszanin resztek potraw, przygotowaną dla psa.

Blaine, pomimo wewnętrznego spięcia, wyglądał oknem z obojętnym wyrazem twarzy. O tak wczesnej porze, ruch na ulicy panował niewielki; Blaine zdołał naliczyć kilka tylko samochodów i zaledwie jednego przechodnia.

Miał świadomość jak bezcelowa była ta wyprawa po żywność. Cokolwiek bowiem powiedziałby i zrobił, to Riley'a i tak nie przekona.

Ale już niedługo - myślał z ulgą. Muszą być blisko rzeki; blisko miejsca skąd do Pierre pozostanie zaledwie kilka mil. I, śmieszna rzecz, Riley ani słowem nie wspomniał dokąd właściwie zmierza. Z drugiej jednak strony nie było w tym nic takiego dziwnego; małomówność i tajemniczość kierowcy to po prostu konsekwencja jego stanu duchowego, jego strachu i niepewności: Taki sam zresztą był powód powściągliwości Riley'a w kwestii towaru jaki wieźli.

Blaine odwrócił twarz od okna dopiero na głos właściciela knajpy. Sięgnął do kieszeni po pięciodolarowy banknot, który otrzymał od Riley'a. Poczekał chwilo na resztę, zsunął się ze stołka i pomaszerował w stronę drzwi.

Na zewnątrz skierował się natychmiast ku niezbyt odległej, ogromnej stacji olejowej, gdzie czekał Riley. O tak wczesnej porze stacja była jeszcze zamknięta na głucho. Mężczyźni postanowili więc wykorzystać wolny czas

na śniadanie, po które właśnie wybrał się Blaine. Potem, po otwarciu stacji i napełnieniu baku paliwem ruszą dalej. Będzie to już ostatni dzień podróży Blaine a, który osiągnąwszy rzekę, opuści Rileya i dalej powędruje już piechotą do Pierre.

Ranek był zimny - prawie mroźny - i z ust Blaine a przy każdym oddechu wydobywał się obłoczek pary. Zapowiadało to kolejny piękny dzień jeden z ostatnich, pogodnych dni października, kiedy powietrze przesycę jakby zapach cierpkiego jabłkowego wina, a po niebie żeglują postrzępione, pierzaste obłoki.

Ciężarówki na stacji nie było.

Być może Riley przystanął nieco dalej - pomyślał Blaine, choć dobrze wiedział, że kierowcy i jego auta dawno już nie ma w miasteczku. Spodziewał się tego zresztą od początku. Bo z punktu widzenia Rileya był to najprostszy sposób pozbycia się kłopotliwego pasażera. Za niewielką przecież cenę pięciu dolarów, później zjedzonego śniadania oraz zatankowania benzyny w następnym miasteczku.

Dla porządku jednak obszedł wokół całą stację zaglądając za każdy mijany róg. Jak się spodziewał ciężarówka zniknęła. Pozostał sam.

Stał chwile rozglądając się bacznie wokoło.

Znajdował się na wschodnich krańcach miasta, jako że przyjechali tutaj z południa i już w samym miasteczku zatoczyli duży, blisko dwumilowy łuk. Na wschód też skierował teraz swe kroki. Szedł energicznym, lecz niezbyt spiesznym krokiem, nie chcąc wzbudzać ciekawości przechodniów i zwracać na siebie uwagi. Była to zbędna zapobiegliwość, gdyż miasteczko jeszcze spało i spotkał zaledwie dwóch mężczyzn: jeden wyjmował właśnie ze skrzynki pocztowej poranną prasę, a drugi szedł ze spuszczoną nisko głową, dźwigając torbę z porannymi zakupami. Żaden z nich nie poświęcił Blaine'owi chwili uwagi.

Dotarł na krańce miasteczka. Prerie przebyli już wcześniej i teraz rozciągała się przed nim kraina pokryta wyniosłymi wzgórzami porośniętymi

gęstym lasem. Był pewien, że tam, za ostatnim rzędem wzniesień, toczy swe wody Missouri.

Z oddali dobiegł do potężny łoskot jakiegoś wielkiego górskiego potoku, a poniżej, prawie u jego stóp dojrzał błyszczącą, skrzącą się w słońcu wstążkę strumienia wijącego się pośród łąch piasku, o brzegach porośniętych kępami wierzb.

Ruszył przed siebie polem, przeskoczył płot i zbiegł długim, stromym zboczem w dół, na rozległe ławice białego piasku. Następnie opuścił się jeszcze niżej, do głębokiego parowu, którego dnem płynął strumień i w którym zieleniła się wielka kępa wierzb ze zwisającą do samej ziemi gęstą kurtyną gałęzi.

Wczołgał się tam. Wymarzona kryjówka. Miejsce było wystarczająco odległe od miasta, a strumień dość mały - za mały, by mieli się tu pojawić amatorzy wędkarstwa lub kąpieli. Nikt nie powinien zakłócić spokoju Blaine'a.

Nikogo nie zaalarmuje jego lustrzanie odbijający umysł, nikt nie wrzaśnie z nienawiścią: dewiat! Tu bezpiecznie przeczeka dzień, by nocą ruszyć w dalszą drogę.

Zjadł trzy kanapki i napił się kawy.

Słońce stało już wysoko na niebie. Promienie przedostawały się przez zbitą gęstwą gałęzi, tworząc na piasku misterną mozaikę światła i cienia.

Od strony miasteczka dobiegał stłumiony odległością hałas: warkot ciężarówki, dudnienie jakiejś maszyny, szczekanie psów, głos kobiety nawołującej dzieci.

Długą drogę przebyłem od tego pamiętnego wieczoru u Fishhooka - myślał Blaine odruchowo rysując na piasku patykiem zawile esy-floresy. Daleka, najeżona trudnościami i niebezpieczeństwami droga oddzielała o od Charline i Freddego Batesa. A tak na dobrą sprawę, aż do teraz nie miał sposobności, by przemyśleć wszystko.

Bez przerw, od chwili opuszczenia maszyny gwiazdnej, dręczył go

problem: czy ucieczka od Fishhooka była najrozsądniejszym wyjściem? Nawet biorąc pod uwagę to, co mu powiedział Godfrey Stone? A może najrozsądniej było jednak pozostać w Meksyku, bez względu na to, co Fishhook trzymał w zanadrzu?

Pogrążony w gorzkich, posępnych myślach powrócił nagle do jasnobłękitnego pokoju. I ujrzał ów pokój, jakby to było zaledwie wczoraj, jakby to było przed chwilą. Obce gwiazdy lśniły ostrym blaskiem ponad głową człowieka, a pokój wypełniony był dziwaczными, sztucznymi przedmiotami: ni to meblami, ni dziełami sztuki, ni aparaturą naukową.

Wszystko tu było czyste i gładkie o liniach miękkich i łagodnych, bez ostrych krawędzi i załamania. Wszystko stało na swoim miejscu; ani jeden przedmiot nie przybył ani nie ubył.

Różowa Istota spoczywała tam, gdzie zwykle. Ospała i rozlazła. Na jego widok jednak jakby się nieco przebudziła i ożywiła.

- WITAJ JEDNAK WRÓCIŁEŚ - powiedziała. Bo Blaine był tam rzeczywiście.

Bez maszyny i ciała, bez urządzeń rejestrujących i taśm. Bez niczego. Tylko jego nagi umysł. Shepherd Blaine wrócił do Różowej Istoty.

. 16 .

Nagiego umysłu nie można zobaczyć

Lecz Różowa Istota mogła - lub tylko odczuwała jego obecność - gdyż wiedziała, że umysł Człowieka znajduje się w błękitnym pokoju.

A dla Shepherd'a Blaine'a pokój ów nie był już wcale ani obcy ani zaskakujący. Odniósł zgoła wrażenie powrotu do domu. Gdyż w obecnej chwili owo jasnyniebieskie pomieszczenie było mu o wiele bliższe i bardziej swojskie niż wtedy, gdy trafił tu pierwszy raz.

- DOSKONALE - odezwała się Różowa Istota taksując w osobliwy sposób umysł człowieka - TWORZYCIE ŚWIETNĄ PARĘ!

Czuł się jak w domu; i było to odczucie tej jego części, która wciąż jeszcze była Shepherdem Blaine'em. Bo ta druga część, która wcale nim nie była, po prostu wróciła do domu. A on, Blaine, jest w jakimś tam procencie - najprawdopodobniej niemożliwym do wyliczenia - fragmentem owej istoty, przed którą się teraz znalazł. Reszta to Shepherd Blaine, przybysz z Ziemi, węglowy duplikat owej rzeczy rozciągniętej na gładkiej i błękitnej podłodze.

- NO, I JAK WAM RAZEM LECI? - spytała uprzejmie obca istota. Zupełnie jakby nie wiedziała!

- JEST JEDEN KŁOPOT - odparł pośpiesznie Blaine obawiając się, że zmuszony będzie do powrotu na Ziemię, zanim Różowa Istota mu odpowie. - SPOWODOWAŁAŚ, ŻE JESTEŚMY JAK ZWIERCIADŁO: ODBIJAMY MYŚLI INNYCH LUDZI.

- ALEŻ O TO PRZECIEŻ CHODZIŁO - Blaine wyczuł zdziwienie w jej głosie. - JEST TO JEDYNY SPOSÓB, BY OCHRONIĆ SWÓJ UMYSŁ PRZED PODGLĄDANIEM GO PRZEZ INNE ISTOTY NA OBCYCH PLANETACH. JESTEŚCIE PO PROSTU DOSKONALE EKRAKOWANI.

RZECZ JASNA, TUTAJ, W DOMU, TAKA OCHRONA JEST CAŁKIEM ZBYTECZNA... - MUSISZ ZROZUMIEĆ JEDNO - zaprotestował Blaine - TO WCALE NIE ZAPEWNIAM NAM BEZPIECZENSTWA. PRZECIWNIE, TO ZWRACA NA NAS UWAGĘ NIEWIELE BRAKOWAŁO, A SPOWODOWAŁOBY NASZĄ ŚMIERĆ.

- NIE ISTNIEJE NIC TAKIEGO JAK ŚMIERĆ - odparła niecierpliwie Różowa Istota. - NIE MA TAKIEJ RZECZY, JAK ŚMIERĆ. JAK ZABIJANIE. TO PO PROSTU BZDURA. CHOCIAŻ MOŻE SIĘ, MYLĘ... TAK, TAK, WŁAŚNIE SOBIE PRZYPOMNIAŁAM, ŻE BARDZO, BARDZO DAWNO TEMU ZETKNEŁAM SIĘ Z PLANETĄ I ZAMIESZKUJĄCĄ TĘ PLANETĘ RASĄ...

Urwała, opadając w zamyślenie, a Blaine'owi wydało się, że słyszy cichy szum tasujących się w niej wspomnień.

- TAK - odezwała się ponownie. - BYŁA NIEGDYŚ PLANETA... KILKANAŚCIE PLANET. NO NIE, NIE MOGĘ. TO JEST ZUPEŁNIE KOMPROMITUJĄCE. NIE MIEŚCI MI SIĘ TO W GŁOWIE. JEST TO TAK ODLEGŁE I BEZSENSOWNE...

- OTÓŻ MOG CIĘ ZAPEWNIĆ - odezwał się tonem perswazji Blaine - ŻE NA MOJEJ PLANECIE WSZYSTKO UMIERA, WSZYSTKO MA SWÓJ KRES. KAŻDA NAJDROBNIJSZĄ RZECZ, NAJBARDZIEJ BŁAHA.

- ABSOLUTNIE WSZYSTKO?

- CZY ABSOLUTNIE, TEGO NIE MOGĘ BYĆ PEWIEN. PRAWDOPODOBNIEM...

- A WIDZISZ. NAWET NA TWOJER PLANECIE NIE JEST TO ZJAWISKO POWSZECHNE.

- NIE WIEM. MOŻE RZECZYWIŚCIE JEST TAK, JAK TWIERDZISZ. CZASAMI WYDAJE MI SIĘ, ŻE ISTNIEJĄ RZECZY NIEŚMIERTELNE.

- CZYŻ NIE MAM WIĘC RACJI?

- ZAPEWNE, LECZ Z DRUGIEJ STRONY ŚMIERĆ MA SWÓJ JAK

NAJGŁĘBSZY SENS - odrzekł Blaine. JEST TO PROCES, DZIĘKI KTÓREMU POWSTAJĄ I ROZWIJAJĄ SIĘ GATUNKI. MOŻE TO ZABRZMIEĆ NIECO PARADOKSALNE, ALE WŁAŚNIE ŚMIERĆ ZAPOBIEGA KOSTNIENIU I OBUMIERANIU. DZIĘKI NIEJ GINĄ GATUNKI SŁABSZE I ZŁE, DAJĄC POCZĄTEK NOWYM, LEPSZYM.

Blaine, mówiąc to, odniósł wrażenie, że Różowa Istota rozsiadła się wygodniej, odprężyła, szykując na dłuższą pogawędkę.

- TO CO MÓWISZ JEST BARDZO PRAWDOPODOBNE I MOŻLIWE, LECZ ZARAZEM NIESŁYCHANIE PRYMITYWNE. JEŚLI ZE ŚMIERCIĄ JEST TAK JAK TO PRZEDSTAWIASZ, TO MUSIAŁO SIĘ TAK DZIAĆ W SAMYM ZARANIU ISTNIENIA, JESZCZE W WODZIE. A W RWOJU KAŻDEJ ISTOTY ROZUMNEJ, PRZYCHODZI TAKA CHWILA, ŻE ŚMIERĆ, JAKO WARUNEK KONIECZNY SELEKCJI I ULEPSZANIA GATUNKU, STAJE SIĘ JUŻ ZBĘDNYM ELEMENTEM. LECZ CHCIAŁABYM SPYTAĆ CIĘ NA POCZĄTKU, CZY JESTEŚ ZADOWOLONY?

- ZADOWOLONY?

- TAK, ZADOWOLONY. PRZECIEŻ JESTEŚ ISTOTĄ UDOSKONALONĄ. ISTOTĄ BARDZIEJ ROZWINIĄTĄ. JESTEŚ - BĘDĄC SOBĄ - RÓWNIEŻ CZĘŚCIOWO MNĄ.

- A TY - CZĘŚCIOWO MNĄ - odpalił Blaine i zdawało mu się, że Różowa Istota lekko zachichotała. - ALE TY JESTEŚ TYLKO SOBĄ I MNĄ, JA NATOMIAST JESTEM DODATKOWO TAK WIELOMA JESZCZE RZECZAMI, ŻE AŻ MI TRUDNO O TYM MÓWIĆ. BYŁAM W TYLU RÓŻNYCH MIEJSCACH BYŁAM TYLOMA RZECZAMI I UMYŚLAMI. WYZNAĆ MUSZE CI CAŁKIEM SZCZERZE, IŻ WIELE Z NICH NIE ZASŁUGIWAŁO WCALE NA MÓJ WYSIŁEK WYMIENIENIA SIĘ Z NIMI ŚWIADOMOŚCIĄ. ALE CZY UWIERZYSZ, ŻE MIMO IŻ BYŁAM W TYLU MIEJSCACH, TO MNIE NIKT PRAWIE NIE ODWIEDZAŁ. ZNALAZŁA SIĘ KIEDYŚ ISTOTA, KTÓRA

BARDZO CZĘSTO PRZYBYWAŁA TUTAJ DO MNIE, LECZ BYŁO TO TAK STRASZNIE DAWNO, ŻE Z TRUDEM SOBIE TO PRZYPOMINAM. ALE, ALE - WY RÓWNIEŻ MIERZYCIE CZAS. CZY MÓGLBYŚ MI COŚ O TYM POWIEDZIEĆ?

Blaine wyjaśnił zasady ziemskiego pomiaru czasu.

- HMM, NO TAK - mruknęło stworzenie - TO MUSIAŁO BYĆ OKOŁO DZIESIĘCIU TYSIĘCY TWOICH LAT TEMU.

- WTEDY CIĘ TO STWORZENIE ODWIEDZAŁO?

- TAK, I TY JESTEŚ DOPIERO PIERWSZY OD TAMTEGO CZASU. PRZYBYŁEŚ DO MNIE, NIE CZEKAJĄC, AŻ JA PRZYBĘDE DO CIEBIE. MIAŁEŚ MASZYNĘ...

- POSŁUCHAJ - przerwał zaintrygowany Blaine. - JAK TO SIĘ DZIEJE, ŻE MUSISZ MNIE WYPYTYWAĆ O RÓŻNE RZECZY, NA PRZYKŁAD O ZIEMSKIE MIERZENIE CZASU? PRZECIEŻ WIMIENILIŚMY UMYSŁY I WIESZ WSZYSTKO TO, CO JA WIEM.

- TEORETYCZNIE MASZ CAŁKOWITĄ RACJĘ - odparła Różowa Istota. - POSIADAM CAŁĄ TWOJĄ WIEDZIE, LECZ CZASAMI SPRAWIA MI TRUDNOŚĆ DOGRZEBANIE SIĘ DO ODPOWIEDNIEJ INFORMACJI. NIE UWIERZYŁBYŚ, JAKI TAM JEST BAŁAGAN.

To akurat Blaine pojmował bardzo dobrze. Jemu wystarczały w zupełności zaledwie dwie świadomości... Był tylko ciekaw...

- TAK, OCZYWIŚCIE - rzekła Istota - ZROZUMIESZ TO W SWOIM CZASIE. ALE MUSI TO CHWILKĘ POTRWAĆ. BĘDZIESZ JUŻ TYLKO JEDNĄ ŚWIADOMOŚCIĄ, NIE DWIEMA. POŁĄCZYCIE SIĘ TWORZĄC JEDNOŚĆ. CZY CI TO ODPOWIADA?

- TO BARDZO KŁOPOTLIWE... MAM NA MYŚLI TO LUSTRO EKSRANUJĄCE MÓJ UMYSŁ.

- TO ŻADEN KŁOPOT. BYŁO TO ZRESZTĄ NIEZAMIERZONE. CHCIAŁAM JAK NAJLEPIEJ. ALE TO NIC. NAJWIDOCZNIEJ POPEŁNIŁAM BŁĄD. NAPRAWIĘ GO. ZABIORĘ LUSTRO. OKAY?

- OKAY.

- SIEDZĘ TAK SOBIE - mówiła Różowa Istota - ODWIEDZAM NAJPRZERÓŻNIEJSZE MIEJSCA NIE RUSZAJĄC SIĘ STĄD. MOGĘ BYĆ W KAŻDEJ CHWILI W KAŻDYM DOWOLNYM MIEJSCU. BYŁBYŚ ZAPEWNE ZASKOCZONY, GDYBYŚ WIEDZIAŁ Z ILOMA JUŻ ISTOTAMI WYMIENIAŁAM ŚWIADOMOŚĆ.

- JA MYŚLĘ! -w krzyknął Blaine. - PRZEZ DZIESIĘĆ TYSIĘCY LAT!

- DLA MNIE, MÓJ PRZYJACIELU - upomniała Blaine'a - DZIESIĘĆ TYSIĘCY LAT TO TYLE, CO DLA CIEBIE ZALEDWIE JEDEN DZIEŃ.

Obce stworzenie siedziało pogrążone w milczeniu, starając się sięgnąć pamięcią do swego początku. Powracało wspomnieniami coraz dalej i dalej, głębiej i głębiej, całe eony epok. W końcu dało za wygraną.

- ISTNIEJĄ TAKIE STWORZENIA - poskarżyła się Różowa Istota - KTÓRE SĄ W STANIE ZAPANOWAĆ NAD CUDZĄ ŚWIADOMOSIĄ. Z NIMI TRZEBA POSTĘPOWAĆ NADER OGLĘDNIE I OSTROŻNIE. INNE Z KOLEI CZUJĄ SIĘ OPĘTANE I ŁATWO POPADJĄ W SZALEŃSTWO. Z TYMI TEŻ TRZEBA UWAŻAĆ. CHYBA TO ROZUMIESZ?

- OOO, AŻ ZA DOBRZE !

- NO TO ZBLIŻ SIĘ I USIĄDŹ TU, KOŁO MNIE.

- PRZYKRO MI, ALE W STANIE W JAKIM SIĘ OBECNIE ZNJDUJĘ, BYŁOBY MI TRUDNU USIĄŚĆ.

- NO TAK, PRZEPRASZAM. NIE POMYŚLALAM, ŻE TY JESTES WYŁĄCZNIE SAMĄ ŚWIADOMOŚCIĄ. ZBLIŻ SIĘ W TAKIM RAZIE. PRZYBYŁEŚ TUTAJ, BY SIĘ CZEGOŚ DOWIEDZIEĆ, PRAWDA?

- NATURALNIE - odparł niepewnie Blaine, nie wiedząc na dobrą sprawę, co ma odpowiedzieć.

- TO OD CZEGO ZACZNIEMY? - spytało stworzenie z wahaniem. - JEST TYLE MIEJSC ISTNIEJE TYLE CZASÓW, TYLE NAJPRZERÓŻNIEJSZYCH ISTOT, ŻE SAM WYBÓR STAE SIĘ JUZ

PROBLEMEM. CO BY TU WYBRAĆ NA POCZĄTEK?... ACH, GDYBYM TO WSZYSTKO MIAŁA UŁOŻONE W POIZZĄDKU, GDYBY UDAŁO MI SIĘ TO POSEGREGOWAĆ, POSZUFLADKOWAĆ, BYŁABYM MOŻE W STANIE DOCIEC CZEGOŚ NAJISTOTNIEJSZEGO... NO DOBRZE. SĄDZĘ, ŻE NIE BĘDZIESZ MIAŁ NIC PRZECIWKO TEMU, ŻEBYM ZACZEŁA OD TYCH PRZEDZIWNYCH STWORZEŃ, KTÓRE SPOTKAŁAM JUŻ POZA NASZĄ GALAKTYKĄ.

O NIE, WRĘCZ PRZECIWNIE - podchwycił Blaine, przysuwając się bliżej Różowej Istoty.

- SĄ DOŚĆ NIEZWYKŁE W TYM, ŻE NIE ROZWIJAJĄ CYWILIZACJI TYPU TECHNOLOGICZNEGO - JAK TWOJA - A PRAKTYCZME SAME STAJĄ SIĘ MASZYNAMI..

Siedząc w jasnoblękitnym pokoju na odległej planecie, z obcymi gwiazdami lśnącymi nad głową, w ciszy mąconej odległym szumem pustynnego wiatru, Blaine trwał zasłuchany w opowieści niezwyklej istoty. O stworzeniach-maszynach, o plemionach owadów zniewolonych w obłądnym kieracie manii ekonomicznej, które przez niezliczone wieki gromadzą niepotrzebne nikomu zapasy. O rasie, która z form swojej sztuki stworzyła podstawy niesamowitej religii, o punktach obserwacyjnych zakładanych przez garnizony potężnego imperium galaktycznego, punktach zapomnianych już przez wszystkich, z wyjątkiem samych tych punktów. O fantastycznych i skomplikowanych przedsięwzięciach seksualnych rasy, której groziła zagłada spowodowana trudnościami prokreacyjnymi. O planetach, na których nigdy nie powstało życie i które krążą w ciszy po swych odwiecznych orbitach ponure, surowe i martwe od chwili powstania. O innych jeszcze ciałach niebieskich, gdzie kipią niemożliwe do ogarnięcia rozumem, przerażające reakcje chemiczne, które wyłaniają same z siebie pewien rodzaj niestabilnej, efemerycznej świadomości, ginącej natychmiast, ewoluującej w kolejną, równie nietrwałą, formę rozumnego życia.

O tym, i o wielu innych rzeczach.

Słuchając tych opowieści, Blaine z osłupieniem uświadamiał sobie, lepiej i lepiej, fantastyczny ogrom i potęgę owej istoty, na którą się natknął istoty w rzeczy samej nieśmiertelnej, niepomnej swego początku, nieświadomej, przeznaczenia i kresu. Istoty, której świadomość błądząc przez miliony lat biegu światła poznała miliony gwiazd i planet w tej i innych galaktykach i zdołała zgromadzić przerażający wprost zasób wiedzy. Wiedzy jałowej, samej dla siebie, nie wykorzystanej. Więcej - Różowa Istota najwidoczniej nie miała w ogóle pojęcia, jak jej użyć. A jednocześnie dokuczała jej świadomość, że owa mądrość marnuje się, że nie jest w stanie wiedzy tej spożytkować tak, jak należy.

Osobliwe stworzenie, które mogło przez nieskończone wieki leżeć tak sobie na podłodze błękitnego pokoju i ciągnąć nieprawdopodobne opowieści o tym, co widziało i czego doświadczyło.

Ta encyklopedia wiedzy galaktycznej, ten próżnujący atlas nieprzeliczonej liczby sześciennych lat świetlnych może stać się niebywale użyteczny dla rasy ludzkiej - myślał Blaine. Wiedza i umiejętności Różowej Istoty mogłyby przynieść ludziom nieoszacowane wprost korzyści. Ludzkość pełnymi garściami czerpałaby wiedze od tej przedziwnej istoty pozbawionej kompletnie uczuć - może poza przyjaźnielnością - aczkolwiek posiadającej zapewne wiedze o wszelkich możliwych uczuciach i emocjach, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek we wszechświecie istniały. Wiedze gromadzoną stopniowo w trakcie licznych wędrówek galaktycznych; wiedze, dzięki której istota ta zdobyła ostateczną tolerancję, zrozumienie i wyrozumiałość; nie tylko dla własnej natury nie tylko dla natury ludzkiej, ale dla każdej, dla życia samego w sobie Sympatie dla wszelkich możliwych motywów, etyk, dla każdej ambicji, choćby wydawała się ona nie wiadomo, jak osobliwa, cudaczna i trudna do pojęcia.

A wszystko to jest już również udziałem jednej istoty ludzkiej : mnie - uświadamiał sobie Blaine. Musi posegregować teraz, poklasyfikować i

ułożyć cały ten obłądny, przepastny magazyn wiedzy. Jeśli nauczy się odnajdywać i wydobywać potrzebną informację w odpowiedniej chwili...

Zasłuchany Blaine stracił poczucie czasu i rzeczywistości, zapomniał kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego tu przebywa. Jak chłopiec zasłuchany w zdumiewające i nieprawdopodobne bajdy starego marynarza, tak Blaine chłonał opowieści Różowej Istoty z dalekiej planety. Gwiazdy nad głową przestały być obce, a zawrodozenie pustynnego wiatru stało się jak bliska sercu, znana od dzieciństwa kołysanka.

I długo trwało, nim uświadomił sobie, że słucha już tylko wiatru, że opowieści dawno ucichły, że Różowa Istota pogrążona jest w bezruchu.

Poruszył się lekko, sennie, a Różowa Istota odezwała się:

- TO BYŁO CUDOWNE SPOTKANIE. MYŚLĘ, ŻE NAJPIĘKNIEJSZE, JAKIE KIEDYKOLWIEK PRZEŻYŁAM.

- POZOSTAJE JESZCZE JEDEN PROBLEM - odezwał się rzeczowo Blaine. - JEDNO PYTANIE...

- JEŚLI CHODZI O TEN EKRAŃ W TWOIM UMYŚLE, TO JUŻ GO TAM NIE MA. JUŻ NIE ISTNIEJE W TWYM UMYŚLE NIC, CO MOGŁOBY CIĘ ZDRADZIĆ.

- JA NIE O TYM - odparł Blaine. - CZAS, CHODZI MI O CZAS. JA - TO ZNACZY MY - POTRAFIMY REGULOWAĆ PRZEPŁYW CZASU. TA UMIEJFTNOŚĆ DWUKROTNIE URATOWAŁA MI ŻYCIE...

- TO JUŻ MASZ W SWOIM UMYŚLE - rzekła Różowa Istota. - JUŻ TO ROZUMIESZ. MUSISZ TYLKO UMIEJĘTNIE WIEDZĘ TĄ ODNALEZĆ I WYDOBYĆ.

- ALE CZAS...

- CZAS - rzekła owa istota - CZAS JEST ZE WSZYSTKIEGO NAJPROSTSZĄ RZECZĄ. POWIEM CI..

. 17 .

Blaine dłuższy czas leżał nieruchomo, upajając się po prostu ciałem. Czuł je, mógł dotknąć skóry, wyczuć pod palcami jej chłód, lepką wilgoć potu na ramionach, na twarzy, na piersiach.

Nie znajdował się już w błękitnym pokoju, nie słyszał dobiegającego z zewnątrz gwizdu wiatru i syku przesypującego się piasku. Był natomiast inny, drażniący i chrapliwy dźwięk. I smród; agresywny, surowy odór lekarstw wypełniający nozdrza Blaine'a.

Uchyłał powieki niezwykle powoli i ostrożnie. Ujrzał biel - nieskażoną i czystą. Olśniewającą biel sufitu. Jego głowa spoczywała na poduszce, a ciało na świeżym prześcieradle. Miał na sobie jakieś ubranie ze sztywnej, szorstkiej tkaniny. Odwrócił głowę. Obok stało inne łóżko, a na nim spoczywała mumia. Czas - powiedziało mu stworzenie z innego świata - czas jest ze wszystkiego najprostszą sprawą. Chciało mu to wyjaśnić, ale nie zdążyło, gdyż Blaine powrócił już do siebie, na swoją planetę.

To był chyba sen. Piękny sen - myślał powracając wspomnieniem do błękitnego pokoju. Ale to wcale nie był sen. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Powrócił na tamtą planetę i rozmawiał z Róiówą Istotą. Słuchał jej niezwykłych opowieści, pamiętał teraz każdy ich szczegół. Zbyt dokładnie, żeby to wszystko miało się mu tylko przyśnić. Mumie z sąsiedniego łóżka spowijały bandaże tak szczelnie, że pozostały tylko otwory na usta i nos. Nawet oczy były zakryte. To właśnie jej chrapliwy oddech stanowił źródło drażniących dźwięków. Ściany - podobnie jak sufit-były przytłaczająco białe, a podłogę pokrywała wzorzysta glazura. Blaine nie miał wątpliwości, dokąd trafił. Był w szpitalu, sam na sam z ową charczącą i śliniącą się mumią.

Był w szpitalu, wśród ludzi! Leżał zmrożony nagłym strachem, który obrzydliwą, mdlącą falą podpełzł mu do gardła. Po krótkiej chwili jednak uczucie zagrożenia minęło. Poczul się w jakiś zadziwiający sposób

bezpieczny. Chwile zastanawiał się, gdyż musiał istnieć jakiś racjonalny powód tego, że tak nagle i kompletnie przestał się bać. Gdzie byłem? Gdzie byłem jeszcze prócz tego błękitnego pokoju? - zastanawiał się.

Umysł zaczął już mu funkcjonować normalnie i przypomniał sobie, że ukrył się w gęstej kępie płaczących wierzb w parowie nad potokiem. Tam zostało jego ciało, podczas gdy świadomość szybowiała przez kosmiczną pustkę na ową planetę.

Za drzwiami sali, w której znajdował się Blaine, rozległ się odgłos czyichś kroków. Drzwi otworzyły się nagle i do środka wszedł mężczyzna w białej kurtce. Zatrzymał się w progu i chwile obserwował Blaine'a.

- Wreszcie wrócił pan do siebie - odezwał się doktor. - No i jak samopoczucie?

- Całkiem nieźle - odparł zgodnie z prawdą Blaine, który w dalszym ciągu nie wiedział, co spowodowało jego pobyt w szpitalu. - Jak się tutaj znalazłem?

- Czy panu zdarzały się już kiedyś podobne przypadki? - lekarz jakby nie dosłyszał pytania Blaine'a.

- Ale co?

- Zaćmienie - odparł lekarz. - Stan omdlenia.

- Nie przypominam sobie - Blaine nie podnosząc z poduszki głowy, pokręcił nią przecząco. - Zupełnie, jakby ktoś rzucił na pana urok.

- Czary, doktorze? - wybuchnął gromkim śmiechem Blaine.

- No nie, tak tylko powiedziałem - krzywiąc twarz w wymuszonym uśmiechu odparł doktor. - Ale pacjenci wymyślają czasem. niestworzone rzeczy...

Lekarz zbliżył się do łóżka i usiadł obok Blaine'a.

- Jestem doktor Wetmore - przedstawił się. - Przebywa pan tutaj już od dwóch dni. Jacyś chłopcy wybrali się na króliki i znaleźli pana. Leżał pan pod kępą wierzb. Myśleli, że jest pan martwy.

- I to oni mnie tu zaciągnęli?

- Nie, policja. Chłopcy zawiadomili szeryfa.

- No i co mi było?

- Nie wiem - odrzekł szczerze doktor.

- Zdaje pan sobie sprawę, doktorze, że nie mam pieniędzy. Trudno będzie mi zapłacić.

- To akurat najmniejszy problem - lekarz potrząsnął głową. - Istnieje inna kwestia. Pan nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów. Czy pamięta pan w ogóle, kim jest?

- Oczywiście. Jestem Shepherd Blaine.

- A gdzie pan mieszka?

- Nigdzie. Szedłem, szedłem i przywędrowałem tutaj.

- A w jaki sposób dostał się pan do miasta?

- Nie mogę sobie jakoś przypomnieć. Blaine usiadł na łożku. Spojrzał byстрыm wzrokiem na doktora.

- Zamierzam już pójść sobie - odezwał się. - Jak stąd wyjść?

Lekarz obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Potrząsnął lekko głową.

- Chciałbym jednak, aby pan pozostał jeszcze trochę pod moją opieką. Jest kilka badań, które...

- Ale to tyle kłopotu...

- Nigdy nie należy lekceważyć takich przypadków, jak pański - rzekł poważnie doktor. - Przyznaje, że poza tą niezrozumiałą utratą świadomości, był pan w porządku. To znaczy pod względem fizycznym pański organizm był prawie bez zarzutu. Może akcja serca nieco zwolniona, a oddech nieco płytszy niż normalnie. Temperatura o jakąś kreskę niższa, a poza tym wszystko normalnie, tyle, że był pan nieprzytomny. I w żaden sposób nie było można pana docucić.

Blaine skierował wzrok na mumie.

- Z nim chyba nietęgo?

- Wypadek drogowy.

- O, to raczej nietypowe. Niewiele ich teraz.

- Niezwykłe okoliczności - wyjaśnił lekarz. - Kierował starą ciężarówką. Jechał prędko i pękła mu opona. Jeden zakręt szosy przed rzeką.

Blaine drgnął i przenikliwym wzrokiem otaksował mężczyznę spowitego bandażami.

- Możemy pana przenieść do innej sali - zaproponował doktor, opacznie tłumacząc sobie zainteresowanie Blaine'a rannym szoferem.

- To zbyt bezpieczne. Nie zostanę tu przecież długo - Blaine wzruszył ramionami.

- Prosiłbym jednak, by przez jakiś czas pozostał pan pod moją opieką. Zapaść może się powtórzyć. A za drugim razem mogą pana znaleźć za późno.

- Zastanowię się nad tym - obiecał Blaine, kładąc się z powrotem na łóżku.

Doktor nic nie odrzekł. Wstał i podszedł do drugiego łóżka. Pochylił się nisko nad rannym i chwile wsłuchiwał się bacznie w jego oddech. Następnie kawałkiem ligniny wytarł zaślinione wargi chorego. Wyprostował się i spojrzał na Blaine'a.

- Może panu czegoś potrzeba? - spytał. - Musi być pan potężnie głodny.

Blaine przetknął ślinę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że od blisko trzech dni nie miał nic w ustach. Pokiwał ochoczo głową.

- Porozmawiam w kuchni. Już coś tam znajdą dla pana.

Doktor odwrócił się i wyszedł z sali szybkim krokiem. Blaine słyszał klekot jego obcasów, oddalający się korytarzem.

I nagle zrozumiał - a może przypomniał sobie tylko - przyczynę owego irracjonalnego poczucia bezpieczeństwa, które tak nagle ogarnęło go zaraz po przebudzeniu. Różowa Istota zamieszkująca daleką gwiazdę zdjęła z jego umysłu lustro! Już nie musi się dłużej czaić, ukrywać, obawiać ludzi.

Gdy tak leżał i myślał o tym, poczuł się odrobinę bardziej człowiekiem; choć na dobrą sprawę nigdy nie czuł się nikim innym. Był nim i teraz, lecz po raz pierwszy, w świadomy sposób doświadczał dziwnego ucisku pod czaszką, wyczuwał ową warstwę nowej, głęboko w nim skrytej,

zainstalowanej wiedzy.

Obok, na sąsiednim łóżku, człowiek w bandażach sapał chrapliwie. - Riley! - wyszeptał Blaine odwracając głowę w jego kierunku.

Żadnej reakcji. Mumia dyszała ciągle w tym samym rytmie.

Blaine zsunął z łóżka bose stopy i oparł je na podłodze. Poczłł chłód kafelków. Wstał. Nogawki szpitalnej pidżamy były o wiele za długie i Blaine miał niejake kłopoty w poruszaniu się. Stał przy sąsiednim łóżku, nachylił się nisko nad spowitą bielą postacią.

- Riley, to ty? Riley, czy mnie słyszysz?

Mumia drgnęła. Bezskutecznie próbowała przekręcić głowę. Rozchyliła suche, spierzchnięte wargi ukazując ciemny, opuchnięty język.

- Powiedz... - tyle tylko zdołało wyjść z ust rannego. Po chwili ponowił próbę. - Powiedz Finnowi... - wystękał Riley.

Chciał powiedzieć coś więcej. Blaine czuł to i czekał cierpliwie. Usta znów poruszyły się. Ciężko, z mozołem. I jeszcze raz. Język obracał się niemrawo. Lecz nie padło już żadne nowe słowo.

- Riley! - tym razem nie było już żadnej reakcji rannego.

Blaine cofnął się tyłem do swego łóżka. Usiadł, nie odrywając wzroku od spowitego bandażami kierowcy. Ten leżał cicho i nieruchomo.

I w końcu dopadł go strach - pomyślał Blaine. Strach, przed którym umykał przez pół kontynentu. Lecz najprawdopodobniej nie był to ten lek, przed którym tak zaciekle i desperacko uciekał, lecz całkiem inny strach, niż sądził Riley. I inne niebezpieczeństwo.

Ranny znów zaczął ciężko dyszeć.

Riley wiozł jakieś wiadomości dla Finna - myślał Blaine. Kim jest Finn? I gdzie się obecnie znajduje? Co zrobił Rileyowi Finn?

Finn? Słyszał o jednym Finnie.

Kiedyś, bardzo dawno temu, Blaine zetknął się już z tym nazwiskiem. Usiadł z wrażenia na łóżku. Starł się gorączko przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Finnie.

Całkiem zresztą możliwe, że chodzi tutaj o innego Finna.

Gdyż Lambert Finn był w swoim czasie również badaczem u Fishhooka. Znikł, podobnie jak Godfrey Stone, lecz wiele lat przed nim. Wiele lat przed tym, zanim Blaine po raz pierwszy przekroczył, progi Fishhooka.

Imię Finna do dziś wymawiano ze zgrozą, szeptem. Stał się legendą, bohaterem mrożącej krew w żyłach opowieści, jednej z tych przerażających historii o Fishhooku.

Gdyż - jak głosiła owa historia - Lamber Finn powrócił pewnego dnia z gwiazd jako maniak.

. 18 .

Blaine leżał na łóżku gapiąc się nieruchomym wzrokiem w sufit. Przez uchylone okno wpadało do sali chłodne, pachnące jesienią powietrze. Poprzez liście rosnącego przed oknem drzewa, prześwięcało słońce, tworząc na ścianie misterne plecionki cienia. Uparte drzewo - pomyślał Blaine. Już koniec października, a ono wcale nie zamierza oddać swych liści jesieni.

Mimo dłuższego już przebywania w tej sali, mimo otwartego bez przerwy okna, nie potrafił się przyzwyczaić do duszącego zapachu leków i szpitalnych woni. Leżał, wsłuchując się w stonowane, trudne do identyfikacji odgłosy szpitalnego życia, dobiegające spoza zamkniętych drzwi.

Musze się stąd wydostać - myślał. Musze wędrować dalej. Ale gdzie? Do Pierre, oczywiście. Do Pierre i Harriet, jeśli rzeczywiście tam czeka. Ale Pierre niczego jeszcze nie załatwiało. Nie miał tam przecież żadnego interesu. Wiedział, że jest to tylko przelotny punkt na trasie jego ucieczki.

Bo wciąż uciekał ze ślepą i bezmyślną desperacją i uporem. Uciekał od chwili powrotu ze swej międzygwiazdnej misji. A najgorsze w tym wszystkim było to, że uciekał bez żadnego planu: ot, aby uciekać. Bo tylko uciekając czuł się bezpieczny; zupełnie jakby fakt ten decydował o jego bezpieczeństwie.

Brak planu doskwierał mu coraz bardziej. Owocował poczuciem wewnętrznej pustki. Blaine gnał przed siebie na złamanie karku, tam, gdzie go popchnął wiatr, bez udziału własnej woli, zdany na ślepy los.

I znów, po raz kolejny natrętna, obsesyjna myśl: czy ta paniczna ucieczka od Fishhooka była rozsądna? Czy musiał postąpić właśnie tak? Jakby w odpowiedzi stanął mu natychmiast przed oczyma Freddy Bates. jego sztuczny uśmiech i dziki błysk oczu. Pistolet w kieszeni kurtki. Blaine nie żywił już dłużej wątpliwości: musiał zrobić to, co zrobił. Musiał uciekać.

Lecz należy jak najszybciej znaleźć coś, czego by się trzymał, do czego by

konsekwentnie dążył, co dałoby mu odrobinę nadziei lub choćby jej cień. Nie może przecież tak wiecznie uciekać bez celu. Musi nadejść w końcu chwila, gdy zaprzestanie ucieczki, gdy stanie na pewnym gruncie, gdy będzie wolny i bezpieczny. Lecz do tego potrzebny jest plan.

Głośniejsze sapanie i świszczący oddech Riley'a wyrwały Blaine'a z zadumy. Odwrócił twarz w stronę kierowcy. Ten jednak przestał już rzeźnić i w pokoju zaległa cisza.

Nie mam najmniejszych powodów pozostawać dłużej w szpitalu - rzekł do siebie Blaine. Lekarz przecież nie znajdzie w nim żadnej choroby, Blaineowi nie jest też potrzebna jego pomoc. Żadnemu z nich nic nie da, jeśli Blaine zdecyduje się tutaj pozostać.

Wstał z łóżka i przeszedłszy pokój skierował się do łazienki. Otworzył drzwi. Na wieszaku wisiało jego ubranie; co prawda nie mógł znaleźć swej bielizny, ale były i spodnie i koszula, a na podłodze stały buty. Marynarka, która spadła z haczyka, leżała zmięta na ziemi. Blaine zdjął szpitalną pidżamę i sięgnął po spodnie. Włożył je i zapiął mocno pas.

Sięgając po koszulę, uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. W pół ruchu zatrzymał rękę, wsłuchując się bacznie w zalegającą ciszę. Tak, cisza - cisza pełnego uroku jesiennego popołudnia. Pełna zapachu zwiędłych liści i wilgotnej ziemi napływającego uchylonym oknem. Zapach dojrzałych jabłek i cierpkiego wina.

Lecz ta właśnie cisza tak go przeraziła. Coś w niej było nie tak. Szybko pojął, że powinien słyszeć rzeźnienie i ciężki oddech Riley'a.

Z wyciągniętą - jak w geście samoobrony - ręką, Blaine trwał bez ruchu, oczekując aż ponownie usłyszy jęki chorego. Panowało jednak głucho milczenie. Błyskawicznie odwrócił się i wybiegł z łazienki. Zrobił krok w stronę łóżka Riley'a i raptownie przystanął. Wiedział już, że nie ma potrzeby podchodzić bliżej. Obandażowane ciało szofera spoczywało cicho i nieruchomo, a w kącie ust - jak zakrzepły połyskiwał mętnie duży bąbel śliny.

- Doktorze! - krzyknął Blaine. - Doktorze!

Gorączkowo obrócił się i pobiegł do drzwi. Po chwili stanął, zdając sobie sprawę, iż naprawdę nie musi się już tak spieszyć. Spokojnym już krokiem podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Otworzył drzwi i wystawił głowę na korytarz. Lekarz nadchodził właśnie szybkim krokiem. - Doktorze - wyszeptał Blaine.

Ten zbliżył się, położył dłoń na ramieniu Blaine a i delikatnym, miękkim ruchem popchnął go do środka pokoju. Wszedł za nim. Podszedł do łóżka Riley'a, nachylił się i stetoskopem zawieszonym na szyi zaczął badać owiniętą bandażami mumie. Po krótkiej chwili wyprostował się i potarł dłonią czoło. Odwrócił się w kierunku Blaine a, obrzucając go szybkim, szorstkim spojrzeniem.

- A pan co? - spytał. - Dokąd się pan wybiera?

- On umarł. Przestał oddychać już jakiś czas temu.

- Tak, umarł. Nie miał zresztą od początku najmniejszych szans. Mimo, że zastosowaliśmy gobathian, nie miał żadnych szans przeżycia.

- Zastosowaliście gobathian? No tak, teraz rozumiem dlaczego był taki owinięty.

- Był okropnie potrząskany - odrzekł zamyślony doktor - jak zabawka którą dziecko cisnęło na ziemie i podeptało nogami. Był... - urwał i obrzucił Blaine a długim, podejrzliwym spojrzeniem:

- Co pan w ogóle wie o gobathianie?

- Słyszałem o tym leku.

- Obce lekarstwo pochodzenia kosmicznego. Używane jest przez rasę rozumnych owadów. Rasę skłóconą między sobą. Gobathian czyni cuda. Leczy połamane i zmiażdżone ciało, tworząc zupełnie nową tkankę... - spojrzał przenikliwie na Blaine a, po czym przeniósł wzrok na obandażowane zwłoki. Spoglądał na nie dłuższą chwilę i ponownie zwrócił spojrzenie na Blaine'a.

- Pan czytał literaturę na ten temat? - spytał.

- Trochę. Głównie popularne artykuły w magazynach - skłamał gładko Blaine.

I nagle ujrzał, jakby działo się to przed chwilą, wrzące szaleństwo owej porośniętej dziką dżunglą planety, gdzie natknął się właśnie na gobathian używany przez owady choć-prawdę mówiąc - nie były to tak zupełnie owady i nie wykorzystywały gobathianu w celach leczniczych.

Ale to przecież nie miało znaczenia. Ziemska terminologia w odniesieniu do wielu, wielu obcych planet zawodziła i jedyne co człowiek mógł zrobić, to określać wszystko w przybliżeniu.

- Przeniesiemy pana do innej sali - przerwał mu rozmyślenia lekarz.

- Nie ma potrzeby - pokręcił głową Blaine. - Postanowiłem jednak wyjść...

- Nie może pan teraz opuścić szpitala - gwałtownie zaprotestował doktor. - Nie pozwolę na to. Nie chce mieć pana na sumieniu. Coś musi być przecież z panem nie w porządku... bardzo nie w porządku. A nie ma nikogo, kto przejąłby nad panem opiekę. Następnym razem może być pan znaleziony za późno. Nie ma pan przyjaciół, rodziny, nikogo kto by...

- Zawsze sobie dawałem rade sam - odparł szorstko Blaine. - Teraz też sobie poradzę. Doktor zbliżył się do Blaine a i spojrzał mu badawczo w oczy.

- Odnoszę wrażenie, że nie mówi mi pan całej prawdy - rzekł cicho. - Całej prawdy.

Blaine bez słowa odwrócił się i wyszedł ponownie do łazienki. Zdjął z wieszaka koszulę i naciągnął ją przez głowę. Schylił się, podniósł buty. Nałożył. W końcu ubrał się w marynarkę i wrócił do sali zamykając za sobą dokładnie drzwi.

- Doktorze, wyjdziemy chyba razem - odezwał się. - Nie chce tu być dłużej. Korytarzem ktoś nadchodził.

Prawdopodobnie niosą mi jedzenie, o którym wspomniał doktor - błysnęło mu w głowie. W takim razie musi się trochę wstrzymać z opuszczeniem szpitala. Naprawdę potrzebuje jedzenia.

Słuchał nadchodzących kroków; poznał, że zbliżają się dwie osoby. Może

ktoś z kuchni i jeszcze ktoś, kto usłyszał wcześniejsze krzyki Blaine'a.

- Byłbym jednak niezmiernie rad, gdyby pan, mimo wszystko, zmienił zdanie. Niezależnie od tego, że wymaga pan jeszcze opieki lekarskiej, istnieją pewne formalności...

Blaine nie słuchał dalej, gdyż ludzie podeszli już do drzwi. Te otworzyły się i dwie osoby stanęły na progu.

- Shep - rozległ się lodowaty głos Harriet Quimby. - Shep, jak tu wylądowałeś? Szukamy cię wszędzie.

I jednocześnie telepatyczny impuls sieknął jego umysł: - SZYBKO, O CO CHODZI?

- ŻĄDAJ WYDANIA MNIE (DZIKA KOBIETA WLOKĄCA ZA SOBĄ BEZ SKRUPUŁÓW ROZBRYKANEGO URWISA). JEŚLI ZAŻĄDASZ WYPUSZCZENIA MNIE, ONI SIĘ ZGODZĄ. ZOSTAŁEM ZNALEZIONY POD WIERZBĄ...

- (PIJAK, KTÓRY WPADŁ DO WIELKIEGO POJEMMKA NA ŚMIECIE I NIE POTRAFI SIĘ O WŁASNYCH SIŁACH Z NIEGO WYDOSTAĆ: KAPELUSZ PRZEKRZYWIONY, CZERWONO-FIOLETOWY NOCHAL, OCZY WYRAŻAJĄ LEKKIE ZDUMIENIE).

- NIE, TU NIE TAK. PO PROSTU LEŻAŁEM POD DRZEWEM NIEOBECNY DLA CAŁEGO ŚWIATA. ON UWAŻA, ŻE ZE MNĄ JEST COŚ NIE W PORZĄDKU.

- ALE PRZECIEŻ COŚ...

- ALE NIE TO, CO ON SĄDZL..

- I znów to samo - odezwał się Godfrey Stone na wpół z troską na wpół gniewnie. - Znów się za dużo wypilo, zgadłem? A wiesz co ci mówił doktor... - Do diabła z doktorem - zachnął się Blaine. - Jeden czy dwa kieliszeczki nikomu jeszcze...

- Ale ciotka Edna była wściekła - wtrąciła się Harriet. - Już podejrzewała najgorsze. Wiesz, jaka ona jest. Myślała że już zniknąłeś na zawsze:

- GODFREY! GODFREY! MÓJ BOŻE, TRZY LATA...

- DA SPOKÓJ, SHEP. NIE PORA TERAZ. WYJDŹMY STĄD.

- Państwo znacie tego człowieka? Czy jesteście może rodziną? - spytał doktor Wetmore.

- Nie, nie rodziną. Po prostu przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi - odparł

Stone. - Jego ciotka Edna...

- Może byśmy już poszli? - przerwał bezceremonialnie Blaine.

Stone spojrzał pytająco na doktora Wetmorea, ten skinął przyzwalająco głową.

- Tylko niech państwo jeszcze wstąpią do biura - dodał. - Trzeba podpisać jego zwolnienie. Zatelefonuje na dół. Potrzebne będą państwa nazwiska.

- Ależ oczywiście - odparł szybko Stone. - Dziękujemy bardzo panu, doktorze. I przepraszamy za kłopot.

- Ależ nic znów wielkiego się nie stało - z krzywym uśmiechem odparł lekarz. Wychodząc, Blaine zatrzymał się w progu i spojrzał na Wetmorea.

- Przykro mi - powiedział. - Okłamałem pana. Ale w końcu nie miałem powodów do dumy.

- Każdy z nas ma w życiu chwile słabości - sentencjonalnie, kiwając głową, odrzekł doktor.

- Do widzenia, doktorze. I przepraszam jeszcze raz.

- Do widzenia, panie Blaine. Niech pan uważa na siebie.

Szli korytarzem rażno, obok siebie.

- KTO BYŁ W TYM DRUGIM ŁÓŻKU? - spytał Stone. - NIEJAKI RILEY.

- RILEY!

- KIEROWCA CIĘŻARÓWKI.

- RILEY! MYŚMY WŁAŚNIE JEGO SZUKALI! A ZNALEŻLIŚMY CIEBIE. MUSIMY TAM ZARAZ WRACAĆ. Stone zatrzymał się, chciał zawracać, lecz wstrzymały go słowa Blaine'a:

- TO BEZCELOWE. NIC JUŻ NIE ZROBISZ. ON UMARŁ. - UMARŁ. A CIEŻARÓWKA?

- ROZBITA. SPADŁA DO RZEKI. - Oh, Godfrey! - jęknęła Harriet.

- To koniec, naprawdę koniec - szepnął potrząsając głową. - Nic z tego. - ALE CO SIĘ WŁAŚCIWIE DZIEJE? - spytał zaintrygowany Blaine.

- WSZYSTKO CI WYJAŚNIMY. ALE POTEM. NA, JPIERW

WYJDŹMY STĄD. Stone chwycił go za łokieć i popchnął lekko do przodu.

- JESZCZE TYLKO JEDNO - nie ustępował Blaine. - CO TUTAJ PORABIA LAMBERT FINN?

- Lambert Finn - odparł już normalnie Stone - jest obecnie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na świecie.

. 19 .

- Czy nie sądzisz, że powinniśmy jednak odjechać kapkę dalej? - zapytała Harriet. - Jeśli doktor Wetmore nabierze jakichś podejrzeń...

- Czemu miałyby coś podejrzewać? - odpowiedział pytaniem zza kierownicy Stone.

- Po prostu zacznijmy myśleć. Zacznijmy się zastanawiać. Jest zaintrygowany i zdumiony przypadkiem Blaine'a. Poza tym nasza historyjka była jednak szyta bardzo grubymi nićmi.

- Uważam, że jak na wymyśloną na poczekaniu, była genialna.

- Zgoda, niemniej znajdujemy się zaledwie dziesięć mil od miasta.

- I tak muszę tam wrócić dzisiejszej nocy. Trzeba sprawdzić, co się stało z ciężarówką Rileya. Wiesz przecież.

- Wkładasz sam sobie stryczek na szyję - wzruszyła ramionami Harriet.

Zahamował gwałtownie przed niewielkim budyneczkiem z napisem. „Biuro . Mężczyzna, zamiatający schody przed budynkiem, przerwał swoje zajęcie i podbiegł do samochodu. Twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech.

- Witam państwa serdecznie - wykrzyknął radośnie. - Czym może służyć Ptainsman?

- Czy dostaniemy dwa połączone pokoje?

- Oczywiście. Tak się szczęśliwie składa, że właśnie zwolnił się dwupokojowy segment. Zapowiada się cudowna pogoda, prawda?

- Wspaniała - zgodził się Blaine, krzywiąc lekko.

- Niestety, każdego już dnia spodziewamy się nadejścia śloty. Ale ostatecznie już najwyższa pora. Pamiętam jak spadł tutaj śnieg...

- Ale chyba nie w tym roku? - spytał Stone.

- Nie, nie... pan pytał się o połączone pokoje?

- Jeśli to tylko możliwe...

- Proszę w takim razie pojechać tą aleją - wskazał ręką w prawo. - Numer 10 i 11. Klucze dostarczę za chwile osobiście.

Stone włączył silnik odrzutowy i samochód uniósł się łagodnie na poduszce powietrznej. Pojazd ruszył w kierunku wskazanym przez właściciela motelu. Mijali zaparkowane przed poszczególnymi segmentami auta. Z jednych właściciele wyciągali właśnie bagaże, inne były zamknięte, a ludzie siedzieli w wiklinowych fotelach na maleńkich patio przed domkami. Gdy dojechali do wyznaczonego im lokum oznaczonego podwójnym numerem, Stone wyłączył silnik i samochód opadł miękko na ziemię. Pierwszy wysiadł Blaine. Obszedł samochód w kółko i otworzył drzwi Harriet.

Wreszcie jest dobrze - myślał, spoglądając ukradkiem na profil dziewczyny. Jesteśmy już razem, ze Stonem i Harriet. A to tak, jakbym wrócił po latach do domu; do ludzi dawno utraconych, których odzyskałem na powrót.

Motel był położony w przepięknym widokowo miejscu, na wyniosłym wzgórzu ponad rzeką. Roztaczał się stąd przepyszny widok na północ i wschód, na tereny rozciągające się daleko wyniosłymi pagórkami poprzedzielanymi gęstwą drzew porastających wąwozy którymi potoki i strumienie spływały do głównej doliny, tam gdzie rzeka toczyła czekoladowe wody. Wijąc się meandrycznie, tworzyła zakola i odnogi, jakby sama nie potrafiła zdecydować się, którądy płynąć. Jej drogę znaczyły porozrzucane nieregularnie stawki, bajora i kałuże skrzące się w blasku słońca.

Był w tym widoku jakiś trudny do wyrażenia, kojący spokój i majestat. Przestrzeń i świeżość. Pojawił się właściciel zajazdu z kluczami w dłoni. Otworzył drzwi i zwrócił się ku gościom.

- Znajdziecie tu państwo wszystko, co może być potrzebne. I będziecie zupełnie bezpieczni. Jesteśmy ostrożni i przezorni. We wszystkich oknach są okiennice, a drzwi zaopatrzyliśmy w najlepsze zamki. Znajdziecie również cały zestaw potrzebnych znaków magicznych i amuletów. Mieliśmy

początkowo zwyczaj instalować je sami, ale wielu naszych gości woli używać ich według własnego uznania.

- O, to bardzo pomysłowe - pochwalił Stone.

- Wygoda i bezpieczeństwo gości są naszą główną troską - pochwalił się właściciel.

- Wydaje mi się, że nie mogliśmy lepiej trafić - wtrąciła Harriet.

- Mamy też własną restaurację...

- To doskonale - klasnęła w ręce Harriet. - Umieram wprost z głodu. Zaraz się tam pojawimy.

- W wolnej chwili proszę wstąpić do biura i wpisać się w rejestrze gości.

- Tak, oczywiście. Zrobimy to - zgodziła się Harriet.

Właściciel wręczył klucze Harriet, ukłonił się i odszedł spieszonym krokiem w kierunku nowych, przybyłych właśnie gości.

- Cóż, wejdziemy - mruknął Stone przytrzymując drzwi Harriet. Potem, przepuściwszy również Blaine'a, sam wszedł do środka i dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Harriet rzuciła klucze na dużą komodę z lustrem i przystąpiła natychmiast do szczegółowych oględzin pokoju.

- No, mów teraz o sobie - zwróciła się do Blaine'a kiedy skończyła lustracje pokoju. - Co się z tobą działo? Wróciłam tam jeszcze raz. Wrzało w miasteczku jak w ulu. Musiało się wydarzyć coś okropnego. Ale nie zdążyłam się dokładnie wywiedzieć, gdyż musiałam uciekać. I to bardzo szybko.

- Mnie również udało się wymknąć - mruknął dyplomatycznie Blaine.

- W ogóle udało ci się lepiej niż mnie - wtrącił się do rozmowy Stone wyciągając w stronę Blaine'a rękę. - Udało ci się przynajmniej od razu zwać Fishhookowi.

Dłoń Blaine'a zniknęła w uścisku ogromnej ręki Stone'a. Ten trzymał ją dłużej, baczenie przyglądając się twarzy Blaine'a.

- Okropnie jestem rad, żeś przybył i jesteś już ze mną - rzekł cicho,

serdecznie spoglądając mu w oczy.

- Zaskoczył mnie wówczas twój nocny telefon - odparł Blaine. - Ale pamiętałem o nim cały czas. I nie czekałem aż przyjdą po mnie. Uciekłem.

Stone puścił jego dłoń. Stali dłuższą chwilę milcząc, patrząc sobie nawzajem w oczy. Był to już inny Stone niż ten, którego przed laty znał i jakim go zapamiętał Blaine. Zawsze był potężnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną. Takim też pozostał. Lecz obecnie rzucała się w oczy nie czysto fizyczna wielkość tego człowieka. Czuło się w nim, przede wszystkim, potężnego ducha. W jakiś przedziwny sposób głównie ta właśnie cecha rzucała się w oczy; bardziej jeszcze niż jego masywna sylwetka. I jakiś niezauważalny przedtem upór, twardość, stalowe lśnienie w oczach.

- No, tego akurat nie jestem tak bardzo pewien, czy dobrze dla ciebie, że się pojawiłem. - Blaine próbował się lekko uśmiechać. - Podróżowałem wolno i z wieloma kłopotami. Fishhook jest już z pewnością na moim tropie.

Stone wzruszył tylko obojętnie ramionami, jakby Fishhook i jego agenci wcale się nie liczyli. Przeszedł ciężkim krokiem przez pokój i usiadł w fotelu.

- Co ci się właściwie przytrafiło, Shep? Czemu uciekłeś?

- Jestem skażony.

- To tak jak ja - Stone zamyślił się, powracając wspomnieniem do czasu kiedy i on musiał uciekać od Fishhooka.

- Gdy skończyłem z tobą tamtą rozmowę telefoniczną, już na mnie czekali. Poszedłem z nimi, bo cóż miałem robić: Zabrali mnie do... (ROZLEGŁA MORSKA PLAŻA I OGROMNY, BIAŁY DOM POD OŚLEPIAJĄCO - AŻ DO ZAWROTU GŁOWY - BŁĘKITNYM NIEBEM. WOKÓŁ WIELKIEGO, BIAŁEGO BUDYNKU POROZRZUCANE INNE, MNIEJSZE, LILIPUCIE NIEMAL W PORÓWNANIU Z OGROMEM GŁÓWNEJ BUDOWLI. PRZED ZABUDOWANLAMI ROZLEGŁY, SOCZYŚCIE ZIELONY TRAWNIK. DALEJ BIAŁY PIASEK PLAŻY I SZMARAGDOWY OCEAN Z BIAŁYMI GRZYWAMI FAL ROZBIJAJĄCYCH SIĘ TĘCZOWĄ AUREOLĄ NA KOŃCZĄCYCH

PLAŻĘ URWISTYCH, CZARNYCH SKAŁACH. NA BIAŁYM PIASKU ODCINAJĄCE SIĘ CYGAŃSKIMI BARWAMI PARASOLE...)

- Była to, jak później odkryłem, Baja California. Absolutnie dzika okolica z ulokowanym tam kurortem... (CHORAĞIEWKI WOKOŁ POŁA GOLFOWEGO TRZEPOCZĄCE W PODMUCHACH OCEANICZNEJ BRYZY, RÓWNY, BIAŁY PROSTOKĄT KORTU TENISOWEGO, ROZLEGLE PATIO Z GOŚĆMI, UBRANYMI W PLAŻOWE, LECZ ZARAZEM NIESŁYCHANIE WYTWORNE STROJE, SIEDZĄCYCH LENIWIE W FOTELACH, PIJĄCYCH MIENIĄCE SIĘ TĘCZOWO DRINKI, W OCZEKIWANIU NA TACE Z KANAPKAMI). Mogłeś tam zajmować się wędkarstwem, o jakim nawet nie śniłeś, mogłeś polować pośród okolicznych wzgórz i lasów, okrążyć rok zażywać kąpieli w przejrzystych wodach oceanu...

- Trudno byłoby to wytrzymać - wtrąciła Harriet.

- Nie, wcale nie - zaprzeczył energicznie Stone. - Nie było to takie okropne. Przez pierwsze sześć tygodni czy sześć miesięcy sprawiało to rzeczywiście ogromną rozkosz. Było tam wszystko, czego potrzebuje mężczyzna. Jedzenie, picie, kobiety. Każde twoje życzenie spełniano w mig. Nie potrzebowałeś pieniędzy - wszystko było za darmo.

- Ale chciałbym wiedzieć jak długo... - zaczął Blaine, lecz Stone mu przerwał:

- Oczywiście, masz racje. Beczynność, bezużyteczność. Koszmar. Jakby ktoś ciebie, mężczyznę nawykłego do pracy, do działania, zamienił nagle w dziecko i - zostawiając mentalność dorosłego człowieka - pozwolił się tylko bawić. Mimo że czułeś do Fishhooka urazę, nienawidziłeś go, buntowałeś się przeciw niemu, to on był cały czas dla ciebie dobry. Tak, wiedziałeś czemu tak jest. Fishhook spłacał ci w ten sposób dług. Fishhook przeciwko każdemu z nas osobiście nic nie miał. Nie popełniliśmy przecież żadnego przestępstwa, nie uchybiliśmy w naszej pracy, nie zaniedbywaliśmy jej. Przeciwnie, wykonywaliśmy ją najlepiej jak umieliśmy. To znaczy większość tych,

którzy tam mieszkali. Ale z drugiej strony Fishhook nie mógł ryzykować. Nie mógł również pozbyć się nas w jakikolwiek bardziej drastyczny sposób. Nie mógł dopuścić - rozumiesz - nie mógł dopuścić do najłżejszej skazy na swym imieniu. Nikomu nie wolno było bowiem oskarżyć Fishhooka, że wypuścił w świat kogoś skażonego obcością, z umysłem czy uczuciami choćby o włos odbiegającymi od ludzkiej normy. To było kosztowne; bardzo kosztowne; ale fundowali nam te długie, komfortowe wakacje - dożywotnie wakacje - w takim miejscu, o jakim nawet milionerzy nie śnili.

- Było to niezwykle chytre i podstępne. Nienawidziłeś tego miejsca, lecz nie byłeś w stanie go rzucić, bo - prawdę mówiąc - zdrowy rozsądek buntował się przeciw temu: trzeba być skończonym idiotą porzucając takie rajskie miejsce. Żyłeś bezpiecznie i luksusowo. Nikt cię nie pilnował, nie było tam żadnej straży. I jeśli nawet myślałeś o ucieczce - to nie jak o ucieczce w ścisłym tego słowa znaczeniu. Bo uciekać można z więzienia, ale nie z komfortowego kurortu, gdzie nikt cię nie trzymał siłą, nikt nie pilnował, nie śledził, nie podglądał... To znaczy do chwili, kiedy nie próbowałeś zwiać. Bo dopiero wówczas przekonywałeś się, jak dobrze jesteś strzeżony. Przekonywałeś się, że wokół ciebie roi się od strażników i agentów, że każda ścieżka w górach, każda droga jest bacznie obserwowana. Pomijając już zupełnie fakt, że ucieczka taka, ze względu na pustynne tereny wokół, równała się praktycznie samobójstwu. Stopniowo odkrywałeś, że jesteś cały czas pod czujną kontrolą agentów Fishhooka pozujących na zwyczajnych gości kurortu. Szpiegów, którzy nie przestawali cię obserwować, gotowych zareagować na każdy twój ruch, każdą próbę, wręcz myśl, o ucieczce.

- Ale tak naprawdę to nie oni cię tam trzymali. Trzymał cię luksus i łatwość życia. Trudno bowiem opuścić z dobrej woli takie miejsca. I Fishhook dobrze o tym wiedział. Była to najlepsza i najbardziej perfidna zarazem forma więzienia, jaką człowiek mógł wymyśleć.

- Ale jak każde więzienie, tak i to miejsce - gdy już pojąłeś czym ono jest w rzeczywistości - czyniło cię twardym, podstępnym, chytrym. Tam walka

była równie mozolna i ciężka jak w każdym innym więzieniu; a może i trudniejsza... Zaczynasz planować ucieczkę. Uciekasz. Fishhook przedobrzył tworząc tak rozbudowany system ochrony. Gdyż pozostawiony samemu sobie, próbowałbyś, po pewnym czasie, ucieczki. Szybko jednak zrezygnowałbyś i wrócił, przekonawszy się, jak trudno i niebezpiecznie jest na zewnątrz. Gdy jednak nie z dziką przyrodą i zabobonnymi wieśniakami masz do czynienia, lecz z tajną służbą Fishhooka, z uzbrojonymi ludźmi i szkolonymi psami którzy odgradzają cię od upragnionej, wolności, wtedy dopiero zaczynasz świadomie igrać z niebezpieczeństwem. Ucieczka w takich razach staje się fascynującą podniecającą grą, wyzwaniem rzuconym potężnemu przeciwnikowi. Stawiasz wszystko, łącznie z własną głową, na jedną kartę. Walczysz nie targując się o cenę.

- Ale stamtąd nie ma chyba zbyt wielu ucieczek? - przerwał Blaine. - Nawet chyba i niewiele prób.

- Masz rację. - Stone wyszczerzył drapieżne zęby. - Niewielu osobom się to udało. Niewielu próbowało.

- Ty i Lambert Finn.

- Lambert - odparł sucho Stone - był moim natchnieniem i inspiracją. On uciekł z Baja California parę lat wcześniej niż ja tam trafiłem. A kilka z kolei lat przed Lambertem ucieczka taka powiodła się jeszcze komuś. Ale o tym nie wiem nic: ani kto to był, ani co mu się przydarzyło, ani co się z nim dalej stało.

- Okay, a co się może dzieć z człowiekiem, który uciekł od Fishhooka, którego Fishhook ściga? Gdzie będzie koniec jego ucieczki? Popatrz na mnie! Mam przy duszy zaledwie parę dolarów, które w dodatku nie są moje lecz Rileya, nie mam dokumentów, nie mam zawodu. Jak mogę...

- Brzmi to tak, jakbyś żałował żeś uciekł.

- Kilkakrotnie żałowałem. Był to, rzecz jasna, chwilowe nastroje, bo wiem, że innego wyjścia nie miałem. Ale gdybym mógł cofnąć czas, to przede wszystkim zaplanowałbym sobie wszystko dużo, dużo wcześniej.

Przeniósłbym pieniądze do innego kraju, zmieniłbym nazwisko, wystarałbym się o odpowiednie dokumenty, wyuczyłbym się zawodu, który zapewniłby dochód...

- Ale tak naprawdę to nigdy nie wierzyłeś, że będziesz musiał uciekać. Wiedziałeś dobrze, iż przydarzyło się to mnie, że zdarzało się innym, lecz nie wierzyłeś, że to samo może spotkać ciebie.

- Coś w tym stylu - po twarzy Blaine a przeleciał cień uśmiechu.

- Witamy więc w naszym klubie - odparł Stone.

- Masz na myśli...

- Nie, nie chodzi o mnie. Ja mam tylko do wykonania zadanie. Niezwykle ważną misję.

- Ale...

- Myślę o ogromnej części ludzkości. Nawet nie masz pojęcia, jak wiele milionów ludzi.

- Zgoda, zawsze byli...

- I znów nie trafiłeś. Mam na myśli dewiatów. Człowieku, chodzi mi o dewiatów. Dewiatów, którzy nie są u Fishhooka. To niemożliwe, żebyś po przebyciu tysiąca mil nic nie... - Widziałem. Wszystko widziałem - odparł ponuro Blaine, czując mimowolny dreszcz strachu i nienawiści biegnący po kręgosłupie. - Tak, widziałem co się wyprawia.

- To jest właśnie najgorsze. Temu wypowiedziałem wojnę - wykrzyknął zapalczywie Stone. - Jakież straszliwe i bezmyślne marnotrawstwo. Niszczenie własnych szans - zarówno dewiatów jak i całego ludzkiego gatunku. Na ludzi, w których zawiera się cała przyszłość Człowieka urządzone są polowania i nagonki, ludzie owi zamykani są w gettach i więzieniach, opluwani i obrzucani błotem. Nienawidzeni i mordowani...

- I powiem ci coś więcej - ciągnął po chwili. - Winę za to ponosi nie tylko głupota ludzka, nietolerancja, bigoteria czy ignorancja dzikusów. Fishhook! Mówie o Fishhooku. To on głównie ponosi za to winę. Bo właśnie Fishhook zagarnął dla swych partykularnych interesów i egoistycznych celów

zdolności paranormalne drzemiące w Człowieku. Dba - wyjątkowo dba - o tych dewiatów, których wybrał dla siebie, odwracając się jednocześnie plecami do całej reszty, pozostawiając ich własnemu losowi. Sam najlepiej wiesz jakiemu. Zostawił ich po prostu na pożarcie tym bestiom w ludzkich skórkach. Dewiaci spoza Fishhooka - jak świat długi i szeroki - tropieni są przez wszystkich jak dzikie bestie, muszą kryć się w mrokach nocy, w najgłębszych leśnych ostępach. Bo Fishhook rachuje. Bo liczy, liczy pieniądze. Zabranie wszystkich dewiatów pod swoje skrzydła, to impreza byt droga dla Fishhooka.

- Boi się...

- To nie strach. To obojętność i chciwość. Fishhook dawno już przestał dbać o to, co nie przynosi dochodu, konkretnych korzyści materialnych. Fishhook to monopol, monopol niczym nie krepowany, nie regulowany żadnymi przepisami czy ograniczeniami z wyjątkiem tych, które sam na siebie nakłada.

- Jestem głodna - zaanonsowała niespodziewanie Hriet.

Stone jakby nie usłyszał jej słów. Pochylił się lekko do przodu w fotelu.

- Istnieją miliony takich wyrzutków - ciągnął dalej. - Niewytrenowanych, nieprzeszkolonych, prześladowanych. Miliony dewiatów o zdolnościach tak potężnych i nieoczekiwanych, że wprawić mogą w podziw i zdumienie samego Fishhooka. W nich właśnie leży przyszłość całego rodzaju ludzkiego. Oni to posiadają możliwości tak rozpaczliwie i dramatycznie potrzebne ludzkiej rasie.

- Był czas, gdy świat potrzebował Fishhooka. I bez względu na to jak potoczyły się losy i jakim się ów Fishhook stał, świat dłużny jest mu wiele więcej niż jest w stanie zapłacić. Ale nadszedł już czas, że Fishhook jest zbędny. Dzisiaj jest wyłącznie hamulcem rozwoju naszej cywilizacji, a użytkowanie kinetyki paranormalnej nie może być już dłużej domeną wyłącznie jednego monopolu! - Ostatnie słowa Stone wymówił mocnym, podniesionym głosem.

- Ależ problem nie leży wcale w Fishhooku i jego egoizmie, lecz w zdziczałych i ciemnych masach, w ich potwornych uprzedzeniach, ciemnocie i nietolerancji - wykrzyknął - wzburzony Blaine.

- To zrozumiałe. Kinetyka paranormalna długie lata była nadużywana i stosowana niewłaściwie, wykorzystywana wedle najlepszych wzorców minionego, dziś martwego już świata dla prymitywnych, podłych i nędznych celów. Dzisiaj owocują tamte lata w postaci obłądnej, histerycznej nagonki i ślepej nienawiści ze strony społeczeństwa do wszystkiego co paranormalne. Dewiaci z kolei, przepełnieni poczuciem winy, zmuszeni ukrywać się, nie mogą skutecznie działać. Lecz pomimo to sprawa i tak wykracza dalej. Problem bowiem leży w tym, że dewiaci mogliby działać dużo, dużo więcej, a kinetyka paranormalna zawiera w sobie więcej tajemnic i nie odkrytych jeszcze możliwości niż się powszechnie sądzi. I o to właśnie należy podjąć walkę. Musimy wykazać, że siłami parapsychicznymi dysponuje Człowiek, a nie Fishhook. Gdy to się stanie, społeczeństwo powróci do swego zdrowego rozsądku, a wtedy, tego właśnie dnia, Shep, Człowiek uczyni ogromny krok naprzód.

- Ależ człowieku! Ty operujesz pojęciami z zakresu ewolucji kulturowej! A proces taki trwa. Oczywiście, to może się udać, ale za ... sto lat?

- Nie możemy tak długo czekać! - wykrzyknął z kolei wzburzony Stone.

- Posłuchaj, Godfrey. Istniały wojny religijne - spokojnie perswadował Blaine. - Wojny protestantów i katolików, chrześcijaństwa z islamem. I gdzie się to wszystko podziało? Potem polityczne batalie między dyktaturami, a siłami postępu i demokracji...

- Fishhook sobie z tym poradził. Okazał się trzecią siłą.

- Zawsze coś zwycięża. Zawsze istnieje jakaś nadzieja. Bieg czasu łagodzi wszystko. Ale to trwa. Trwa cholernie długo.

- Sto lat! - Stone odezwał się spokojnym już głosem. - Czy będziesz czekał tyle czasu?

- Wcale nie musisz tyle czekać - wtrąciła Harriet. - Już przecież zacząłeś,

masz konkretne wyniki. A Shep ci pomoże.

- Ja?

- Tak, ty.

- Shep, posłuchaj mnie proszę - żarliwie zwrócił się do niego Stone.

- No, słucham - odparł cicho Blaine czując dreszcz strachu biegnący mu wzdłuż kręgosłupa. I poczucie obcości, zagrożenia. Zdał sobie bowiem sprawę, że Stone i Harriet prowadzą jakąś ryzykowną i niebezpieczną grę. I próbują wciągnąć w nią jego.

- Już zacząłem - mówił Stone. - Mam tutaj grupę dewiatów... nazywam ich podziemiem albo kadrą czy komitetem. Grupę dewiatów, którzy opracowali wstępny plan badań i eksperymentów, plan, który usamodzielnili ich, niezależni od łaski i niełaski Fishhooka. Eksperymenty, których wyniki zostaną przekazane wszystkim innym dewiatom którzy...

- Pierre! - oskarżycielskim tonem wykrzyknął Blaine, spoglądając gniewnie na Harriet. Ona tylko skinęła potakująco głową w milczeniu.

- Wiedziałaś od początku. To wszystko było zaplanowane. A tam, na przyjęciu u Charline, kłamałaś, mówiąc o naszej starej przyjaźni...

- Masz do mnie żal o to?

- Nie, nie mam.

- Gdybym ci od razu o tym powiedziała, czy zgodziłbyś się jechać ze mną?

- Nie wiem, Harriet. Uczciwie ci mówię, że nie wiem.

Stone podniósł się z fotela i przeszedł dwa kroki dzielące go od Blaine'a. Uniósł ręce i położył je na ramionach przyjaciela. Jego palce zacisnęły się na barkach Blaine'a.

- Shep - powiedział uroczyście - Shep, obecnie to jest najważniejsze. Tylko to się liczy. Misja, której musimy się podjąć obaj dla dobra całej ludzkości. Fishhook nie może być jedynym pośrednikiem w kontaktach między Człowiekiem a Gwiazdami. To przerażające, że część ludzi może swobodnie szybować w międzygwiazdnych przestrzeniach, podczas gdy

druga, nieporównanie większa, uwięziona jest na Ziemi.

W półmroku zalegającym pokój Blaine dostrzegł, iż twarz Stonea straciła całą swą twardość i drapieżność. W kącikach oczu lśniły mu łzy.

- Istnieją gwiazdy - kontynuował cichym, łagodnym głosem, prawie szeptem. - Istnieją gwiazdy, na których ludzie muszą się znaleźć. By pojąć, jak wysoko Człowiek może się wznieść. By mógł uratować własną duszę.

Harriet która dotąd w milczeniu mięła rękawiczki, oświadczyła naraz:

- Ja osobiście mam już dosyć. Idę coś zjeść. Po prostu umieram z głodu. Idziecie ze mną? Ja pójdę - poderwał się z miejsca Blaine i natychmiast usiadł z powrotem. Uświadomił sobie bowiem, że nie ma pieniędzy. Harriet przechwyciła jednak jego myśl i uśmiechnęła się lekko:

- Na nasz rachunek. Kiedyś nam postawisz.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł szybko Stone. - On już jest na naszej liście. Pracuje u nas. Co ty na to, Shep?

Blaine milczał.

- Shep, czy pójdziesz ze mną? Potrzebuje cię. Bez ciebie nic nie dokonam. Jesteś mi potrzebny... bardzo potrzebny.

- Jestem z tobą - odrzekł Blaine.

- W takim razie, skoroście się dogadali, chodźmy na obiad - ponowiła propozycje Harriet.

- Idźcie we dwójkę. Ja będę pilnował naszej świątyni - rzeki Stone.

- Ależ Godfrey...

- No, idźcie już, idźcie. Mam jeszcze kilka kwestii do przemyślenia.

- Chodźmy więc - nie pozwoliła mu skończyć Harriet i wzięła Blaine a pod rękę. - On będzie teraz długo tak siedział i myślał.

Zaskoczony nieoczekiwanym obrotem sprawy, Blaine dał się wyprowadzić.

. 20 .

Złożywszy zamówienie, Harriet rozsiadła się wygodnie w fotelu. - Teraz mów po kolei - spojrzała przeciągle na Blaine'a. - O tym wszystkim, co wydarzyło się w miasteczku po moim wyjeździe. Opowiedz też o tym co było później. I w jaki sposób trafiłeś do szpitala.

- Potem - machnąwszy ręką sprzeciwił się Blaine. - Na to przyjdzie jeszcze czas. Najpierw ty mi wyjaśnij, w co się wpakowałem, co dzieje się z Godfreyem.

- Dlaczego tak został sam w tym pokoju? Nad czym musi się zastanawiać?

- Tak - skinął głową. - Ale nie tylko. Chodzi mi głównie o te przerażającą obsesję, o ten dziwny wzrok. Wyjaśnij, co znaczą jego słowa o ludziach pędzących do gwiazd, by ratować swe dusze. On... Godfrey sprawia wrażenie jakiegoś proroka mającego wizje...

- Bo je ma - odparła krótko Harriet. - Doskonale to ująłeś.

Blaine wytrzeszczył oczy.

- To wydarzyło się podczas jego ostatniej podróży. Powrócił z niej odmieniony. Widział coś tak strząsającego...

- Domyślam się - mruknął bardziej do siebie niż do dziewczyny Blaine. - Istnieją tam rzeczy...

- Aż tak przerażające?

- Można to i tak nazwać - skrzywił się mężczyzna. - Ale bardziej pasowałoby słowo „niepojęte”. Wszystko tam jest, na dobrą sprawę, niemożliwe do ujęcia w kategoriach ludzkiego rozumu, ludzkiej wiedzy i etyki, trudne do oceny. Rzeczy te pozornie nie mają najmniejszego sensu. Są jak kamienny mur, przed którym umysł człowieka staje bezradny. Człowiek traci tam orientację, czuje się przeraźliwie sam, otoczony rzeczami, których nigdy nie pojmie. To właśnie przeraża najbardziej.

- I wytrzymujecie to?

- Wytrzymałem. To wymaga po prostu odpowiedniego stanu umysłu. O to też szczególnie dbali technicy u Fishhooka.

- W przypadku Godfrey'a była inaczej - potrząsnęła głową Harriet. - Natknął się na coś, co rozumiał i znał... obawiam się, że pojął to zbyt dobrze. Było to dobro.

- Dobro???

- Może to złe słowo, nieodpowiednie - zawahała się. - Zbyt płytkie, zbyt powierzchowne. Nieadekwatne. Ale jedyne, jakie przychodzi mi na myśl.

- Dobro - powtórzył znów cicho Blaine.

- Było to miejsce, gdzie nie istnieje nienawiść, zachłanność, gdzie żadna osobista ambicja nie podsycza nienawiści lub chciwości. Idealne miejsce, z idealną rasą istot rozumnych. Społeczny raj.

- Nie rozumiem...

- Pomyśl chwilę, a zrozumiesz. Czy widziałeś kiedykolwiek jakiś przedmiot, rzecz, dzieło sztuki obraz, rzeźbę - tak piękną, że czułeś ból...

- Zdarzyło mi się.

- Sam więc widzisz. Wszystko to co wymieniłam, to rzeczy piękne, wielkie, wzniosłe, lecz nie stanowią jednak życia ludzkiego samego w sobie. Te rzeczy to wyłącznie kwestia twoich uczuć i emocji... Nie mają jednak bezpośredniego wpływu na twoje życie fizyczne. Możesz się w gruncie rzeczy bez nich obejść, jakkolwiek będziesz je pamiętał, choć będzie ci ich dotkliwie brakować i będziesz za nimi tęsknić. Tęsknić do bólu. A teraz wyobraź sobie formę życia, kulturę, sposób życia - sposób w jaki mógłbyś samżyć - tak wspaniały, tak cudowny, że również czujesz ból, lecz tysiąc razy silniejszy. Z tym właśnie zetknął się Godfrey i o tym próbował ci opowiedzieć. Dlatego powrócił stamtąd odmieniony, z uczuciem małego, brudnego chłopca ze slumsów, który ujrzał wspaniały czarodziejski świat wróżek. Widział ten świat, mógł dotknąć wróżki palcami, lecz nigdy nie będzie w tym świecie żył.

Blaine wziął w płuca głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze nosem.

- A więc to jest tak - mruknął. - Tego pragnie Stone.

- A ty nie?

- Sądzę, że też. Gdybym zobaczył to co on...

- Poproś Godfreya, opowie ci. Albo niech ci pokaże myślami. Tak czy owak, niech ci opowie.

- Tobie już opowiedział?

- Tak.

- I co ty na to?

- Tego nie sposób wysłować - odparła cicho dziewczyna.

Podeszła kelnerka z zamówionym posiłkiem: wielkimi, skwierczącymi befsztykami, pieczonymi ziemniakami i sałata. Na środku stołu postawiła dzbanek z kawą.

- Wygląda to wspaniale - odezwała się Harriet spoglądając na talerz. - Zawsze jestem głodna. Pamiętasz, Shep, jak pierwszy raz zaprosiłeś mnie na obiad?

- Nigdy nie zapomnę - roześmiał się Blaine. - Wówczas również umierałaś z głodu.

- I podarowałeś mi róże.

- Na to wychodzi.

- Jesteś jednak kochany, Shep.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, jesteś dziennikarką. Jak to się dzieje...

- Stale pracuje nad tematem...

- Fishhook - przerwał jej kąśliwe Blain - Fishhook jest twoim tematem...

- Fishhook jest tylko częścią mojego tematu - zaprzeczyła Harriet spuszczać oczy.

Jedli w milczeniu.

- Jeszcze jedno - przerwał cisze Blaine. - Co ma do tego wszystkiego Finn? Godfrey powiedział, że jest niebezpieczny.

- Co wiesz o Finnie?

- W sumie bardzo niewiele - potrząsnął głową Blaine. - Opuścił Fishhooka na długo przedtem, zanim ja się tam pojawiłem. Krążą o Finnie najdziwniejsze historie. Podobno jak wrócił, potrafił tylko wyć i skowyczeć. Czy to prawda? Co mu się przytrafiło?

- Tak. A teraz głosi swoją ewangelię.

- Głosi ewangelię?

- Ewangelię piekła i siarki diabelskiej. Głosi ewangelię ucieczki od zła, choć naprawdę to nie ma to nic wspólnego ani z ewangelią, ani z dobrem. Zło gwiazd. Człowiek musi pozostać na Ziemi. Tylko tu jest bezpieczny. Wszędzie indziej czyha na niego zło I to właśnie wy, dewiacy, otworzyliście wrota zła...

- I ludzie go słuchają?

- Shep, otarłeś się przecież o współczesny świat! Oczywiście, że tak. Do szpiku kości przesiąknięci są jego nauką. Ona wniknęła już głęboko do ich wnętrza, w ich naturę. Oni są jej ślepo oddani a sława Finna niesie się daleko. Dla normalnych ludzi gwiazdy i tak są nieosiągalne, więc czerpią satysfakcję z tego właśnie, co prawi im Finn.

- A co dokładnie?

- Że gwiazdy są jądrem zła.

I, rzecz jasna, dewiacy. Dewiacy są wampirami i wilkołakami...

- Gnomami - dodała Harriet - wiedźmami, harpiami. Cokolwiek złego powiesz o dewiatach, ludzie ci przyklasną. W ich odczuciu będziesz miał całkowitą rację.

- Toż ten człowiek jest szarlatanem! - wykrzyknął poruszony do głębi Blaine.

- Nie, Finn nie jest szarlatanem - pokiwała smutno głową Harriet - Jest równie poważny i wiarygodny jak Godfrey. Wierzy w zło, gdyż ujrzał zło.

- Tak jak Godfrey ujrzał dobro. Rozumiem.

- Dokładnie tak samo. Finn uważa, że Człowiek nie ma czego szukać

wśród gwiazd, a Godfrey przeciwnie, że jedynie gwiazdy zbawią Człowieka.

- I obaj nienawidzą Fishhooka?

- Godfrey zamierza zniszczyć tylko monopol Fishhooka, lecz zostawić kinetykę paranormalną. Finn idzie dalej. Fishhook, to sprawa uboczna. Jego celem głównym jest właśnie sama kinetyka paranormalna. Chce ją po prostu zetrzeć z powierzchni ziemi.

- I Finn walczy z Godfreyem.

- Na dobrą sprawę nie jest w stanie go zniszczyć. Godfrey działa ostrożnie. Lecz Finn wie, że właśnie Stone jest jego głównym przeciwnikiem, gdyż to Stone ma po swojej stronie wszystkich dewiatów. Postara się przy pierwszej nadarzającej się okazji uderzyć w Stonea, zniszczyć go.

- Nie wyglądacie na bardzo wystraszonych.

- Godfrey nie przejmuje się nim. Traktuje Finna jako jeszcze jedną, przejściową, przeszkodę na drodze realizacji swego planu.

Wyszli z restauracji kierując się w stronę swego domku. Szli niespiesznie brukowaną aleją wiodącą wzdłuż innych, bliźniaczych segmentów motelu.

Dolina rzeki pogrążona - była w czarno - purpurowym cieniu, a w mrocznych, brązowych falach lśniły resztki zachodzącego słońca. Szczyty okolicznych wzgórz pławiły się w słonecznym blasku, wysoko pod chmurami krążył sokół, którego skrzydła zdawały się być połyskliwymi płatkami najczystszej srebra.

Dotarli do swego lokum. Zatrzymali się przed drzwiami i Blaine postąpił do przodu, by otworzyć drzwi. Weszła do środka, a on tuż za nią. Nagle kobieta szarpnęła się raptownie do tyłu, wpadając całym impetem na Blaine'a, który odruchowo objął jej ramiona. Usłyszał krótki, zdławiony jęk dziewczyny, a jej ramiona stężały w strasznym kurczu. Zajrzał do środka ponad jej ramieniem. Ujrzał rozciągnięte na ziemi, odwrócone twarzą do podłogi, ciało Godfreya Stonea.

. 21 .

Już nachylając się nad nim, Blaine zdawał sobie sprawę, że Godfrey jest martwy. Była w nim jakaś małość, rodzaj całkowitego zwiędnięcia, jakby to właśnie życie - życie które z niego uszło - nadawało potężnemu ciału Stone a ogrom. Teraz już był tylko wiotkim i bezwładnym zewłokiem w wymiętym, ciemnym ubraniu. Najbardziej jednak przerażający był jego spokój, martwy bezruch.

Blaine pochylony nad trupem, słyszał za plecami Harriet zatraskującą drzwi i zamykającą wszystkie zamki. Słyszał jej cichy, spazmatyczny, urywany szloch. Pochylił się jeszcze niżej nad martwym mężczyzną i w półmroku zalegającym pokój dostrzegł na ciemnych włosach Stonea jeszcze ciemniejszą plamę krwi sączącej się z czaszki.

Harriet uporawszy się z drzwiami, zamykała z kolei okiennice i zakładała je sztabami. Wraz z zamknięciem ostatniej, pokój pogrążył się w całkowitej ciemności.

- Może byś zapaliła światło - mruknął Blaine.

- Chwileczkę, Shep.

Pstryknął w ciemności włącznik i smuga światła spod sufitu zalała pokój żółtym blaskiem. Dopiero teraz Blaine dostrzegł jak potężne było uderzenie, które pozbawiło życia Stonea. Czaszka była dosłownie rozłupana. Nie było sensu badać tętna czy słuchać bicia serca. Takiego uderzenia nikt by nie przeżył.

Blaine wyprostował się, lecz utrzymanie równowagi przyszło mu z najwyższym trudem. Z grozą uświadamiał sobie dzikość i okrucieństwo, a może desperację, które musiały pchnąć czyjąś rękę do tak mocarnego ciosu. Kiwając lekko głową spojrzął na Harriet i jeszcze bardziej zdumiał go jej spokój. Przecież to dziennikarka - pomyślał natychmiast. A więc widok taki nie jest dla dziewczyny wcale nowością.

- To sprawka Finna - odezwała się niskim, chrapliwym głosem, tak spokojnym, że aż sztucznym. Oczywiście, on sam tego nie zrobił. Musiał kogoś wynająć. Albo jakiś ochotnik, jeden z jego apostołów. Jest masa ludzi gotowych dla niego ważyć się na wszystko.

Przemierzyła pokój szybkim krokiem i usiadła na podłodze, obok zwłok. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę. Na twarzy zakrzyły grymas bólu i rozpacz. Po policzkach spływały łzy.

- I co teraz robimy? - spytał bezradnie Blaine. - Policja?

- Wszystko, tylko nie policja - odparła dobitnie Harriet. - Nie możemy być w to zamieszani. Tego życzy sobie Finn jego ludzie. Mogę się założyć, że ktoś już zawiadomił policję.

- Morderca?

- Oczywiście. Czemuż by nie? Powiedział tylko przez telefon, że w motelu The Plainsman, w domku numer 10 znajdują się zwłoki zamordowanego mężczyzny. I tylko tyle.

- A zbrodnia pójdzie na nasze konto?

- Na czyjekolwiek. Na tego, z kim Godfrey był. Może już nawet wiedzą dokładnie, kim jesteśmy. Ten doktor.

- Też myślę, że doktor już ich powiadomił.

- Słuchaj mnie, Shep. Jestem przekonana, że Finn znajduje się obecnie w Belmont.

- Belmont?

- To miasteczko, gdzie leżałeś w szpitalu.

- Więc ono nazywa się Belmont - mruknął pod nosem Blaine.

- Gdy byliśmy w nim ostatni raz, coś się tam wyprawiało. Tak, z pewnością coś się tam działo. A ponadto tam właśnie jechał Riley i ciężarówka...

- Ale co w takim razie mamy robić?

- Wszystko, by nie znaleźli tu Godfreya.

- Możemy zaparkować auto z tyłu domu i wynieść ciało drugimi

drzwiami.

- Ktoś z pewnością nas obserwuje. Działają na zimno - klasnęła w dłonie, jakby dla podkreślenia słuszności swoich słów.

- Teraz, gdy Finn ma już wolne ręce - mówiła dalej - przystąpi z pewnością do realizacji swych planów. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy go za wszelką cenę zatrzymać.

- My?

- Tak. Ty i ja - skinęła głową. - Musisz pójść w jego ślady i dokonać tego, co on zamierzał. Teraz to twój obowiązek.

- Ależ Harriet, ja...

- Byłeś przyjacielem Godfrey'a - syknęła, a w oczach zapalił się jej niebezpieczny błysk. - Znasz jego historie. Obiecałeś, że pójdziesz z nim.

- No tak, powiedziałem. Ale teraz, w tej sytuacji... Nawet nie wiem co robić.

- Zatrzymać Finna - odparła natychmiast Harriet. - Musisz dowiedzieć się co zamierza i powstrzymać go, opóźnić jego akcje...

- A ty wciąż na czele wojska. Drogi odwrotu, pola bitew i akcje opóźniające działania nieprzyjaciela (KOBIEȚA W PRZEPYSZNYM, GENERALSKIM MUNDURZE, W OGROMNYCH BUTACH RAJTARSKICH I Z RZĘDAMI MEDALI NA KARYKATURALNIE DUŻYCH, SPICZASTYCH PIERSIACHI.

- PRZESTAŃ! USPOKÓJ SIĘ

- DZIEWCZYNA Z GAZETY. ZAWSZE TAKA BEZSTRONNA..

- Shep, zamknij twarz, dobrze? Jak mogę być bezstronna w tej sytuacji? Wierzyłam w Godfrey'a. Wierzyłam w to, co robi.

- Ja również. Ale cała sytuacja jest dla mnie zbyt nowa, za szybko się to wszystko potoczyło...

- Może masz racje - westchnęła z rezygnacją Harriet. - Chyba powinniśmy zapomnieć o Godfrey'u i pryskać stąd jak najdalej.

- Nie! - Blaine pokiwał ponuro głową. - Już za późno. Nawet jeśli

uciekniemy teraz, będziemy tak samo zgubieni, jakby policja nakryła nas tutaj.

- Ależ, Shep. Nie istnieje trzecie wyjście.

- Właśnie przyszło mi do głowy, że jest jeszcze szansa - odparł Blaine. - Posłuchaj, Harriet. Czy gdzieś tu w okolicy znajduje się miasteczko o nazwie Hamilton?

- Jest - odparła ze zdziwieniem, mrużąc oczy. - Jakieś dwie mile stąd, w dół rzeki. Ale o co chodzi?

Blaine zerwał się na równe nogi i rozejrzył po pokoju. Telefon stał na nocnym stoliku między łózkami.

- Co...

- Nic, po prostu moja przyjaciółka - przerwał jej Blaine. - Ktoś, kogo niedawno poznałem i kto może nam pomóc... mówiłaś dwie mile?

- Tak, do Hamilton. Jeśli ci chodzi o to...

- Na pewno o to - uciął krótko Blaine i podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę z widełek i nakręcił numer centrali.

- Chciałbym połączyć się z Hamilton - rzekł w suchawke. - Jak mogę to zrobić?

- A jaki numer, Sir?

- 276.

- Proszę chwileczkę poczekać i nie odkładać słuchawki.

Głos w aparacie zamilkł i Blaine, nie odrywając słuchawki od ucha, spojrzał na Harriet.

- Czy na dworze jest ciemno? - spytał.

- Było już ciemno, gdy zamykałam okna. Usłyszał w słuchawce sygnał.

- Musi być ciemno - wyjaśnił jeszcze szybko. - Inaczej nie przybędą.

- Nie rozumiem o co ci chodzi.

- Hallo - usłyszał w słuchawce czyjś głos.

- Czy zastałem Anitę?

- Tak, zastał pan - odparł głos po drugiej stronie. - Proszę chwile poczekać.

ANITA, DO CIEBIE. MĘŻCZYZNA.

Przecież to niemożliwe - poraziła go myśl. - Przecież nie jestem w stanie tego robić. Chyba coś mi się przewidziało.

- Hallo - usłyszał po drugiej stronie głos Anity Andrews. - Kto dzwoni?

- Blaine. SHEPHERD Blaine. PRZYPOMINASZ MNIE SOBIE? TEN MĘŻCZYZNA ZE STRZELBĄ I SREBRNYMI NABOJAMI.

- TAK, PAMIĘTAM.

To jednak fakt - pomyślał zdumiony. Nigdy nie przypuszczał, że j e s t w s t a n i e używać telepatii przez telefon.

- POWIEDZIAŁAŚ WÓWCZAS, ŻE GDYBYM POTRZEBOWAŁ POMOCY...

- TAK, TO RÓWNIEŻ PAMIĘTAM.

- WIĘC POTRZEBUJE JEJ TERAZ (CIAŁO NA PODŁODZE, PĘDZĄCY NA SYGNALE SAMOCHÓD POLICYJNY, MIGOCZĄCE, CZERWONE ŚWIATŁO, SZYBKOŚCIOMIERZ I ZEGAR Z POSUWAJĄCYMI SIĘ BŁYSKAWICZNIE WSKAZÓWKAMI, OBRACAJCA SIĘ TAŚMA MAGNETOFONOWA, TABLICA Z NAPISEM "THE PLAINSMAN", DOMEK Z NUMEREM 101. PRZYSIĘGAM CI ANITO, ŻE SPRAWA JEST CZYSTA. TRUDNO MI TERAZ WSZYSTKO WYJAŚNIAĆ. JESTEM UCZCIWY I NIEWINNY. A POLICJA NIE MOŻE ZNALEŹĆ TUTAJ TEGO CIAŁA.

- ZABIERZEMY JE.

- WIERZYSZ MI?

- WIERZE. WTEDY, NA SZOSIE, BYŁEŚ LOJALNY W STOSUNKU DO NAS. I POMOGLEŚ NAM.

- ALE MUSISZ SIĘ NAPRAWDĘ SPIESZYĆ.

- OKAY. NIE BĘDĘ SAMA.

- DZIĘKI ANITO - ale ona już odłożyła słuchawkę.

Stał jeszcze chwile, przyciskając aparat do policzka. Po chwili wolnym, zamyślonym ruchem odłożył słuchawkę na widełki.

- Złapałam trochę - dobiegł go głos Harriet - To niemożliwe.

- Oczywiście, że niemożliwe - zgodził się Blaine. - Transmisja telepatyczna przez druty! Nie musisz mi o tym mówić.

Spojrzał na rozciągnięte na podłodze zwłoki Godfreya Stonea. Oświadczył naraz z wielką pewnością w głosie:

- To jedna z tych rzeczy, o których on wspomniał. Jedna z tych rzeczy, która nie śniła się nawet Fishhookowi.

Harriet milczała.

- Zastanawiam się tylko, ile takich nie ujawnionych, nie podejrzewanych zdolności jeszcze istnieje? odezwał się z zadumą w głosie.

- Powiedziała, że przybędą po Godfreya. W jaki sposób? Kiedy? - w głosie Harriet pobrzmiwały nutki hysterii.

Przylecą - odrzekł spokojnie Blaine. - One lewitują... - roześmiał się cicho.

- Wiedzmy! ty ..

- Jak je poznałem? Urządziły pewnej nocy zasadzkę na szosie. Chciały nas przestraszyć. Riley miał naładowany karabin...

- Riley?!

Człowiek z mojej sali szpitalnej, pamiętasz? Ten, który umarł. Miał wypadek samochodowy.

- Ty byłeś z Rileyem? Shep, gdzieś go spotkał?

- Zabawiałem się w autostop. Pomagałem mu naprawić gruchota, którym jechał. On bał się nocnej jazdy i potrzebował kogoś do towarzystwa. Więc zabrałem się z nim.

Mówił, a Harriet coraz szerzej otwierała oczy.

- Ale, ale, zaraz - wykrzyknął naraz Blaine. - Wyście go...

- Tak, szukaliśmy Rileya. Godfrey wynajął go, a ponieważ się spóźniał...

- Ale...

- Słucham, Shep?

- Rozmawiałem z nim przed jego śmiercią. Próbowałem przekazać mi jakąś wiadomość, lecz już nie był w stanie. Dowiedziałem się tylko tyle, że była to

wiadomość przeznaczona dla Finna. Wtedy zresztą po raz pierwszy usłyszałem o Finnie.

- No tak. On był człowiekiem Finna. Teraz już wszystko jasne. I stracone - ukryła twarz w dłoniach. Tam była maszyna gwiezdna...

Urwała gwałtownie, poderwała się na nogi i szybkim krokiem podeszła do Blaine'a. Zajrzała mu w oczy.

- Nie wiesz, co się z nią stało? Z tą maszyną... nie wiesz?

Zaskoczony Blaine pokręcił tylko przecząco głową.

- Maszyna gwiezdna? - spytał trochę bez sensu. - Taka jak u Fishhooka? Taka, która pomaga nam dotrzeć do gwiazd?

- Właśnie taka - skinęła głową Harriet - To ją właśnie wiozł wynajęły przez Godfrefya Riley. Stone wytrzasnął te maszyny. Nie. pytaj jak bo nie wiem. Riley właśnie miał dostarczyć ją do Pierre...

- Wykradł maszynę gwiezdna - gwizdnął z uznaniem Blaine. - Wiesz, że na całym świecie, we wszystkich krajach zabronione jest posiadanie takiego urządzenia. Może posiadać je tylko Fishhook.

- Godfrey wiedział o tym. Ale potrzebował takiej maszyny. Początkowo próbował sam ją zbudować. Ale nie wyszło; nie miał planów.

- Ryzykowaliście życiem.

- Shep, co się z tobą dzieje?

- Nie wiem o czym mówisz? Co ma się ze mną dziać? Po prostu nie wiem co robić dalej . To wszystko.

- Zawsze możesz uciec.

- Cały czas uciekam. - Łypnął ponuro okiem. - Ale nie mam już dokąd.

- Zwróć się do jakiegoś koncernu. Przyjmą cię z otwartymi rękoma. Dostaniesz doskonałą pracę, ; zarobisz masę pieniędzy, będziesz bezpieczny. Z twoimi wiadomościami o Fishhooku i fachową wiedzą...

Potrząsnął głową, wracając pamięcią do przyjęcia u Charline i do Daltona, którego tam spotkał. Stał mu przed oczyma: rozwalony w fotelu, z nonszalancko wyciągniętymi nogami i wzburzonymi włosami, z przeżutym

cygarem w kąciku ust. Przypomniął sobie jego słowa: „Biorąc pod uwagę pana wiedzę i pana zdolności, jest pan wart masę pieniędzy.

- Tak, mógłbyś to zrobić - kusiła Harriet.

- Nie zniósłbym tego. A poza tym - obiecałem. Powiedziałem Godfreyowi że jestem z nim A nade wszystko nie potrafię pogodzić się z sytuacją, jaka panuje na świecie. Nie cierpię ludzi, którzy chcą mnie zlinczować za to, że jestem dewiatem. Nienawidzę tego wszystkiego, co jadąc tutaj zobaczyłem.

- Jesteś wściekły i masz prawo taki być.

- A ty nie?

- Nie, nie jestem. Ja jestem po prostu przerażona.

- TY, TWARDA DZIENNIKARKA...

Spojrzał na nią badawczo i przypomniał sobie zdarzenie sprzed lat - knajpka, gdzie niewidoma kobieta sprzedawała róże i wieczór, gdy spoza maski pokazała się prawdziwa twarz Harriet Quimby. Teraz po raz drugi. Jej twarz powiedziała mu dużą część prawdy: ta twarda, bezczelna i zadziorna dziewczyna pisując w gazetach może być również zwykłą, przestraszoną kobietą.

Wyciągnął w jej kierunku ramiona, a ona całym ciałem przytuliła się do niego. Była zwykłą, bezbronną dziewczyną, śmiertelnie wystraszoną, potrzebującą odrobiny czułości i bezpieczeństwa.

- WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE, ZOBACZYSZ - powiedział. - WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE. NIE BÓJ SIĘ.

- ALE PRZECIEŻ CIĘŻARÓWKA JEST ROZBITA, KIEROWCA MARTWY, MASZYNA W RĘKACH POLICJI LUB FINNA. CLAŁO GODFREYA LEŻY NA PODŁODZE, A POLICJA PRZYBĘDZIE LADA CHWILA...

- JESZCZE ICH WSZYSTKICH WYPROWADZIMY W POLE, ZOBACZYSZ, NIC NIE JEST W STANIE NAS POWSTRZYMAĆ...

Dobiegł ich nagle, stłumiony jeszcze odległością i zamkniętymi okiennicami, dźwięk policyjnych syren: Harriet odskoczyła gwałtownie od

Blaine'a.

- Shep, policja! - wykrzyknęła z paniką w głosie.

- Tylne drzwi! - odparł pozornie spokojnym głosem Blaine. - Tylne drzwi. Uciekajmy nad rzek! Tam mamy szansę ich zgubić.

Pobiegł do drzwi wyjściowych i zaczął mocować się z zamkiem. wtedy właśnie usłyszeli pukanie. Blaine nerwowo uporał się z zasuwą i otworzył drzwi. W smudze światła padającego z pokoju ujrzał Anitę Andrews, a za nią kilka innych, młodych twarzy.

- W ostatniej chwili! - wykrzyknął Blaine.

- To ciało?

- Tak, to - odparł, wskazując zwłoki. Pospiesznie wtargnęły do pokoju. Na zewnątrz syreny wyły już całkiem blisko.

- On był naszym najlepszym przyjacielem - powiedziała łamiącym się głosem Harriet. - To straszne, że w taki sposób...

- Zatrzymamy się o te zwłoki, proszę pani - odparła prosto Anita. - Wyprawimy pogrzeb...

Ryk syren niemal wypełniał pokój

- SZYBKO! - ponagliła Anita. - LEĆCIE NISKO. NIE MOGĄ WAS ZOBACZYĆ NA TLE NIEBA. Nim skończyła, pokój był już pusty. Dziewczęta zniknęły wraz z ciałem - Godfreya.

Anita zawahała się chwil. Obrzuciła Harriet i Blaine a czujnym spojrzeniem.

- WYJAŚNISZ MI KIEDYŚ TO WSZYSTKO?

- WYJAŚNIĘ, OBIECUJĘ. I DZIĘKI.

- MY, DEWIACI, MUSIMY SIĘ TRZYMAĆ RAZEM - dodała jeszcze Anita. - MUSIMY SIĘ TRZYMAĆ RAZEM ALBO NAS ZNISZCZĄ.

Zbliżyła się szybkim krokiem do Blaine'a i mężczyzna poczuł dotknięcie jej umysłu o swój - jak przelotny, nieśmiały pocałunek. I ujrzał oczyma duszy wirujący w nocnym mroku krąg robaczków świętojańskich, poczuł zapach bzów nawiewany wraz z mgłą od rzeki.

Anity już nie było, a drzwi zostały zamknięte. Ktoś inny natomiast dobijał się od frontu.

- SIADAJ TUTAJ - rzekł do Harriet. - ZACHOWUJ SIĘ JAK NAJNORMALNIEJ. ROZLUŻNIONA, SWOBODNA, ODPOCZYWAJĄCA. PO PROSTU SIEDZIMY SOBIE I ROZMAWIAMY. GODFREY BYŁ, ALE POSZEDŁ DO MIASTA. KTOŚ PRZYSZEDŁ DO NIEGO I RAZEM WYSZLI. NIE WIEMY KTO TO BYŁ: STONE POWINIEN WRÓCIĆ ZA GODZINĘ LUB DWIE.

- PAMIĘTAM - odparła Harriet, rozpierając się wygodnie w fotelu i składając ręce na brzuchu.

Blaine niespiesznym krokiem podszedł do drzwi i otworzył je.

. 22 .

Wjechali do Belmont. Wszystkie mijane domy były już pozamykane na głucho i nawet w centrum handlowym miasteczka, gdzie właśnie wjeżdżali, gasły powoli światła.

Przed sobą, w perspektywie ulicy dojrzeliby wielki, rzęsiście oświetlony szyld hotelu, a zaraz obok jaskrawą reklamę, oznajmiającą, że „Wild West Bar” wciąż jeszcze oczekuje na klientów.

- Nie sądzę, byśmy tak zupełnie uśpili czujność policji - mówiła Harriet.

- Może masz rację - przytaknął Blaine. - Lecz zatrzymaliśmy ich. Nie znaleźli na szczęście tego, co spodziewali się znaleźć.

- Byli wściekli. W pewnej chwili myślałam, że nie wyjdziemy już stamtąd żywi.

- Ja również - roześmiał się Blaine. - Ale ty doskonale z nimi grałaś. Sami już mieli tego dosyć i odjeżdżali z wyraźną ulgą. Musieli czuć się jak durnie...

Wskazując na reklamę knajpy, dodał:

- Może zaczniemy stąd?

- Możemy stąd. Zresztą to już chyba jedyny czynny lokal w tym mieście.

Gdy weszli do baru, wewnątrz było już całkowicie pusto. Tylko podparty na łokciu barman, bezmyślnym, automatycznym ruchem wycierał kawałkiem gałganka nieistniejące krople wody z lśniącego szynkwasu.

Blaine i Harriet wdrapali się na wysokie stołki, naprzeciwko barmana.

- Co ma być? - spytał, przerywając swe zajęcie.

Zamówili. Postawił na kontuarze szklanki i sięgnął po butelkę.

- Za chwile zamykamy - oznajmił. - Już wszyscy są w domach. Z zapadnięciem zmroku, wszyscy tutaj chowają się do mieszkań.

- Aż tak tu niebezpiecznie?

- Nie, niespecjalnie. Ale w Belmont obowiązuje godzina policyjna. Panują tu rządy silnej ręki. Dużo patroli, a gliny to twarde chłopcy. Nikt nie chce

dostać po karku.

- A pan? - spytała Harriet. - Pana godzina nie obowiązuje?

- Oh, mnie chłopcy znają, proszę pani. Wiedzą, kim jestem i co robię. Zdają sobie sprawę, że mieszam zapóźnionych klientów, przeważnie gości tego hotelu - wykonał nieokreślony ruch ręką. - Wiedzą, że trzeba jeszcze lokal posprzątać, pogasić światła. Zostawiają mi więc trochę więcej czasu.

- Ostrego tu macie szeryfa - mruknął z uznaniem Blaine.

- To dla osobistego bezpieczeństwa mieszkańców - potrząsnął głową barman. - Ludzie są jak dzieci, proszę pana. Włóczyliby się po nocy. A w nocy, wiecie państwo, jak to w nocy: Różne rzeczy mogą się przydarzyć... - Urwał i po chwili dodał:

- Jeśli chcecie, mam na składzie coś specjalnego. Można spróbować.

- Spróbować, ale czego? - spytała Harriet.

- Coś całkiem nowego - odrzekł sięgając pod szynkwias i wyjmując butelkę. - Prosto od Fishhooka. Pochodzi z innej planety. Zawiera podobno masę węglowodorów. Dostałem dwie butelki od agenta naszego Punktu Handlowego. Ot tak na spróbowanie. Zawsze może się znaleźć ktoś, kto to polubi.

- Nic z tego. To nie dla mnie - pokręcił głową Blaine. - Bóg jeden wie, co tam jest w środku.

- Ja również dziękuję - poparła go Harriet.

- I wcale się wam nie dziwię - barman schował flaszkę. - Spróbowałem tego trochę. Tak, z ciekawości. Bo ja w ogóle nie pije...

I spoglądając na szklanki w dłoniach gości zastrzegł się szybko:

- Nie, nie, nic nie mam przeciwko temu, jeśli ktoś lubi sobie golnąć trochę.

- Oczywiście, nic w tym złego - poparła Harriet, posyłając mu uśmiech.

- To ma bardzo dziwny smak - ciągnął barman. - Nawet trudno powiedzieć czy dobry czy nie. Jest ostre i jakby nieco zatęchłe. Ale myślę, że można się do tego przyzwyczaić. A nawet i polubić. Bardzo dziwne.

Umilkł i zamyślił się. Oparty mocno rękami o bar spoglądał dłuższą chwilę jak popijają ze szklanek.

- Wiecie państwo, co myślę? - odezwał się w końcu.

- Proszę? - zainteresowała się Harriet.

- Otóż zastanawiałem się dzisiaj po południu, czy aby ten agent sam nie sprokurował tego napoju; taki rodzaj ponurego żartu, oczywiście.

- Chyba by się nie odważył - z powątpiewaniem w głosie zauważyła Harriet.

- Możliwe, że ma pani racje - łatwo zgodził się barman. - Ale ci wszyscy ajenci są jacyś dziwni, trochę zbikowani. Ludzie nie utrzymują z nimi w ogóle żadnych stosunków towarzyskich. A jednak wiedzą oni wszystko o każdym mieszkańcu miasteczka. Znają wszystkie najnowsze plotki... - Umilkł i dodał po chwili niemiłym tonem:

- Ale sami się nigdy tymi wiadomościami nie podzielał z ludźmi.

- Nieprawdopodobne - odparła Harriet by po prostu coś odpowiedzieć.

Barman pogrążył się znów w milczeniu, a dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na Blaine a.

- Widzieliśmy dzisiaj masę ludzi w mieście - strzelił na ślepo Blaine. - Byli jacyś podnieceni. Czy coś się dzieje?

- Nic nie słyszeliście? - spytał ścisząc głos barman przysuwając sobie taboret i siadając, jakby szykował się do dłuższej konwersacji.

- Jesteśmy tutaj dopiero od dwóch godzin - wyjaśnił Blaine.

- Tak, wydarzyło się - odparł szybko przejętym głosem barman. - Nie uwierzycie mi państwo, gdy wam powiem, że mamy w Belmont maszynę gwiezdą.

- Co takiego? - udał zdziwienie Blaine.

- Maszynę gwiezdą - powtórzył dobitnie barman. Taki wynalazek, za pomocą którego dewiaci podróżują do gwiazd.

- Pierwszy raz słyszę - dziwił się Blaine.

- Nic dziwnego. One są wyłącznie w posiadaniu Fishhooka.

- Chce pan powiedzieć, że ta wasza jest tutaj nielegalnie?

- Ależ nie. Policja ją znalazła i trzyma w starej wozowni przy autostradzie. Tam, po wschodniej stronie miasta. Musieliście przejeżdżać obok tej budy.

- Nie pamiętam. Może:

- Tak czy owak, maszynę zamknęli w tym baraku. I wtedy, jak spod ziemi, zjawił się w Belmont Lambert Finn.

- Chyba nie myśli pan o t y m Lambercie Finnie?

- Właśnie o nim. Mieszka w hotelu obok mojej knajpy. Właśnie przy tej wozowni zamierza zwołać jutro więc mieszkańców miasta i okolic. Policja wyraziła zgodę na wystawienie w tym czasie maszyny na zewnątrz. Tam Finn wygłosi kazanie. Mówię panu, warto będzie tego posłuchać. Będzie o dewiatach. Finn obiecuje oczyścić z nich miasto. Zjechała cała masa reporterów z różnych gazet.

- Chyba niewielu dewlatów żyje w mieście? - odezwał się Blaine.

- Zgadza się, niewielu - odparł barman cedząc słowa. - W samym mieście w ogóle ich nie ma. Ale niedaleko stąd, w dole rzeki, jest takie miejsce, gdzie ich pełno. Miasteczko to nazywa się Hamilton i żyją i w nim tylko dewiaci. Jest to nowe, specjalnie dla nich wybudowane osiedle. Tam stłoczono dewiatów z całej okolicy. Nie wiem, ale istnieje taka specjalna nazwa na takie miejsca. Nie pamiętam. Tak nazywały się kiedyś w Europie miejsca dla Żydów.

- Getto.

- Ooo, właśnie tak. Że też wyleciało mi to z głowy. - Barman ze złością trzepnął pięścią w kontuar. Niegdyś getta stanowiły najbiedniejsze dzielnice miast, a obecnie lokalizuje się je w ogóle poza miastami, w najbiedniejszych częściach kraju, na wsi. Hamilton wybudowano na najmniej żyznych, ubogich, najgorszych ziemiach. Ale dewiaci lubią to miejsce. I dopóki nikomu nie przeszkadzają, niech tam sobie żyją. Dopóki się tutaj nie pojawiają, zostawiamy ich w spokoju. Ale wiemy gdzie są i oni wiedzą, że my wiemy: I pamiętamy! Niech no tylko zaczną rozrabiać, to my już

potrafimy się do nich dostać.

Spojrzał na zegarek, a potem na Harriet i Blaine'a.

- Jeśli macie ochotę jeszcze na jednego, to musicie się spieszyć rzekł.

- Nie, dzięki - odparł Blaine kładąc na szynkwasię dwa dolary. - Reszty nie trzeba - dodał, zsuwając się ze stołka.

- Dziękuję, sir. Bardzo dziękuję - lekko uklonił się barman. - Na waszym miejscu nie ryzykowałbym nocnej jazdy. A nie daj Boże, by dorwały was gliny. Radzę zatrzymać się w hotelu.

- Tak chyba zrobimy - zgodziła się Harriet. - Do widzenia.

- Do widzenia państwu.

Gdy dotarli do auta, Blaine otworzył drzwiczki i wpuścił do środka Harriet. Następnie sam wsiadł z drugiej strony.

- Więc co teraz? Do wozowni?

- Shep, co ty zamierzasz? Wynikną z tego same kłopoty

- Jeszcze sam nie wiem. Ale coś wymyślimy. Musimy w każdym bądź razie usunąć stamtąd maszynę gwiazdą, zanim Finn będzie miał okazję wygłosić przy niej to swoje słynne kazanie.

- Jak to sobie wyobrażasz? Mamy tam teraz pojechać ją zabrać? - zdziwiła się Harriet.

- To, niestety, niemożliwe. Zbyt duża i zbyt ciężka. Ale musi być jakieś wyjście. Musimy tak Finnowi pomieszać szyki, by odechciało się mu na dłużej. Jeszcze nie wiem jak, ale musimy.

- Maszyna jest z pewnością dobrze strzeżona.

- Nie sądzę, Harriet. Jestem przekonany, że tylko dobrze zamknęli te budę. Ale nikt jej nie pilnuje osobiście. Nie ma tu takich odważnych. To miasto jest przerażone.

- Jesteś taki sam jak Godfrey - mruknęła Harriet. - Teraz ty z kolei wkładasz sobie na szyję stryczek.

- Wciąż o nim myślisz? - Blaine rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Tak. I to dużo.

Bez słowa włączył silnik i wyprowadził auto na środek jezdni.

Stara wozownia była pogrążona w ciszy i nic nie wskazywało na to, by jej ktoś pilnował. Blaine i Harriet dwukrotnie przejechali szosą obok niej. Był to sporych rozmiarów budynek pochodzący z czasów gdy dobry stan nawierzchni odgrywał zasadniczą rolę. Szopa służyła wówczas za miejsce, gdzie chowano sprzęt i maszyny do prac drogowych.

Blaine zjechał z szosy i ukrył samochód w dużej kępie wierzb.

- Harriet - odezwał się półgłosem.

- Tak, Shep.

- Zostań tu i nigdzie się nie ruszaj. Ja zaś w tym czasie popróbuje dostać się do środka.

- Tylko wracaj jak najszybciej. I tak masz tam niewiele do zrobienia.

- Dobrze, wrócę, gdy tylko będę mógł. Mamy jakąś latarkę?

- Tak, w kieszeni na drzwiach.

Słyszał, jak grzebała tam chwile potrącając różne przedmioty. Potem strumień wąskiego, ostrego światła przeciął ciemność padając na atlas drogowy, przeciwsłoneczne okulary i jakieś zapasowe części do silnika.

Wręczyła mu latarkę. Wziął ją, zgasił i bez słowa wysiadł z auta.

- Czekać tu na mnie - powtórzył nachylając się w drzwiczkach.

- A ty uważaj na siebie - ostrzegła.

. 23 .

Wozownia okazała się o wiele większa niż wglądała z autostrady. Otaczał ją pierścień wysokich do kolan, wyschniętych na pieprz zarośli, które przy najlżejszym nawet podmuchu wiatru, wydawały donośny, tajemniczy szelest. Buda była wykonana z szerokich płatów falistej blachy, używanej niegdyś powszechnie przy budowie tego typu obiektów. Stosowanie tego budulca zarzucono dopiero jakieś sześćdziesiąt lat temu gdy sprowadzono z Aldebarana VII pewien rodzaj elastycznego plastyku, bardziej nadającego się do tych celów. Na trzech ścianach wozowni znajdowały się okna o popękanych i brudnych, zasnutych pajęczyną szybach. Czwartą ścianę stanowiły wielkie dwuskrzydłowe wrota.

Daleko na wschodzie, na tle widmowej łuny księżyca, majaczyły zarysy miasteczka Belmont. Blaine ostrożnie, starając się czynić jak najmniej hałasu, obszedł barak w poszukiwaniu najdogodniejszego sposobu wdarcia się do środka. Nic jednak nie znalazł. Skrzydła bramy zamknięte na dwa wielkie zamki i kłódkę nie dawały żadnych szans sforsowania wrót. A choć gdzieś tam, tuż przy samej ziemi, oderwano kilka płatów blachy, to była ona zbyt gruba, by Blaine zdołał ją odgiąć samymi tylko, gołymi rękami.

Był jednak inny sposób.

Blaine zatrzymał się przy narożniku starej wozowni i dłuższą chwilę nasłuchiwał uważnie. Nic jednak, poza szorstkim szelestem suchych badyli, nie mąciło ciszy wieczoru. Autostrada była jak wymarła i Blaine wiedział, że do rana nie pojawi się na niej żaden pojazd. Mające w oddali, pogrążone w zupełnym mroku miasteczko sprawiało upiorne wrażenie: zupełnie jakby barak i stojący obok Blaine znajdowali się na opuszczonym przez mieszkańców, od dawna już martwym świecie.

Przeniósł z kolei wzrok na majaczącą w mroku kępę wierzb. Nie dobiegało stamtąd najlżejsze lśnienie, najmniejszy refleks świetlny, który

wskazywałyby na ukryty tam samochód.

Upewniwszy się, Blaine szybkim i zdecydowanym krokiem ruszył wzdłuż ściany wozowni. Zatrzymał się przy pierwszym oknie. Zdjął marynarkę, owinął nią przedramię i pieść.

Tak zabezpieczoną ręką wyrznął w szybę. Szkło pękło, a jego odłamki posypały się z donośnym brzękiem. Kilkoma szybkimi ruchami Blaine oczyścił okno z tkwiących jeszcze w ramie kawałków szyby. Ponownie nałożył marynarkę i biegiem ruszył do narożnika szopy. Nasłuchiwał.

Uspokojony, wrócił do wybitego przed chwilą okna i wpełzł przez otwór do środka. Ostrożnie postawił stopy na podłodze. Wyjął z kieszeni latarkę, włączył ją i przeciągnął snopem światła po wnętrzu pomieszczenia. Tuż przy samych drzwiach stał wrak ciężarówki, a obok pobłyskiwała maszyna gwiezdna.

Stąpając odruchowo na palcach, podszedł do niej. Przystanął i wodząc po jej gładkiej powierzchni strumieniem światła, przyglądał się uważnie. Znał te konstrukcje doskonale.

Jest w niej jakieś piękno - myślał. Zupełnie, jakby w jej lśniącej powierzchni, w prostym, ekscytującym kształcie odbijały się dalekie szlaki międzygwiazdne, niezgłębione tajemnice obcych światów które za jej pomocą przemierzał i badał Człowiek.

Konstatował jednocześnie, że ten model maszyny, który miał przed sobą, to już przestarzały typ, z którego Fishhook zrezygnował dziesięć lat temu z górą. Blaine wątpił więc, by została ona skradziona bezpośrednio od Fishhooka; wiele takich przestarzałych egzemplarzy przechowywano w zapomnianych przez Boga i ludzi, ogromnych, zamkniętych na dziesięć spustów, magazynach. Prościej bowiem było je tam trzymać niż kompletnie niszczyć, a przekazanie ich w obce ręce również nie wchodziło w grę. W tych bowiem maszynach, w ich konstrukcji, której tajemnica była pilnie strzeżona, leżał w ogromnej mierze klucz potęgi Fishhooka. Dlatego też koncern wolał je trzymać pod kluczem w sobie tylko znanych miejscach.

I oto nagle Jedno z tych drogocennych urządzeń znajdowało się tutaj, poza Fishhookiem, stanowiąc niemy dowód kradzieży, jaka nie miała dotychczas miejsca.

Blaine zastanawiał się chwile, w jaki sposób Stone dokonał tego wyczynu. Im bardziej o tym myślał, tym większy podziw budził w nim ten desperacki czyn. Wymagał bowiem nie lada odwagi i zdecydowania, zaufanych ludzi i agentów, szczegółowego planu dającego stuprocentową pewność jego realizacji. No i wreszcie masy pieniędzy.

Jaka była w tym wszystkim rola Harriet? Mógł zrozumieć jej motywy i brak skrupułów przy organizowaniu jego ucieczki. Była kobietą, która znając sekrety Fishhooka, mogła się poważyć na coś podobnego. Lecz pomoc w ucieczce, a udział w grabieży maszyny gwiazdnej to dwie zupełnie różne jakościowo rzeczy.

Godfrey - o ile Blaine zdołał się już zorientować - pokładał w osiadaniu maszyny ogromne nadzieje, które jednak wraz z jego śmiercią rozwiały się i przestały być ważne. Ale i dla Finna, człowieka tak przepojonego nienawiścią, tak zdesperowanego i zaślepionego swoim posłannictwem, maszyna spoczywająca w tej budzie może stanowić również niezwykle silny atut w batalii o starcie kinetyki paranormalnej i dewiatów z powierzchni Ziemi, o odcięcie Człowieka od Gwiazd. Blaine wiedział bowiem jak wiele zdziałać może Finn dysponując tą maszyną, urządzeniem tak szalenie odbiegającym od wszystkiego, co przez stulecia wytworzyło w świadomości Człowieka pojęcie maszyny.

Skoro więc wraz ze śmiercią Stonea rozwiały się wszelkie nadzieje, to maszyna musi zniknąć również - pomyślał Blaine. I musi tego dokonać on, gdyż jakkolwiek w obecnej sytuacji nie ma już żadnych zobowiązań wobec Godfrey'a, to i tak jest mu co nieco dłużny za ów nocny telefon przed laty.

Sposób istnieje na pewno. O tym Blaine był najświęciej przekonany. Musi go tylko odnaleźć w bezmiarze obcych wiadomości w swym mózgu, dogrzebać się do tej jednej, jedynej informacji, wydobyć ją i zastosować.

Rozpoczął gorączkową penetrację swego mózgu. I odkrył sposób. Zarazem jednak odkrył inną jeszcze rzecz, która nim wstrząsnęła. Cała bowiem wiedza, obca wiedza jaką posiadał, która zwała się w jego świadomość ogromną, bezładną masą, okazała się nagle ułożona i posegregowana. Zupełnie jakby niezwykle sumienny i pedantyczny urzędnik drobiazgowo pozbierał i poukładał porzbijane na tysięczne okruchy wiadomości.

Zdumiało go to odkrycie. Zdumiało i zaskoczyło, bo oto, niespodzianie, nie podejrzewając nawet, stał się posiadaczem bajecznej fortuny, olśniewającej - lecz i przerażającej zarazem - potęgi. A było to wynikiem na wskroś ludzkich właściwości jego umysłu i psychiki. Dzięki temu, że jego ludzka natura zbuntowała się - nieważne, iż podświadomie - przeciw owemu straszliwemu chaosowi porzbijanej na najdrobniejsze kawałeczki wiedzy, tchniętej w jego umysł przez różowego mieszkańca odległej planety, posiadał w tej chwili skarb nieoceniony, nieoszacowany. Niewspółmierny do niczego, co ziemskie.

Stworzenie to było wciąż w nim; ono samo lub zaledwie jego istota. Ale było. Blaine próbował natychmiast, pośród tej uporządkowanej i ułożonej wiedzy, odnaleźć je. Nie znalazł nic.

Wyciągnął przed siebie dłoń i położył ją na powierzchni maszyny gwiazdnej. Palce natrafiły na ostry kant, objęły go, zacisnęły się mocno.

Blaine'a nurtował kolejny problem.

Skoro posiadał taką gigantyczną wiedzę, absolutnie niedostępną dla innych ludzi, skoro w jego najgłębszej jaźni kryła się obca istota - a może tylko świadomość obcej istoty - znaczy to, że on, Blaine, nie jest całkowicie Człowiekiem, a jego umysł nie jest w zupełności umysłem ludzkim.

Przejęły głęboko odkryciem Blaine nie potrafił jednak oprzeć się zdumieniu, że mimo to zachował w sobie na tyle czystego człowieczeństwa, że potrafi tak jasno zdać sobie sprawę ze swej obcości.

Odpowiedź przyszła natychmiast: - pozostał człowiekiem - lub niemal

człowiekiem - wyłącznie zewnętrznie, podczas gdy pod tą fasadą kryła się w rzeczywistości fuzja dwóch osobowości, fuzja dwóch światopoglądów, wiedzy, etyki, motywacji. Mieszanina dwóch całkowicie od siebie różnych form życia. Różowej Istocie nie robiło to żadnej różnicy gdy myślał o tym on, Blaine, a ściślej część będąca Blain'em. Różowa Istota bowiem, jakkolwiek sama w sobie nie była człowiekiem - przez samo sprzężenie się z ludzką naturą wchłonęła w siebie również całą porcję człowieczeństwa, jaką posiadał Blaine. Zawierała więc w sobie to człowieczeństwo i... Bóg jeden wie co jeszcze.

Zwolnił uścisk palców na maszynie i zaczął wodzić opuszkami po gładkiej jak szkło, metalowej powierzchni aparatu.

Znał sposób jak usunąć ową maszynę musi jeszcze tylko dokonać tego. Teoretycznie wie, jak to zrobić, ale czy zdoła zrealizować to w praktyce?

Czas... - oświadczyła mu Różowa Istota. - Czas jest najprostszą sprawą.

Czas może jest prosty - myślał Blaine. Ale posługiwanie się nim jest bardzo trudne.

Stojąc tak pogrążony w zadumie, pojmował coraz lepiej istotę tego, co zamierzał zrobić. Przeszłość jest w tym przypadku bezużyteczna. Maszyna była już w przeszłości, zostawiając za sobą długi, mglisty ślad ciągnący się aż do teraz i powracający szybko w materialnej postaci.

Inaczej rzecz się ma z przyszłością. Jeśli uda mu się przemieścić w czasie do przodu, każda chwila obecna i każda chwila następna będzie już dla maszyny przeszłością, a ona sama jawić się będzie wyłącznie jako niematerialny, widmowy ślad; stanie się okrutną drwiną, kuglarską, magiczną sztuczką, zupełnie pozbawioną wartości dla Finna i tego, co zamierza powiedzieć. A przede wszystkim, przerazi go ogromnie - myślał Blaine z dziką satysfakcją.

Skoncentrował się podejmując próbę otoczenia maszyny siłą swej woli. Bez skutku. Bo jakkolwiek jego umysł otworzył się i skoncentrowana wola objęła urządzenie, to jej moc okazała się zbyt słaba.

Odczuł tylko jakąś nie istniejącą dotąd, nieprawdopodobną i trudną do wysłowienia obcość i nierealność miejsca, w którym się właśnie znajdował. Inny niż dotychczas szum zarośli wpadał przez wybite okno, powietrze jakby rozmyło się, tracąc swą ostrość, a dziwna sztywność w karku i ostry, drapiący ból w gardle zatamowały oddech. Odnosił paskudne wrażenie, iż nie należy już dłużej do świata zewnętrznego, że wszystko, co go otacza - ziemia pod stopami, powietrze, którym oddycha, nawet własne ciało - są czymś zupełnie obcym i niepojętym. Czuł ogromne, bezgraniczne przerażenie tym brakiem czegokolwiek znajomego i przyjaznego, tym nagłym przesunięciem od znanego którego nie potrafił już sobie przypomnieć do nieznanego, dla którego z kolei nie miał żadnego punktu odniesienia. I tylko gdzieś daleko, w otchłannej, z najwyższym trudem uświadamianej głębinie umysłu czuł, że wszystko byłoby w porządku, gdyby udało mu się pokierować tą maszyną, którą starał się objąć polem skondensowanej woli; maszyną z powodu której jest tutaj, z powodu której czuje się taki obcy i straszny, wyrwany z ciemności, ciepła i iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa w starej wozowni. Zdawał sobie podświadomie sprawę, że wszystko wróci do normy, jeśli tylko uda mu się wykonać zamiar i powrócić do swego świata.

Ale pomimo całej obcości i osobliwości tego co miał dokonać, było to w sumie niesłychanie proste. Blaine już prawie wiedział jak to zrobić, już prawie znał potrzebne mu parametry i współrzędne. Ale musiał chwile jeszcze cierpliwie poczekać. Mimo przeraźliwej potrzeby pośpiechu, musiał uzbroić się w cierpliwość. Czekał więc spokojnie, aż wszystkie koordynaty zatrzaskną się na swoich miejscach w jego świadomości. Dokonał jeszcze szczegółowej, dokładnej i niespiesznej analizy odkształcenia czasowego i wówczas dopiero targnął maszynę: znalazł się dokładnie w tym punkcie, gdzie chciał.

Stał w mglistej przestrzeni, był odarty ze wszystkiego z wyjątkiem poczucia przynależności do gatunku ludzkiego.

Nie istniało nic - poza nim samym i maszyną gwiazdną. Wyciągnął

niepewnie rękę i dotykając urządzenia stwierdził, że jest ono jak najbardziej materialne.

Lecz była to jedyna w tym świecie materialna rzecz. Mgła otaczająca go, nawet mgła - jeśli była to w ogóle mgła - była tylko kamuflażem, iluzją.

Blaine stał nieruchomo, bojąc się zakłócić nieopatrzny ruchem stan upiornej równowagi, która, raz naruszona, rzuci go w otchłanne, mroczne obszary nieskończoności.

Miał bowiem świadomość, że znajduje się w przyszłości. Przebywał w czasie, gdzie nie istnieją żadne kontury układu czasowo - przestrzennego. Było to miejsce, w którym nic się jeszcze nie wydarzyło absolutna pustka. Nie istniał tu ani blask, ani cień. Nic, tylko pustka. W tym miejscu nigdy jeszcze nic nie było, a on i jego maszyna gwiazdna są pierwszymi materialnymi tworam i istniejącymi tutaj; intruzami, którzy wyprzedzili swój czas.

Wypuścił wolno powietrze z płuc i ponownie odetchnął; ale tu nie było nawet powietrza!

Mglista pomroka otulająca go zawirowała opętańczym tańcem. Głowę wypełnił mu oszalały tętent krwi. Próbował gwałtownie oddychać, wciągać powietrze - cokolwiek - ale w tym miejscu nic nie istniało.

I znów miazdzącą, gorącą falą spadło na niego uczucie obcości. W jego konającym zamierającym umyśle pojawiła się teraz jakaś przerażająca mieszanina figur pełnych dziwacznej symboliki. Figury zalewając jego mózg stawały się jednocześnie rodzajem obcej, wyższej matematyki.

I znów było powietrze, znów mógł swobodnie oddychać, a pod stopami czuł zwykłą, ziemską podłogę. Spoza wozowni płynęły delikatne podmuchy wiatru niosące ze sobą szeleszczący dźwięk i lekko zapleśniały zapach zarośli. Ponownie był w domu, u siebie, w swoim świecie i w swoim czasie.

Stał bez ruchu wsłuchując się w samego siebie. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Otworzył pomału oczy. Wokół panowała ciemność, ale inna już niż przed jego przemieszczeniem się w czasie. Mrok nocy był rozjaśniony, płynącym przez wybite okno, srebrzystym pyłem światła wzeszłego właśnie księżyca.

Uniósł dłoń, wciąż jeszcze zaciśniętą na metalowym uchwycie latarki, włączył światło i skierował ostry strumień blasku na maszynę gwiezdną; dziwną i niematerialną: widmo maszyny, jej ślad zaledwie, ślad, który pozostał po jej przemieszczeniu w przeszłość:

Ręką, w której trzymał reflektor, otarł pot z czoła. Odetchnął, gdyż uprzytomnił sobie, że dopiął swego, wypełnił zadanie i nie był już tutaj dłużej potrzebny. Uderzył w imieniu nieżyjącego Stonea. Pomieszał Finnowi

szyki.

Nie istniało już nic, co ułatwiłoby Finnowi jego misje, nie istniała maszyna, nad którą mógłby odprawiać swe złowrogie modły. Było to okrutne szyderstwo, drwina z Lamberta i z tego wszystkiego, o co od tylu lat walczył.

Nagle bardziej wyczuł niż posłyszał za sobą jakiś ruch. Odwrócił się tak gwałtownie, że wypuścił z ręki latarkę, która gasnąc, potoczyła się po podłodze. I, usłyszał dobiegający z ciemności głos pełen serdeczności.

- Shep, zgrabnie to zrobiłeś.

Blaine zamarł, serce podeszło mu do gardła. Bezsilnie opuścił ręce. Zdał sobie bowiem sprawę, że to koniec. Że dotarł do swego kresu. Że jego ucieczka jest już skończona.

Znał ten serdeczny głos. Tego głosu nigdy nie mógłby zapomnieć.

**Tam, w ciemności zalegającej
wewnątrz wozowni,
czaił się jego stary przyjaciel,
Kirby Rand!**

. 24 .

Rand postąpił cztery kroki do przodu, by podnieść upuszczoną przez Blaine'a latarkę. Wyprostował się, zapalił reflektor i skierował snop białego światła na maszynę gwiazdną. W jasnym blasku latarki można było dostrzec złociste drobiny pyłu tańczące wewnątrz niematerialnego korpusu maszyny.

- Tak - powtórzył Rand. - Zrobione niesłychanie zgrabnie. Nie mam najmniejszego pojęcia w jaki sposób ani po co to zrobiłeś. Lecz o maszynę zadbałeś wyjątkowo dobrze.

Po chwili zgasił latarkę. Stali w milczeniu, otuleni mrokiem. Tylko ich sylwetki rysowały się łagodnie w delikatnym poblasku księżycowego światła, wpadającym przez okno.

- Sądzę, że Fishhook podziękuje ci za to, coś zrobił z tą maszyną.

- Odwal się - ostro odburknął Blaine. - Doskonale wiesz, że nie dla Fishhooka to zrobiłem.

- To nieważne - odparł łagodnie Rand. - Ważne, że tutaj zbiegły się nasze interesy. Nie możemy stracić tej maszyny. Nie możemy również pozwolić, by wpadła w niewłaściwe ręce. To oczywiście rozumiesz?

- Doskonale - odrzekł krótko Blaine.

- Spodziewałem się kłopotów - zaznaczył Rand. - Wiesz, jak Fishhook stara się, by żadnych kłopotów nie było. Zwłaszcza, jeśli takie kłopoty mogą wyniknąć tutaj, poza Fishhookiem, w świecie zewnętrznym.

- Nie było żadnych kłopotów, których mógłby obawiać się Fishhook.

- I chwała Bogu. Miło mi to słyszeć. A ty, Shep? Jak sobie radzisz?

- Dziękuję, nie najgorzej.

- To dobrze. To bardzo dobrze - uradował się Kirby. - Bardzo mnie to cieszy. Teraz jednak już pora opuścić tę budę.

Blaine usłyszał szuranie jego kroków po podłodze; Rand zbliżał się do okna. Tam przystanął.

- Ty pierwszy - odezwał się. - Pójdę za tobą. I bardzo cię proszę, Shep - jak przyjaciel przyjaciela - nie próbuj uciekać.

- Bądź spokojni. Nie zamierzam - odrzekł Blaine i szybko prześliznął się przez okno.

Pomyślał, że mógł rzeczywiście próbować ucieczki. Lecz to byłoby nierozsądne, gdyż Rand bez wątpienia był uzbrojony, a dla takiego specy jak on, światło księżycy wystarczałoby w zupełności. Ale bardziej jeszcze niż to od próby ucieczki powstrzymywała go myśl, że na odgłos strzałów do akcji mogłaby się włączyć Harriet. Zdekonspirowałaby się, a on, Blaine, straciłby ostatniego sprzymierzeńca, posiadającego u Fishhooka czyste konto. Modlił się więc tylko w myślach, by dziewczyna pozostała tam, gdzie jest, w ukryciu, w kępie wierzb. Spostrzeże z pewnością, co się dzieje i już coś wymyśli.

Ona jest moją ostatnią deską ratunku - powiedział do siebie.

Stał przy oknie na zewnątrz wozowni czekając, aż Rand wygramoli się przez wąskie okienko. Mężczyzna zeskoczył w końcu na ziemię i niezwykle szybko odwrócił się w kierunku Blaine'a. Trochę za szybko, jak myśliwy - pomyślał Blaine.

Rand widząc czekającego spokojnie Blaine'a odetchnął. Zaśmiał się z cicha.

- Bardzo zręczna sztuczka, Shep - rzekł. - Doskonałe wykonanie. W wolnej chwili musisz mi to dokładnie wyjaśnić. Ukraść maszynę gwiazdą nie jest prostą rzeczą.

Blaine'a aż zatkało ze zdumienia. Szybko pochylił twarz, by Rand nie dostrzegł w blasku księżycy wyrazu zdumienia malującego się na jego twarzy.

Rand wyciągnął rękę i przyjacielskim gestem wziął go za łokieć.

- Tam jest samochód - wykonał niewidoczny w ciemności ruch głową. - Tam, po prawej stronie na szosie.

Szli w milczeniu przedzierając się przez zeschnięte badyłe szeleszczące przy

każdym ruchu. W seledynowym blasku księżycy krajobraz nie był już tak mroczny i beznadziejny. Po prawej stronie ciemną masą uszpionych domów rozciągało się miasto, sprawiając wrażenie czarnych kanciastych pagórków. Bezlistne drzewa majaczyły na wschodniej stronie nieba, niczym odwrócone do góry włosiem malarskie pędzle. Na zachodzie i północy rozciągały się bezkresne połacie płaskiej prerii, posrebrzonej w tej chwili światłem księżycy.

Poniżej, przy szosie, czerniała mroczną plamą kępa wierzb. Blaine rzucił tam szybkie spojrzenie, lecz nie dostrzegł najmniejszego lśnienia księżycowego światła odbitego od metalowej, chromowanej karoserii samochodu, w którym miała czekać Harriet. Po chwili ponownie skierował tam ukradkowe spojrzenie i tym razem był już pewien. W kępie wierzb nie było auta. Harriet zniknęła.

Mądra dziewczyna - pochwalił ją w myślach Blaine. Potrafi szybko myśleć i podejmować natychmiastowe decyzje. Zdążyła uciec, gdy posłyszała warkot nadjeżdżającego auta Randa. Uciekła natychmiast, gdyż nie wiedziała przecież, czy nadjeżdżające auto nie pozostanie w tym miejscu do rana.

- Gdzie mieszkasz w Belmont? - przerwał milczenie Rand.

- Nigdzie - wzruszył ramionami Blaine.

- Złe miasto - krótko podsumował Rand. - Oni tu bardzo serio traktują te swoje opowieści o wiedźmach i wilkołakach. Gliny zatrzymywały mnie dwukrotnie, każąc się gdzieś ukryć. Twierdzili bardzo stanowczo, że to dla mego własnego dobra.

- Oni wszyscy są teraz zdenerwowani i rozemocjonowani - wtrącił Blaine.

- Pojawił się bowiem w Belmont Lambert Finn.

- No, proszę - beztrąsko wykrzyknął Rand. - Nasz stary przyjaciel.

- Nie mój - zastrzegł natychmiast Blaine. - Nigdy go nawet nie widziałem na oczy.

- Przemiły gość - sapnął Rand. - Niezwykle ujmujący, czarujący człowiek.

- Niewiele o nim wiem. Tyle, co słyszałem od innych.

Rand chrząknął tylko w odpowiedzi.

- Myślę, że skoro nie masz tu żadnego stałego lokum, najlepiej będzie, gdy zatrzymasz się w Punkcie. Agent z pewnością znajdzie miejsce do spania. I nie będę zdziwiony, jeśli wygrzebie w dodatku jakąś butelczynę. Mam cholerną ochotę na kilka szklaneczek.

- Mnie wystarczy jedna - obojętnym tonem odparł Blaine.

W tej chwili nie było sensu walczyć. Nie było sensu uciekać. Trzeba pójść z Randem do tego agenta myślał Blaine. Tam dopiero czekać na sprzyjającą okazję.

Na razie próbują się tylko nawzajem wytrącić z równowagi. Rand - jego, a on - Randa. Zdawał sobie doskonale sprawę, że jest to śmiertelna gra, choć prowadzona w sposób nadzwyczaj układny i dyplomatyczny.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien tak bardzo przejmować się ostatnimi wydarzeniami. Ostatecznie Fishhook nie jest tak bardzo złym miejscem. Nawet jeśli wyślą go do Baja California, lub innego podobnego - miejsca odosobnienia czyż nie będzie to o niebo lepsze od wszystkiego czego doświadczył dotychczas i losu, jaki może go czekać w tym miasteczku nad Missouri.

Dotarli do zaparkowanego przy drodze auta i Blaine zaczekał chwilę, aż Rand zajmie miejsce za kierownicą. Potem sam wsunął się do środka. Zaszumił silnik i samochód z wygaszonymi światłami zewnętrznymi ruszył do przodu. Rand skierował maszynę na środek autostrady.

- Policja niewiele może nam zrobić - odezwał się półgłosem Rand. - Co najwyżej zamknąć do rana. Sądzę jednak, że najlepiej jest ich po prostu unikać.

- Masz rację - skinął głową Blaine.

Rand omijając centralne ulice miasteczka kluczył wąskimi uliczkami i przecznicami.

- Jesteśmy na miejscu - sapnął w końcu parkując auto przy krawężniku i

wyłączył motor. - No, teraz najwyższa pora na drinka.

Weszli w mroczną sień, a następnie w podwórko. Stanęli przed tylnymi drzwiami Punktu. Rand zapukał. Drzwi uchyliły się i dwaj przybysze wśliznęli się na zaplecze Punktu Handlowego. Większą część pomieszczenia zajmował magazyn i tylko jeden z rogów został zaanektowany dla celów mieszkalnych i towarzyskich. Znajdowało się tam pojedyncze łóżko, kuchenka i stół. Ponadto byłam jeszcze kominiek z ustawionymi wokół wygodnymi, przepaścistymi fotelami.

W kącie obok drzwi, którymi dostali się do środka, stała wielka, podobna kształtem do pudła konstrukcja. Blaine, choć nigdy nie widział takiego urządzenia, domyślił się, że jest to właśnie owo przesławne transo - transmiter materii, który zapewniał bezbłędne funkcjonowanie gęstej sieci Punktów Handlowych rozciągniętej wokół całej kuli ziemskiej. Przez transo mógł być w każdej chwili dostarczony dowolny towar, żądany przez któregokolwiek z tysięcy agentów Fishhooka.

To właśnie transo miał na myśli Dalton tam, na przyjęciu u Charline, gdy wspominał o nowych metodach transportu, które, wedle jego słów, wyeliminowałyby wszystkie przedsiębiorstwa transportowe na świecie. Pod warunkiem, oczywiście, że Fishhook zdecyduje się udostępnić transo do użytku publicznego.

- Siadaj sobie wygodnie, Shep - odezwał się Rand wskazując fotele. - Grant zaraz pójdzie po flaszkę. Mam nadzieję, że masz jakąś na składzie, co, Grant? - zwrócił twarz w stronę Zarządcy Punktu.

- Dobrze wiesz, że zawsze mam coś takiego pod ręką - zarechotał ponuro agent. - Jak inaczej mógłbym żyć w takim miejscu, jak to?

Blaine rozsiadł się w fotelu przy ogniu, a Rand zajął miejsce naprzeciwko.

- Ostatnio piliśmy wspólnie u mnie, w biurze - przypomniał Rand. - Teraz sobie odnowimy naszą przyjaźń, co, Shep?

Blaine'owi krew gorącą falą uderzyła do głowy. Poczuł jak narasta w nim napięcie i uczucie osaczenia. Opanował się jednak na tyle, że obojętnie

wzruszył tylko ramionami.

- Wiesz, jak niewiele miałem wówczas czasu odparł prawie pogodnym tonem. - Tylko dziewięć minut. Tyle mi wówczas zostało.

- Mylisz się, Shep. Miałeś ich dokładnie dwanaście. Przy wywoływaniu twoich taśm, chłopcy pracowali nieco wolniej.

- A Freddy? Któż by pomyślał, że pracuje dla was?

- Byłbyś zaskoczony, gdybyś znał wszystkich, którzy pracują dla mnie - wzruszył ramionami Rand.

Siedzieli pozornie rozluźnieni, przy płonących drwach i czekali na butelkę, po którą poszedł Grant. Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Czemu nic nie mówisz, Shep? - spytał w końcu Rand. - Nie wiem, o co pytać. Nie potrafię nic wymyśleć. Twoje tarapaty zaczęły się bardzo daleko stąd, w Plejadach... Ale mimo to w jakiś sposób dograłeś sprawę do końca...

- Dograłem sprawę do końca?

- Tak, do końca. Wyjątkowo zresztą ci się to udało. Wiedzieliśmy, że zetknąłeś się tam z jakąś formą życia i natychmiast posłaliśmy innych. Ta istota z którą się spotkałeś wciąż jeszcze tkwiła w tym swoim miejscu. Gapiła się na naszych ludzi. I to wszystko. Próbowaliśmy nawiązać z nią jakiś kontakt, ale ona pozostawała zupełnie niema. Udawała, że ich nie słyszy, nie dostrzega. To jest zupełnie niezrozumiałe dla...

- Braterstwo - odparł chichocząc z cicha Blaine. - Zawarliśmy braterstwo. Ale ty i tak tego nie zrozumiesz.

- Sądzę, że jednak zrozumiałbym - oczy Randa pociemniały. - Jak bardzo stałeś się obcy, Shep?

- Spróbuj, to zobaczysz.

- O nie, wielkie dzięki - wzdrygnął się Rand - Szedłem twoim tropem. Na początku wysłałem Freddy'ego... Wszystko jednak okazało się być bardziej dziwaczne i tajemnicze niż mogliśmy nawet przypuścić.

- No i co dalej zamierzasz?

- Żebym to ja sam wiedział.

Do pokoju wszedł agent dźwigając dwie szklanki i butelkę.

- A twoja szklanka, Grant? - spytał Rand obrzucając mężczyznę baczny
spojrzeniem.

- Zostały mi jeszcze trochę roboty - odparł zapytany. - Więc jeśli nie
macie nic przeciwko temu... - Oczywiście, że nic. Pędź do swych zajęć,
Grant. Ale jeszcze jedno...

- Tak, sir?

- Chciałbym, żeby pan Blaine spędził tu noc.

- Nie ma najmniejszych przeszkód. Ale muszę od razu zastrzec, że wygod
żadnych tu nie ma...

- To nie problem... - wtrącił Blaine.

- Zaproponowałbym panu własne łóżko. Ale uczciwie mówię, że to marny
interes...

- Nie mam najmniejszego zamiaru pozbawiać pana łóżka - roześmiał się
Blaine.

- Naprawdę będzie panu dużo wygodniej, gdy pościelę na ziemi. Tak
będzie lepiej, słowo honoru.

- Ach, cokolwiek - machnął ręką Blaine. - Będę wdzięczny za cokolwiek.

Rand wziął butelkę, przez chwilę czytał etykietkę, a następnie
odkorkował.

- Koce przyniosę trochę później. I tak nie wybiera się pan teraz spać? -
Grant spoglądał na butelkę połyskującą w dłoniach Randa.

- Oczywiście, że możesz potem, Grant. Dziękuję - mruknął przez zęby
Rand mocując się z opornym korkiem.

Mężczyzna wyszedł. Chwilę potem trzasnęły jakieś drzwi w głębi domu i
zapadła cisza. Rand otworzył wreszcie butelkę i rozlał trunek do szklanek.
Spojrzał badawczo na Blaine'a.

- Oczywiście nie musisz tu zostawać, jeśli nie chcesz.

- Naprawdę nie muszę?

- Wracam do Fishhooka przez transo. Jeśli chcesz, wracaj ze mną.

Blaine milczał i Rand podał mu pełną szklankę.

- No i co powiesz, Shep? - pierwszy przerwał ciszę Rand.

- Upraszczasz chyba sprawę - roześmiał się Blaine. - Chyba zbyt upraszczasz.

- Możliwe - odparł Rand, rozpierając się wygodniej w fotelu i podnosząc szklankę do ust.

- Mogę zrozumieć tę historię z obcym, z tym, że stałeś się obcy - odezwał się po chwili milczenia. - To w końcu ryzyko zawodowe każdego badacza. Ale maszyna gwiazdna? Jak tego dokonałeś? Byłeś w spółce ze Stone'em, oczywiście?

- Wiesz, że Stone nie żyje?

- Nie, nie słyszałem o tym - odparł Rand z odcieniem powątpiewania w głosie.

Trochę pod wpływem tonu Randa, trochę intuicyjnie Blaine pojął, że Kirby wcale o to nie dba, czy Stone żyje czy nie, czy Finn jest w mieście czy gdzieś indziej na prowincji. Było mu to najwidoczniej zupełnie obojętne. A nawet więcej. Wyglądało na to, że Rand jest zadowolony z obrotu sprawy, tak ze śmierci Stone'a, jak i z działalności Finna. Gdyż monopol Fishhooka opierał się w gruncie rzeczy na świecie niedewiatów, na tych milionach ludzi zmuszonych do spoglądania z nadzieją w stronę koncernu, bo tylko ten mógł zapewnić im kontakty i handel z gwiazdami. A więc Fishhook i reprezentujący jego interesy Rand, mogli wręcz być zainteresowani - Blaine uświadomił to sobie nagle - tym, aby krucjata głoszona przez Finna toczyła się nieuchronnie do końca. Lecz jeśli tak jest rzeczywiście, to śmiertelny cios Stone'owi mógł zadać wcale nie Finn, lecz Fishhook.

Blaine wzdrygnął się na tę myśl. Ale tkwiła mu ona w mózgu. Nie dawała spokoju. Nurtowała. Drażniła, sytuacja naraz okazała się o wiele, wiele bardziej skomplikowana. Wykraczała daleko poza wojnę między Stone'em a Finnem.

Nie lepszym wyjściem w tej sytuacji byłoby zupełne wyparcie się

jakichkolwiek związków z tą nieszczęsną maszyną gwiezdą - myślał gorączkowo Blaine. Być może powinien był to zrobić już wcześniej, jeszcze w wozowni. Lecz gdyby teraz wyznał Randowi jak rzecz się miała naprawdę, że z całą aferą zetknął się zaledwie kilka godzin temu, to - raz - że może w oczywisty sposób stracić całą swoją przewagę która stanowi jego wartość przetargową, a - dwa - że Rand i tak mu nie uwierzy. Bo to przecież nie kto inny, lecz Blaine towarzyszył Rileyowi w transporcie maszyny prawie od samego Meksyku.

- Dużo czasu zajęła ci pogoń za mną - ostrożnie odezwał się Blaine. - Albo straciłeś trochę swych umiejętności. A może tylko igrałeś ze mną?

- Szczerze ci wyznam, Shep, że prawie udało ci się wymknąć - rzekł Rand marszcząc brwi, jakby sobie coś przypominał. - Mieliśmy cię już w tym miasteczku, gdzie o mało nie zostałeś powieszony...

- Byłeś tam wówczas?

- Osobiście, nie. Ale mój człowiek.

- I pozwolilibyście, aby mnie zlinczowano?

- Powiem ci szczerze, że nasze zdania były podzielone. Lecz ty sam najlepiej rozwiązałeś sytuację Rand spojrzał badawczo na Blaine'a.

- Ale gdybym...

- Sądzę, że najprawdopodobniej zostałbyś powieszony. Byliśmy przekonani, że sami zdołamy odzyskać skradzioną maszynę.

Ze złością uderzył szklanką w blat stołu.

- To był diabelski pomysł wlec tę maszynę tym starym trupem. Cokolwiek...

- To proste - odparł spokojnie Blaine. - Powinieneś to zrozumieć. Jeśli już kradniesz rzecz tak drogocenną, to robisz wszystko, łapiesz każdą nadarzącą się okazję, każdy sposób jest dobry, by zabrać ją najdalej i jak najszybciej.

- Szatański sposób - mruknął z mimowolnym podziwem Rand. Spozrzegł, że Blaine śmieje się i natychmiast oddał mu uśmiech.

- Posłuchaj mnie, Shep - odezwał się, nachylając ku Blaine'owi. - Wyznaj mi wszystko. Zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. I sądzę, że nadal nimi jesteśmy.

- Co chcesz wiedzieć?

- Coś zrobił z tą maszyną? Gdzieś ją zabrał?

- Tak, zabrałem ją - Blaine uśmiechnął się blado kiwając głową.

- I możesz ją sprowadzić z powrotem?

- Nie. Daję ci słowo honoru, że tego nie mogę zrobić. Byłem... No dobrze, powiem ci. To miała być kpina z kogoś.

- Ze mnie, tak?

- Nie, nie z ciebie. Z Lamberta Finna.

- Nie lubisz go, prawda?

- Nigdy w życiu nie widziałem go na oczy.

Rand bez słowa sięgnął po butelkę i ponownie napełnił szklanki. Podniósł swoją do ust i wypił duszkiem połowę.

- Muszę cię opuścić - odezwał się spoglądając na zegarek. - Jedno z tych sławnych przyjęć u Charline, rozumiesz. Za nic w świecie nie chciałbym go stracić. Jesteś pewien, że chcesz tu pozostać? Charline byłaby zachwycona widząc ciebie.

- Nie, jednak zostanę. Przekaż pozdrowienia Freddy'emu - w głosie Blaine'a zabrzmiała nieskrywana drwina. Rand udał, że jej nie dostrzegł.

- Freddy już u nas nie pracuje.

Blaine dźwignął się z fotela i towarzyszył Randowi do transo. Rand otworzył drzwi urządzenia, którego wnętrze do złudzenia przypominało zwykły dźwig towarowy.

- Fatalnie, że nie potrafimy zastosować tego do wypraw gwiazdnych - rzekł przekraczając próg transo.

- Jestem święcie przekonany, że pracujecie nad tym.

- Oczywiście. Ale nie potrafimy rozwiązać kwestii urządzeń stabilizujących. Rand wyciągnął rękę w stronę Blaine'a.

- No, to bywaj, Shep. Do zobaczenia.

- Po co, skoro nie mogę ci w niczym pomóc? Żegnaj, Kirby - odparł Blaine.

Rand uśmiechnął się tylko i bez słowa znikł wewnątrz urzędnika. Zamknął za sobą drzwi. Nie było żadnych oznak - dźwięku, kolorowych świateł rozbłyskujących wszystkimi kolorami tęczy które wskazywałyby, że maszyna zaczęła działać.

Lecz Blaine miał pewność, że Kirby Rand był już ponownie u Fishhookh. Odwrócił się od transo i powrócił na swoje miejsce w fotelu przy kominku. Otworzyły się drzwi wiodące w głąb sklepu i do pokoju wkroczył Grant. Niósł złożone na ramieniu futro.

- Mam coś takiego - odezwał się wskazując trzymany na ręku przedmiot. - Zapomniałem o tym. Czyż to nie чудо? - dodał zdejmując futro z ramienia i rozprostowując je.

To nie było futro. To coś przypominało je tylko do złudzenia. Przy bliższych oględzinach sprawiało wrażenie bardziej jedwabiu niż futra. W jego włosach było coś, co powodowało, że w blasku ognia lśniło świetlistymi błyskami, jakby ktoś wysypał na materię drobnutki pył diamentowy. Było złociście żółte w czarne pasy.

- Mam je od paru lat - wyjaśniał Grant. - Kiedyś pojawił się tutaj klient biwakujący nad rzeką. Zamówił to чудо. Z jego zdobyciem miał Fishhook nieco zachodu. Ale w końcu przesłał... sam pan wie, jak sprawnie potrafi działać Fishhook.

- Tak, wiem - krótko odparł Blaine.

- No więc przysłali to, lecz facet już się więcej nie pojawił. A futro było tak piękne, że nie potrafiłem się z nim rozstać. Zostawiłem więc na składzie, mając nadzieję, że je kiedyś sprzedam. Ale nie sprzedałem. Jest ono za drogie na kieszeń któregoś z mieszkańców tego zawszonego miasteczka.

- Ale co to w ogóle jest? - zainteresował się Blaine.

- Najcieplejsze, najłżejsze i najdelikatniejsze futro w całym znanym

wszechświecie - pochwalił się Grant. - Używają tego podczas biwaków. Lepsze niż najlepszy śpiwór.

- Doprawdy, nie miałbym serca używać tego - odparł Blaine, spoglądając z podziwem na materiał. Wystarczy mi zwykły koc...

- Musi pan - nalegał Grant. - To będzie dla mnie zaszczyt, sir. Moje mieszkanie jest tak ubogie, że aż mi wstyd. A o ile mogę się domyśleć, pan zazwyczaj sypia w luksusach.

- No dobrze. Dziękuję - wybuchnął śmiechem Blaine wyciągając rękę po futro.

Grant podał mu je i Blaine z podziwem ważył je w ręku. Nie mieściło mu się w głowie, by tak obszerny płat materii mógł ważyć tak niewiele.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam jeszcze trochę pracy - odezwał się Grant. - Pójdę więc skończyć swe zajęcia, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Położyć się może pan, gdzie tylko chce.

- Dobrze - skinął głową Blaine. - Skończę drinka i idę spać. Może pan jednak napije się teraz ze mną jednego szybkiego?

- Nie, dziękuję. Później. Zawsze przed snem walę sobie głębszego.

- W takim razie zostawię butelkę na stole.

- Dobranoc, sir. Zobaczymy się rano.

Blaine powrócił na fotel kładąc na kolanach futro. Gładził je dłońmi podziwiając jego miękkość i przedziwne ciepło, które sprawiało wrażenie, że nie jest to martwy przedmiot, lecz żywa istota. Niespiesznie popijał trunek i myślał o Randzie.

Rand był niewątpliwie najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na Ziemi; wbrew nawet temu co o Finnie mówił Stone. Rand był człowiekiem ze stali, człowiekiem - buldogiem, który raz poczuwszy trop już do końca go nie straci. Żaden z wrogów Fishhooka, którego śladem wyruszył Rand nie wychodził obronną ręką.

Nie obstawał wcale, by Blaine wracał z nim razem do Meksyku. Propozycje Randa w tym względzie były mniej niż zdawkowe. Zupełnie

jakby kwestia ta nie miała żadnego znaczenia, jakby w ogóle ten problem nie istniał. Odmowa Blaine'a zdawała się wcale Randa nie urażać. Nawet nie sugerował użycia siły. Lecz w tym akurat punkcie Blaine doskonale pojmował rozterkę Randa. Rand nie miał żadnych gwarancji, że interwencja taka odniosłaby pozytywny skutek. Wręcz przeciwnie; Rand, śledząc Blaine'a poprzez swoich ludzi, był zorientowany w fantastycznych i tajemniczych możliwościach przeciwnika i po prostu bał się. Zwyczajnie bał.

Tak więc, zachowując ostrożność i czujność, pokrywał wszystko nonszalancją. Ale nie był w stanie oszukać tym Blaine'a. Ten wiedział, że Rand jest człowiekiem, który się nie cofnie. Ugnie się, lecz nie da za wygraną. Był przekonany, że tamten ukrywa coś w zanadrzu; ale co, tego już nie potrafił przewidzieć. Nie wątpił w jedno: zastawiono na niego pułapkę. To było więcej niż pewne.

Siedział nieruchomo w fotelu i gładził futro pociągając ze szklanki alkohol. Zastanawiał się, czy powinien pozostać na noc w Punkcie. Czy natychmiastowa ucieczka nie byłaby optymalnym rozwiązaniem. Lecz z drugiej strony, prawdopodobnie na to właśnie liczy chytry i podstępny Rand. Być może na tym polega pułapka, że zastawiono ją na zewnątrz. Najprawdopodobniej ten pokój właśnie i Punkt Handlowy są dla Blaine'a tej nocy najbezpieczniejszym miejscem.

Blaine potrzebował schronienia. Natomiast wcale nie musiał spać. Wręcz przeciwnie, sytuacja zdaje się wymagać, by dzisiejszej nocy czuwał. Położył się więc na ziemi, otulił ciasno futrem i będzie symulował sen, obserwując jednocześnie Granta. Bo tylko on może uruchomić ewentualną pułapkę.

Odstawił na stół pustą szklankę, obok innej, nie dopitej przez Randa. Postawił tam również butelkę, tworząc mimowolnie całkiem zgrabną, pijacką kompozycję. Wziął futro pod pachę i zbliżył się do kominka. Pogrzebaczem ruszył głównie ożywiający zamierające płomienie. Postanowił ułożyć się przy ogniu, by padający z paleniska blask oświetlał resztę pokoju.

Rozłożył ostrożnie futro na ziemi po czym zdjął kurtkę i buty. Marynarkę

złożył w zgrabną kostkę, aby użyć jej w charakterze poduszki. Położył się. Błam był rozkosznie miękki i elastyczny; jak materac, choć nie posiadał tego grubości. Blaine okręcił się futrem, a ono przylgnęło szczelnie do jego ciała niczym śpiwór. Czuł się cudownie, jak nigdy od czasu, gdy jako dziecko, podczas najzimniejszych, zimowych nocy, wtulał twarz w poduszkę przykrytą ciepłą, puchową kołdrą.

Leżał tak, wpatrując się w ciemność zalegającą pomieszczenie magazynu. Wodził wzrokiem pośród mrocznych zarysów zgromadzonych tu pak, beczek, beli i pudeł. Panowała cisza przerywana tylko od czasu do czasu trzaskaniem pękającego w ogniu drewna. Powoli zaczynała docierać do niego charakterystyczna woń przepelniająca pomieszczenie: niemożliwy do określenia zapach towarów zupełnie na Ziemi obcych. Nie był to silny, drażniący zapach czegoś egzotycznego; zapach, który budziłby dreszcz strachu czy emocji. Była to skomplikowana mieszanka przypraw pochodzących z innych światów, artykułów przemysłowych, żywności, drewna i wielu, wielu innych przedmiotów sprowadzanych tu z najodleglejszych gwiazd. Blaine zdawał sobie sprawę, że wszystko to stanowi zaledwie maleńką część tego, co Fishhook zdobywa we wszechświecie. To tylko najbardziej elementarne, podstawowe towary, przeznaczone na handel.

Specjały dostarczane do Punktów Handlowych za pośrednictwem transo, stanowiły jedynie fragment tego, co koncern sprowadzał z gwiazd. Był to tylko ułamek, częśćka, to tylko, czego potrzebował przeciętny człowiek.

W posiadaniu Fishhooka istniało bowiem dużo więcej różnych, stokroć istotniejszych rzeczy - pomysłów, wiedzy - zdobytych w otchłaniach kosmosu. W uniwersytetach podległych Fishhookowi naukowcy ze wszystkich stron świata przesiewali tę wiedzę, wiązali ze sobą i zgłębiali, czasami wykorzystywali ją w praktyce częściej odkładali, by w przyszłości - bliższej lub dalszej - wiedza owa i pomysły mogły zaowocować, wymodelować i ukierunkować rozwój ludzkiej rasy.

Znajdowały się tam przedmioty i wiedza ujawniane ogółowi. Lecz były również liczne fakty i dokumenty ściśle tajne, udostępniane tylko najbardziej zaufanym osobom.

Gdyż Fishhook nie mógł - tak w interesie ludzkości, jak c we własnym - udostępniać ogółowi wszystkiego, co udało mu się zdobyć. Istniały bowiem zupełnie obce, nowe kategorie problemów, systemów filozoficznych, czy - jak to można inaczej określić - pomysłów, które pochodziły z innych i zupełnie odmiennych systemów i struktur społecznych. Dlatego najczęściej w ogóle były nieprzydatne Człowiekowi. Były absolutnie obce i nie mogły zostać zaakceptowane przez ludzi i ludzki system wartości. Były jeszcze inne. Te mogły ewentualnie znaleźć zastosowanie w ludzkim świecie, lecz przed ich udostępnieniem należało je najpierw wszechstronnie rozpatrzyć i dostosować do obowiązujących wzorców kulturowych. I były te trzecie: możliwe do przyjęcia przez Człowieka, lecz ze względu na swe nowatorstwo czy rewolucyjność musiały jeszcze swoje odleżeć przez co najmniej sto lat, czekając aż ludzkość dorośnie do ich praktycznego zastosowania.

W tym właśnie musiało się mieścić coś, o czym myślał Stone, przystępując do realizacji swych zamierzeń złamania monopolu Fishhooka, by dać ludziom paranormalnym spoza magicznego kręgu koncernu jakąś schedę, należną im z racji ich zdolności.

W tym punkcie Blaine zgadzał się ze Stone'em w zupełności. Bo nie było w porządku, że wszystkie zdobyte zdolności paranormalnych, które miały skupiać się pod ścisłą kontrolą Fishhooka, który podczas stuletniego z górą istnienia stracił wiele ze swej żarliwej i bezinteresownej służby ogółowi ludzkiemu, przechodzą na tory komercjalizmu w skali dotychczas nie notowanej.

Bo jakkolwiek by na to patrzeć, zdolności paranormalne należały do Człowieka jako takiego, a nie do grupy ludzi, nie do potężnych korporacji czy odkrywców i spadkobierców. Zdolności paranormalne są domeną całego gatunku ludzkiego, domeną Człowieka w ogóle. Są to zjawiska jak

najbardziej naturalne. Może tylko bardziej skomplikowane i nie tak jednoznaczne jak inne zjawiska przyrody: wiatr, deszcz czy śnieg.

Za Blaine'em z głośnym trzaskiem załamały się przepalone polana i upadły w żar. Blaine odwrócił się, by spojrzeć w ich stronę.

Próbował się tylko odwrócić... Ale nie mógł tego zrobić.

To było okropne.

Futro w jakiś przedziwny sposób skrępowało go zbyt mocno.

Starał się, rozpierając ramiona, wyswobodzić ciało ze splotów krepującej materii. Choć natężył całe swe siły, nie zdołał nawet poruszyć rękami.

Przeciwnie - przy każdej kolejnej próbie, futro zaciskało się mocniej i mocniej. Przerażony do najwyższych granic próbował usiąść.

Nie mógł.

Futro krępowało go łagodnie, ale z zadziwiającą siłą.

Był obezwładniony, oplątany niczym najmocniejszą liną, a futro - sam nie wiedział kiedy - stało się niczym kaftan bezpieczeństwa.

Strach gorącą śliną podpełzł do gardła. Czoło zalewał pot spływając na oczy grubymi kroplami. Był w pułapce.

W pułapce, której tak bardzo starał się uniknąć.

W pułapce, przed którą tak rozpaczliwie się bronił.

Z własnej i nieprzymuszonej woli, choć całkiem nieświadomie, wpadł w pułapkę, a ta się zatrzęsnęła.

. 25 .

Rand przy pożegnaniu powiedział: „Do zobaczenia”. Brzmiało to sympatycznie, przyjaźnie i naturalnie. Lecz musiało to tak właśnie brzmieć. Rand wiedział już z góry jak potoczą się dalsze wypadki, gdyż to on właśnie zaaranżował tę pułapkę z futrem. A była to rzeczywiście genialna metoda zwabienia w pułapkę człowieka, który wiedząc, że na niego polują, miał się na baczności.

Blaine leżał nieruchomo na podłodze skrępowany futrem. To nie było futro, rzecz jasna. Była to jedne z tych rzeczy, o których Blaine prawi chwilą rozmyślał. Jeden z owych tajemniczych przedmiotów, przechowywanych w największym sekrecie przez Fishhooka, w przewidywaniu, iż znajdzie się kiedy takie czy inne dla niego zastosowanie.

I znalazło się - pomyślał Blaine myszkując jednocześnie gorączkowo w pamięci. Nie potrafił jednak sobie przypomnieć o czymś takim jak to futro - pułapka. Żaden z badaczy nie natknął się na coś podobnego. Był to zapewne rodzaj pasożyta, pozornie martwego aż do chwili zetknięcia się z i ciepłym. I oto teraz Blaine znajduje się we władaniu owego pasożyta, który w każdej chwili mógł z nim zrobić wszystko to co zwykł był robić w takich przypadkach. Nawet zeżreć Blaine'a. Blaine był zupełnie bezradny, a każda próba wydobycia się ze splotów potwora kończyła się tym, że stwór przystępował natychmiast do kontrakcji, wzmagając uścisk.

Niemniej Blaine, spoczywając bez ruchu, poszukiwał rozpaczliwie sposobu wywinięcia się z matni. I zobaczył naraz owo miejsce: mroczną planetę o powierzchni pokrytej splątaną gęstwą dżungli, zamieszkałą przez groźne, dziwaczne istoty. Było to przerażające miejsce, wypełnione nieustanną, krwawą walką istot o odrażającym - jakby zrodzonym w sennym koszmarze - wyglądzie. Blaine widział to wszystko jak zza mgły wspomnień z niesłychanie odległych czasów. Ale wspomnienia owe nie pochodziły

wcale z pamięci i świadomości człowieka z tej prostej przyczyny, iż nigdy na tej planecie nie był. Ani on, ani żaden z badaczy Fishhooka.

Obraz rósł, stawał się coraz klarowniejszy, coraz jaśniejszy: jakby ktoś w jego mózgu operował obiektywem wyostrając widzenie, doprowadzając je do ostatecznej perfekcji. Mókł już dostrzec mrozące, dreszcz budzące szczegóły życia jakiegoś przerażającego potwora mieszkance owej dzikiej planety porośniętej dżunglą. Stwór był wielki i obrzydliwy. Włókł swe cielsko pełząc po ziemi gnany dzikim i bezrozumnym instynktem, kierowany prymitywną nienawiścią i głodem.

Blaine leżał porażony strasznym widokiem miejsca, gdyż było ono tak bardzo realne, jakby tam sam osobiście przebywał; jakby połowa Blaine'a spoczywała wciąż skrępowana przy kominku, podczas gdy druga jego część przebywała tam, w tej obrzydliwej dżungli.

Wydało mu się nagle, że słyszy hałas, a raczej, że usłyszała go ta jego część, która przebywała na planecie. Część ta spojrzała też natychmiast w górę skąd dobiegł dźwięk. Piętrzyło się tam coś, co mogło być drzewem, jakkolwiek było zbyt splątane i kolczaste, by nim rzeczywiście być. Tam właśnie ujrział zwisające z niby - gałęzi futro, lśniące owym diamentowym blaskiem. Sprawiało takie wrażenie, jakby zaraz miało spaść na Blaine'a.

Wrzasnął - a może mu się tylko wydawało, że wrzasnął - i planeta wraz z jej obrzydliwymi mieszkańcami zniknęła za mgłą. Zupełnie, jakby dłoń sterująca soczewką w jego mózgu rozstroiła ostrość obiektywu.

W tej samej chwili odnalazł się - już całkowicie Blaine - przy kominku w magazynie Punktu Handlowego, gdzie w mrocznym kącie majaczyło transo. Jednocześnie otworzyły się drzwi i stanął w nich , Grant.

Przestąpił próg i dokładnie zamknął drzwi. Stał w milczeniu, ogromny i flegmatyczny, spoglądając nieruchomym wzrokiem na leżącego.

- Panie Blaine - odezwał się po chwili. - Panie Blaine, czy pan śpi?

Blaine milczał.

- Ma pan otwarte oczy. Czy coś się stało?

- Nie, nic - mruknął niewyraźnie Blaine. - Tak sobie leżę i myślę.

- O czymś przyjemnym, panie Blaine?

- Tak, o niezwykle miłych rzeczach.

Grant kocim, bezszelestnym krokiem zbliżył się do stołu i sięgnął po butelkę. Odkorkował, podniósł do ust i zadał pić prosto z niej. Po chwili odstawił ją ponownie na stół.

- Panie Blaine - znów zwrócił się do spoczywającego na ziemi. - Proszę wstać. Usiądziemy sobie przy stole, pogadamy, popijemy. Bardzo rzadko rozmawiam z ludźmi. Klienci, którzy przychodzą coś kupić, jeśli odzywają się, to tyle tylko ile muszą.

- Nie, dzięki - odparł Blaine. - Mnie tutaj dobrze.

Grant podszedł do kominka i usiadł w jednym z foteli.

- Popełnił pan błąd nie wracając z Randem - odezwał się odwracając twarz w kierunku Blaine'a. Fishhook to wspaniałe miejsce.

- Ma pan słuszość - odparł automatycznie Blaine, nie wysilając się nawet, by pojąć znaczenie słów wypowiedzianych przez ajenta.

W tej chwili bowiem dotarta do niego świadomość, skąd czerpał przed chwilą wspomnienia o obcej, przerażającej planecie. Były one zawarte pośród bezliku informacji zdobytych od Różowej Istoty. On osobiście nigdy na tej planecie nie był, ale ona tak.

We wspomnieniach tych mieściło się dużo, dużo więcej niż same dźwięki i obrazy odległej planety. Były tam wszelkie parametry i współrzędne kosmograficzne tego świata, jak również komplet danych o istniejącym tam życiu. Te ostatnie jednak - nie uporządkowane jeszcze, nie posegregowane - nie tworzyły spójnej i klarownej całości. Blaine, sam nie wiedząc czemu, zaczął zbierać i układać te właśnie okruchy porozbijanej, rozproszonej wiedzy. Grant rozparł się w fotelu, a na twarzy igrał mu głupawy uśmieszek.

- No dobrze. A jak się pan czuje, panie Blaine? - indagował dalej.

- Powiem ci, jak cię dostanę w swoje ręce - odwarknął Blaine.

Grant dźwignął się z fotela i obchodząc przesadnie szerokim łukiem

miejsce, gdzie leżał Blaine, podszedł do stołu. Podniósł butelkę i pociągnął z niej parę łyków.

- Nigdy nie będziesz mnie miał w swych łapach - zaśmiał się chrapliwie. - Nigdy, bo za chwilę wsadzę cię w transo i wyekspeduję do Fishhooka.

Ponownie łyknął z flaszki i odstawił ją na stół.

- Nie wiem coś takiego przeszkrobał - mruknął. - Nie wiem, czego oni chcą od ciebie. Ja po prostu wypełniam polecenia.

Znów odruchowo wznosił butelkę, lecz rozmyślił się i odstawił ją na środek stołu. Zbliżył się do Blaine'a stając nad nim w szerokim rozkroku.

Kolejny obraz: tym razem innej jeszcze planety. Jakiś przedmiot posuwał się szybko przed siebie po czymś, co na pierwszy rzut oka kojarzyło się ze zwykłą ziemską drogą. Takiego tworu Blaine nigdy jeszcze nie widział. Choć mieszkaniec obcej planety podobny był do kaktusa z pewnością nie był kaktusem ani żadną rośliną. Lecz ani owe kaktusopodobne stworzenie, ani niby - droga nie stanowiły najistotniejszego elementu tego obrazu. Istotne było to, że za tym tworem, trop w trop, sunęło skokami pół tuzina takich samych futer jak to, które krępowało Blaine'a.

Psy gończe - błysnęło Blaine'owi w głowie. Kaktus jest myśliwym, a futra jego psami. Może jest traperem, a one jego sidłami?

Futra, których ojczyzną była tamta pokryta dżunglą planeta, zostały być może sprowadzone tutaj przez jakiegoś kosmicznego handlarza - przedstawiciela rasy odpornej na promieniowanie kosmiczne, rasy, która była w stanie podróżować w przestrzeni międzygwiazdnej.

Z tej właśnie planety zostały sprowadzone przez Fishhooka te futra - pomyślał z nagłą furią Blaine. Jednocześnie, wraz z obrazem, w mózgu człowieka zabrzmiał tajemniczy dźwięk - coś w rodzaju zdania w obcym języku, prawdopodobnie w mowie kaktusa. Brzmiało ono niesłychanie dziwnie i obco i Blaine nie rozumiał go, lecz gdy Grant pochylił się nad nim z wyciągniętymi rękoma, by przenieść jego ciało do transo, Blaine całą mocą swego gardła wykrzyknął to właśnie zdanie.

Futro rozluźniło się natychmiast, a Blaine błyskawicznie poturlał się przed siebie zbijając z nóg oniemiałego Granta. Ten, z rykiem wściekłości, upadł na podłogę uderzając o nią twarzą. Blaine odpełził szybko na czworakach do stołu i tam poderwał się na nogi.

Grant powstał równie szybko. Z rozbitego nosa krew ciekła mu grubymi kroplami, a knykcie dłoni były silnie obdarte ze skóry. Postąpił w stronę Blaine'a. Na umazanej krwią twarzy malował mu się okropny grymas podwójnego strachu: lęku przed człowiekiem, który zdołał wyswobodzić się ze splotów futra i strachu przed gniewem mocodawców, których rozkazu nie wypełnił.

Sprężył się cały chowając głowę w potężne ramiona i z wyciągniętymi rękoma, jak oszalały byk, szarżował na Blaine'a. Był wielki i silny, powodowała nim skrajna desperacja, a nie mając już nic do stracenia, nie dbał o nic, co czyniło go w dwójnasób niebezpiecznym.

Blaine odskoczył w bok. Niedostatecznie szybko. Ogromna garść Granta zdążyła dosięgnąć go i zacisnąć się na jego koszuli. Blaine szarpnął gwałtownie ciałem do tyłu. Rozległ się trzask pękającego materiału i kawał koszuli pozostał w zaciśniętym kułaku Granta. Ten ponowił atak. Tym razem Blaine'owi udało się w porę wyłapać nadlatujący cios ogromnej pięści przeciwnika. Jedną ręką chwycił Granta za nadgarstek, a drugą wymierzył uderzenie w twarz. Cios był bardzo mocny. Grant zachwiał się, a Blaine poczuł przeszywający ból biegnący od łokcia w dół.

Niepomny jednak na nic, trzasnął po raz drugi i trzeci. Walił już bez opamiętania, do całkowitego zdrętwienia bijącej ręki. Ciosy wstrząsały masywnym ciałem Granta, miotały nim; Blaine wciąż bił bezlitośnie.

Bił na zimno, z wyrachowaniem, z dziką pasją. Nie był to gniew, nie był to strach czy zadowolenie z zadawanego przeciwnikowi bólu. To była konieczność. Było to jedyne wyjście: zniszczyć Granta, bo w przeciwnym razie on zniszczy Blaine'a.

Zaskoczył Granta pierwszym ciosem. I nie mógł już tej przewagi utracić,

nie wolno mu było przestać bić dopóty, dopóki Grunt trzyma się na nogach, póki jest jeszcze przytomny. Bo gdyby Grunt doszedł do siebie, poradzi sobie bez trudu z o wiele słabszym fizycznie Blaine'em. Jedno celne uderzenie jego wielkiej pięści zupełnie by wystarczyło.

Grunt zataczał się jak pijany pod gradem niezbyt mocnych może, ale bolesnych i celnych uderzeń Blaine'a, chwiały na nogach, chaotycznie wymachiwał rękami. A Blaine bił. Bił wciąż.

Kolejny cios smagnął głowę Grunta. Ta bezwładnie odskoczyła do tyłu, oczy bitego zmętniały, a ciało zwiotczało; zupełnie jakby ten cios właśnie pozbawił Grunta wszystkich kości i mięśni. Ogromny mężczyzna, jak pusty, wiotki worek, osunął się na ziemię i pozostał tam na kształt szmacianej lalki, z której wypruto trociny.

Blaine opuścił swobodnie ręce. Oddychał ciężko, spazmatycznie jak ryba wyjęta z wody, łapał powietrze. Czuł w dłoniach piekący, nieznośny ból poharatanych knykciów i nadgarstków oraz nadwerężonych stawów i ścięgien.

Oszłołomiał go fakt, że potrafił dokonać tego, że potrafił swoimi małymi pięściami zetrzeć na krwawą miazgę, ogromnego, brutalnego mężczyznę, jakim był Grunt.

Udało mu się pierwszym ciosem zyskać przewaga i już jej nie stracić. To wszystko. Był to po prostu łut szczęścia, uśmiech losu. Ale to, że poradził sobie uprzednio z krepującym go futrem? Czy to również przypadek?

Znał odpowiedź doskonale: posiadał w mózgu niezwykle informacje, wepchnięte tam w chwili, gdy stworzenie z odległej o pięć tysięcy lat świetlnych planety wymieniło z nim swoją świadomość. Owo zdanie w obcym języku było zapewne rozkazem dla stworzenia - futra, by uwolniło ofiarę ze swych splotów. Kiedyś, podczas jednej ze swych kosmicznych włóczęg, Różowa Istota wchłonęła w siebie cały zasób wiedzy o kaktusopodobnych stworzeniach, a więc i ów pozornie błahy szczegół, jak zdanie - rozkaz dla futra. I oto niepozorna, niewiele znacząca informacja

miała dla Blaine'a wartość nieobliczalną wartość jego życia.

Stał i spoglądał zamyślonym wzrokiem na nieruchome ciało Grunta spoczywające u jego stóp. Musi stąd oczywiście uciekać. Uciekać jak najszybciej. W każdej chwili w drzwiach transo może ukazać się ktoś od Fishhooka, zaniepokojony faktem, że tak długo Grunt nie przysyła skrupowanego więźnia.

Muszę znów uciekać - pomyślał z bezbrzeżną goryczą Blaine. Ucieczka to jedyna rzecz, którą potrafi robić. Robi to dobrze, doskonale wręcz. Ucieka już tydzień, a końca tej ucieczki nie widać. Zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia będzie musiał jej zaprzestać. Będzie musiał zatrzymać się po to choćby, aby uratować szacunek dla samego siebie; jeśli nie będzie już nic więcej do ratowania.

Lecz chwila ta jeszcze nie nadeszła. Tej nocy musi ponownie podjąć ucieczkę. Ale teraz nie będzie to już droga donikąd. Ma konkretny cel.

Odwracając się do stołu po butelkę, kopnął z pasją falujące lekko na ziemi futro, które miękkim, płynnym ruchem przeleciało w powietrzu lądując w rogu obok kominka.

Szybkim ruchem zgarnął ze stołu flaszkę i różnym krokiem ruszył w stronę stosu towarów magazynowanych w pomieszczeniu. Znalazł belę jakiegoś materiału i przekonawszy się, że jest zupełnie sucha i miękka, nasączył ją resztką alkoholu z butelki. Pustą flaszkę odrzucił za siebie w ciemny kąt magazynu.

Wrócił do kominka i małą szufelką nabrał rozpalonych węgli, które wysypał z kolei na nasączony alkoholem materiał. Cisnął łopatkę w ślad za butelką i odstąpił dwa kroki wstecz.

Bela zajęła się zrazu małymi, błękitnymi płomykami. Ogień rósł, potężniał. Za pięć minut miejsce to przemieni się w istne piekło płomieni, których nic już nie zdoła ugasić. Płomienie roztopią transo zamykając agentom Fishhooka jedyną drogi szybkiego dotarcia tutaj.

Schylił się i dźwignąwszy Grunta za kołnierz, powłókł go po podłodze w

stronę drzwi. Otworzył je łokciem i wypchnął ciało na zewnątrz.

Grunt jęknął i próbował się podźwignąć na kalana. Stał niepewnie na czworakach, lecz po chwili jego ciało zwiotczało i mężczyzna ponownie opadł bezwładnie na ziemię. Blaine dźwignął go odciągając nieco dalej, na bezpieczną odległość od pożogi. Tam też zostawił pobitego. Grunt mamrotał coś do siebie niewyraźnie; poruszał niemrawo nogami i rękoma. Był jednak zbyt osłabiony, by podnieść się o własnych siłach z ziemi.

Blaine odszedł pogrążoną w ciemności aleją i tam bezpieczny w mroku, przystanął. Odwrócił się w stronę Punktu Handlowego, którego okna zaczynały już wyraźnie barwić się krwistym kolorem pożogi. Wzruszył lekko ramionami, odwrócił na pięcie i zaczął oddalać się od miejsca pożaru.

Teraz jest najlepsza pora na spotkanie z Finnem - mruknął do siebie. Teraz, gdy miasto zostanie wytrącone z równowagi pożarem Punktu, a policja będzie miała coś innego do roboty, niż zajmowanie się człowiekiem, który łamie prawo godziny policyjnej.

. 26 .

Grupa ludzi tłoczyła się na schodkach wiodących do hotelu i spoglądała w milczeniu na szalejące morze płomieni strzelających wysoko w nocne niebo. Zaabsorbowani dramatycznym widokiem ludzie nie zwrócili uwagi na nadchodzącego Blaine'a. Policja jeszcze się nie pojawiła.

- Jeszcze jedna sprawka normaków - odezwał się półgłosem jeden z mężczyzn.

- To zdumiewające. W dzień normalnie kupują w Punkcie nie bojąc się kary boskiej, a nocą podkradają się tam ponownie, aby podłożyć ogień - odparł inny kiwając w zadumie głową.

- Jak Boga jedyne go Kocham! Nie mieści mi się zupełnie w głowie, by Fishhook mógł tolerować to, co się wyprawia na świecie.

- Fishhook nie dba o to - odpad drugi mężczyzna. - Spędziłem u Fishhooka pięć lat i mogę zapewnić pana, że jest to niezwykle osobliwe i tajemnicze miejsce.

Dziennikarz - pomyślał Blaine rzucając na mówiącego szybkie spojrzenie. Hotel był zapchany dziennikarzami i reporterami przybyłymi do Belmont na wieść o Firmie i jego jutrzejszym kazaniu. Blaine przyglądał się dłuższą chwilę dziennikarzowi, który przebywał u Fishhooka starając się wygrzebać z pamięci jego twarz. Lecz nie znał jej. Nigdy się nie zetknął z tym człowiekiem.

Szybko wspiął się po stopniach i rozpychając zgromadzonych tam ludzi wszedł do hali recepcyjnej. Ręce trzymał głęboko wepchnięte w kieszenie kurtki, by ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami pokrzwawione w walce z Grantem dłonie.

Hotel był stary, a meble w holu nie zmieniane od wielu lat. Panował tu półmrok uwypuklający jeszcze bardziej brzydotę miejsca. W powietrzu snuł się ciężki, skwaśniały zapach kurzu, ludzkiego potu i wyziewów z kuchni

hotelowej.

Kilka osób siedziało tu i ówdzie w fotelach. Jedni z nich byli pogrążeni w lekturze gazet i czasopism, inni po prostu gapili się nieruchomo w przestrzeń. Na twarzach wszystkich malował się wyraz nudy i oczekiwania.

Blaine spojrzął na zegar wiszący ponad blatem recepcji. Wskazywał 11:30. Minął recepcję kierując się w stronę schodów i wnęki z windą.

- Shep!

Ogarnięty nagłą paniką Blaine odwrócił się gwałtownie.

Jakiś mężczyzna dźwignął się właśnie ciężko z głębokiego obitego skórą fotela i niezdarnie stawiając nogi człapał w stronę Blaine'a.

Ten cierpliwie czekał, mimo że po kręgosłupie płynęła mu zimna strużka potu, a nogi drżały lekko. Mężczyzna podszedł i wyciągnął w jego kierunku dłoń. Blaine wyjął również swoją z kieszeni.

- Upadłem - wyjaśnił widząc, że mężczyzna spogląda na pokaleczoną, pokrytą brudem dłoń. Potknąłem się w ciemnościach i upadłem.

- Należy ją dobrze przemyć i zdezynfekować.

- Tak, wiem. Właśnie zamierzam to zrobić.

- Przypominasz mnie sobie? - spytał mężczyzna. - Bob Collins. Spotykaliśmy się u Fishhooka... konkretnie w „Red Ghost Bar „. Pamiętasz?

- Ach tak, rzeczywiście - wykrzyknął z ulgą Blaine. - Teraz już sobie przypominam. Nie wiem czemu, lecz nie mogłem sobie skojarzyć twej twarzy. Pamiętam, a jakże! Jak ci leci?

- Tak sobie, średnio. Żałuję, że już nie pracuję u Fishhooka. Ale takie już życie w tym parszywym, dziennikarskim fachu. Raz tu, raz tam

- Przyjechałeś posłuchać Finna?

Collins pokiwał twierdząco głową i spytał:

- A co z tobą? Co tu robisz?

- Chcę się właśnie spotkać z Finnem.

- Jeśli ci się to uda. Mieszka pod 210. Nikogo nie przyjmuje, a jakieś straszne gorylisko pilnuje jego drzwi.

- Sądzę, że mnie jednak przyjmie - uśmiechnął się lekko Blaine.

- Słyszałem, że zwiąłeś - indagował niezrażony Collins. - Nie obraż się, ale może kilkanaście dolarów...

Blaine wybuchnął śmiechem.

- No to może choćby drinka?

- Nie, wielkie dzięki. Muszę jak najszybciej zobaczyć Finna.

- Jesteś z nim?

- Niezupełnie...

- Posłuchaj mnie, Shep - Collins nachylił się w jego stronę, a w głosie zabrzmiały mu błagalne nutki. Byliśmy dobrymi kumplami, prawda? Czy mógłbyś mi powiedzieć wszystko, co wiesz? To niesłuchanie dla mnie istotne. Jeżeli wyjdzie mi ten reportaż, ponownie wrócę do Fishhooka. Niczego innego nie pragnę.

Blaine potrząsnął w milczeniu głową.

- Shep - nalegał Collins. - Krąży masa plotek. Mówią o ciężarówce, która stoczyła się do rzeki. Mówią, że na tej ciężarówce było coś niesłuchanie istotnego dla Finna; gadają, że to maszyna gwiazdna. Plotki, domysły... Shep, powiedz. Może to być prawda?

- O niczym takim nie słyszałem.

- To wielka sprawa, Shep - Collins zniżył głos do szeptu. - Finn ogłosił w prasie, że ma na dewiatów haka, że ich zniszczy. Zniszczy każdego z nich z osobna, a przy okazji całą kinetykę paranormalną. Zije nieprawdopodobną nienawiścią do wszystkiego co paranormalne. To demagog pierwszej klasy. Potrzebuje jakiegoś koronnego, ostatecznego argumentu dla swych teorii. Jeśli zdobędzie taką maszynę cały świat padnie u jego stop. Gdy dostanie ją do ręki, świat zamknie oczy i pójdzie za nim na ślepa. Świat oszaleje, a ludzie żądać będą krwi dewiatów.

- Zapominasz, że ja również jestem dewiatem. - Lambert Finn też.

- Zbyt dużo nienawiści - odezwał się cichym, znużonym głosem Blaine. - Inwektywy i epitety. Ludzi o paranormalnych mózgach określa się mianem

dewiatów, osoby pozbawione tego daru - normakami. Lecz ty tego nie potępiasz. Mało cię w sumie obchodzi jak potoczą się sprawy. Udziału w linczu chyba byś nie wziął, ale napiszesz o nim. Chluśniesz strugami świeżej, niewinnie przelanej krwi na szpalty swojej gazety. I wcale nie zastanowisz się nad tym głębiej. Bo dla ciebie to tylko krew. Świeża krew. Bombowy temat. Efektowny tytuł.

- Na miłość boską, Shep...

- Dam ci jedną radę. Możesz śmiało napisać, że Finn nie ma nic do zaprezentowania. Ani do powiedzenia. Możesz napisać, że jest przerażony. Że próbował kopnąć, lecz tylko boleśnie uraził się w paluch u nogi...

- Shep, żartujesz sobie ze mnie!

- Finn nie odważy się pokazać tego, co myśli, że posiada.

- A co on takiego posiada?

- Coś, co zrobiliby z niego głupca. Mówię ci raz jeszcze, że nie odważy się zademonstrować tego. Jutro rano Lambert Finn będzie najbardziej przerażonym i upokorzonym człowiekiem, jakiego znał świat.

- Nie mogę tego napisać - sapnął Collins. - Słowo honoru, że nie.

- Jutro w południe będą o tym pisać wszyscy - rzekł dobitnie Blaine. - Jeśli ty zrobisz to dzisiaj, zdążysz jeszcze zamieścić korespondencję w porannym wydaniu. Zdziwisz świat, obiecuję ci.

- To naprawdę rzetelna informacja? Jesteś...

- Twoja rzecz - obojętnie wzruszył ramionami Blaine. - Możesz ją wykorzystać. Otwiera się przed tobą największa szansa, jaką kiedykolwiek miałeś w życiu. A teraz muszę już zmykać.

- Dziękuję, Shep - Collins zawahał się. - Straszne dzięki.

Blaine ruszył przed siebie, pozostawiając nieruchomego Collinsa na środku hallu. Minął windę i zaczął wspinać się po schodach.

Na drugim piętrze zatrzymał się i rozejrzał w obie strony korytarza. W jego perspektywie, po lewej stronie, dojrzał siedzącego na krześle goryla, o którym wspominał Collins.

Zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę. Gdy mijał strażnika, ten podniósł się szybko z krzesła i zagroził dalszą drogę, kładąc pieść wielkości bochna chleba na klatce piersiowej Blaine'a.

- Chwileczkę, proszę pana - rzucił grubym głosem.
- Muszę się pilnie widzieć z Finnem.
- On nikogo nie chce widzieć.
- To może przekazałby mu pan wiadomość ode mnie?
- Teraz nie. Może potem. Za godzinę, dwie.
- Proszę mu powiedzieć, że przychodzę od Stone'a.
- Ależ Stone...
- Proszę mu tylko to powiedzieć - z naciskiem przerwał Blaine.

Strażnik wahał się przez sekundę. W końcu opuścił rękę.

- Proszę tu poczekać - powiedział. - Wejść i spytam. Tylko bez żadnych głupich sztuczek, okay?

- Okay, zaczekam - zapewnił go pośpiesznie Blaine.

Stał cierpliwie pod drzwiami oczekując na powrót strażnika i zastanawiał się jak długo jeszcze przyjdzie mu tutaj tkwić. W pustym, mrocznym korytarzu ogarnął go nagle strach i wątpliwości; może nie powinien jednak spotykać się z Finnem, może lepiej natychmiast opuścić to miejsce?

Wrócił strażnik i nie było już czasu na rozterki.

- Niech pan stoi spokojnie. Muszę pana sprawdzić.

Wprawnym ruchem przejechał dłońmi wzdłuż ciała Blaine'a, szukając najwidoczniej ukrytego noża lub rewolweru. Pokiwał z zadowoleniem głową.

- Jest pan czysty. Może pan wejść. Będę czekał tu, pod drzwiami - dodał z lekką pogrózką w głosie.

- Rozumiem - odparł Blaine przekraczając próg numeru.

Pokój stanowił skrzyżowanie sypialni i living - roomu.

Pośrodku znajdowało się duże biurko, za którym stał wysoki, szczupły mężczyzna ubrany w czarny garnitur z białą szarfą pod szyją. Na jego pociągłej, kościstej - nieco końskiej twarzy malował się wyraz doskonale

maskowanego lęku i napięcia.

Blaine wolnym krokiem zbliżył się do biurka, stając dokładnie vis - a - vis mężczyzny.

- Pan jest Finnem - odezwał się półgłosem.

- Lambert Finn - odpad tamten głębokim, dźwięcznym barytonem zawodowego mówcy, człowieka, który nigdy nie przestaje być mówcą, nawet w chwilach odpoczynku. Blaine wyjął z kieszeni swe pokrwawione, pokaleczone dłonie i położył je na blacie biurka. Dostrzegł z satysfakcją lękliwe spojrzenie Finna rzucone w ich stronę.

- A pan nazywa się Shepherd Blaine. Wiem o panu wszystko.

- Czy również to, że zamierzam pana zabić któregoś pięknego dnia?

- Tak, to również - skinął potakująco głową Finn. - Domyślam się tego.

- Ale jeszcze nie dzisiaj. Chcę bowiem zobaczyć jutro pańską twarz. Chcę się przekonać, czy wszystko będzie tak, jak pan sobie to planuje.

- I przyszedł pan tu po to, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie tylko. Ale w tym szczególnym momencie nie jestem w stanie myśleć o czymś innym. Nie mogę chwilowo wyjaśnić powodu, dla którego się do pana pofatygowałem.

- Może dobijemy targu.

- Nie to miałem na myśli. Pan nie ma mi zresztą nic do zaoferowania.

- Z pewnością, panie Blaine. Ale pan posiada coś, czego ja potrzebuję. Coś, za co szczerze zapłacę.

Blaine spoglądał na niego kamiennym nieruchomym wzrokiem. Milczał.

- Pan potrafi obchodzić się z maszyną gwiazdą - mówił Finn. - Z takim typem maszyny gwiazdnej, jaka jest w moim posiadaniu. Pan potrafi ją nastroić i wprowadzić w ruch. Pan połączy wszystkie wtyki z wyjściami w funkcjonalną całość. Pan może również dużo opowiedzieć. Będzie pan doskonałym świadectwem.

- Pan już miał mnie raz w swoich rękach - roześmiał się Blaine całkowicie zmieniając temat. - Lecz wymknąłem się z sideł.

- Myśli pan zapewne o tym głupkowskim, biadolącym lekarzu - z nutką okrucieństwa w głosie warknął Finn. - On myślał tylko o tym, by nie zaszkodzić jakąś awanturą reputacji jego szpitala.

- Powinien więc pan sobie lepiej dobierać ludzi.

- A pan nie odpowiedział na moją propozycję - warknął Finn.

- Bym pracował dla pana? - Blaine śmiał się. - To będzie drogo kosztowało. To będzie cholernie kosztowało.

- Jestem na to przygotowany. Panu potrzebne są pieniądze. Jest pan goły jak święty turecki, a Fishhook siedzi już panu na karku.

- Godzinę temu jego agenci pojмали mnie i chcieli zabić - lekkim tonem odpad Blaine.

- A panu udało się uciec - pokiwał z politowaniem głową Finn. - Może się to panu powieść i następnym razem. I jeszcze raz. I jeszcze. Ale Fishhook nigdy nie zrezygnuje z pana. W obecnej sytuacji nie ma pan najmniejszych szans.

- Ja nie mam szans? A ktoś inny? Pan, na przykład?

- Mam konkretnie pana na myśli - odparł celując palcem w Blaine'a. - Zna pan Harriet Quimby?

- Bardzo dobrze.

- Ona jest szpiegiem Fishhooka.

- Pan oszalał! - wykrzyknął, tracąc panowanie nad sobą, Blaine.

- Proszę posłuchać, a sądzę, że zgodzi się pan ze mną - odparł tonem perswazji Finn.

Stali milcząc, przedzieleni blatem biurka i spoglądali sobie bacznie w oczy. Panowała posępna, przytłaczająca cisza.

W głowie Blaine'a zakolała natrętna myśl: czemu go nie zabić? Teraz, właśnie teraz.

Tak łatwo zamordować Finna. Finn jest typem człowieka, do którego instynktownie czuje się odrazę i pogardę. Wystarczy tylko pomyśleć o nim, pomyśleć o fali nienawiści i szaleństwa, która za sprawą tego człowieka

zalała świat. Wystarczyło przypomnieć sobie ciało człowieka wirujące lekko na gałęzi ponad szosą, do połowy zakryte listowiem, przypomnieć sobie obóz wśród górskiego pustkowiec, prymitywny daszek chroniący przed deszczem. I ryby walające się w kurzu obok wywróconej przy ognisku patelni. I ruina przydrożnej farmy ze sterczącym wysoko w niebie kikutem komina, spalonej w odruchu nienawiści i nietolerancji.

Blaine uniósł dłonie, lecz natychmiast opuścił je ponownie na biurko. W zamian zrobił coś, co było absolutnie niezależne od jego woli. Zrobił to odruchowo, bezmyślnie, bez wahania. A w trakcie tej czynności wiedział już, że to nie on dokonuje tego, lecz ktoś zupełnie inny, skrywający się w jego czaszce.

Bo on tego nie mógł zrobić. Nawet by mu to nie przyszło do głowy. Żadna istota ludzka nie dokonałaby tego, nie wpadłaby na ten iście szatański pomysł.

Blaine powiedział cichym i łagodnym głosem:

- Wymieniam z tobą świadomość.

. 27 .

Księżyc stał już wysoko ponad wzgórzami otaczającymi dolinę rzeki. W ostrym i zimnym powietrzu, będącym zapowiedzią nadchodzącej zimy, niósł się daleko krzyk sowy.

Blaine stanął przy gęstej kępie cedrów, rysujących się w mroku niczym zastygła w bezruchu grupa zgarbionych, nasłuchujących starców. Ciszę mąciło tylko pohukiwanie sowy, szelest zeschniętych liści oraz delikatny - ledwie, ledwie słyszalny - szum płynącej nisko w dolinie rzeki.

Blaine przykucnął pod baldachimem poskręcanych cedrowych gałęzi. Wiedział, że na razie jest bezpieczny, że nikt na niego nie poluje, żaden agent Fishhooka nie idzie jego tropem. Podpalając Punkt Handlowy z zainstalowanym tam transu, na dłuższy czas skutecznie odciął drogę do Belmont ludziom Fishhooka. Ze strony Lamberta Finna nie spodziewał się również żadnych kłopotów. Finn był ostatnim człowiekiem na świecie, który odważyłby się iść teraz tropem Blaine'a.

Bez wyrzutów sumienia przypomniał sobie wyraz oczu Finna w momencie, gdy wymieniał z nim umysł. Była w nich groza i przerażenie. Odraza do człowieka, który odważył się tak impertynencko potraktować słynnego kaznodzieję i wielkiego proroka, skrywającego nienawiść pod płaszczkiem czegoś, co nazywał religią.

- Coś ty mi zrobił? - wykrzyknął zbielełymi wargami. - Wielki Boże! Coś ty ze mną zrobił?

Gdyż w tym momencie Finn doświadczył strasznego uczucia obcości zalepiającej mózg od środka i zakosztował napływającej z umysłu Blaine'a całej jego nienawiści skierowanej ku niemu.

- Stwór - odparł spokojnie Blaine. - Jesteś już tylko stworem! Już nie jesteś Finnem. Jesteś tylko połowicznie człowiekiem. Jesteś częścią mnie i częścią innej jeszcze istoty, którą spotkałem o pięć tysięcy lat świetlnych

stąd. Mam nadzieję, że zadławisz się tym.

Finn otworzył usta przeraźliwie szeroko i po chwili zamknął je z głośnym klapnięciem, do złudzenia przypominającym dźwięk zatraskujących się sideł.

- No, a teraz już muszę iść - rzekł Blaine. - A żeby nie było nieporozumień pójdiesz ze mną. Pod rękę, jak dwaj bracia po długoletniej rozłące. Będziemy sobie gawędzić jak najserdeczniejsi przyjaciele. W przeciwnym bowiem razie nie zawaham się rozgłosić kim i czym jesteś.

Finn wahał się, więc Blaine dodał złowieszczym, syczącym szeptem:

- Tym wszystkim tu zebranych dziennikarzom dokładnie wyjaśnię, kim jesteś.

To Finnowi wystarczyło w zupełności.

Imię takiego jak on człowieka, nie może być łączone z praktykami czarnoksięskimi - myślał z satysfakcją Blaine. Finn był człowiekiem surowym i purytańskim, bezlitosnym, płomiennym kaznodzieją i reformatorem uzurpującym sobie tytuł strażnika wartości duchowych i moralnych całego rodzaju ludzkiego. Wokół jego osoby więc nie mogło być najmniejszego skandalu, cienia najłżejszych podejrzeń i wątpliwości.

Zeszli razem po schodach, przeszli przez hol, wyszli na ulicę przed hotelem i - wciąż bacznie obserwowani przez dziennikarzy - powędrowali chodnikiem.

Gdy zniknęli już z zasięgu ich wzroku, Blaine porzucił swego towarzysza. Skręcił w ciemną aleję i zaczął biec na wschód, w kierunku majaczących na tle nocnego nieba, wzgórz.

I znów uciekam - myślał bezradnie Blaine. Znów bez planu, znów bez celu. Uciekał po prostu tam, gdzie go oczy poniosą. Lecz mimo to, mimo ponurych myśli i perspektyw na przyszłość istniał jaśniejszy moment, do którego Blaine z radością powracał. Mimo że ucieka, udało mu się powstrzymać Finna, pokrzyżować jego zamierzenia, zadać kilka strasznych ciosów, po których nieprędko się podniesie. Pozbawił go czegoś, co chciał

przedstawić jako dowód perfidii i wiarołomstwa dewiatów, dowód zagrożenia ludzi z ich strony. Napełnił umysł Finna czymś, co nie pozwoli mu już dłużej być tak ograniczonym, tak przepełnionym egotyzmem jak był dotychczas. Siedział pod cedrami zasłuchany w ciszę zakłócaną tylko pohukiwaniem nocnego ptaka, szelestem liści i szumem rzeki.

Następnie podniósł się wolno z ziemi i stanął oparty plecami o pień drzewa. Gdy stał tak wsłuchany w ciemność, dobiegł go z oddali stłumiony skowyt psa. Blaine zamarł w bezruchu, jak sparaliżowany. Przez całe wieki bowiem dźwięk taki ścinał mimowolnym strachem krew i umysł Człowieka; od najdawniejszych, jaskiniowych czasów aż do dnia obecnego, kiedy to człowieka ponownie opanował bezrozumny, obezwładniający lęk przed nocą i ciemnością.

To pies, to tylko zwykły pies - kładąc dłoń na bijącym jak oszalałe sercu uspokajał samego siebie Blaine. To tylko zwykłe zwierzę, prawdopodobnie stepowy wilk. Bo wilkołaki nie istnieją. Blaine doskonale wiedział, że wilkołaków nigdy nie było i nie ma.

Lecz pomimo swego racjonalnego umysłu, Blaine z najwyższym trudem zapanował nad atawistycznym lękiem, który nakazywał mu ucieczkę, szukanie bezpiecznego schronienia przed tym pędzącym wilczymi susami niebezpieczeństwem.

Gdybym wierzył, gdybym nawet częściowo tylko wierzył w istnienie wilkołaków - uciekałbym szeptał do siebie. Gdyż jest to nadzwyczaj prosty mechanizm: uwierzyć; a potem uciekać. To właśnie czyniło ludzi pokroju Finna w dwójnasób niebezpiecznymi. Grali bowiem bez skrpułów na podświadomych, podskórnych instynktach drzemiących w każdym człowieku. Najpierw na instynkcie strachu, a potem na nienawiści.

Z ciężkim westchnieniem opuścił kępę cedrów i zaczął ostrożnie posuwać się stromym zboczem wzgórza. W zwodniczym blasku księżyca, teren stawał się nadzwyczaj niebezpieczny i ryzykowny ruchome, ukryte w cieniu kamienie, czyhały na niebaczone stąpienie, zdradliwe dziury w ziemi groziły

złamaniem nogi lub wywichnięciem kostki. A cały czas, jak doskwierająca drzazga w żywym ciele, dręczyła go pamięć słów, które usłyszał od Finna. Zdaniem Finna, Harriet Quimby była szpiegiem Fishhooka.

Lecz to nie mogła być prawda. Wszak to Harriet właśnie umożliwiła mu ucieczkę od Fishhooka. Gdyby nie ona, już przyjęcie u Charline byłoby ostatnim przyjęciem w życiu Blaine'a.

A jednak... Była z nim w miasteczku, gdzie chciano go powiesić. Była z nim, gdy zamordowano Stone'a. Była, gdy wpadł w potrzask zastawiony przez Randa w starej wozowni. Czyż to mało? Oszołomiony próbował nie myśleć o tym starał się wepchnąć tę całą listę poszlak z powrotem w podświadomość. Nie dawały mu jednak spokoju, nadchodząc natrętnie, obsesyjnie.

To po prostu śmieszne - kiwał głową. Harriet nie jest szpiegiem, nie jest fałszywa. Niewątpliwie była pierwszorzędną dziennikarką i najlepszym kumplem, jakiego miał kiedykolwiek. Była zdolna, obiektywna i twarda. Mogłaby być doskonałym szpiegiem, gdyby tylko zechciała; lecz to akurat było całkowicie obce jej naturze. Nie, nie mogło być mowy o żadnym wybiegu z jej strony. Harriet z całą pewnością nie była zdrajczynią.

Zbocze kończyło się niewielkim uskokiem. Poniżej było już dno parowu, którym toczyła falę potężna rzeka. Blaine zeskoczył w dół, nie opodal miejsca, gdzie rosła obszerna kępa poskręcanych, karłowatych drzew i gęstych zarośli. Zbliżył się do nich i usiadł wprost na ziemi.

Woda lśniła lekkim, migotliwym blaskiem. Powyżej górując nad okolicą, bieliły się widmowo wierzchołki wzgórz przyprószone siwizną szronu. Sowa zamilkła i ciszę nocy mącił tylko szum rzek i bulgot wody w zwisających z podmytego brzegu, poplątanych korzeniach drzew.

Tu przeczekał noc. Lepszego miejsca nie znajdzie - pomyślał Blaine. Nie posiadał - co prawda - ani śpiwora, ani koca, lecz za to miejsce było całkowicie bezpieczne.

Wczołgał się w splątaną gęstwę rosnących nie opodal krzaków i umościł

sobie prowizoryczne posłanie z kamieni, zeschniętych liści i gałęzi. Błysnęła mu myśl, że w takim miejscu musi roić się od grzechotników. Szybko jednak uprzytomnił sobie, że to koniec października, a więc pora była już zbyt późna i zbyt zimna dla węży.

Uspokojony, ułożył się na skleconym przez siebie posłaniu, które okazało się jednak o wiele mniej wygodne, niż sądził. Powinno jednak wystarczyć na te kilka godzin dzielących go od wschodu słońca. Leżał więc, wierząc się od czasu do czasu na niewygodnym posłaniu, a na ekranie jego pamięci zdarzenia minionych kilkunastu godzin rozpoczęły swój niekończący się korowód. Próbował początkowo powstrzymać bieg myśli, lecz zupełnie mu to nie wychodziło. Im bardziej starał się, tym natarczywiej atakowały jego umysł. Ach, gdyby potrafił powstrzymać to kłębowisko myśli, opętańczy taniec wspomnień i zająć umysł czymś innym. Lecz było tam coś stokroć bardziej okropnego niż tylko wspomnienia i reminiscencje minionego dnia - świadomość Lamberta Finna!

Ostrożnie sięgnął do niej. Aż skulił się i zadrżał przejęty najwyższą grozą. Obca świadomość smagnęła go natychmiast zimnym ciosem nienawiści i strachu, wdrążyła się w myśl Blaine'a śliskimi, obrzydliwymi robakami. A w samym jej centrum znalazło się owo przerażenie przyniesione z innej planety, groza, która tak odmieniła Lamberta, zabierając całą jego ludzką naturę, zamieniając w mesjasza nienawiści, w maniaka, w szaleńca, który opuścił maszynę gwiazdną z pianą na ustach, z wytrzeszczonymi, wychodzącymi z orbit oczyma i palcami zakrzywionymi na kształt szponów.

Było to odrażające i wstrętne. Brutalne i ponure. Niosło totalne zaprzeczenie wszystkiego, co ludzkie. Nie istniało w nim nic, co byłoby czyste i jasne. Było otchłanne, mętne i pozbawione jakichkolwiek detali - sama kwintesencja przepastnego zła.

Blaine zeszywniał cały, oczy zakrył mu jakiś straszny opar, a w mózgu rozległ się przenikliwy, niemy skowyt, który w jednej chwili zatarł narastającą w nim zgrozę. Jak za dotknięciem różdżki, pojawiła się

natychmiast inna, czysta i łagodna myśl.

Myśl o Halloween.

Uchwycił się jej kurczowo, a ona pozwoliła mu przerwać ów upiorny pochód obrazów i wspomnień pochodzących ze świadomości Firma, ekstazę umysłu człowieka przepojonego lękiem i nienawiścią. Halloween - miękka, cudowna październikowa noc przepojona zapachem dymu palonych na ogniskach zeschniętych liści, rozświetlana rzęsistym, kolorowym światłem ulic i z wiszącym ponad wierzchołkami drzew ogromnym dyskiem księżyca, który wydawał się być większy i bliższy Ziemi, niż zazwyczaj. Jakby zbliżył się, by oglądać barwne, wesołe widowisko trwające na Ziemi. Dzieciaki śmiały się radośnie wysokimi, piskliwymi głosami. Przebiegały miasto w niekończących się korowodach przy wtórze wielu instrumentów muzycznych tworzących kocią kapelę. Krzyczały, nawoływały się, śpiewały. Światła zapalone nad drzwiami prowadzącymi do mieszkań lśniły zachęcająco i zapraszały dzieciarnię do środka na wesoły poczęstunek. Zakapturzone, owinięte prześcieradłami małe postaci znikwały tłumnie w domach i ponownie pojawiały się na ulicach miasta dźwigając, w miarę upływu tego cudownego wieczoru, coraz bardziej pękate, coraz cięższe i większe worki.

Blaine przypomniał sobie to wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Jakby wydarzyło się to zaledwie wczoraj, jakby jeszcze wczoraj był szczęśliwym dzieckiem przebiegającym w radosnym uniesieniu uliczki miasta.

Lecz naprawdę to już tak dawno temu - myślał ze ściśniętym gardłem. Jeszcze zanim świat został pokryty posępny całunem strachu, w czasach gdy magia była modą i zabawą, a Halloween szczęśliwym i beztruskim dziecięcym świętem, w które z ochotą włączali się dorośli. Lecz wszystko to działo się w czasach, kiedy rodzice nie drżeli o dzieci przebywające o zmroku poza domem.

Dzisiaj takie Halloween jest już nie do pomyślenia. Dzisiaj w wieczór Halloween podwójnie barykaduje się drzwi, zamyka kominy. a w nadprożach

przybija dodatkowe znaki magiczne.

I gdzie się podziały te wieczory tak radosne, tak swobodne - myślał z bezmiernym żalem Blaine. Gdzież jest ta noc, gdy on i Charlie Jones straszili pod oknem Starego Chandlera? Chandler wyskoczył wówczas na zewnątrz z głośnym krzykiem doskonale imitującym gniew, ściskając w dłoni nabity karabin. Ach, jak się wtedy wystraszyli, jak uciekali. W panicznej ucieczce wpadli do dołu wykopanego na tyłach posesji Lewisa.

Były to inne czasy - tak inne, że kiedy Blaine zaczął myśleć o nich, nie był już zdolny myśleć o czymś innym.

. 28 .

Obudził się zziębnięty i zdrtwiał. Otumaniony snem nie mógł zrazu pojąć, gdzie się znajduje. W całym ciele czuł znużenie, a w kościach i mięśniach dojmujący ból spowodowany twardym i nie równym pościeleniem, które mościł w pośpiechu i po omacku. Leżał dłuższy czas wpatrując się tępym wzrokiem w dziką płataninę gałęzi nad twarzą i stopniowo wracała mu świadomość. Powoli docierało do niego gdzie jest, kim jest, dlaczego znajduje się w takim miejscu.

Powróciła doń ostatnia myśl przed zaśnięciem. Myśl o Halloween. Usiadł gwałtownie uderzając mocno czołem o gruby konar zwieszający się ponad jego głową. Zaczęła ogarniać go furia. Halloween nie było dłużej tym samym Halloween. Halloween było spiskiem, zrecznie utkaną intrygą. Diabelskim w swej prostocie pomysłem - był to plan, który mógł się wykluć wyłącznie w umyśle Lamberta Finna. Nie wolno dopuścić, by Lambert Finn zrealizował swe zamierzenia. Jeśli mu się one powiedą, reakcja ludzi będzie gwałtowna i krwawa, nastąpi straszliwy pogrom dewiatów, jakiego świat dotąd nie widział.

Najbliższym miejscem, gdzie Blaine może znaleźć pomoc jest Hamilton. Z całą pewnością mieszkańcy osady pospieszą z pomocą, gdyż Hamilton jest miasteczkiem dewiatów. A jeśli plany Finna powiedą się, pierwsze umrze właśnie Hamilton.

Halloween - jeśli tylko nie pomylił się w rachubach - wypada pojutrze. Pozostały więc dwa dni. Wyczołgał się z krzaków i rozejrzał wokoło. Było jeszcze bardzo wcześnie, a słońce dopiero wychylało się zza okolicznych wzgórz. Blaine, bawiąc się odruchowo cienką gałązką, oddychał głęboko ostrym, prawie mroźnym powietrzem. Wodził zamysłonym wzrokiem po stokach wzgórz porośniętych pożółkłą od słońca i przymrozków trawą i umykających zawrotnie w dół ku płynącej u ich podnóża rzece. Czuł

przelatujące po krzyżu ostrymi igłami lodowate dreszcze. Aby się nieco rozgrzać, zaczął energicznie wymachiwać ramionami.

Hamilton powinno leżeć na północy tam, w dole rzeki, Motel „The Plainsman” stał bowiem przy drodze, która wiodła z Belmont na północ, a stamtąd Hamilton było odległe tylko o mila lub dwie. Zbiegł po stoku na brzeg rzeki. Rozgrzany biegiem i mocniejszymi już promieniami słońca oddychał głęboko rozglądając się po okolicy.

Przebrnął rozległą ławicę piachu i zatrzymał się nad samą wodą. Przykucnął, złożył dłonie i zanurzył je w wodzie. Podniósł do twarzy i pił. Woda była przeraźliwie zimna o lekko gliniastym smaku i zapachu zbutwiałych liści. Po wypiciu kilku łyków w zębach zgrzytał nieprzyjemnie piasek.

Lecz była to woda. Wilgoć, której tak potrzebowało jego zaschnięte gardło. Zanurzał dłonie kilkakrotnie, gdyż bez względu na to, jak mocno zaciskał ręce, nim doniósł je do ust, większość wody wyciekała przez palce.

Choć dawno już zaspokoił pragnienie, nie ruszał się z miejsca trwając bez ruchu. Napawał się ciszą i spokojem tego zakątka, w którym się zdawało, że świat cały został stworzony zaledwie wczoraj i nie starczyło jeszcze czasu na nagromadzenie się w nim pokładów nienawiści, gniewu, chciwości i wszystkich innych plag, gnębiących od tysiącleci rasę ludzką.

Ciszę zalegającą rzekę przerwało naraz głośne pluśnięcie wody, na dźwięk którego Blaine błyskawicznie poderwał się na nogi. Zmrożony strachem zaczął rozglądać się gorączkowo wokół. Jednak ani na rzece, ani na brzegu nie dostrzegł niczego niepokojącego. Miejsce było ciche i odludne jak dotąd. Blaine roześmiał się głośno na myśl o swych obawach. Prawdopodobnie jakieś zwierzę wodne - pomyślał rozbawiony. Norka, piźmowiec, szczur, wydra, a może bóbr. Lub zwykła ryba.

Po chwili jednak pluśnięcie powtórzyło się - tym razem głośniejsze. Zza kępy drzew wypłynęła łódź kierując się najwyraźniej w stronę ławicy piasku, na której stał Blaine. Przy sterze siedział mężczyzna otulony luźnym,

ciemnym płaszczem i poruszał wiosłem tak niezdarnie, iż Blaine, mimo całego strachu i napięcia, nie potrafił opanować uśmiechu. Dziób łodzi sterczał wysoko nad powierzchnią wody, uniesiony ciężarem silnika i człowieka siedzącego na rufie.

Łódź dobijała ciężko do brzegu i Blaine skupił całą uwagę na postaci mężczyzny sterującego nią. Już kiedyś go spotkał. Był o tym przekonany.

Podszedł do łodzi, chwycił za dziób i wyciągnął na piach.

- Bóg z tobą, synu - odezwał się człowiek w łodzi. - Jak ci się powodzi? Przepiękny poranek, prawda?

- Ojciec Flanagan! - wykrzyknął zdumiony Blaine. Stary kapłan roześmiał się.

- Ależ Ojciec jest bardzo daleko od domu - rzekł Blaine, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Idę tam, gdzie mnie Pan posyła - poważnym tonem odparł Ojciec Flanagan. Pochylił się do przodu i wyciągając rękę, poklepał lekko siedzenie przed sobą.

- Czy nie mógłbyś, mój synu, usiąść na chwilę? - spytał. - Bóg wybaczy mi moje lenistwo, ale jestem tak okropnie zmordowany. Ta łódź...

Blaine bez słowa pochylił się i chwyciwszy dziób łodzi wyciągnął ją głębiej na piasek. Wszedł następnie do niej i zajął wskazane przez kapłana miejsce. Wyciągnął rękę, którą ksiądz natychmiast ujął w swe niezwykle delikatne, choć powykręcane artretyzmem dłonie.

- Cieszę się, że Ojca widzę.

- Ja jestem również niezmiernie rad - odparł Flanagan. - Ale muszę ci ze wstydem wyznać, że cały czas nie spuszczałem z ciebie wzroku, śledziłem cię.

- Zawsze wydawało mi się, że człowiek taki jak Ojciec ma lepsze rzeczy do robienia - odparł Blaine w połowie zdumiony, w połowie przestraszony.

Kapłan pochylił się wypuszczając z rąk dłoni Blaine'a.

- Och, mój synu! Cóż mogę poradzić. Nie ma już dla mnie lepszego

zajęcia niż udanie się w twoje ślady.

- Proszę mi wybaczyć, ale zupełnie Ojca nie rozumiem.

Kapłan pochylił się jeszcze bardziej opierając na kolanach zaciśnięte pięści.

- To bardzo ważne, byś mnie zrozumiał - rzekł. - Proszę, posłuchaj mnie cierpliwie. I nie gniewaj się. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

- Oczywiście, słucham Ojcie.

- Słyszałeś prawdopodobnie, że Kościół Matki Przenajświętszej jest sztywny i nieugięty, przywiązany do tradycji i zwyczajów, do starodawnych koncepcji, a zmiany następują w nim niezwykle powoli. Kościół jest surowy i dogmatyczny...

- Słyszałem o tym wszystkim - skinął głową Blaine.

- Lecz to wszystko nie jest prawdą. Kościół jest nowoczesny i zmienia się. Gdyby opierał się wszelkim zmianom - Boże, uchron nas od tego - nie zdołałby utrzymać swego znaczenia i swej wielkości. Ale nie może się również chwiać pyry lada podmuchu wiatru, musi opierać się wzburzanemu morzu ludzkich namiętności i skłonności do zbyt pochopnych zmian. Kościół adaptuje się do wszelkich przemian jakkolwiek czyni to ostrożnie i z rozwagą. Jeśli już przychyli się do jakiejś nowej koncepcji, jeśli zmieni się, musi przedtem posiadać absolutną pewność o słuszności swej decyzji.

- Ależ Ojcie, nie myślisz chyba...

Spytałem cię wówczas, o ile pamiętasz, czy jesteś czarownikiem, a tyś mi odpowiedział kpina...

Tak pamiętam.

- Było to wówczas moje podstawowe pytanie - rzekł Ojciec Flanagan. - Ale było to pytanie niewłaściwe, zbyt proste, zbyt banalne i prymitywne z tej przyczyny, że na tego typu pytania odpowiada się zwykle „tak” lub „nie”.

- Więc odpowiem Ojcu raz jeszcze: nie jestem czarownikiem.

- Przerywając, utrudniasz mi wyłuszczenie ci całej sprawy - odparł z lekką naganą w głosie ksiądz.

- Dobrze, proszę więc mówić. Postaram się nie przerywać Ojcu i wysłuchać wszystkiego cierpliwie do końca.

- Otóż Kościół musi mieć pewność, że parakinezyka jest właściwością czysto ludzką, a nie rodzajem kuglarskiej sztuczki czy też magią. Któregoś dnia Kościół - z pewnością nieprędko to jeszcze nastąpi wypowie się autorytatywnie w tej kwestii. Przedstawi w tej materii swe stanowisko, wyznaczając jednocześnie temu zjawisku miejsce pośród innych wartości moralnych i duchowych Człowieka. Nie jest wszak już dzisiaj tajemnicą, iż specjalna komisja teologów prowadzi nad tym wnikliwe studia...

- A Ojciec, jaka jest w tym wszystkim rola Ojca?

- Jestem jednym z wielu którym powierzono pewne zadania badawcze. My po prostu gromadzimy wszelkie fakty i dowody, które we właściwym czasie zostaną przeanalizowane przez teologów.

- I ja mam być jednym z tych dowodów?

Ojciec Flanagan uroczyście skinął głową.

- Jest jedna rzecz, której nie potrafię Zrozumieć - odezwał się po chwili milczenia Blaine. - Mianowicie, czemu wasza wiara żywi jakiegokolwiek wątpliwości i zastrzeżenia. Macie przecież swoje, doskonale udokumentowane cuda. Czemuż więc nie podciągniecie pod nie i parakinezyki? Gdzieś we wszechświecie potęga ludzka i potęga boska muszą się łączyć. To może być ten wasz pomost.

- Naprawdę wierzysz w to, mój synu?

- Nie jestem specjalnie religijny...

- Wiem, mówiłeś mi o tym. Ale pytam: czy naprawdę w to wierzysz?

- Raczej tak.

- Nie jestem przekonany, czy potrafię się z tobą zgodzić. Taka koncepcja trąci nieco herezją. Ale problem leży gdzieś indziej. Problemem jest ta dziwność w tobie, dziwność, jakiej nie znalazłem w nikim innym.

- Bo jestem w połowie obcy - odparł gorzko Blaine. - Nikt z ludzi nie został nigdy w taki sposób odmieniony. Rozmawiasz nie tylko ze mną, lecz z

inną jeszcze istotą nie bodącą już zupełnie człowiekiem. Istota ta znajduje się o pięć tysięcy lat świetlnych stąd. Ona żyje już miliony lat. I będzie żyła następne miliony. I jeszcze dłużej. Istota owa odwiedza swoją świadomością inne planety, lecz mimo to czuje się szalenie samotna. Czas nie ma przed nią żadnych tajemnic. Nie sądzę zresztą, by znalazły się we wszechświecie sprawy, których nie zgłębiła i nie pojęła, które są dla niej obce. Słowem, istota ta posiada ostateczną wiedzę o wszechrzeczy. Otóż wymieniła ona ze mną świadomość i wszystko to co ona wie, wiem również ja, co potrafi ona, ja również potrafię. Jej wiedza posiada jeden tylko mankament. Nie jest to wiedza posegregowana. W wolnej chwili - jeśli taka kiedykolwiek nastąpi - Wydobędę tę całą wiedzę ze swej świadomości, uporządkuję ją, posegreguję w odpowiednich rejonach mego umysłu. Wtedy będę jeszcze potężniejszy od tamtego stworzenia.

Kapłan słuchając oddychał niezwykle głęboko. Spojrzał naraz przenikliwie w oczy Blaine'a.

- Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju - rzekł.

- Na co więc Ojciec czeka? Niech Ojciec wykonuje swoją robotę. Niech pokropi mnie święconą wodą, a ja natychmiast zamienię się w obłok brudnego dymu i ulecę w przestrzeń.

- Nie zrozumiałeś mnie - odparł spokojnie Ojciec Flanagan. - Nie zrozumiałeś moich intencji i moje postawy. Jeśli w tej sile, którą zostałeś obdarzony przez gwiazdy nie kryje się zło, to nie mogłeś przejść stamtąd zła istotnego, a tylko przypadkowe, nieistotne, które nie może cię pochłonąć.

Wyciągnął swą zniekształconą dłoń i położył na ramieniu Blaine'a, zaciskając na nim palce z nieoczekiwaną siłą. Spojrzał Blaine'owi głęboko w oczy.

- Posiadasz wielką potęgę - rzekł z powagą w głosie kapłan. - I wielką wiedzę. Masz obowiązek użyć jej ku chwale Boga i dla dobra Człowieka. Ja, swym słabym głosem, nakładam na ciebie ów ciężar i obowiązek. A musisz wiedzieć, że rzadko zdarza się, by taki ciężar spoczywał na barkach jednego

człowieka. Nie wolno ci tego daru roztrwonić. Nie wolno ci go użyć źle. Nie wolno ci go również spożytkować dla celów płytkich bądź fałszywych. Został ci on dany zapewne za sprawą jakichś boskich i nadprzyrodzonych sił i nikt z nas nie dociecze rzeczywistej przyczyny. Ale takie rzeczy - wierz mi - nie zdarzają się przypadkowo.

- Palec Boży - odrzekł Blaine, próbując żartować. Lecz nie wyszło to wcale śmiesznie i Blaine pożałował pochopnie rzuconych słów.

- Palec Boży - powtórzył z powagą Ojciec Flanagan - Palec Boży dotknął twego serca.

- Ależ ja wcale nie prosiłem o taką łaskę - zachnął się Blaine. - Gdyby mi to ktoś zaoferował, odmówiłbym.

- Opowiedz mi o tym - poprosił kapłan. - Wszystko, od samego początku. Proszę, wyświadczyć mi tę uprzejmość.

- Ale przedtem ja mam prośbę do Ojca. Pytanie...

- Tak, słucham.

- Ojciec wspomniał, że cały czas szedł moim śladem. Jak Ojciec tego dokonał?

- To proste, mój synu. Sądziłem zresztą, żeś już się domyślił wcześniej. Jestem jednym z was. Jestem po prostu niezwykle sprawnym jasnowidzem.

. 29 .

Hamilton było uroczym miasteczkiem przycupniętym nad brzegiem rzeki. Wokół osady wznosiły się wysokie, brunatne o tej porze roku wzgórza, których mniej strome zbocza popstrzone były szachownicą pól uprawnych. Domki w miasteczku były małe, przeważnie drewniane. Z kominów unosiły się leniwie smugi ciemnego dymu, a każdy domek otoczony był niskim płotem porośniętym kępami wysmukłych malw. A wszystko spowijała lekka, jesienna mgiełka.

- Sprawia to wrażenie rajy - odezwał się cicho Ojciec Flanagan. - Mam nadzieję, że wiesz co robisz, chcąc zburzyć ten spokój.

Blaine w milczeniu pokiwał głową i zwrócił się z pytaniem do księdza:

- A Ojciec? Co Ojciec zamierza?

- W dole rzeki znajduje się opactwo. Oczekują tam mnie.

- Ale spotkamy się jeszcze?

- Chyba tak. Wracam zresztą do tego mojego miasteczka na granicy. Będę tam samotną strażnicą na granicach władztwa Fishhooka.

- Wyglądając innych, którzy będą próbować tamtędy się przemknąć.

Kapłan potwierdził skinieniem głowy i włączając silnik łodzi, skierował ją ku brzegowi. Gdy dziób łodzi zaszurał lekko o przybrzeżny piasek i kamienie, Blaine potężnym susem wyskoczył na brzeg. Ojciec Flanagan wzniosł oczy w górę i spoglądał dłuższą chwilę w niebo. Pociągnął kilkakrotnie nosem.

- Idzie zmiana pogody - rzekł pewnym głosem. - Czuję to.

Blaine wszedł po kostki w wodę, podszedł do łodzi i wyciągnął rękę w stronę Ojca Flanagan.

- Dziękuję za podwiezienie - rzekł. - To był jednak ładny kawałek drogi. W dodatku niezbyt wygodnej. Oszczędził mi Ojciec wiele czasu i sił.

- Żegnaj mój synu. Niech Bóg czuwa nad tobą.

Blaine bez słowa zepchnął łódź na głębszą wodę. Ojciec Flanagan włączył motor i łódź szybko ruszyła przed siebie. Blaine stał bez ruchu i spoglądał za oddalającym się kapłanem. Ojciec Flanagan uniósł dłoń w ostatnim geście pożegnania. Blaine pomachał mu również. Gdy łódź zniknęła za zakrętem, Blaine wyszedł na piasek i różnym krokiem pomaszerował w kierunku osady. Wkroczył na ulice miasteczka i w tym samym momencie doznał uczucia, jakby po latach tułaczki wrócił wreszcie do domu.

Nie był to - rzecz jasna - jego rodzinny dom, nie znał tego miejsca, był tu pierwszy raz, lecz czuł, że Hamilton jest domem. Domem dla całego świata. Panował tu spokój i pogoda ducha, bezpieczeństwo i atmosfera przyjaźni. Rodzaj miejsca, gdzie każdy mógł osiąść i po prostu żyć. Nie liczyć upływających dni, cieszyć się chwilą bieżącą, żyć pełnią życia bez troski o przyszłość.

Ulice były wyznaczone rzędami czystych i schludnych domków. Choć ulica, którą wędrował Blaine była jeszcze o tej porze dnia pusta, czuł na sobie spojrzenia mieszkańców rzucane zza firanek w oknach mijanych domów. Nie były to spojrzenia wrogie, nieprzyjazne czy podejrzliwe. Po prostu ludzie spoglądali nań z życzliwością, prostą ciekawością: Z jednego z podwórek wybiegł pies i merdając wesoło ogonem posuwał się wraz z Blaine'em w najlepszej komitywie.

Gdy dotarł już do skrzyżowania ulic przystanął nie wiedząc dobrze, w którą stronę ma się udać. Rozejrzał się. Po jego lewej ręce ciągnęły się handlowa część miasta. Tam też dojrzał grupę mężczyzn siedzących na schodkach sklepu z artykułami spożywczo - przemysłowymi. Blaine, z płaczącym się mu pod nogami psiakiem skierował się więc w tamtą stronę. Ludzie obserwowali go w milczeniu.

- Dzień dobry - odezwał się pierwszy Blaine. - Czy ktoś z was może mi wskazać, gdzie mieszka człowiek o nazwisku Andrews.

- To właśnie ja jestem Andrews.

- W takim razie, czy mógłbym z panem chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Niech pan siada i rozmawia z nami wszystkimi. - Nazywam się Shepherd Blaine...

- Wiemy, kim pan jest. Wiemy to od chwili, gdy pańska łódź dotknęła brzegu.

- No tak, oczywiście - uśmiechnął się lekko Blaine. - Powinienem się tego od razu domyśleć.

- To jest Thomas Jackson - przedstawił siedzącego obok siebie mężczyznę Andrews. - Ten to Johnson Carter, a tamten Ernie Ellis.

- Miło mi was wszystkich poznać - odparł Blaine, skinąwszy głową w ich stronę.

- Niech pan siada - Thomas Jackson wykonał szeroki ruch ręką. - Chce nam pan coś zapewne powiedzieć.

Posunął się nieco, robiąc miejsca na stopniu i Blaine usiadł pomiędzy nim a Andrewsem.

- Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że jestem uciekinierem od Fishhooka.

- Wiemy co nieco o panu - przerwał mu Andrews. - To właśnie pana moja córka spotkała kilkanaście dni temu nocą na szosie. Był pan z człowiekiem o nazwisku Riley. A dzisiejszej nocy mieliśmy tu zwłoki pańskiego przyjaciela...

- Którego pochowaliśmy na tym wzgórzu - wpadł w słowa Jackson. - Co prawda pogrzeb ten był może zbyt pospieszny, bez zwykłych ceremonii, ale zawsze to pogrzeb... Wie pan, on był dla nas zupełnie obcym człowiekiem.

- Dziękuję bardzo, sir.

- Poza tym ostatniej nocy były jakieś burdy w Belmont - dorzucił Andrews.

- A nam takie rzeczy są bardzo nie na rękę - poparł Carter. - Możemy mieć z tego powodu wielkie nieprzyjemności.

- Bardzo mi przykro, panowie - odezwał się szybko Blaine. - Ale obawiam się, że przynoszę wieści jeszcze gorsze. Znacie zapewne człowieka o

nazwisku Finn?

Mężczyźni skinęli głowami.

- Otóż rozmawiałem z Finnem ostatniej nocy i wyciągnąłem z niego co nieco. Wyciągnąłem wbrew jego woli coś, o czym wcale nie miał zamiaru mówić.

Mężczyźni czekali.

- Jutro wieczorem zacznie się Halloween. Nie znam żadnych bliższych szczegółów. Nie wiem dokładnie jak Finn zamierza to wszystko rozegrać. Wiem jedno - stworzył specjalnie rodzaj podziemia pośród dewiatów, którzy oczywiście nie zdają sobie sprawy, kto za tym wszystkim stoi. Właśnie jutrzejszej nocy podziemie to ma przystąpić do akcji... - i widząc, że jego rozmówcy zeszywnieli na dźwięk jego słów, dodał szybko:

- To podziemie, do którego Finn zaangażował paranormalnych nastolatków, ma w tym roku wyprawić huczne Halloween; jak za dobrych starych czasów. Finn daje im pozornie możliwość dobrej zabawy i prezentacji swych uzdolnień, a jednocześnie w ten niewinny sposób załatwienia zadawnionych porachunków z normalnymi ludźmi. Bóg jeden wie, jak wiele tych krzywd jest do wyrównania.

Przerwał i rozglądając się po zmienionych nagle twarzach mężczyzn dodał twardo:

- Wyobrażacie sobie zapewne jaki to odniesie skutek? Tuzin lub dwa tego typu figli...

- Tuzin! - wykrzyknął, tracąc nagle panowanie nad sobą Andrews. - Tuzin, dobre sobie! Nie tuzin, ale setki, tysiące takich demonstracji. I nie tylko tutaj, ale na całym świecie. Na całym świecie! Skoro to wszystko reżyseruje Finn... Dobry Boże, następnego dnia będziemy starci z powierzchni ziemi!

- A w jaki sposób odkrył pan ów plan Finna? - z rozbudzoną nagle podejrzliwością spytał Carter, zaglądając Blaine'owi w twarz. - Przecież Finn nie powierzyłby panu takiego sekretu. Chyba, że pan i Finn...

- Wymieniliśmy się umysłami - odparł dobitnie Blaine, wytrzymując

spojrzenie mężczyzny. - Sposobem, który poznałem podczas jednej z moich podróży międzygwiazdnych. Dałem mu wzór mojej świadomości biorąc w zamian duplikat jego umysłu. Coś w rodzaju kopii... Nie potrafię wam tego dokładnie wyjaśnić, ale wiem jak to robić.

- Wyobrażam sobie, że Finn nie jest panu za ten figiel wdzięczny - zarechotał Andrews. - To musi być dla niego nad wyraz przykre posiadać w mózgu pańską świadomość.

- Jest załamany - odparł krótko Blaine.

- Ach, te dzieciaki - westchnął Carter. - Będą udawać wiedźmy, wilkołaki i upiory. Będą łomotać do zamkniętych drzwi i zawartych okiennic, przesuwając samochody i demolować szopy. Będą potępieńczo wyć i zawodzić.

- Tak to ma właśnie wyglądać - skinął ponuro głową Blaine. - Wedle najlepszych wzorców tego wesołego i szalonego wieczoru. Lecz tym razem dla ofiar tej zabawy, dla normalnych ludzi, nie będą to psoty i figle rozbrykanych dzieci. Oni to potraktują serio jako ingerencje i obłądny sabat rozpasanych, przerażających mrocznych sit. Gnomów, upiorów, wilkołaków. A potem, w ich wyobraźni, zostanie te wszystko jeszcze bardziej wyolbrzymione. Rano już będą krążyć mrozące krew w żyłach opowieści o porzniętych na płotach świeżych, parujących jeszcze krwią wnętrznościach, o mężczyznach z poderżniętymi gardłami, o pomordowanych noworodkach i zgwałconych dziewczynkach. Tak będzie na całym świecie. Ludzie łatwo w to uwierzą. Uwierzą we wszystko co usłyszą.

- Lecz mimo wszystko - odezwał się cicho Jackson. - nie ma pan prawa zbyt ostro potępiać za to dzieciaków. Pan sobie nawet nie wyobraża w jakim piekle przyszło im żyć. W chwili, gdy dopiero wkraczają w świat, ten świat barykaduje się przed nimi, oskarża ich, morduje w sposób bezlitosny. Wszystkie palce wskazują na nich oskarżycielsko...

- Myśli pan, że nie zdaje sobie z tego sprawy - przerwał mu szorstko Blaine. - Wiem, wiem wszystko. Lecz musicie ich za wszelką cenę

powstrzymać. Musicie! W taki czy inny sposób, ale to konieczne. Użyjcie telepatii, telefonu... O, właśnie, telepatii przez telefon... Dotąd sądziłem, że...

- To bardzo proste odparł Andrews, uprzedzając wątpliwości Blaine a. - Problem przekazu telepatycznego za pomocą drutów telegraficznych rozwiązaliśmy jakieś dwa lata temu.

- Więc użyjcie tego sposobu - skinął głową Blaine. - Dzwoncie wszędzie, gdzie się tylko da. Tam z kolei niech ostrzegą następnych. Tamci znów kolejnych. Stwórzcie cały łańcuch...

- Nie zdołamy dotrzeć do wszystkich - pokiwał smutno, z rezygnacją głową Andrews.

- Musicie próbować! - krzyknął ostro Blaine.

- Spróbujemy, oczywiście, że spróbujemy - zgodził się Andrews. - Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Ale... ale ty - zawahał się nagle, poczerwieniał na twarzy i spuścił oczy. - Nie sądź nas zbyt pochopnie. Nie myśl, że nie wiemy co to wdzięczność. Zaciągamy wobec ciebie dług, którego chyba nigdy nie będziemy w stanie spłacić. Ale... ale...

- Co ale? - zapytał Blaine, a w głosie brzmiały mu nutki zdziwienia.

- Pan nie może tu pozostać - wydusił z siebie cichym głosem Andrews. - Ściga pana Fishhook, poszukuje Finn... Przybędą tu z całą pewnością. Są przekonani, że pan się tu właśnie ukrywa.

- Boże wielki! - wykrzyknął Blaine nie dowierzając własnym uszom. - Wielki Boże! A ja tu przybyłem...

- Przykro nam - odparł sucho Andrews. - Wiemy, jak musi pan się teraz czuć. Lecz pan musi i nas zrozumieć. Rzecz jasna, skoro pan upiera się, by tu pozostać, spróbujemy pana ukryć. Lecz jeśli odnajdą tutaj pana...

- W porządku - mruknął Blaine. - Miałbym w takim razie tylko prośbę o wypożyczenie samochodu...

- Odpada - pokręcił głową Andrews. - To tak samo, jakby pan pozostał w Hamilton. Finn i Fishhook z całą pewnością obserwują drogi. Rejestracja zdradzi pana natychmiast.

- Więc co, wyganiacie mnie po prostu w góry?

Andrews pokiwał tylko głową.

- To może dacie mi trochę żywności?

- Z tym nie będzie najmniejszych kłopotów - ożywił się natychmiast Jackson, zrywając się na nogi. - A gdy się wszystko uspokoi, niech pan do nas wraca - dodał Andrews.

- Wielkie dzięki - odparł Blaine trudnym do określenia tonem.

. 30 .

Usiadł pod samotnym, rozłożystym drzewem rosnącym na stoku wzgórza i spojrzął w dół doliny. Dłuższy czas ścigał wzrokiem srebrzyste lśnienia na powierzchni rzeki, by w końcu wznieść oczy w górę, gdzie na tle nieba odcinał się ostrą, ciemną linią klucz dzikich gęsi.

Kiedyś, o tej porze roku, aż roiło się tutaj od ptactwa które z donośnym krzykiem i łopotem skrzydeł odlatywało na południe, do cieplejszych krain tam szukając schronienia przed nadchodzącą zimą. Teraz jednak ptaków pozostało niewiele; po prostu zostały wytępione przez okoliczną ludność.

Człowiek w swym zwycięskim pochodzie przez czas i dzieje, w barbarzyński sposób stał z powierzchni ziemi wszystkie prawie gatunki zwierząt - dzikie ptactwo, bizona, bobry i wiele, wiele innych. Blaine zastanawiał się nad zadziwiającą właściwością Człowieka, która kazała mu tępić wszelkie inne żywe stworzenia; nieistotne już, czy to w imię strachu i nienawiści czy też z chciwości i żądzy zysku.

Jeśli Finnowi powiodą się plany, los zwierząt podzielą również dewiaci. Mieszkańcy Hamilton zrobią oczywiście wszystko, co będzie w ich mocy ale Blaine wątpił, czy zdołają podołać zadaniu, zwłaszcza że pozostało im tak niewiele czasu, zaledwie trzydzieści sześć godzin. Postarają się nie dopuścić do maskarady w noc Halloween, ale czy powstrzymają wszystkich? Czy wszędzie dotrą? To wydawało się prawie niemożliwe.

A tak na dobrą sprawę, nie powinno mnie to już obchodzić - myślał. Nie musi przejmować się wcale losem dewiatów. Ostatecznie to oni właśnie go przegnali, odmówili schronienia, kazali umykać z miasteczka. Zmusili go do opuszczenia miejsca, które pokochał od pierwszej chwili, które mogło się stać jego nowym domem.

Rozpiął pasy plecaka, w którym Jackson dostarczył mu żywność. Z szyi zdjął manierkę. Postawił oba przedmioty na ziemi. Po południowej stronie

biły w niebo ciemne wstęgi dymu z domostw w Hamilton i nawet zagniewany na mieszkańców za sposób w jaki go potraktowano, czuł nic łączącą go nierozzerwalnie z tą osadą, przepęśniało go uczucie swojskości i bliskości takie samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy przemierzał uliczki miasteczka. Wiele jest na świecie miejsc, współczesnych gett, w których ludzie obdarzeni zdolnościami paranormalnymi wiodą życie na tyle spokojne, na ile jest to możliwe w panujących na świecie warunkach. Ludzie ci, zaszyci w oddalonych, izolowanych od reszty społeczeństwa zakątkach czekają, aż nadejdzie dzień - jeżeli w ogóle kiedykolwiek nadejdzie - gdy ich dzieci lub dzieci ich dzieci będą wolne, gdy będą mogły swobodnie i bezpiecznie wędrować po świecie, a ich życie ponownie stanie się normalnym życiem w pełni normalnych ludzi.

Ileż w takich miasteczkach zmarnowanych szans, nie wykorzystanych możliwości i zdolności, które odpowiednio pokierowane stałyby się zaliczką na wspaniałą, olśniewającą przyszłość ludzkości, nadałyby nowy, oszałamiający wymiar i perspektywy każdemu pojedynczemu człowiekowi i całej jego rasę. Tymczasem wszystko to pozostawało bezpłodne, bezużyteczne, wzgardzone, a istoty posiadające ów tak cudowny dar były przedmiotem powszechnej nienawiści, tropioną zwierzyną, uosobieniem całego zła drzemiącego w Człowieku.

A najbardziej żałosne w tym wszystkim było to, że cała nienawiść i okrucieństwo, ciasnota umysłowa i brak tolerancji nie doszłyby nigdy do głosu, gdyby nie ludzie pokroju Finna: bigoci i egomaniacy, którym zdawało się, że tylko siła i brutalność są w stanie wynieść ich z przyrodzonej im małości.

Nauka! Mimo iż okazała się bezsilna wobec podboju kosmosu, to bynajmniej nie odeszła w zapomnienie, nie została odtrącona. Jest rzeczą oczywistą, że tak długo jak istnieje Człowiek, musi również istnieć Nauka. U Fishhooka całe zastępy badaczy pracowały nad odkryciami i problemami ściąganyymi na Ziemię z całej galaktyki, a ludzie wciąż spoglądali w ich

stronę z nadzieją.

Ale na mnie już czas. To są bezpłodne i bezcelowe rozmyślenia - szepnął Blaine potrząsając głową. Musi iść przed siebie, ku wytyczonemu celowi, gdyż innego wyjścia nie ma. Ostrzegł mieszkańców Hamiltan, lecz to tylko część tego, co zamierzał. Swoją misję musi wypełnić do końca.

Pójdzie do Pierre. Odszuka Harriet w restauracji z przybitymi nad drzwiami rogami łosia. Być może natknie się tam również na ludzi wchodzących w skład sformowanych przez Stonea grup. Oni mu pomogą, wynajdą bezpieczną kryjówkę.

Wstał, zarzucił ponownie na ramiona plecak zawiesił na szyi manierkę. I wówczas posłyszał za sobą szmer. Błyskawicznie odwrócił się.

Stopę nad ziemią unosiła się dziewczyna. Wdzięczna jak ptak. Śliczna jak poranek. Stał bez ruchu, napawając się jej urodą. Widział ją po raz pierwszy w dziennym świetle. Poprzednim razem spotkali się nocą, na szosie, potem - przez chwile zaledwie - w półmroku hotelowego pokoju. Jej stopy dotknęły ziemi i dziewczyna wolnym krokiem podeszła do Blaine'a.

- Wreszcie pana znalazłam - rzekła. z ulgą w głosie. - To straszne... po tym, co pan dla nas zrobił...

- O. K. Nie mówmy o tym - odparł szybko Blaine. - Nie będę taić, że czuję się dotknięty, ale i oni mieli swoje racje.

- Jedynym celem ich życia jest chronienie nas - odezwała się cicho dziewczyna patrząc na ziemię. Pragną uczynić nasze życie jak najbardziej znośnym. Bronią się więc przed najmniejszym...

- Tak, wiem. Ale spotkałem już kogoś, kto mimo wszystko nie pragnął wcale takiego znośnego życia.

- My, młodzież, mamy do nich wiele żalu. Wszystkiego nam nie wolno, wszystkiego nam zabraniają, nie pozwalają szaleć w noc Halloween nic nie dając w zamian. Musimy po prostu siedzieć cicho w domu. No i w rezultacie to głównie robimy.

- Jestem wam wdzięczny za tamtą noc - taktownie zmienił temat Blaine. -

Gdyby nie wasza pomoc, Harriet i ja zostalibyśmy przydybani przez policję nad zwłokami Stonea.

- Dla Mr Stonea zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Musieliśmy się spieszyć i trudno było dopełnić wszystkich ceremonii. Został pochowany na wzgórzu.

- Wiem, twój ojciec mówił mi o tym.

- Nie mogliśmy tam postawić ani krzyża, ani tablicy: Musieliśmy wręcz pokryć mogiłę darnią, by zatrzeć wszelkie ślady. Chyba pan sam to rozumie. Ale miejsce to jest wyryte w naszych sercach. i pamiętamy o nim.

- Stone był przez wiele lat moim najlepszym przyjacielem.

- U Fishhooka?

Blaine w milczeniu skinął głową.

- Mr Blaine, proszę mi opowiedzieć o Fishhooku.

- Mam na imie Shep.

- W takim razie Shep, opowiedz mi o tym.

- Jest to wielkie i niezwykle miejsce (WIEŻE NA WZGÓRZU, PLACE I ALEJE, DRZEWA I PARKI, GIGANTYCZNE, STRZELISTE BUDOWLE, SKLEPY, MAGAZYNY, KAWIARNIE, TŁUMY LUDZI...)

- SHEP, CZEMU ONI NAS NIE CHCĄ?

- NIE CHCĄ WAS?

- KILKORO Z NAS NAPISAŁO DO FISHHOOKA. PRZYSŁANO WZORY PODAŃ, KTÓRE PO WYPEŁNIENIU ODESŁALIŚMY. I TO WSZYSTKO. FISHHOOK JUŻ NIGDY WIĘCEJ SIĘ NIE ODEZWAŁ.

- TYSIĄCE OSÓB PRAGNIE SIĘ TAM DOSTAĆ.

- ALE DLACZEGO ONI NAS NIE CHCĄ? CZEMU NIE WEZMĄ NAS WSZYSTKICH? CZY WSZYSCY MALI, WYSTRASZENI LUDZIE NIGDY NIE ZAZNAJĄ SPOKOJU? CZY TO JEST ZAREZERWOWANE WYŁĄCZNIE DLA FISHHOOKA?

Nic nie odpowiedział zamykając przed nią swój umysł.

- SHEP, SHEP, CO SIĘ STAŁO? CZY URAZIŁAM CIĘ CZYMŚ?

POSŁUCHAJ MNIE UWAŻNIE, ANITO. FISHHOOK WAS NIE POTRZEBUJE. FISHHOOK JEST JUŻ ZUPEŁNIE CZYMŚ INNYM. ZMIENIL SIĘ. FISHHOOK TO KORPORACJA, ZIMNY, OBOĘTNY I NIECZUŁY NA NIC KONCERN.

- A MY ZAWSZE...

- WIEM. WIEM . WIEM . FISHHOOK BYŁ ZAWSZE DLA WAS ZIEMIĄ OBIECANĄ, NAJDOSKONALSZYM I OSTATECZNYM ROZWIĄZANIEM WASZYCH PROBLEMÓW. W RZECZYWISTOŚCI JEST ZUPEŁNIE CZYMŚ INNYM. FISHHOOK TO WIELKA KASA, GDZIE LICZĄ SIĘ WYŁĄCZNIE AKTYWA I PASYWA, ZYSKI I STRATY. OCZYWIŚCIE, W PEWIEN SPOSÓB STANOWI ON RATUNEK DLA ŚWIATA, ZALICZKE WIELKOŚCI I PRZYSZŁOŚCI RODZAJU LUDZKIEGO. TEORETYCZNIE JEST TO NAJWZNIOŚLEJSZA RZECZ, JAKIEJ LUDZKOŚĆ DOROBIŁA SIĘ W TRAKCIE SWEGO ISTNIENIA. ALE FISHHOOK NIE JEST WCALE ŁASKAWY DLA PARANORMALNYCH. PRZECIWNIE, SWOJĄ ZIEMIĘ OBIECANĄ MUSIMY WYWALCZYĆ SAMI. NAJPIERW TRZEBA POWSTRZYMAĆ FINNA I JEGO „PLAN HALLOWEEN”...

- DLATEGO TU WŁAŚNIE JESTEM. NIE ZATRZYMAMY JUŻ NASZEJ AKCJI.

- TELEFONY...

- PRÓBOWALIŚMY. I DO DETROIT I DO CHICAGO. POTEM DO NEW YORKU. WSZYSTKO NA NIC. NAWET DO DENVER LINIA JEST NIECZYNNA.

- TO NIEMOŻLIWE!

Blaine stał ogłuszony wiadomością.

Brak połączeń z New Yorkiem! Kontakt z Denver odcięty!

To przecież niemożliwe, by Finn przejął aż taką kontrolę nad sytuacją.

NIE, NIE W TYM RZECZ, BY FINN ZDOBYŁ TAKĄ KONTROLĘ - wtrącała się w jego myśli Anita: - ON MA PO PROSTU SWYCH LUDZI W

KILKU KLUCZOWYCH PUNKTACH, NA PRZYKŁAD W KOMUNIKACJI. OSADY TAKIE JAK HAMILTON SĄ BARDZO UWAŻNIE OBSERWOWANE. MY NIE UTRZYMUJEMY WŁAŚCIWIE KONTAKTU ZE ŚWIATEM ZEWNĘTRZNYM I ROZMOWY TELEFONICZNE NA DUŻE ODLEGŁOŚCI SĄ U NAS RZADKOŚCIĄ. SKORO WIĘC NAGLE W PRZECIĄGU KWADRANSA ZAMÓWILIŚMY AŻ TRZY TAKIE POŁĄCZENIA TO NIC DZIWNEGO, ŻE WSZYSCY LUDZIE FINNA PODNIEŚLI ALARM. WĘSZĄ COŚ NIEZWYKŁEGO I CHCĄ NAS IZOLOWAĆ.

Blaine gwałtownym ruchem zrzucił z ramion plecak i położył go na ziemi u swoich stóp.

- Wracam - rzekł krótko.

To bez sens. Nic więcej nie zwojujesz.

- Tak, ma racje. To faktycznie bez sensu. Ale jest jeszcze jedna możliwość. Musze się dostać do Pierre...

- Tam mieszkał Stone?

- Tak, czemu pytasz? Znałaś Stonea?

- Słyszałam o nim. To wszystko. Rodzaj Robin Hooda dewiatów. Pracował dla nas.

-Gdybym miał możliwość kontaktu z jego organizacją, może potrafiłbym...

- Ta kobieta też tam mieszka?

- Masz na myśli Harriet? - spytał, obrzucając ją przeciągłym spojrzeniem.

- Tak. Tylko ona może mnie skontaktować z grupą Stone'a. Ale mogę jej tam nie zastać. Nie wiem w ogóle, gdzie się może podziewać.

- Gdybyś zaczekał do zmierzchu, moglibyśmy cię tam dostarczyć. Za dnia jest to zbyt ryzykowne. Mieszka tu zbyt wielu ludzi, zbyt wiele osób się kreci. Nawet tu, w tym pozornym odludziu...

- To nie może być dalej niż trzydzieści mil. Pójdę pieszo.

- Rzeką byłoby ci łatwiej. Potrafisz prowadzić canoe? Kiedyś pływałem. Myślę, że jakoś bym sobie poradził.

- To również bezpieczniejszy sposób. Na wodzie przynajmniej nie zaczepi cię policja ani ludzie będący na usługach Finna. Mój kuzyn ma canoe. Pożycz ci. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

. 31 .

Nadchodziła burza. Powietrze było parne i nieruchome, wszystko spowijała nienaturalna cisza, a N niebo przybrało ciemną barwę ołowiu. Jeszcze w południe świeciło słońce, potem pojawiło się kilka niewinnie wyglądających chmur, a już o trzeciej całe niebo, aż po horyzont, było zaciągnięte ciężką kurtyną szaroburych chmur.

Pochylony nad wiosłem Blaine, niepomny na zmęczenie, pracował wytrwale przebywając mile za milą. Minęły cała lata od czasu, gdy miał do czynienia z wiosłem, ostatnio natomiast odwykł od fizycznej pracy. Toteż ramiona szybko mu zeszywniały dokuczał ostry ból w barkach, serce łomotało gwałtownie, a dłonie zamieniły się w ogromny, nabiegły krwią pęcherz. Rozchylone, o wyschniętych wargach usta z trudem łapały powietrze, jakby piersi zaciskała mu twarda, stalowa obręcz, która tłumiała oddech, powodowała ból w płucach.

Mimo to nie zmniejszał tempa, siekąc wodę równymi, potężnymi uderzeniami wiosła. Zdawał sobie sprawę, że w tym wyścigu z czasem każda minuta jest - cenna. Po przybyciu do Pierre i tak straci niewątpliwie sporo czasu na uchwycenie kontaktu z grupą Stone'a, a gdy już nawiąże ten kontakt, to dwadzieścia nie od razu mu uwierzą i nie od razu będą chcieli pomagać. Najpierw trzeba będzie ich przekonać, że jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, a oni z kolei będą chcieli sprawdzić wiarygodność jego słów, podejrzewając, że jest kolejnym szpiegiem Finna. Gdyby tylko posiadał pewność, że zostanie w Pierre Harriet, która zaręczyłaby za niego. Z drugiej strony nie wiedział, jaką pozycję w świecie dewiatów zajmuje Harriet i jaką wagę będzie miało dla nich jej świadectwo.

Mimo wszelkich wątpliwości, które żywił Blaine, dotarcie do miasta stanowiło jedyną, ostatnią możliwość zapobieżenia tragedii. Musi ją wykorzystać do końca. Musi dotrzeć do Pierre, musi odnaleźć grupę, musi

ich przekonać o prawdziwość swych słów. Jeśli nie zdoła tego zrobić, los Hamilton i tysiąca innych miasteczek tego typu, rozsianych o całym świecie, będzie przesądzony. Oznaczać to będzie zagładę wszystkich dewiatów, żyjących nie tylko w miasteczkach - gettach, lecz także pośród normalnych ludzi w zwyczajnych miastach.

Nie wszyscy rzecz jasna od razu muszą umrzeć. Ale wszyscy - lub prawie wszyscy - zostaną przegnani na cztery wiatry i zmuszeni do ukrycia się. Stąd już prosta droga do całkowitej utraty kontaktu ludzi paranormalnych z normalnym światem. A to oznacza kolejną generację nieszczęśliwych przepelnionych bólem istot. To oznacza następne pięćdziesiąt lat nagonek i obław, nienawiści i strachu, beznadziejnego oczekiwania na następne, może nieco bardziej tolerancyjne pokolenia.

Najbardziej jednak przerażał Blaine'a całkowity brak perspektyw na przyszłość. Fishhook jedynie Fishhook, mógłby okazać się tu pomocny. Ale ten wcale o to nie dbał. Blaine zbyt dobrze znał sytuację, zbyt długo pracował u Fishhooka, a po ostatnim spotkaniu z Randem łuski spadły mu z oczu ostatecznie.

Wspomnienie Fishhooka pozostawiło mu w świadomości gorzki i jałowy jak popiół smak. Odebrano mu bowiem ostatnią rzecz, która nadawała jego życiu sens, odebrano mu coś, w co przez tyle lat wierzył. Utracił wszystkie dobre wspomnienia, stracił dumę z dni spędzonych u Fishhooka, w którego tak ślepo, tak bezgranicznie wierzył. Teraz już wie, że pozostawał tam zbyt długo, że - być może - nie powinien był nigdy podejmować pracy badacza gdyż jego miejsce było i jest tutaj w ponurym, smutnym i okrutnym świecie dewiatów nie związanych z koncernem. Bo to w nich właśnie - nie w Fishhooku - leży cała nadzieja, cała przyszłość i obietnica pełnej, niczym nie krepowanej realizacji zdolności paranormalnych.

Jego miejsce jest pośród tych wyrzutków. Pośród ludzi nie pasujących do świata ludzi, którzy są wybrykiem natury odbiegającym od ogólnie przyjętych norm i wzorców człowieczeństwa. A przecież to właśnie w

paranormalnych mózgach leży cała nadzieja świata. Ludzie normalni, ludzie, którzy do dzisiaj popychali swą rasę do przodu, którzy osiągnęli tak wiele, przestali już wystarczać, ich czas minął, ich możliwości twórcze zostały wyczerpane. Dalszy rozwój wymaga czegoś nowego. Ujawniły się więc nowe zdolności. Zgodnie z prawami natury, od chwili rozbłysku pierwszej iskielki życia we wrzącej kipieli chemicznej wanny, jaką stała się nowa, zwariowana planeta, stworzenia ziemskie ewoluowały i specjalizowały się, by po osiągnięciu swego poziomu ewolucji doskonalić się dalej.

Zwichrowane mózgi, czarownicy, mieszkańcy ciemności - i ileż innych jeszcze epitetów? Każda kolejna generacja ludzka tworzy własne wzorce i normy, których ewolucja nie podlega żadnym stałym i uniwersalnym prawom, lecz jest kształtowana tym, co w pojęciu większości jest słuszne. Ale natura człowieka jest nad wyraz chwiejna, ułomna i zdradliwa, tak więc i ideały tworzone przez ludzi są kalekie, oparte na fałszywych przesłankach oraz chwiejnej logice.

A on sam, Blaine ? Gdzież jest jego miejsce? Wszak jego umysł jest zwichrowany bardziej od najbardziej zwichrowanych mózgów. Przecież nawet on sam ma czasami wątpliwości, czy jeszcze aby jest człowiekiem.

Powrócił myślami do Hamilton i Anity Andrews. Do nich rwało się jego serce, lecz czy istota taka jak on może związać się z jakimkolwiek miejscem na Ziemi, z jakimkolwiek miastem, z kobietą? Czy może w ogóle stać się częścią tego świata?

Pochylił się mocniej nad wiosłem napierając nań z większą siłą, tnąc ze złością wodę, jakby w ten sposób miał nadzieje pozbycia się natrętnych myśli, które opętały go, powstrzymać oszalałą lawinę pytań zalewających jego mózg.

Wiatr, który zaledwie przed pół godziną był delikatną bryzą, zmieniwszy kierunek na północnozachodni, wiał z coraz większą siłą. Powierzchnia rzeki zmętniała, pojawiły się na niej zmarszczki, rosnące z każdą minutą, aż przerodziły się w końcu w wysoką fale o białych, postrzępionych

grzywaczach.

Niebo zniżyło się, jakby przytłaczając swym ciężarem ziemię; zamglone, rozpięte między wierzchołkami okolicznych wzgórz, przykrywało sinym dachem rzekę. Ptaki - nienaturalnie ożywione - wypełniały powietrze przenikliwym świergotem sprawiając wrażenie zdezorientowanych tak wczesnym nadejściem nocy. Blaine'owi przemknęło przez głowę wspomnienie Ojca Flanagana wietrzącego nosem jak stary ogar, spoglądającego w niebo i mówiącego: „Idzie zmiana pogody. Czuje to”.

Jak oszalały ciężar wiosła zmętniała woda. Ani na ziemi, ani w niebie nie istniała siła zdolna go powstrzymać. Gdy poczuł na twarzy pierwsze mokre płatki śniegu, wzniósł na chwile oczy. Rzeka ginęła w gęstej, szarej kurtynie, która zbliżała się z zatrważającą szybkością. Dobiegł go syk ogromnych płatków śniegu spadających do rzeki oraz dziki ryk wiatru wiejącego ponad spienioną powierzchnią wody.

Brzeg rzeki oddalony był o nie więcej niż sto jardów i Blaine zdał sobie sprawę, że jedyną jego szansą jest pozostawienie tu łodzi i odbycie reszty drogi pieszo. Mimo pośpiechu zachował na tyle zdrowego rozsądku, by uświadomić sobie, że dalsza podróż wodą jest nieprawdopodobieństwem.

Całym ciężarem ciała zawisł na wiosle starając się odwrócić dziób łodzi w stronę brzegu. Lecz w tej właśnie chwili nastąpiło uderzenie wiatru i canoe wpadło w ścianę burzy śnieżnej, która zamknęła je w swym lodowatym uścisku. Świat Blaine'a skurczył się naraz do rozmiarów niewielkiego kręgu o średnicy kilkunastu stóp, a czołno pomknęło przed siebie otoczone ścianą śniegu, wiatru i skłębionych fal rzeki. Brzeg i okoliczne wzgórza zniknęły w sinym тумanie i nie istniało już nic poza wiatrem, wodą i śniegiem.

Canoe gnało do przodu wirując szaleńczo wokół własnej osi i Blaine natychmiast stracił orientację. Zagubił się pośród skłębionych fal i nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się brzeg. Zrezygnowany wyciągnął z wody wiosło, ułożył je ostrożnie w poprzek czołna i schwyciwszy mocno dłońmi jego krawędzie starał się tylko utrzymać równowagę.

Wraz z wiatrem nadszedł przenikliwy chłód, który szybko przez cienkie ubranie dotarł do spoconego ciała Blaine'a. Na brwiach i rzęsach człowieka osiadały grube płatki śniegu, które - w zetknięciu z gorącą twarzą - topiły się natychmiast zalewając oczy Blaine'a wodą.

Canoe tańczyło na fali, pędziło po wzburzonej wodzie, a Blaine, bezradny wobec żywiołu, siedział jak skamieniały na rozszalałej łodzi wodząc tylko wokół oczyma.

Z burej ściany burzy wyłoniła się nagle pokryta śniegiem kępa wierzb. Blaine dojrzał ją dopiero w chwili, gdy znajdowała się od canoe nie dalej jak dwadzieścia stóp, a łódź, z całym impetem, parła w stronę nieoczekiwanej przeszkody.

Blaine'owi zaledwie starczyło czasu, by skulić się na ławce, jeszcze mocniej zacisnąć dłonie na krawędziach burty i oczekiwać na uderzenie w przeszkodę.

Canoe całym rozpędem wyrznęła w kępę drzew. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt pękającego dna łodzi. Dziób uniósł się w górę, canoe stanęło niemal pionowo, a Blaine wytoczył się z czółna do wody.

Oślepiony lodowatą wodą wdzierającą się do oczu, parskając i wymachując chaotycznie rękoma, namacał w końcu stopami muliste dno rzeki. Zagarnawszy łapczywie skostniałymi dłońmi pęk zwisającej nad nim wierzbiny, wyprostował się stając zanurzony po brodę w wodzie.

Canoe było stracone: ukryty pod wodą korzeń rozdarł delikatne dno czółna, które powoli napełniało się wodą i tonęło. Potykając się i ślizgając na mulistym dnie, Blaine parł do przodu w stronę lądu. Gdy już stanął na brzegu, uświadomił sobie, że w wodzie było stosunkowo ciepło. Wiatr, który natychmiast po wyjściu z wody, objął o swym mroźnym oddechem, przeniknął bez trudu przez mokre ubranie, sprawiając wrażenie miliona lodowych igieł wbijających się w ciało.

Rozbitek stał dłuższą chwilę łapiąc ciężko oddech i dygotał z zimna. Spoglądał bezmyślnie na płataninę krzaków i zarośli miotanych dzikimi

porywami wiatru. Wiedział, że musi przede wszystkim znaleźć jakieś schronienie, rozniecić ogień. W przeciwnym razie nie przetrzyma nocy. Podniósł dłoń do oczu; zegarek wskazywał czwartą. Do zmroku pozostawała jeszcze godzina. W tym czasie musi znaleźć zaciszną kryjówkę, gdzie schroni się przed wiatrem, śniegiem i chłodem.

Na chwiejnych nogach ruszył biegiem; wtedy dopiero dotarło do jego świadomości, że nie rozpali przecież ognia. Nie miał zapalek. Zresztą i tak byłyby kompletnie mokre i niezdatne do użytku.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że w tej sytuacji musi znaleźć na tyle szczelną osłonę przed wiatrem, aby mimo braku ognia przetrwać noc. Może to być jakiś wykrot czy większa dziupla w drzewie. Jakieś ustronne i zaciszne miejsce, które uchroni go przed atakami wiatru. Tam, skulony doczeka świtu, a ciepłem własnego ciała osuszy nieco przemoczoną odzież.

Lecz mimo iż szedł dłuższy czas brzegiem nie natrafił na żadne odpowiadające mu miejsce. Wszędzie potykał tylko karłowate wierzby i krzaki, nie dające żadnej ochrony.

Szedł mechanicznie, ślizgając się w błocie, potykając o naniesione wodą kłody drzewa. Kilkakrotnie stracił równowagę i upadł. Kompletnie zeszywniałe ubranie pokrywał gruby osad szlamu. Siłą woli jednak zmuszał się do dalszej drogi, zmuszał się do ruchu. Zdawał sobie sprawę, że bezruch oznacza śmierć, że koniecznie musi znaleźć schronienie, bo inaczej zamarznie.

Znów upadł. Niezdarnie dźwignął się z kolan, spojrzął w kierunku rzeki i ze zdumieniem ujrzał w wodzie na wpół zatopione czółno.

Canoe!

Zabłoconą dłonią przetarł oczy.

To musiało być jego czółno, gdyż skąd miałyby się tutaj wziąć inne? To samo czółno, które porzucił, przedzierając się na oślep przez chaszczę w poszukiwaniu schronu. /Tak oto przedziwnym zrządzeniem losu rzeka ponownie przyniosła do niego łódź.

Natychmiast jednak zrozumiał swoją pomyłkę. To nie rzeka przyniosła canoe, lecz on do niego wrócił. Zadrzał. Znaczyło to bowiem, że jest na wyspie, na małym skraweczku lądu, porośniętym tylko karłowatymi wierzbami, oblanym ze wszech stron wodą. Nie znajdzie tutaj żadnego wykrotu, żadnej dziupli, żadnego schronienia. Poza lichymi krzakami nic innego na tej wyspie nie rośnie:

Spodnie i marynarka Blainea były sztywne, jak z drewna, wydawały trzask przy każdym ruchu ciała. Temperatura wciąż opadała, lecz człowiek przemarzył już do szpiku kości i jakiegokolwiek wahania temperatury przestały mu sprawiać różnice.

Powoli wstał z klęczek, podmuch lodowatego wiatru uderzył go w twarz, śnieg sypnął lodowatą strugą w oczy, osiadł na włosach. Blaine a dobiegł potępińczy ryk wzburzonej rzeki. Zapadał zmierzch, a on nie miał się gdzie skryć.

Nie przetrwa nocy na tej wyspie. Lecz nie było sposobu, by się z niej wydostać. Wyspa, o ile się orientował, oddalona była od brzegu zaledwie o sto stóp. Lecz to nie miało znaczenia, skoro przestrzeń te wypełniała rozszalała kipiela. Musi jednak istnieć jakiś ratunek. Nie może przecież tak zwyczajnie umrzeć na tym obskurnym, przeklętym skrawku ziemi na tej maleńkiej, śmierdzącej mułem i zbutwiałymi liśćmi wysepce. Nie dlatego, by jego życie było specjalnie cenne; dlatego, że jest jedynym człowiekiem, który może przynieść dewiatom ocalenie.

Ogarniał go pusty śmiech. Nigdy już nie dotrze do Pierre. Nigdzie już nie dotrze. Nie opuści tej wyspy. Pozostanie tu na zawsze, a jeśli nawet go kiedyś znajdą, nie będzie to już miało najmniejszego znaczenia. Ani dla niego, ani dla innych. Kiedy nadejdą wiosenne powodzie, jego ciało - wraz z innymi odpadkami niesionymi przez wodę - spłynie w dół rwącymi, wzburzonymi falami rzeki.

Odszedł w głąb wysepki, gdzie znalazł miejsce trochę bardziej osłonięte od wiatru przez splątaną gęstwinię wierzby. Usiadł tam i wyprostował nogi. Podniósł kołnierz kurtki, lecz był to raczej gest symboliczny, nie dający żadnego rezultatu. Zgiął ręce w łokciach, wciskając dłonie pod pachy, by choć trochę ogrzać je ciepłem własnego ciała. Zaczął tępo wpatrywać się w mglisty półmrok zalegający wyspę.

Zdawał sobie sprawę, że źle robi. Człowiek w jego sytuacji musi się ruszać, ruchem zmuszać krew do szybszego krążenia, musi odpędzać sen, zabijać o siebie ręce, rozcierać stopy. Wszelkimi dostępnymi sposobami walczyć o przetrwanie.

Lecz to i tak byłoby bezcelowe - myślał nie ruszając się z miejsca. Jakie często człowiek, stoczywszy straszliwą walkę o swe życie, mimo wszystko, znużony nią, umiera.

Musi istnieć inny, lepszy, sposób. Rozsądny człowiek musi znaleźć wyjście. Cały problem sprowadza się do tego, by oderwawszy się od zastanej sytuacji, zyskać możliwość w miarę obiektywnej oceny sytuacji - mówił sobie. A w jego sytuacji chodzi tylko o to, by zabrać swe ciało z wyspy i przenieść je w bezpieczne, ciepłe i suche miejsce.

Takiego miejsca jednak nie ma. Chociaż...

Istnieje miejsce, w którym może się skryć, może się tam w każdej chwili dostać. Może przecież powrócić do błękitnego pokoju, gdzie żyje Różowa Istota.

Nie! Tak samo dobrze może pozostać tutaj, na tej przeklętej wyspie. Jeśli nawet ucieknie na ową odległą planetę, to ucieknie wyłącznie jego

świadomość, a ciało pozostanie tutaj. Gdyby potem wrócił, będzie ono już dawno martwe.

Gdyby tak mógł zabrać ze sobą i ciało. Ale tego właśnie nie potrafi dokonać. A gdyby nawet, to delikatna struktura ciała nie przetrzymałaby trudów podróży kosmicznej. Spróbował sobie przypomnieć dane o warunkach panujących na planecie Różowej Istoty, lecz nie przychodziło mu to łatwo. Zaczął więc pracowicie przekopywać pokłady swej pamięci. Odnalazł w końcu potrzebne informacje. Zmartwił z przerażenia. Nawet gdyby zdołał zabrać ze sobą ciało, nie wyżyłoby tam ono nawet sekundy! Atmosfera owej planety była bowiem zabójcza dla organizmu człowieka.

Lecz muszą przecież istnieć inne jeszcze miejsca, inne planety, inne światy. Istnieją z całą pewnością. Żeby tylko zdołał je odnaleźć. Gdyby tylko udało mu się przenieść tam ciało. Siedział zgarbiony, pogrążony w kontemplacji, nie czując zupełnie zimna i wilgoci. Poszukiwał przez chwile w swej jaźni Różowej Istoty.

Wołał ją, przyzywał wielokrotnie. Bezskutecznie. Pojął, że stała się już jego nieodłączną częścią. Stopili się w jedno. Nie istnieli już niezależnie od siebie: on i Różowa Istota połączyli się w przedziwny, dwoisty twór; stop będący jednym - a zarazem podwójnym - organizmem.

Poszukiwanie Różowej Istoty znaczyło tyle, co tropienie samego siebie!

A więc czegokolwiek chciałby dokonać, musi tego dokonać sam, za pomocą owej potęgi, którą posiadał. Na jego moc składał się bezlik danych, bezmierna masa pomysłów, wiadomości, wiedzy i umiejętności. I był tam również jakiś ohydny osad, który - Blaine uświadomił to sobie - pochodził z umysłu Lamberta Finna.

Wędrował przez przepastne głębie swego umysłu docierając do najtajniejszych zakamarków, przegródek, krążył pośród neuronów i fałd swej świadomości znajdując wszędzie niezgłębione otchłanie wypełnione chaotyczną, nieuporządkowaną wiedzą wciśniętą w jego mózg.

Spotykał rzeczy przedziwne, jedne wstrząsały nim budząc najwyższą odrazę i wstręt, inne go zatrzażały, inne jeszcze wywoływały podziw i zachwyt. Wszystkie jednak miały zasadniczą, wspólną cechę: w obecnej sytuacji były całkowicie nieprzydatne.

W trakcie wędrówki przez własny umysł towarzyszyła mu jak obcy, złośliwy natręt świadomość Lamberta Finna, świadomość nie przyswojona jeszcze przez Blaine a - prawdopodobnie nie mająca być nigdy przyswojona - lecz pętająca się, doskwierająca i utrudniająca penetracje.

Odpychał ją w prawo, ona pojawiała się z lewa, odrzucał w górę, pojawiała się pod stopami - brud myśli, wspomnień, obcych koncepcji i pomysłów Finna, strzępy obrazów wyniesionych z tamtej planety stanowiącej uosobienie Zła, stale wpływały na powierzchnie absorbując uwagę Blaine a.

I nagle, gdy po raz tysięczny odrzucił ów brud, w oślepiającym rozbłysku zrozumienia znalazł to, czego szukał - zagarnął łapczywie ową wiedzę. Pomimo całego obrzydzenia jakie do niej czuł, mimo zła emanującego z niej,

przyswoił sobie świadomość Lamberta Finna. Albowiem to, czego szukał, zawierało się nie w jasnej i czystej wiedzy, którą obdarzyła go Różowa Istota, a właśnie w owej masie plugastwa, które ukradł Finnowi wraz z jego świadomością.

Było to wstrętne i przerażające. Obca wiedza, mająca swój początek na owej planecie, z której Lambert Finn powrócił szalony. Badając ową wiedzę, Blaine pojął mechanizm tego, czego musiał dokonać, co miało mu przynieść ocalenie. Pojął to, co napełniło Finna grozą i poczuciem winy, pogrążając tego człowieka w nienasyconej nienawiści.

Gdyż Blaine zrozumiał w tej chwili to samo, co pojął Finn: że gwiazdy stoją otworem przed człowiekiem, stoją otworem przed wszelkim życiem we wszechświecie. Była to koncepcja niezwykle głęboka, wspaniała, lecz Finn - wytrącony z równowagi - pojął z niej tylko jedno: że Ziemia również stoi otworem przed wszelkimi planetami i zamieszkującymi je istotami, które zdobyły ową wiedzę i umiejętność dostania się tutaj. Dojrzał tylko jeden aspekt zagadnienia. Nie zastanowił się, że inne rasy mogą użyć tych informacji w celach dobrych i szlachetnych, że ta wiedza w rękach Człowieka otwiera przed nim największe możliwości i perspektywy, ujrzał to jako potężny most łączący na trwałe jego rodzimą planetę z innymi światami. Lecz owe światy w pojęciu Finna miały uosabiać zło. Całe swe siły skierował więc na to, by zerwać kontakt Ziemi z Gwiazdami, zburzyć ów most. Postanowił pchnąć rodzimą planetę w małość, postanowił ogołocić Ziemię z dewiatów i wytrącić broń z dłoni Fishhooka.

Czytając w myślach Finna jak z otwartej księgi, Blaine zrozumiał motywy jego działania: jeśli Ziemia pozostanie w ukryciu, jeśli nie będzie na siebie zwracać uwagi wszechświat może po prostu przeoczyć Ziemię. Wtedy ludzie pozostaną bezpieczni od zła idącego z Gwiazd.

Lecz bez względu na to, czy Finn miał słuszność czy też nie, Blaine posiadał wiedzę o tym jak przebyć wszechświat nie narażając na zagładę swego kruchego ciała.

Teraz pozostała mu tylko do wykonania jedna czynność: odnalezienie stosownej planety o odpowiedniej atmosferze i warunkach zewnętrznych, odkrycie miejsca, w których człowiek mógłby żyć. Ponownie wniknął w głąb swej świadomości i odnalazł natychmiast tysiące różnorodnych planet, na których była już ongiś Różowa Istota. Żadna z nich jednak nie odpowiadała wymaganiom ludzkiego organizmu. Powoli zaczęła w Blainie narastać obawa, potem strach, w końcu przerażenie, że w całym wszechświecie nie znajdzie odpowiedniego miejsca.

Ryk burzy dotarł nagle do niego ze zdwojoną siłą, wyrywając ze skupienia. Człowiek poczuł; że jest straszliwie zziębnięty, o wiele bardziej niż sądził. Chciał poruszyć nogami, co udało mu się dopiero po kilku próbach. Potężne podmuchy wiatru wstrząsały jego ciałem, śnieg osiadający na twarzy już nie topniał - skóra była prawie tak samo chłodna, jak śnieg.

Natężając całą siłę woli odwrócił uwagę od wiatru, śniegu i chłodu, od wstrząsających nim dreszczy i szczękania zębami... i odnalazł planetę, której szukał.

Dwukrotnie sprawdził dane o panujących tam warunkach, a gdy kontrola za każdym razem wypadła zadowalająco, wrył sobie w świadomości dane kosmograficzne owego świata. Powoli, krok za krokiem, przyswoił sobie wiedzę, jak dokonać owego skoku przez czas i przestrzeń.

I oto rozbłysło ponad nim gorące słońce.

Leżał na brzuchu na cudownie miękkiej i zielonej trawie, upajając się jej zapachem, upajając się wonią owej planety do złudzenia przypominającej Ziemię. Znikł ryk wiatru i skrzyp śniegu. Odwrócił się i usiadł.

Wciągnął w płuca potężny haust orzeźwiającego powietrza i rozejrzał się.
Był w raju.

. 32 .

Minęło już południe i słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba, kiedy Blaine kroczył zamaszystym krokiem po stromym stoku wzgórza piętrzącego się ponad Hamilton. Ziemia była rozmiękła po pierwszej w tym roku burzy śnieżnej i stopy człowieka ślizgały się na stromym, błotnistym podłożu:

Niewiele brakowało bym nie zdążył - myślał Blaine spoglądając w niebo. Kiedy słońce schowa się za górami, zacznie się Halloween.

Zastanawiał się przez moment, do ilu dewiatów zdołają dotrzeć mieszkańcy Hamilton. Miał nadzieje, że do wielu. Ci będą mieli szczęście. Oni zagarną główną pulę w szaleńczej grze, którą Blaine rozpoczął pomyślał jeszcze o jednym, o słowach starego kapłana: Palec Boży dotknął twego serca.

Był pewien, że pewnego dnia świat się zatrzyma i spoglądając wstecz zdziwi się szaleństwem tych dni, zaślepieniem, głupotą i nietolerancją. Będzie to dzień pokuty. Dzień oczyszczenia i odkupienia win. Dzień powrotu do zdrowych zmysłów. Tego dnia Kościół w Rzymie pojmie, że zdolności parapsychiczne nie są oznaką czarów czy hochsztaplerstwa, lecz naturalną kolejną rzeczą w procesie rozwoju rasy ludzkiej, darem otrzymanym z łaski Boga. Nadejdzie dzień, w którym znikną wszystkie granice i bariery społeczne i ekonomiczne - dzielące dewiatów od zwykłych ludzi. Jeżeli oczywiście istnieć jeszcze będą ludzie o niewykształconych zdolnościach paranormalnych. Wówczas też zniknie Fishhook, a nawet być może, sama Ziemia stanie się zbędna, a światem Człowieka staną się Gwiazdy.

Bo on, Blaine, znalazł wreszcie rozwiązanie. Wcale nie musiał iść do Pierre, by je odkryć. Został zmuszony (być może właśnie przez ów Palec Boży) do tego, by znaleźć rozwiązanie.

Sposób, który odkrył, jest stokroć lepszy od metody, którą wybrał Stone, takiej techniki nie posiadał nawet sam Fishhook. Odkrycie Blaine a

przyniosło w konsekwencji największy jak dotąd triumf Człowieka: Człowiek stał się absolutnym władcą siebie i wszechświata.

Stok się skończył i Blaine stanął u stóp wzgórza. Dalej prosta już ścieżka wiodła do samego Hamilton. Na niebie przewalało się jeszcze kilkanaście ciemnych, postrzępionych chmur, a ścieżkę pokrywały duże, błotniste kałuże i grudy rozmięklej ziemi. Mimo że słońce lśniło pełnym blaskiem, wiatr niósł ze sobą przenikliwy, dojmujący chłód.

Gdy Blaine wkroczył między zabudowania miasteczka, przed sobą, w perspektywie ulicy dojrzał zgromadzony na placu przed sklepem tłum. Ludzi zebrało się nadszpodziewanie dużo, wylegli chyba wszyscy mieszkańcy Hamilton. U wlotu ulicy na plac zatrzymał się. Tłum zafalował, umilkł i zamarł w bezruchu. Blaine starał się dojrzeć w tłumie twarz Anity, ale nie odnalazł jej. Na stopniach tego samego sklepu stała ta sama, co poprzednim razem, czwórka mężczyzn. Przed nimi to zatrzymał się Blaine.

- Dzień dobry - odezwał się pierwszy.

- Słyszeliśmy jak pan nadchodzi - mruknął w odpowiedzi Andrews.

- Nie udało mi się dotrzeć do Pierre. Spodziewałem się uzyskać tam pomoc. Ale burza zaskoczyła mnie na rzece.

- Zablokowali nam linie telefoniczne - wtrącił Jackson. - Ale w zamian użyliśmy dalekosiężnej telepatii i zdołaliśmy nawiązać kontakt z paroma skupiskami naszych. Obiecali posłać tę wiadomość dalej. Ale nie wiemy, jak daleko dotarli.

- Ani czy w ogóle im się to udało - dodał Andrews.

- Czy wasi telepaci mogą nawiązać z nimi ponownie kontakt? Andrews twierdząco skinął głową.

- Poza tym nikt z ludzi Finna nie pojawił się u nas - głuchym tonem odezwał się Jackson. - To nas najbardziej niepokoi. Finn popadł w kłopoty...

- Powinni już tu dawno być idąc pańskim tropem - dodał Andrews. - Powinni już tu dawno być i przewrócić Hamilton do góry nogami.

- Być może wcale im na mnie nie zależy - odparł beztrąsko Blaine.

- Albo pan jest kimś innym, niż się podaje - zimno, mrużąc drapieżnie oczy dodał Jackson. Tego już było za wiele.

- To idźcie wszyscy do diabła i niech was piekło pochłonie! - ryknął Blaine tracąc wszelką miarę. - To ja dla was mało życia nie straciłem... Niech was piekło pochłonie, a ludzie zeżrą! Sami sobie radźcie! Sami się ratujcie!

Przepełniony gniewem i żalem, odwrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem w kierunku, z którego przed chwilą nadszedł.

Nie walczył przecież dla siebie. On się tutaj zupełnie nie liczył. Walczył dla nich. Bo Stone, bo Rand i Harriet, bo stary kapłan, który podążał za nim przez pół kontynentu; dla nich właśnie, dla nich podjął ową trudną i ryzykowną grę. A także dlatego, że w nim samym coś się złamało, coś nowego się narodziło, coś, czego nie znał, a nie umiał jeszcze zdefiniować, nie podejrzewał dotąd nawet istnienia tego. Było w tym jakieś szalone i zwariowane marzycielstwo, wstręt do brudu i zbydlęcia, głębokie poczucie zwykłej sprawiedliwości, nienawiść do bigotów i wypranych z wszelkich uczuć, zimnych jak stal, reformatorów.

Przyszedł do tej cholernej wiochy z darem, z królewskim darem. Spieszył się, by podzielić się nim z innymi niczego w zamian nie pragnąc. A oni stoją i ubliżają mu, podważają jego dobrą wolę i uczciwość.

A więc niech ich piekło pochłonie.

Ciężko walczył. Jak ciężko, wie tylko on sam. Wie, ile przecierpiał, ile poniósł ofiar. Niech sobie radzą sami. Miał jeszcze jedną rzecz do spełnienia. Pójdzie i to zrobi. A potem nic już nie będzie miało znaczenia. Ani dla niego, ani dla nikogo.

- Shep!

Udał, że nie słyszy. Oddalał się szybkim krokiem.

- Shep!

Zatrzymał się i obejrzał za siebie.

Z milczącego tłumu wysunęła się Anita.

- Nie! - rzekł twardo, z zaciętością w głosie.

- Shep, ależ są jeszcze inni, nie tylko ta czwórka - rzekła dobitnie dziewczyna. - Cała reszta nas. My cię wysłuchamy.

Rzeczywiście. Anita miała cholerną rację. Prócz tych czterech byli jeszcze inni. Anita i cała reszta zgromadzonych ludzi. Kobiety i dzieci. Wszyscy ci bezimienni, pozbawieni znaczenia i autorytetu, jaki posiadała tamta czwórka stojących nieruchomo na schodach mężczyzn. To tamci go skrzywdzili. Tamci, mający autorytet. Nie ci, wmieszani w tłum. To tylko powaga tamtej czwórki i jej wielkie o sobie mniemanie spowodowały, że mężczyźni ci przestali już być ludźmi, że stali się - podobnie jak Fishhook - zimni, bezlitośni, nieczuli.

Ale co winni są ci żałośni, przestraszeni; pozbawieni wszelkiej nadziei dewiacy tłoczący się na placu. Cóż oni są winni? Ze względu na nich Blaine powinien jednak odrzucić dumę i zapomnieć o obeldze.

- Nie udało ci się - powiedziała znów Anita. - Przykre, ale my od samego początku nie wierzyliśmy w powodzenie twych zamierzeń. Spróbowałeś a nam to wystarczy.

Blaine popatrzył niemo na tłum, postąpił krok do przodu, w stronę dziewczyny.

- Ależ nie, wręcz przeciwnie. Udało mi się nadspodziewanie dobrze.

Tłum zafalował i poprzedzany przez Anitę postąpił kilka kroków do przodu. Zatrzymał się, lecz Anita szła dalej. Stała przed Blaine'em.

- Gdzie byłeś? - spytała cichym, niskim głosem. - Cześć z nas wyległa nad rzekę. Znaleźliśmy puste i uszkodzone czółno.

Blaine wyciągnął rękę, położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie popchnął dziewczynę tak, by stanęła obok niego.

- Powiem ci. Ale za chwilę. Co to są za ludzie? - wykonał głową ruch w kierunku milczącego zgromadzenia.

- Dewiaci - odrzekła z prostotą dziewczyna. - Przerażeni ludzie, którzy stracili już wszelkie nadzieje.

Tłum, który w czasie tej wymiany zdań zbliżył się na odległość dwunastu

stóp przystanął, a na jego czoło wysunął się jakiś mężczyzna.

- Pan jest człowiekiem Fishhooka?

- Byłem człowiekiem Fishhooka - sprostował Blaine. - Ale już nie jestem.

- Jak Finn?

- Tak, jak Finn - warknął Blaine, czując znów podchodzący mu do gardła gniew.

- Jak również i Stone - krzyknęła Anita. - Stone też był człowiekiem Fishhooka.

- Boicie się mnie - rzekł stłumionym głosem Blaine, opanowując narastającą w nim złość. - Boicie się mnie, boicie się Finna, boicie się całego świata. Ale ja odkryłem miejsce, w którym nie będzie strachu. Odkryłem nowy świat i, jeśli tylko chcecie, jest on wasz.

- O jakim świecie pan mówi? Czy ma pan na myśli jedną z tych obcych planet?

- Świat taki sam jak Ziemia, a nawet lepszy. Właśnie powracam stamtąd...

- Ależ pan przyszedł z gór. Widzieliśmy wszyscy jak pan...

- Zamknijcie gęby, durnie! - wrzasnęła Anita. - Dajcie mu powiedzieć.

- Odkryłem sposób - kontynuował Blaine - odkryłem lub wykradłem - nazwijcie to sobie jak chcecie sposób, by każdy człowiek mógł osiągnąć gwiazdy. Bez maszyny gwiazdnej, bez Fishhooka. Może się tam dostać nie tylko umysłem, ale razem z ciałem. Tam właśnie byłem ostatniej nocy i stamtąd wróciłem dzisiaj rano. Nie potrzeba żadnej maszyny, musicie tylko pojąć o co chodzi.

- Ale skąd możemy mieć pewność...

- Znikąd. Musicie mi uwierzyć i zaryzykować - odparł zimno Blaine.

- Ależ nawet Fishhook...

- Od ostatniej nocy Fishhook stał się zbędny. Nie potrzebujemy już dłużej jego usług. Sami możemy osiągnąć najdalsze nawet gwiazdy. Nie potrzebujecie żadnych maszyn. Potrzebujecie wyłącznie swych umysłów. Jest to największe i najwspanialsze zwycięstwo ludzi obdarzonych umysłem

paranormalnym. Maszyny spełniały zaledwie rolę protezy, wspomagały niedostatecznie rozwinięte - umysły. Te już nie potrzebujemy protez.

Z tłumu wysunęła się kobieta o wychudzonej twarzy.

- Niech pan na chwile przerwie swoją przemowę - rzekła patrząc przenikliwie na Blaine'a. - Pan powiedział, że istnieje planeta...

- Tak, jest taka planeta.

- I może nas pan tam zabrać.

- Nie musze. Możecie się tam dostać o własnych siłach.

- Pan jest jednym z nas, młody człowieku. Ma pan uczciwą twarz. Pan nas nie okłamuje?

- Nie, słowo honoru, że nie - roześmiał się Blaine.

- A więc proszę powiedzieć, jak się tam dostać. Na te planetę.

- Czy można zabrać ze sobą dobytek? - wykrzyknął ktoś z tłumu.

- Nie za dużo - otrząsnął głową Blaine. - Matka może zabrać dziecko trzymając je na rękach. Można załadować plecak i założyć sobie na plecy. Można powiesić torbę na ramieniu. Można wziąć widły czy siekierę.

- Ale przecież musimy się zastanowić nad wszystkim - zabrał głos jakiś mężczyzna z tłum - Musimy ustalić, co zabrać. Przecież będziemy tam potrzebowali wielu rzeczy. Żywności, ziarna na siew, ubrania, narzędzi...

- Możecie w każdej chwili wrócić po więcej - przerwał mu Blaine. - To żaden problem.

- W takim razie, na co pan czeka? - odezwała się chuda kobieta. - Czemu pan nie mówi nam, jak się tam dostać sir?

- Jeszcze tylko jedno - przerwał jej gestem dłoni Blaine. - Czy są tutaj dalekosiężni telepacji?

- Jestem jedną z nich - odezwała się chuda kobieta. - Ja i ta tutaj Myrtle. Jim, tam w tłumie oraz...

- Musicie więc potem informacje przekazać innym ilu tylko zdołacie A ci z kolei niech przekazują wieść dalej. Musimy uchylić te wrota, dać możliwość ratunku i ocalenia tak wielu ludziom, ilu tylko będzie możliwe.

- Proszę się o to nie martwić. Niech pan tylko powie jak tego dokonać.

Pośród zebranych przeszedł szmer i tłum otoczył naraz Blaine'a i Anitę zwartym pierścieniem.

- No, dobrze - sapnął Blaine. - Zaczynam projekcje. Czuł, jak jego świadomość zespala się ze świadomością tych ludzi, jak oni i on stają się jednym, wspólnym umysłem, wspólną świadomością.

Tutaj, w tym kręgu, wiele umysłów stało się naraz jednym. Jedna wielka, zespolona świadomość przepełniona ludzkim ciepłem i życzliwością, miłością jednego człowieka do drugiego, do innych, do wszystkich. I było to jak delikatny i upojny zarazem zapach wiosennego bzu i wieczornej mgły nadciągającej od rzeki, tysięczne barwy jesieni, gdy wzgórza stoją w złocistym ogniu pożółkłych liści, gdy w powietrzu snują się sennie pasma babiego lata. Był tam trzask smolnych szczap płonących na kominku i senne pomrukiwanie psa wylegującego się w ciepłe ognia. Ciche zawodzenie jesiennego wiatru dobiegające spod okapu komina. Był klimat dziecięcego świata i domu rodzinnego, serdecznej przyjaźni, cudownych poranków i cichej zadumy wieczoru, dźwięk dzwonów kościelnych niesiony wiatrem ponad szczytami wzgórz.

Mógłby tak stać długo wsłuchany w te odgłosy, ale odepchnął je. Musi działać.

- TUTAJ MACIE WSZELKIE KOORDYNATY KOSMOGRAFICZNE PLANETY, NA KTÓRĄ ODEJDZIECIE - przekazał im.

Podał im to wszystko dwukrotnie, aby mogli sobie dokładnie wyryć w świadomości, żeby nie popełnili żadnego błędu.

- TERAZ POWIEM WAM, JAK DOKONAĆ SKOKU.

I wrzucił im wprost w umysły ową obrzydliwą wiedzę i czekał, aż się z nią oswoją. A następnie, krok za krokiem, uczył ich metody i techniki skoku, chociaż było to już właściwie zbędne, bo jeśli ktoś raz nabył samą wiedzę, wszystko inne stawało się jasne samo przez się.

I znów, jak za pierwszym razem, powtórzył im projekcje dwukrotnie.

Wtedy ucisk ich umysłów zelżał, a on cofnął się, stając obok Anity. Rozejrzał się po twarzach spoglądających nań w pełnym przerażenia zdumieniu.

- CO SIĘ DZIEJE? - spytał Anitę zaniepokojony.

- TO BYŁO PO PROSTU KOSZMARNE - wzdrygnęła się dziewczyna.

- OCZYWIŚCIE, ALE WIDZIAŁEIM WIELE GORSZYCH RZECZY.

- Bo to rzeczywiście było okropne i w tym tkwiło źródło odrazy tych ludzi do wiedzy, którą im Blaine udostępnił. To prawda; on widział wiele gorszych rzeczy, ale oni nie. Oni przeżyli swe życie tutaj, na Ziemi i nie znali pomysłów i koncepcji pochodzących z innych światów, nawet o nich nie słyszeli. A teraz po raz pierwszy bezpośrednio z czymś takim się zetknęli. Jemu, oswojonemu z obcym nie wydawało się to tak potworne jak im. Wiele rzeczy pochodzących z gwiazd mogło, z punktu widzenia Ziemi, budzić największą grozę i obrzydzenie, lecz obiektywnie - z punktu widzenia obcego umysłu stanowiło fakt całkiem normalny. Dla mieszkańców Hamilton było to po prostu szokująco odmienne.

- CZY ONI WYKORZYSTAJĄ TO? - spytał Blaine.

- PODSŁUCHAŁAM CIĘ, MŁODY CZŁOWIEKU - wtrąciła się chuda kobieta. - SPOSÓB JEST WSTRĘTNY, PRYZNAJĘ, ALE UŻYJEMY GO. CÓŻ NAM INNEGO POZOSTAJE?

- MOŻECIE POZOSTAĆ NA ZIEMI.

- ZASTOSUJEMY TO! - powtórzyła zdecydowanie kobieta.

- I POWIADOMICIE INNYCH.

- POSTARAMY SIĘ. ZROBIMY TO NAJLEPIEJ, JAK POTRAFIMY.

Ludzie zaczęli się w milczeniu rozchodzić. Zaszokowani i zawstydzeni. - A TY? - spytał Anitę Blaine.

Odwróciła się powoli, stając do niego przodem, patrząc mu w twarz.

- MUSIAŁEŚ TO ZROBIĆ, SHEP. INNEGO WYJŚCIA NIE BYŁO. ALE NAWET SOBIE NIE WYOBRAŻASZ, JAK TO NIMI WSTRZAŚNĘŁO.

- NIE WYOBRAŻAM SOBIE. ZBYT DUŻO OBCOWAŁEM Z OBCYMI RZECZAMI, BY ZROZUMIEĆ W PEŁNI CZYJAŚ NIECHEĆ I ODRAŻĘ DO NICH. POZA TYM SAM JESTEM CZĘŚCIOWO OBCY. NIE JESTEM CAŁKOWICIE CZŁOWIEKIEM...

- CICHO, NIC NIE MÓW - szepnęła, zbliżając twarz do jego twarzy. - DOBRZE WIEM, KIM JESTEŚ. - JESTEŚ O TYM PRZEKONANA, ANITO?

- CAŁKOWICIE.

Wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. Zaglądając jej w twarz, zobaczył, że uśmiecha się miękko przez łzy.

-Musze już iść - odezwał się nienaturalnie grubym głosem. - Pozostało mi jeszcze coś niecoś do zrobienia.

- Lambert Finn? Pokiwał milcząco głową.

- Nie rób tego. Nie możesz tego zrobić.

- Myślimy o czym innym - odparł. - Chociaż, Bóg świadkiem, chciałem to zrobić. Chciałem go zabić. Ale teraz już ni chce.

- Ale czy to... to bezpieczne... byś tam wracał?

- Nie wiem. To się okaże. Ale musimy zyskać trochę czasu. A tylko ja mogę go od Finna wytargować. Jestem jedynym człowiekiem, którego się boi.

- Gdybyś potrzebował samochodu...

- Bardzo mi się przyda.

- Opuścimy Ziemię zaraz po zapadnięciu zmierzchu. Czy wrócisz do tego czasu?

- Nie wiem - odparł otwarcie.

- Czy wrócisz, by polecieć z nami? Czy wrócisz by nas poprowadzić?

- Anito, zrozum. Nie mogę niczego obiecać. Nie wymagaj tego ode mnie.

- A jeśli odlecimy bez ciebie, czy przybędziesz do nas?

Bezradnie wzruszył ramionami.

Na to pytanie nie potrafił dać odpowiedzi.

. 33 .

Sala recepcyjna hotelu była pogrążona w ciszy i niemal pusta. Jeden gość drzemał w fotelu, drugi czytał przy stoliku gazetę. Za biurkiem tkwił znudzony recepcjonista i gapiąc się bezmyślnie przez okno, wyginał sobie lewą dłońią końce palców prawej ręki.

Blaine szybko przeszedł hall i wkroczył w krótki korytarzyk wiodący w stronę schodów. Chłopak obsługujący windę tkwił w plecionym fotelu obok otwartej kabiny. Na widok Blaine a wyraźnie się ożywił.

- Na górę, sir? - spytał wstając.

- Daj sobie spokój, bracie. Pójdę piechotą.

Odwrócił się i rozpoczął wspinaczkę po schodach, czując jednocześnie jak biegnący po plecach dreszcz emocji jeży mu włosy na głowie i wywołuje gęsią skórkę. Rozpoczął niebezpieczną grę. Stawką w niej mogło być nawet jego życie.

Ale musi zaryzykować.

Chodnik pokrywający kamienne stopnie schodów skutecznie głużył jego kroki. Posuwał się w zupełnej ciszy mącąc ją jedynie głośnym, podekscytowanym oddechem.

Gdy stanął na drugim piętrze rozejrzał się uważnie w obie strony korytarza. Nic się tu nie zmieniło od czasu jego poprzedniej bytności a strażnik tkwił na swoim zwykłym miejscu. Słyszac kroki Blaine'a odwrócił się w jego stronę i czekał. Gdy Blaine się zbliżył, odezwał się pierwszy.

- Niestety, nie mogę teraz pana wpuścić. Finn zabronił wpuszczać kogokolwiek. Śpi.

- Słyszałem, że ma wielkie kłopoty - odparł, zniżając głos Blaine.

- Kłopoty! - parsknął stłumionym głosem strażnik. I nachylając się w stronę Blaine a, dodał konfidenjonalnym szeptem:

- Nigdy nie widziałem człowieka w takim stanie. Co się mogło stać?

- Dobrze sobie! Czary! To wszystko te cholerne czary.

- Tak, zapewne - odarł z lekkim wahaniem w głosie ochroniarz. - Ale był zupełnie normalny, gdy przyszedł pan po raz pierwszy. Potem panowie wyszli razem. Gdy wrócił, też był zupełnie normalny. - No właśnie. Nie zauważyłem wówczas w nim żadnych oznak świadczących o tym, że ma kłopoty.

- Przecież mówię panu wyraźnie. Gdy wrócił, był jeszcze całkiem normalny. To się stało godzinę czy dwie później. A w tym czasie już nikt tam nie wchodził. Dopiero ja zajrzałem by spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Siedział bez ruchu za biurkiem i wpatrywał się w drzwi tak strasznym wzrokiem, że aż się przestraszyłem. Mówiłem do niego, ale on wcale mnie nie słyszał. Nawet mnie nie zauważył.

- Może był tak głęboko zamyślony.

- Ba, ja też tak myślałem. Ale potem przyszedł następny dzień. Wczorajszy. Przed tą starą wozownią zebrał się tłum mieszkańców miasta i ci dziennikarze, do których miał przemawiać Finn. Kiedy weszli o środka, gdzie przechowywano maszynę gwiazdną ..

- Nie byłem tam osobiście, ale słyszałem o wszystkim - pokiwał głową Blaine. - To musiał być rzeczywiście szok.

- Myślałem, że padnie trupem na miejscu. Zrobił się purpurowy na twarzy...

- A co by pan powiedział, gdybyśmy tak zajrzeli do niego razem? - spytał Blaine, przerywając potok wymowy strażnika. - Jeśli śpi, wycofamy się na palcach. Ale może się już obudził. Mam do niego bardzo ważną sprawę.

- Dobra, czemu nie? - strażnik niespodziewanie łatwo zgodził się na propozycje Blaine'a. - Wizyta przyjaciela może mu nawet sprawić przyjemność.

A więc był to dzień wypłaty - pomyślał Blaine. Dzień łapówki. Finn nic nie wspomniał o mnie. Nie odważył się. Pozwolił, aby wszyscy uważali mnie za jego przyjaciela. To zresztą zrozumiałe. Chroniąc nie, chronił jednocześnie

samemu sobie. To dlatego nie urządził obławy dlatego nie wyrzucił Hamilton do góry nogami w poszukiwaniu mnie. Jego milczenie było łapówką dla kogoś, kto poznał jego straszną tajemnicę. Milczenie to haracz dla szantażysty, którym w przekonaniu Finna był Blaine.

Był to dzień wypłaty albo... pułapka. Czuł, jak tężeją mu wszystkie mięśnie, jak rośnie w nim napięcie, które starał się za wszelką cenę zdusić w sobie.

Strażnik dźwignął się z krzesła i sięgnął po klucze.

- Hej, proszę chwileczkę poczekać - rzekł Blaine. - Zapomniał pan sprawdzić czy nie mam broni.

- Nie ma potrzeby - strażnik wyszczerzył zęby. - Poprzednim razem był pan czysty. Wyszliście wtedy razem pod rękę. Zresztą Finn powiedział mi potem, że jest pan jego starym przyjacielem, którego nie widział od lat.

Otworzył kluczem zamek i nacisnął klamkę.

- Pójdę pierwszy i zobaczę, czy nie śpi - mruknął.

Otworzył delikatnie drzwi i wszedł na palcach do przedpokoju. Blaine postępował tuż za nim. Strażnik prawie natychmiast stanął tak gwałtownie, że Blaine nie zdążył zatrzymać się i z impetem wpadł na jego szerokie plecy.

Ochroniarz wydał z siebie stłumiony jęk.

Blaine silnym ruchem ramienia odsunął go ze swej drogi i wszedł do pokoju. Na ziemi, w strasznej, nienaturalnej pozycji, leżał Finn.

Ciało miał skręcone jakby ktoś z niewiarygodną siłą ujął Finna jedną ręką za kark a drugą za stopy i przekręcił w przeciwnych kierunkach. Rysy twarzy stężyły w upiornym grymasie jakby człowiek ów w ostatnich chwilach życia ujrzał ogień piekielny i poczuł smród palonych przez całą wieczność ciał. W świetle płonącej na biurku lampy, jego ciemne ubranie lśniło w jakiś niesłychanie obleśny sposób. A na dywanie, wokół jego głowy i klatki piersiowej rozlewała się szeroka ciemna plama. Lecz najbardziej przerażający widok stanowiła szyja Finna, rozcięta szeroko okropnym ciecieniem noża.

Strażnik stał cały czas w tym samym miejscu, a z gardła wydobywał mu się ni to jęk, ni szloch. Blaine, który zbliżył się do zwłok, dostrzegł, że trup trzyma w dłoni narzędzie, które zadało śmierć: w zaciśniętych kurczowo palcach pobłyskiwała błękitną stalą staroświecka brzytwa, wykradziona prawdopodobnie z jakiegoś muzeum.

I jednocześnie Blaine wiedział, że jego plany zawiodły. Nie było już mowy o jakimkolwiek zawieszeniu broni, o pojednaniu. Lambert Finn był w tej chwili ponad to.

Finn należał do ludzi surowych, zarówno dla innych, jak i dla samego siebie. Droga, którą wybrał, śmierć, którą sobie zadał stanowiła chyba najtrudniejszą decyzję jaką podjął w swym życiu.

Lecz mimo to - myślał Blaine patrząc chłodnymi oczyma na rozdarte gardło trupa - gra nie była warta świeczki, nie była warta tak drastycznego, tak okrutnego czynu jak owa brzytwa wysuwająca się teraz z bezwładnych palców.

Tylko człowiek przepełniony nienawiścią mógł tego dokonać, człowiek chory umysłowo, opętany nienawiścią do samego siebie, czujący wstręt do tego, kim się stał.

Nieczysty. Nieczysty i skażony obcą świadomością wepchniętą w jego czaszkę. To rzeczywiście mogło człowieka takiego jak Finn pchnąć w objęcia śmierci. Kapryśny fanatyk opętany ideą, która mogła zrodzić się tylko w jego chorym mózgu, ideą stanu doskonałego, nie potrafił żyć z obcą, tajemniczą świadomością wepchniętą pod jego czaszkę.

Blaine odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. W korytarzu spotkał słaniającego się na nogach, mamroczącego coś pod nosem, sinobladego strażnika.

- Niech pan tu zostanie - odezwał się ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, Blaine. - Zawiadonię gliny.

Strażnik spojrzał Blaine'owi w twarz. W oczach lśniły mu ogniki szaleństwa. Pocierał lekko palcami brodę.

- Mój Boże - wyszeptał. - Czy widział pan kiedykolwiek...

- Proszę tu siadać i czekać na mnie - Blaine lekko pchnął go w kierunku krzesła. - Za chwile wrócę.

Lecz wiedział, że nie wróci. Dewiaci już teraz muszą opuścić Ziemię. A do tego potrzeba czasu. Sporo tego czasu minie, nim strażnik otrząśnie się. Ten czas jest jedyną rezerwą, jaką dysponuje Blaine. Gdy strażnik wróci do siebie, gdy rozniesie się wieść o Finnie, otworzą się bramy piekła.

Boże, czuwaj nad dewiatem, którego pochwyca dzisiaj nocy - zbielełymi wargami szepnął Blaine.

Przebiegł szybko korytarz i zbiegł po schodach. Zdecydowanym krokiem przeszedł hol i sięgnął ręką do klamki wyjściowych drzwi. W tej samej chwili ktoś inny pchnął je mocno z drugiej strony i do środka wbiegła kobieta. Po kamiennej posadzce głośno potoczyła się torebka, która wypadła jej z ręki. Blaine wyciągnął dłoń zatrzymując gwałtownie kobietę.

- HARRIET! NATYCHMIAST STĄD UCIEKAJ! UCIEKAJ! - ALEŻ MOJA TOREBKA!

- Błyskawicznie schylił się i podniósł zgubiony przez nią przedmiot. Prostując się, dostrzegł w otwartej torebce ciemny, ciężki przedmiot. Chwycił go natychmiast drugą dłonią i schował do kieszeni kurtki.

Zdezorientowana Harriet zakręciła się w miejscu, ale czujny Blaine chwycił ją za łokieć, zmuszając do szybkiego marszu. Wyszli na zewnątrz.

Dotarli do jego samochodu. Szybko otworzył drzwiczki i wepchnął dziewczynę do środka. - ALEŻ SHEP! TAM OBOK MAM ZAPARKOWANY SAMOCHÓD...

- NIE MAMY CHWILI DO STRACENIA. MUSIMY ZNIKAĆ STĄD JAK NAJSZYBCIEJ.

Potyając się obiegł wokół samochód i usiadł za kierownicą. Zwolnił hamulce i wyprowadził pojazd na ulicę. W tłoku posuwali się o wiele wolniej, niż Blaine by sobie tego życzył. Skierował pojazd w stronę autostrady mijając po drodze zgliszczą Punktu Handlowego.

Na autostradzie dopiero spostrzegł, że wciąż na ramieniu trzyma torbę Harriet. Oddał ją dziewczynie.

- Po co ci była potrzebna spluwa? - spytał nie patrząc na nią.

- Chciałam go zabić! - krzyknęła. - Chciałam go zastrzelić! - To już nie ma znaczenia. Nie żyje.

Kątem oka dostrzegł, że obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

Ty!?

- Można to i tak określić.

- Shep, gdybyś ty go nie zabił, to on ciebie...

- W porządku - odparł. - Zabiłem go.

I nie było to wcale kłamstwo. Nieistotne czyja ręka pozbawiła życia Lamberta Finne. Naprawdę zabił go Shepherd Blaine.

- Ja miałem przynajmniej powód - odezwał się. - Ale ty?

- On zabił Godfreyę. Mnie to wystarczyło.

- Kochałaś Godfreyę.

- Tak... chyba tak: To był wielki człowiek, Shep.

- Wiem jaki był. Przyjaźniliśmy się.

- Oh, Shep! Oh, Boże! - Harriet straciła nagle cały swój spokój. Wybuchnęła stłumionym płaczem.

- Ale tamtej nocy... - Blaine obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

- Tamtej noc nie było miejsca na łzy. Nie ma zresztą nigdy czasu na łzy - krzyknęła.

- I wiedziałaś o tym wszystkim...

- Od dawna. Od samego początku. To było moje zadanie..

Wyjechali z miasta i skręcili w lewo, kierując się w stronę Hamilton. Słońce już zaszło, zapadł zmierzch i po wschodniej stronie nieba, ponad prerią, lśniła jasno pierwsza gwiazda.

- A teraz? Co teraz? - spytał cicho.

- Musze to napisać. Napisać najlepiej jak zdołam.

- Chcesz opisać - mruknął w zamyśleniu Blaine. - Ale czy ci to puszczą?

- Nie wiem. Ale muszę napisać. Chyba to sam rozumiesz. Pojadę do Nowego Jorku...

- Mylisz się - odparł twardo Blaine - Nie do żadnego Nowego Jorku ale do Fishhooka. I nie samochodem. Z najbliższego lotniska...

- Jak to...

- Dlatego, że to zbyt niebezpieczne. Niebezpieczne dla kogoś, kto jest dewiatem. Nawet tak słabym telepatą jak ty. Tylko w Meksyku, u Fishhooka będziesz bezpieczna.

- Nie mogę tego zrobić, Shep. Ja...

- Posłuchaj mnie, Harriet. Finn zamierzał wykorzystać noc Halloween do masowego wytępienia dewiatów. Dotarłem do niektórych i oni próbowali powstrzymać innych od wzięcia udziału w tych zabawach. Częściowo im się to udało. A cokolwiek ma się wydarzyć, wydarzy się właśnie dzisiejszej nocy. On chciał w ten sposób podburzyć opinie publiczną, wyrzucić silniejszą presję na ludzi i zaostrzyć postępowanie w stosunku do dewiatów. Oczywiście, nie obyłyby się to bez gwałtów, aktów przemocy, a nawet zabójstw. Lecz nie miałyby to wielkich rozmiarów. Taki był plan Finna. Ale teraz, wraz z jego śmiercią...

- Zetrą nas z powierzchni ziemi - dokończyła jego myśl Harriet.

- Tak - skinął głową Blaine. - Istnieje jednak sposób...

- I ty, wiedząc o tym zamordowałeś Finna?

- Posłuchaj Harriet. Ja go nie zabiłem. Poszedłem do niego, by zawrzeć z nim układ. Wynalazłem osób, by zabrać wszystkich dewiatów z Ziemi. Chciałem mu obiecać, że uwolnię od nich Ziemię. W zamian chciałem wytargować nieco czasu. Niedużo. Tydzień lub dwa...

- A jednak zabiłeś go.

- Być może. Powiem ci to lepiej myślami. Więc gdy już będziesz pisać, napiszesz również o tym.

. 34 .

Hamilton było pogrążone w ciszy i ciemności.

Blaine zatrzymał samochód na placu i wysiadł.

Okna domów były ciemne, panowała cisza i z oddali tylko dobiegał miękki, stłumiony szum rzeki.

- Już ich nie ma - odezwał się cicho Blaine.

Harriet, która również wysiadła z auta, przystanęła obok Blaine'a.

- No cóż - odparła. - Dosiądź i ty swego rumaka.

Blaine potrząsnął przecząco głową.

- Musisz, słyszysz. Musisz im towarzyszyć. Ty należysz do nich.

- Być może kiedyś - odparł zamyślony Blaine. - Może kiedyś. Ale nie teraz. Za kilka lat... Jeszcze mam tutaj wiele do zrobienia. Pozostało tu wielu dewiatów; przerażonych, tropionych, ukrywających się. Tylko ja mogę im pomóc. Musze ich wszystkich odnaleźć. Musze ich uratować.... Tylu, ilu zdołam.

- Życia ci nie starczy - roześmiała się gorzko Harriet. - A gdyby nawet, to i tak nie przeżyjesz. Jesteś głównym celem, a ludzie Finna nie spoczną...

- Oczywiście, w ostateczności ucieknę. Nie jestem bohaterem, Harriet. Przeciwnie. Szczerze mówiąc jestem tchórzem.

- Przyrzekasz, że w razie czego uciekniesz? - spytała z naciskiem.

- Daje ci słowo, Harriet. Przysięgam. Ale ty mi w zamian obiecaj, że wrócisz do Fishhooka. Tam dopiero będziesz bezpieczna. Pojedziesz stąd prosto do Pierre, na lotnisko.

Bez słowa odwróciła się i wsiadła do samochodu. Włączyła silnik. Wyjrzała przez okno.

- A ty? Przecież ty również będziesz potrzebował samochodu.

- W Hamilton mogę mieć ich tyle, ile dusza zapragnie - roześmiał się wykonując ręką szeroki gest. Oni ich nie zabrali ze sobą.

Dziewczyna wyprostowała się na fotelu. Oparła dłonie na kierownicy.

- Jeszcze jedno - przerwał cisze Blaine. - Co się z tobą działo, gdy byłem w wozowni?

Roześmiała się ostro, drapieźnie.

- Gdy tylko nadjechał Rand, ruszyłam po pomoc. Chciałam zadzwonić do Pierre. Po ludzi, którzy by pomogli.

- Ale?

- Ale zaczepiła mnie policja i wsadziła do pudła. Wypuścili dopiero rano. Was już nie było. Od tego czasu szukałam cię.

- Dzielna dziewczucha z ciebie - mruknął i w tym momencie dotarł do niego odległy dźwięk wielu motorów samochodowych. Warkot narastał, przybliżał się. Blaine zeszywniał.

- Szybko - syknął. - Wyłącz światła i ruszaj natychmiast. Tamtędy, w poprzek wzgórza. Trafisz na starą szosę prowadzącą na północ.

- Ale co się stało, Shep?

- Nie słyszysz? To warkot samochodów. Nadchodzi obława. Już wiedzą, że Finn nie żyje.

- A ty, Shep?

- O mnie się nie martw. No, już jedź!

- Zobaczymy się?

- Odjeżdżaj, Harriet! Nie ma czasu. I dziękuję. Dziękuję za wszystko. Pozdrów Charline.

- Do zobaczenia, Shep - powiedziała jeszcze i auto ruszyło. Zatoczyło pętle wokół placu i odjechało w kierunku majaczących na tle rozgwieżdżonego nieba wzgórz.

Dobrze zrobiła - mruknął do siebie z zadowoleniem, gdy auto z Harriet zniknęło już w ciemności. Z pewnością ktoś, kto jedzie tymi dzikimi górami, tak daleko od Fishhooka, nie powinien mieć żadnych kłopotów.

Żegnaj Harriet pozdrów Charline. Czemu jej tak powiedziałem? - zastanawiał się chwile Blaine. Chyba dlatego, że chciał w ten sposób

pożegnać ostatecznie tamto, stare życie. Było to jego ostatnie pozdrowienie dla przeszłości, która minęła już bezpowrotnie. Słowa te były jak ostatnie wyciągnięcie ręki, ostatnie muśnięcie palcami czegoś, co bezpowrotnie odchodziło. Charline może sobie dalej wydawać swoje absurdalne, bezsensowne przyjęcia, na których spotykać się będą najbardziej dziwaczni, nie zapraszani wcale goście. Ale Fishhook jest już martwy. Jest martwy mimo swej pozornej wspaniałości i potęgi. I tego Blaine naprawdę żałował. Żałował tych wspomnień z czasów, kiedy Fishhook właśnie stanowił największą, najbardziej fascynującą przygodę ludzkości.

Blaine stał samotnie na pustym placu i wsłuchiwał się w narastający jazgot aut. Daleko, na zachodzie widział już lekką łunę ich reflektorów. Lodowaty podmuch wiatru dobiegł znanad rzeki targając nogawkami jego spodni, powodując ostry dreszcz ciała.

Na całym świecie - pomyślał Blaine. Na całym świecie dzisiejszej nocy słyhać będzie taki sam ryk silników, pisk opon, tupot stóp umykających w popłochu ludzi.

Włożył dłoń do kieszeni i namacał palcami chłodną kolbę rewolweru, który zabrał z torebki Harriet. Palce odruchowo zacisnęły się na pękatej kolbie. Ale pistolet nie był żadnym wyjściem. Droga wiodła nie tedy.

Należy wybrać inną. Długą i ciernistą, najeżoną trudnościami i niebezpieczeństwem. Normaków trzeba stopniowo izolować, dławić ich własną miernotą, dać im czego pragną: zostawić im planetę pełną normalnych ludzi, pełną tych, których marzeniem jest gnucie przez wieki całe w tym jednym zakątku kosmosu, bez marzeń o gwiazdach, bez wiedzy o wszechświecie. Jak Człowiek przybity na stałe do fotela wkopanego w ziemię, w maleńkim, dogorywającym miasteczku.

Bez nowo kooptowanych dewiatów sam Fishhook w przeciągu nadchodzącego stulecia zachwieje się - w swoich posiadach. I zginie. Gdyż dewiaci żyjący na innych planetach będą zabierać mu sprzed nosa tych, których tak rozpaczliwie będzie potrzebował.

Owe sto lat to dla ludzkiej rasy zaledwie mgnienie oka; dla rasy człowieka, która na innych planetach bezpiecznie będzie budować swe życie i kulturę takie, jakich odmówiono jej na Ziemi.

Ruszył przez pusty plac kierując się w stronę wzgórz. Musi opuścić miasto, zanim przybędą tutaj samochody. Wiedział, że znów jest sam, że znów toczy samotną walkę. Lecz tym razem samotność tak nie doskwierała. Miał cel. Miał zadanie, które - uświadamiał to sobie z odcieniem dumy - samodzielnie i z mozołem wykuł w trudnej walce.

Złożył ręce na piersiach chroniąc w ten sposób dłonie przed zimnem niesionym przez wiatr. Przyspieszył nieco kroku. Ma jeszcze dużo do zrobienia. Bardzo dużo.

Kątem oka dojrzał naraz podejrzany ruch w cieniu rosnących po lewej stronie drzew. Zatrzymał się gwałtownie wkładając jednocześnie dłoń do kieszeni kurtki i zaciskając palce na rękojeści broni. Od ciemnej kępy drzew oderwał się jakiś cień i zbliżał w jego stronę. Wolno. Jakby z wahaniem. Niepewnie.

- Shep?

- Anita! - krzyknął ze ściśniętym gardłem. - Ty maleńka idiotko!

Anita! Ruszyła biegiem, wynurzyła się z ciemności i już była w jego ramionach.

- Nie mogłam odejść - szeptała. - Nie mogłam. Nie mogłam cię zostawić. Wiedziałam, że wrócisz. Przytulił ją do siebie z całych sił. Uniosła w górę twarz. On pochylił nisko głowę. Ich usta zetknęły się. I naraz wszystko przestało się liczyć. Wszystko było nieważne. Nie istniał świat. Nie istniał kosmos. W nieskończonym wszechświecie byli tylko oni dwoje. Była krew i łzy, pałające blaskiem gwiazdy i zawodzący pośród wzgórz porywisty wiatr. I oni dwoje. Więcej nic.

I jeszcze był potępieńczy skowyt hamujących na szosie aut. - Uciekajmy!
- wykrzyknął jej w ucho Blaine. - Uciekajmy! - Jak wiatr!

Biegli. - Tam, na wzgórze - krzyknęła Anita wskazując kierunek. -

Zostawiłam tam samochód. Przygotowałam go przed zapadnięciem zmroku. W połowie zbrocza przystanęli i jak zahipnotyzowani spoglądali za siebie, w dół.

Pierwsze płomienie pożaru ukazały się nad pogrążonym w ciemności miasteczkiem, a cisze rozdarł wydobywający się z setek gardeł jęk zawodu. Rozległ się suchy trzask wystrzału, potem drugi, trzeci. - Strzelają do cieni - roześmiała się dziko Anita. - Tam już nikogo nie ma. Nawet psy i koty dzieciaki pozabierały ze sobą.

Ale w innych miasteczkach i osiedlach, w wielu innych miejscach jest coś więcej niż cienie - pomyślał Blaine. Tam też jest pożoga i dymiące lufy karabinów. Pętle zaciskane na szyjach i zakrwawione noże. Słysząc tupot uciekających stóp i posępne wycie pośród wzgórz.

- Anito - spytał - Anito, czy rzeczywiście istnieją wilkołaki?

- Istnieją. Spójrz tam, w dół.

I to była prawda. Ciemnota umysłów i bezmyślność. Okrucieństwo, głupota i nietolerancja. To były właśnie wilkołaki tego świata.

Blaine i Anita w milczeniu odwrócili się i zaczęli mozolnie piąć się pod górę. W dole, za nimi, rósł płomień nienawiści. Ogromniejący, gorętszy. Ale wysoko, ponad szczytami wzgórz, odległe gwiazdy lśniły obiecująco jasnym, przyzywającym do siebie światłem.

K O N I E C

**CZAS JEST
NAJPROSTSZĄ RZECZĄ**

CLIFFORD D. SIMAK

Najpierw w świetle reflektorów spostrzegli tuż
nad szosą niezwykle ruch.
Po chwili, na tle rozjaśnionego blaskiem księżyca nieba
rozpoznali lecące postacie ludzkie.
Właściwie nie leciały, bo nie miały skrzydeł,
lecz unosiły się w powietrzu,
poruszając z lekkością i gracją, jaką mają tylko ptaki.
Na pierwszy rzut oka
sprawiały wrażenie stada ciem ciągnących do światła
lub jakichś drapieżnych nocnych ptaków,
które nagle spadają z nieba na ziemię.
Po chwili jednak, gdy minęło osłupienie
i górę wziął rozsądek,
Blaine domyślił się, kim są owe postacie.
Byli to lewitujący ludzie.

2-702



